

Grey Scale #13



DANES  
-PICTA  
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

J. K. Kochanowski

# HUMANIZM A CZŁOWIEK

Warszawa — F. Hoesick





+

J. K. Kochanowski

HUMANIZM  
A  
CZŁOWIEK

Warszawa — F. Hoesick



HUMANIZM A CZŁOWIEK



*Jan Karol*

J. K. KOCHANOWSKI

# HUMANIZM A CZŁOWIEK

SPOSTRZEŻENIA I DROGOWSKAZY

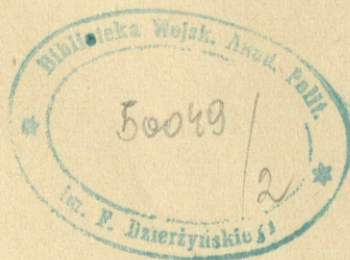
WARSZAWA — 1937

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



15(307)

Copyright by J. K. Kochanowski, Warsaw



Drukarnia Józefa Zielony, Warszawa, Grzybowska 43



## SŁOWO WSTĘPNE.

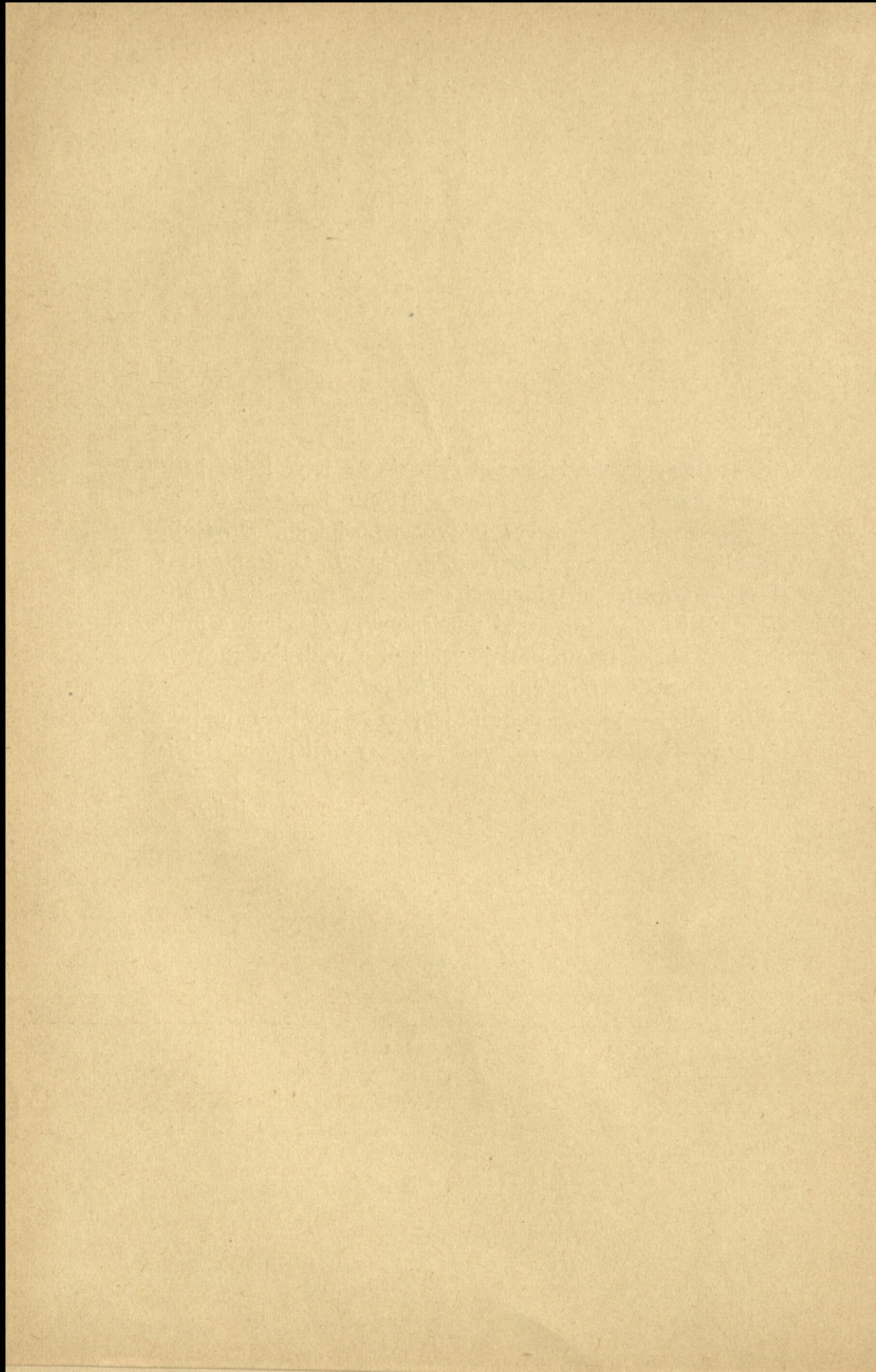
Tezy, których rozwinięcie złożyło się na treść książki niniejszej, przedstawiłem częściowo XII-mu Kongresowi paryskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii, odbytemu w Brukseli w sierpniu 1935 roku. Prof. G. L. Duprat, sekretarz generalny tej instytucji, streścił je w *Revue de l'Institut de Sociologie*<sup>1</sup>, tuż przed pomienionym Zjazdem, a podczas jego obrad zobrazował je pokrótce w druku sprawozdawca dziennika *L'Indépendance belge*<sup>2</sup>.

W całości i w języku polskim tezy te — już jako studjum specjalne — ukazują się poraz pierwszy w książce niniejszej.

*Autor.*

Warszawa, w czerwcu 1937.







## ZAGAJENIE.

Zdaniem Anatola France'a żadne zgoła doznania wewnętrzne nie spływają na nas z zewnątrz, lecz my snujemy je, jakby na własny nasz użytek, z własnej naszej substancji psychicznej — sami.

Toż samo głosi i Grazzia Deledda w słowach: „Cierpienie nie przychodzi od ludzi, rodzi się w nas samych, powstaje z rodzaju naszej natury“...<sup>5</sup>.

Aczkolwiek nie wydaje się prawdopodobnem, iżby ów proces nasz wewnętrzny obchodził się bez bodźców zewnętrznych — przytoczone tu wynurzenia są poniekąd słuszne dlatego, że dające się ujmować obiektywnie bodźce zewnętrzne powodują w niedostępnej nam bliżej głębi wewnętrznej istot, doznania *par excellence* subiektywne.

Znaczy to innymi słowy, że tylko od zdolności, rodzaju i sposobu przystosowania się psychiki naszej do działających na nią bodźców, zawisły takie czy inne jej reakcje: że tylko odpowiednia fala trafia tam na odpowiednią antenę.

Nie jest atoli zadaniem naszym rozstrząsanie dalsze poruszonego tu zagadnienia.

Zamierzamy poprzestać na przesłance o wiele skromniejszej. Bo oto — bez względu na okoliczność z jakich źródeł i jak powstają reakcje dusz ludzkich na bodźce ze strony otaczającego je życia — wydaje się niewątpliwem, że ani czujność człowieka wobec reakcyj pomienionych, ani sposób



patrzenia na nie, ani wreszcie troska o utrwalanie ich w jego pamięci, nie są tu, tam czy owdzie jednakie.

Dlatego wydaje się nam, że wszelaki, wieńczący dane spostrzeżenia dokument, jest niewątpliwie w swoim rodzaju jedynym, a okoliczność ta starczy może, by chcieć uratować go od zagłady.

Tak przynajmniej sądził już Voltaire, oświadczając: „Mówię — jak myślę, a zgoła nie zależy mi na tem, aby inni myśleli tak, jak ja“...

Nie na tem jednak koniec. Wszak każdy dokument taki — subiektywny wprawdzie, lecz sumiennie spisany — staje się niezastąpionym istotnie punktem wyjścia w stawianiu, poniekąd zaś i w wyjaśnianiu doniosłych dla humanistyki zagadnień...

Na myśli mam tu przede wszystkim sprawę norm psychicznych, warunkujących zasadniczo człowieczeństwo w życiu i w dziejach.

Książka niniejsza, będąca z wielu względów uzasadnieniem teoretycznem swej poprzedniczki,<sup>4</sup> jest tedy rodzajem próby ujęcia spraw i rzeczy ludzkich podstawowych, pod kątem niezmiennego w ramach historii ludzkości, mechanizmu psychicznego człowieka.

A osobliwe są nieraz, jak wiadomo, z punktu widzenia możliwego do osiągnięcia obiektywizmu naukowego, dowolności i nieściśłości wielu założeń humanistycznych, zwłaszcza zaś i właśnie pramacierzy ich — historii, i to zarówno bodaj w zakresie uprawianej przez nią analizy, jak syntezy.

Historyczne bowiem — nadewszystko w dziedzinie dawniejszych dziejów politycznych — metody analityczne polegają głównie na łamigłówce mniej lub bardziej pozornych uzgodnień literalnych wielorakich przekazów źródeł o danych faktach; syntetyczne zaś — na kalejdoskopie zainteresowań osobistych i zestawień eklektycznych, pociągających ku sobie danego badacza.

Głębsze psychologicznie zrozumienie życiowe spraw, o których mowa, należy oczywiście w warunkach podobnych do wyjątków. Częstszemi natomiast stają się wobec tego



w dziedzinach omawianych, wiodące do błędów nieuniknionych zestawienia rzeczy, istotnie między sobą niewspółmiernych...

Ale niedość na tem! Trzeba bowiem stwierdzić, że nie mniej spustoszenia sieje tu nieraz i sugestia komunałów, o sile, na polu innych dyscyplin zgoła nienapotykaną.

Możnaby powiedzieć, że gdy przyrodnik określa danym terminem ustalonym rzeczy w pojęciu jego i jego towarzyszków pracy do tożsamości (*sit venia verbo!*) zbliżone — to rozpiętość ujęć i nomenklatur humanistycznych, a zwłaszcza dziejopisarskich, odnoszących się do zjawisk tak nawet „utartych“, jak: naród, państwo, władza, król, wódz, czy polityka — bywa podziśdzien jeszcze w zbyt szerokiej mierze... nieograniczoną.

To też z punktu widzenia nauki, jako wiedzy pozytywnej — historia, acz pod wielu względami od czasów Herodota zmieniona, zakrawa wciąż jeszcze tu i owdzie na teatr cieni chińskich, mających zastąpić umysłowości ludzkiej obraz naukowo marzony „rzeczywistości“ minionej.

A przecież obraz taki — zamiast przysłowionych nieraz „bajeczek o carze sułtanie“ — byłby w znacznej mierze do osiągnięcia możliwy przez zastosowanie w nauce historycznej (jak w traktowaniu ułamków przez rachmistrza!) wspólnego zawsze i wszędzie mianownika spraw ludzkich, jakim może być jedynie psychologia<sup>5</sup>.

Jest ona bowiem i treścią wewnętrzną i zarazem wykładnikiem człowieka nazewnątr. Człowiek zaś nie pozwala ani sam sobie ani komuś — jak to czyni zazwyczaj dziejopisarstwo — wyodrębnić się z więzów powszechnych życia w sposób, któryby go zadawała. Dostrzega on bowiem siebie w życiu powszednim, jak również dostrzegają go inni otoczonego atmosferą swojego wyżywania się i wżywania w świat, będący tłem realnem jego bytu. Zachodzące tu komplikacje są tembardziej złożone, że atmosfera, o której mowa — nie mówiąc już o ewolucji wewnętrznej człowieka samego — ulega zmianom, niekiedy przeogromnym. Choćby dlatego tylko ludzie starzy, a cóż dopiero ci zmarli, co minęli dawno temu, a „atmosfera“ ich już się rozwiała, nie mo-



gą być ocenieni, nawet w przybliżeniu trafnie przez potomnych, którzy też ową niedoskonałość sądów swoich zwykli *ad usum Delphini* zastępować na ekranie historii projekcjami na dany temat własnych swych chcień, wyobrażeń i pojęć, na domiar indywidualnie przeróżnionych, a zasadniczo nieskończenie względnych. Tylko i jedynie psychologja, oraz wskazania jej, bodaj elementarne, mogą służyć nam wśród fluktów otaczającej nas toni jako deska pewnej orientacji, skoro już nie zbawienia!

Człowiek dziejowy bowiem, to nie kukła, choćby i najpoprawniej konwencjonalna, lecz miniony, t. j. poprostu „wczorajszy” człowiek żywy.

Mówić o nim w sposób, do t. zw. rzeczywistości bodajby poniekąd tylko, lecz zasadniczo zbliżony, śledzić go w szrankach ruchu życia, doznania jego pojmować i choćby najżywotniejsze tylko ongiś formy bytu jego rozumieć jako tako — może jedynie człowiek, do przeżywania ich sensu, t. j. do psychologicznego wczuwania się w nie, nie zaś wyłącznie do mechanicznego chwytania pozorów rzeczy, uzdolniony.

Wszystko to jest wprawdzie bardzo proste i jasne, lecz najprzeważniej jakże zapomniane!

Niegdyś gęślarz, czy inny piewca bohaterów musiał być artystą, do iście humanistycznych zadań swych przystosowanymi. Dziś — w dobie mechanizacji wszystkiego we wszystkim — wystarcza, by ktoś był *ad hoc* formalnie upoważnionym.

„Wystarcza” — ale komu?...

Nasuwać się tu bowiem cierpkie słowa Schopenhauera: *Es giebt Philosophen, die für die Philosophie, und die -- von der Philosophie leben...*

★

Sporne wciąż zagadnienie przyczynowości w dziejach wynika przedewszystkiem stąd, że zwykliśmy poszukiwać tu nie przyczynowości zasadniczej — by nie powiedzieć: istotnej — lecz pozornej, polegającej na sztucznem a do-



wolnem łączeniu z sobą w łańcuch rzekomych przyczyn i skutków, ogniw wielorakich, zgoła niewspółmiernych, a niekiedy wręcz nawet sprzecznych, życia — gdy tymczasem przyczynowość oczywista leży w danym przypadku nie w związkach rzeczy fabularnych, lecz jedynie, i to elementarnie psychologicznych.

A czynimy to — jakże często! — z zapalem, zaprawdę godnym lepszej sprawy, zapominając, że „rozumiał to już stary Anaksymander, iż początkiem wody ani ognia nie może być woda ani ogień: że czemś innem musi być źródło zjawisk, a czemś innem one same...”<sup>6</sup>.

Pamiętać o tem winniśmy tembardziej, że nietylko w dziejopisarstwie, lecz wogóle w ramach nauki dzisiejszej, zachodzi tu właśnie pewna analogja, nad wyraz interesująca, między zagadnieniem przyczynowości historycznej, a wszelkiej innej, co na gruncie nauk przyrodniczych podkreślił świeżo Eddington, zaznaczając, że przyczynowość w świecie (fizycznym) istnieje niewątpliwie, wszelako nie tylko tam, gdzie wskazał ją był Newton!<sup>7</sup>.

Jakże żywo przychodzi tu na myśl słowa myśliciela: „Człowiek zawsze nieprawdę widzi, a prawdy nigdy znaleźć nie umie...”<sup>8</sup>.

Zauważmy, że w humanistyce zaciemnia prawdę tę nieraz, a najniepotrzebniej, wiedza o podstawach „rzeczywistości” — metafizyka — przychodząca przedwcześnie do głosu w przypadkach, kiedy t. zw. rzeczywistość dałaby się może pochwycić tu i owdzie o wiele prostszą, mniej okólną drogą...

Wprawdzie „wszystko co jest — jest rozumne” powiedział pewien filozof, a zdaniem H. Poincaré’go „życie prawdziwego uczonego jest pracowitem marzeniem” — wszelako, dla samego bodaj zobjektywizowania wiedzy, t. j. dla czynienia jej w miarę możliwości coraz to bardziej naukową — należałoby może ograniczać, zwłaszcza w humanistyce, zbyt władną w niej niekiedy formę, na rzecz tonącej w zbędnych fluktuach treści.

Obok zastrzeżeń, skierowanych przeciw metafizyce, jako zbędnemu nieraz środkowi uproszczeń, stosowanemu do bar-



dziej zawiłych naukowo zagadnień, wypadłoby może uznać się tutaj i na pełniące niekiedy rolę analogiczną, zwłaszcza w dziejopisarstwie, a najbardziej bodaj w historii literatury — deklamacje, o których gotówby powiedzieć francuz: *ce qui est trop sot pour être dit, on le chant!*

Porównanie — to jeszcze nie racja; trudno jednak nie zgodzić się tutaj ze zdaniem Lwa Tołstoja, że: „Pisanie wierszy o miłości, o kwiatach i t. p. rzeczach — jest to stosunkowo niewinne zajęcie do 16-go roku życia. Ale niemożna wypowiedzieć w wierszu poważnej, głębokiej myśli, nie przekreśliwszy jej sensu...“<sup>9</sup>. Toż i Platon jeszcze twierdził, że „muzyka zamąca czyste myślenie...“

\*

Wśród zajmujących nas tutaj rozważań, widnieje przed nami na drodze, wiodącej ku rozwiązaniom psychologicznym nasuwających się zagadnień — szkopał nielada!

Niemożliwy do ominięcia zarówno w sferze problemów indywidualnych jak zbiorowych, bieżących jak historycznych, polega on na różnicach, zachodzących między jednostką a masą ludzką.

Poświęciwszy już przedmiotowi temu w toku studiów naszych uwagi niemało<sup>10</sup>, nie chcemy się tutaj powtarzać.

Ujmiemy przeło rzecz pokrótce z innej nieco strony, zaznaczając ogólnie, że psychika typowa jednostki a masy ludzkiej jest wprawdzie odmienna, wszelako — mimo zachodzących tu, subtelnych w swej istocie różnic jakościowych na tle życia, powszedni punkt wyjścia odmienności tej daje się jaknajogólniej sprowadzić — choć nie bez zastrzeżeń — do kategorii zjawisk ilościowych, i to nie dlatego tylko, że tysiąc to więcej niż jeden.

Złożona z tysiąca ludzi gromada czyni wprawdzie, w fazie harmonii swej wewnętrznej, a wraz z nią i zewnętrznego swego spokoju, wrażenie zestroju tożsamyh jednostek ludzkich — wszelako moment, naruszający harmonję tę i spokój, ujawnia jednocześnie fakt, że tożsamość, o której mowa, jest względną, a owa względność: nietylko (życiowo)



zewnątrzną, lecz i (psychicznie) wewnętrzną; że przeto niemniej, niż wspomniana strona wewnętrzna, również i strona zewnętrzna gromady jest dwojaką...

Innymi słowy, moment, naruszający harmonję i spokój masy, segreguje *ad oculos* składające ją cząstki, ujawniając przytem z jednej strony osobniki ludzkie bardziej lub mniej samodzielne (indywidualistów), z drugiej zaś — psychicznie od otoczenia swego bardziej uzależnione (gromadowców).

Gdybyśmy zaś zapytali, od czego zawisło tu nadewszystko zjawisko jedno i drugie — moglibyśmy bodaj poprzestać w odpowiedzi niezłożonej na powiedzeniu, że ci pierwsi (indywidualiści, typy wyższe, ustroje psychiczne silniejsze) to poprostu ludzie (z urodzenia i wyrobienia) bardziej od innych osobiście życiowo sprawni, t. j. jakby doświadczeńsi niż drudzy (t. zw. gromadowcy, typy niższe, słabsze ustroje psychiczne).

A czyż — poniekąd — nie krok już tylko stąd do powiedzenia: „sensaci“ i „postrzeleńcy“; „mądrzy“ i „głupi“; „starzy“ i „młodzi“?...

Tak to bodaj przedstawia się zewnętrźnie, w swej postaci uproszczonej, zagadnienie związków i sprzeczności, zachodzących u podstaw humaniorów w ramach psychologii indywidualnej a zbiorowej człowieczeństwa.

Czemże atoli jest wobec tego zagadnienie głębinowe, czy „tłum“, jako wyraz klasyczny prymitywu psychiki gromadzkiej — kuźni stada, z którego wyszliśmy wszyscy — udoskonala się, czyli też wiekuiście jako *sui generis* psychoza — pozostaje sobą? <sup>11</sup>.

Chyba zagadnieniem równem pytaniu, czy woda płynie dziś inaczej, niż ongiś...

\*

Typowy człowiek stary, jeszcze żywotny, wykazuje wiele znamiennych analogji psychicznych z indywidualistą, jako typem wyższym człowieczeństwa.

Jest to właśnie ów człowiek, o którym mówi Ekklezjasta:



*Nie maż lekce przypowieści starców mądrych,*<sup>12</sup> a który pamięta zazwyczaj dokładniej przeżycia swe, dawniej minione, niż doznania świeższej daty.

Być może, że zjawisko to objaśnił by tu po swojemu rozpinający właśnie skrzydła swe do lotu psycho-biologiczny behawioryzm<sup>13</sup>; w gruncie rzeczy (oczywiście w jakiś sposób pochodny) mamy tu jednak do czynienia z okolicznością, że tylko do pewnego czasu (i wieku) działa w każdym z nas *sui generis* klisza psychiczna żywej a sprawnej percepcji przeżyć, utrwalających się w samowiedzy naszej w ciągu życia.

Okoliczność tę — dla jej doniosłości psycho-dziejowej — należałoby pilnie uwzględniać zarówno przy krytyce źródeł i w budowanych na ich podstawie obrazach historycznych, jak — przy ocenie stosunku wzajemnego żyjących współcześnie ze sobą pokoleń, tam zwłaszcza, gdzie idzie o różne ustosunkowywanie się każdego z nich do doznawanych przeżyć<sup>14</sup>.

Póki „klisza“ w nas nie obumarła, chwytamy na nią doznawania nasze przedewszystkiem „uczuciowo“; potem — coraz wyłącziej już — „z refleksją“.

Nic też dziwnego, że młodzież normalna rządzi się uczuciem w swem życiu zarówno indywidualnem, jak zbiorowem, a starsi t. zw. rozumem.

Jest to wynik czynników w rodzaju niezłomnych praw psycho-biologicznych...

Nie zadziwi nas też może okoliczność, że — w zależności od odbijających w sobie „temperaturę“ pokolenia, wskazań instynktu samozachowawczego danych zespołów, gromad, grup, czy państw, ciężących w pewnym momencie w kierunku uczucia czy refleksji — przewodnictwo środowiska ujmuje (i ujmować powinna!) generacja odpowiednia: starsza lub młodsza.

Napoleon — w zupełnej zgodzie z duchem swych czasów i podniebia — zamłodu stał się panem świata; zgoła inaczej, a znowu w myśl tychże założeń — potoczyły się dzieje epoki i panowania Edwarda VII.



Zdaniem Goethe'go widzenie rzeczy przekształca się w (ich) obserwowanie, obserwowanie w rozważanie, a rozważanie w kojarzenie.

— Rzec można — twierdził on, iż przy każdym uważnem spojrzeniu, rzuconem w świat, — już tworzymy teorię...

Na podobnych przesłankach myśliciel amerykański Lester F. Ward, oparł w naszych czasach znany swój pogląd analogiczny, że człowiek każdy, zastanawiający się nad otaczającym go światem, snuje z siebie (dodajmy: najbardziej mu odpowiadający!) system filozoficzny.

Jakże sprawdzić wartość jego obiektywną?

— „Jeżeli możecie — poucza Lord Kelvin — zmierzyć i wyrazić z pomocą liczby to, o czem mówicie, wtedy wiecie cośkolwiek o waszym przedmiocie. Inaczej, wasze wiadomości są bardzo ubogie i mało zadowalające“...

Jakże wiele w tem prawdy! Cóż jednak bardziej niż psychologia: niżli zgłębiane przez człowieka zwierciadło własnej jego jaźni — niż psychika ludzka, będąca w pełni swych prawd wykładnikiem przyrodzonym, t. j. najistotniej zasadniczym, norm podstawowych stosunku naszego do rzeczy: cóż bardziej niż ona — pytamy — zastąpić nam może w humanistyce, dla istotnego jej doskonalenia się naukowego, „liczbę“ Kelvina?

Usiłujemy tu pójść za tem wezwaniem, a na ścielącej się przed nami, mozolnej drodze, niechaj nie zrażają nas zgóry nieodłączne od człowieka błędy!

Gdzież ich niema — ale nie najmniej ich pono w przekazującej wszystko jutru bierności człowieczej...

To też „niewolno zdawać się na łaskę czasu. Czas nie okazuje jej nigdy“! <sup>15</sup>.





## O DWOISTOŚCI NASZYCH DOZNAŃ.

Opowiadał mi pewien wieśniak dzieje staruszki, kończącej jak wiele innych, dni swoje na łaskawym chlebie u dzieci.

Historja była bardzo smutna, a nawet wstrząsająca do głębi.

Staruszka, pełna poświęcenia, kochała — ba! czciła mimo wszystko swych chlebobawców-dręczycieli, oni zaś czynili ze swej strony wszystko, aby przyśpieszyć jej koniec.

Wieśniak, widząc me wzruszenie, przerwał swą opowieść i zakończył ją na pociechę uwagę: Wszak to rzecz u nas na wsi zupełnie powszednia!

W pamięci utkwiał mi zwłaszcza szczegół, że ojciec tej rodziny, ceniony w swem środowisku syn staruszki — gospodarz domu, karał surowo córkę swą kilkunastoletnią za względy, okazywane babce.

Względy te bowiem groziły mu ruiną.

Tak mu się przynajmniej w danem złożeniu (z dziada — pradziada!) — zdawało...

\*

Z historii, o której mowa, wywiązuje się zagadnienie: czy i do jakich granic człowiek jest w stanie zmieniać bieg naturalny spraw, rządzących stosunkiem jego do świata?

Podpatrując przez wiele lat gnieźdzące się pod miejskiem oknem mojem gołębie, widywałem tam różne dole i niedole



tych ptaków, uniesienia ich i dramaty, objawy sympatii wzajemnej i nastroje wrogie — nadewszystko zaś dostrzegalem zdolne aż do bohaterstwa poświęcanie się rodziców ptasich dla dzieci, nie wykraczających przeciw kanonom rodu, bo niezdolnych jeszcze sobie radzić...

Wszelako nie zdarzyło mi się ujrzeć tam nigdy troski ze strony skrzydlatego otoczenia, ani pieczy nad zniedołężniałym gołębiem starym.

Raczej może nad zdolnym jeszcze do życia — krzepkiną na pozór — ptakiem zranionym. Dla ścisłości dodam tu zresztą, że ostatni ów szczegół dostrzegł gdzieindziej: na brzegu morskim, wśród mew...

Razem wzięwszy, wniosek prosty brzmi tu tak, że ustrój społeczny stworzeń, nie wyłączając ludzkich, rządzi się w łonie swem zasadą przyrodzoną automatycznego przekazywania siebie i wysiłków swoich zstępnym, nie zaś wstępnym; że jest on wierny nakazowi naturalnemu mozolenia się dla przyszłości (gatunku), nie zaś dla jakichbądź przesłanek bytu minionego; że kieruje się prawem, znajdującem wyraz swój najpospolitszy w fakcie ciężenia ku sobie ciał fizycznych zgóry na dół, nie zaś odwrotnie.

Innemi słowy — gospodarzem-synem z przytoczonej opowieści nie był degenerat, ani zbój, lecz poprostu człowiek klasycznie „naturalny“, a młodociana, ulubiona córka jego, swego rodzaju „anomalją“.

\*

Ale czyż na tem koniec?

Czyliż można obojętnie pominąć fakt, że — w świetle historii powyższej — nie nieznana nikomu zgoła przyszłość, lecz właśnie — a wbrew dzisiejszym poczuciom naszym cywilizowanym — dostępna wszystkim naokół przeszłość, staje się dziedzina... transcendentalną „metafizyki“, lekceważonej, ba! zapoznawanej przez „nagie“ życie?!

Przesłanka to niebylejaka, stwierdzająca w założeniu swem sprzeczność zasadniczą zaklętych w owem życiu podstaw przyrodzonych bytu z jednej, a — buntującej się w nas



przeciwko nim cywilizacji z drugiej strony, by nie powiedzieć wręcz: przesłanka, wykazująca antynomję odczuć ludzkich z dziedziny t. zw. „materji“ i t. zw. „ducha“...

To jedno.

Pozatem bowiem żarzą się w przesłance powyższej niela-da przeciwieństwa inne. Wszak już na wstępie do nich powstaje pytanie, czy staruszka-męczennica, wychodząc z założenia żyjącej cierpieniem duchowości, mogła i powinna była mieć żal nieutulony do swego tyrana-syna? (Jakoż — nie miała go pono zgoła!). Oraz — czy mogła i powinna była żywić względem niego urazę — i to nieposkromioną — z punktu widzenia „nagiego“ życia?...

Opowieść, o której mowa, nie wykazywała urazy takiej ani śladu, a logika bytu „jaskiniowego“ zdaje się stwierdzać, że objaw podobny istotnie zrodzić się tu nie mógł.

Ale cóż na to cywilizacja? Czyliżby beznadziejnie znalazła się tu w... samotrzasku?

Nie sędzę, bo, płynąc w istocie swej, a w stosunku do „nagiego“ życia, z założeń zgoła „transcendentalnych“; przechodząc w obronie ideałów swych lekkim sercem ponad „nagością“ pomienioną, założeniami jej i logiką — woła ona zawsze, konsekwentnie i mimo wszystko: Miłuj (człowiecze, nietyle gatunek swój, który — jak począł się, tak i prze-trwa okres swój bez twych planów, — lecz) bliźniego swego, jak siebie samego.

Izaliż trzeba przesłanki bardziej pochwytniej, że istota cywilizacji — Duch Boży w ludzkości — nie powstał *implicite* z „materji“, lecz raczej mocarnie się jej — jak córce gospodarskiej — tchnieniem swoim narzucił? Że nie idea Objawienia, lecz właśnie bodaj ewolucji<sup>16</sup>, zdawałaby się być w danym przypadku — „złudzeniem“?...



Naukowcy bez zmayı, stwierdzający „prawdę obiektywną“, że fakty psychiczne są różne od fizycznych, a zazna-czający wyraźnie, że nic bliższego o nich powiedzieć nie



umieją — oświadczają się konieckońców za spirytualizmem umiarkowanym<sup>17</sup>.

To nam tu wystarcza nietylko dlatego, że podzielamy zdanie Duhem'a: *La démonstration n'est jamais source de certitude: toute assurance de la vérité nous vient du bon sens*<sup>18</sup>. Nietylko z powodu, iż „sens zdrowy wskazuje nam... że wszelka istota żywa, niby ścieg, wyprowadzony spod tkaniny na jej powierzchni, wyłoniła się na moment półświadczonej z Nieskończoności Niepoznanego i ku niej zmierza“<sup>19</sup> — lecz między innymi i dlatego także, że nie stoją temu na przeszkodzie i najpoważniejsze z ostatnich w literaturze naukowej rozważań przyrodoznawczych.

„Wydaje się — pisze Eddington<sup>20</sup> — że musimy przypisać sile duchowej nietylko zdolność decydowania o zachowaniu się indywidualnych atomów, lecz również wpływania systematycznego na wielkie grupy — regulowanie szans takiego czy innego zachowania się atomu“...

Nie stropi nas tedy wzgląd, że Freud<sup>21</sup> w myśl swej zasady, iż człowiek-ludzkość urabia się rozwojowo nie nade wszystko — jak mniema autor książki niniejszej<sup>22</sup> — w świecie wewnętrznym jednostki ludzkiej, lecz w tyglu masy, poczytuje (pojęcie) Boga w procesie tym jedynie za etap, środek i dźwignię: za „hipotezę pomocniczą“, powstałą wśród dolegliwości ludzi na tle ich życia zbiorowego.

Nie stropi nas to, gdyż — po pierwsze — wszystko to, co jest, a więc i to także, co stało się osią bytu ludzkiego — stało się nią jakoś, skoro się nią stało, a powtóre obchodzi nas tu w danej chwili nie geneza rzeczy omawianych, lecz jedynie stwierdzenie ich na tle bytu człowieka i ludzkości...

Wreszcie — gdyby nie było na świecie dualizmu (filozoficznego), o który tu właściwie idzie — to bodaj czy nie należałoby go stworzyć z punktu widzenia choćby tylko metodologicznego, aby umożliwić wywody ludzkie w dziedzinie operowania wartościami tak różnemi, jak fakty psychiczne a fizyczne.

Wszystko to wypowiadamy tu tem śmieiej, że to nawet, co w potocznem rozumieniu ludzkim istnieje bezwarunko-



wo, t. j. t. zw. „rzeczywistość“, może, a bodaj winno być poczytane za urojenie <sup>23</sup>... Że dalej kieruje nami prawo przesuwalności energii psychicznej <sup>24</sup>, dopuszczające zarówno monistyczne utożsamianie wszelakiej energii z materją przez jednych, jak dualistyczne rozróżnianie ich, a bodaj nawet mianowanie duchem wszystkiego, co jest. Że wreszcie zasada odwieczna: *ignoramus — ignorabimus*, pozostając wciąż w swej mocy, nie pozwala nam z jednej strony przesądzać niczego, z drugiej jednak — sprzężona z dociekliwością niezmożoną psychiki człowieczej — każe nam „prawdy“ poszukiwać nieustannie, bez osiągania jej w stopniu, któryby nas zadowolił.

\*

Koniec końców, to, co nazywamy duchem — daje się nam doznawać jedynie poprzez to, co nazywamy materją, poza którą zresztą zarówno dostępny poznawaniu naszemu mechanizm myśli naszej, jak i to, co mianujemy drgnieniem serc naszych — dla konkretnego ujęcia ludzkiego nie istnieją...

Mimo to jednak, odczuwając ducha, wiemy co nim dla nas jest, a co nim nie jest...

Czyż „dowód“ ten nie jest równie słabym czy silnym, jak kartezjańskie: *Cogito ergo sum*?

To jedno. Z drugiej strony najsubtelniejszy i największy w życiu historycznie poznawalnem wyraziciel pełni duchowej chrystjanizmu, św. Franciszek z Asyżu, nietylko ludziom i wszechstworzeniu, ale i wszechbytowi wołał: bracia wy i siostry moje <sup>25</sup>!

Razem wzięwszy, mamy przeto i tutaj przed sobą świat zjawisk wszelakich, zwarty w nierozdzielnię jedną...

Właściwie, należałoby tu złamać pióro, albo — jak zawsze w podobnych razach... rzucić się na zbawczą *pars pro toto*.

Wybieramy to ostatnie, zaznaczając, że biegunami naszych — mimo wszystko — poszukiwań prawdy na tle życia, względnymi wprawdzie i nader subiektywnymi, lecz najważniejszymi zpośród tych, jakie się tu nasuwają, okażą się



kryterja „dobra“ i „zła“ — dla rozważań w sferze humanistyczno-psychologicznej praktycznie najdostępniejsze...

Zgóry atoli stwierdzić trzeba, że — jak niepodobna dowieść komuś słowem odczuć, poczuć, ani uczuć swoich — zwłaszcza zaś może ich indywidualistycznych *par excellence* superlatywów, nie wyłączając fizycznych, jak cierpienia ciała czy doznania głodu — tak też byłoby zamierzeniem jak najoczywiściej niewykonalnym, przeprowadzenie djalektyczne dowodu obiektywnego istnienia Boga, wyższości „dobra“ nad „złem“ i t. d.

„Syty głodnego nie wyrozumie“ — z powodów, uzasadniających również (psychologicznie!) wzlot pozornie zgoła z banalnym powiedzeniem tem niewspółmierny: *Wer den Dichter will verstehen — muss in Dichters Lande gehen...* A tymczasem wszystko to razem znaczy tylko jedno: *Ne sutor ultra crepidam!*

Czyż źródło względności rzeczy ludzkich potrzebuje tu wymowniejszych przykładów?

Ale oto jeden z nich jeszcze — dość klasyczny...

Możliwie integralna psychicznie łączność gromadowca z gromadą (w praktyce, zwłaszcza wśród prostaków wiejskich: z rodziną), posunięta nieraz aż do samoofiarności bezwarunkowej, pokrywa się moralnie z idealną (acz zacieśnioną tylko do granic grupy najbliższej, rodzinnej) doskonałością miłości chrześcijańskiej. Ponieważ zaś obcość (t. j. pojęcie bliźniego nie-krewnego) jest dla „chrześcijanina“ takiego czemś iście prymitywnie jeszcze dalekiem, nieraz zasadniczo wrogiem i przeto — zdaniem jego „naturalnem“, na dobro niezasługującym — mamy w przykładzie tym pochwyconą *in flagranti* na tle życia — nieobcą również negatywnym przykładom z Ewangelji (...*dał Bogu chwałę tylko ten cudzoziemiec*)<sup>26</sup> — stopniowość (psychologiczną ludzką) genezy przenikającego wszechświat, Dantejskiego: *Amor, che muove il sol e l'altre stelle...*

Krótko mówiąc, pewne warunki bytu nie sprzyjają życiowo powstawaniu raju tam, gdzie wykładnikiem, psychologicznie normalnym, położenia, może być nadewszystko: piekło...



Bywa jednak niekiedy i odwrotnie.

Oto, co wygłosił był niedawno temu jeden z członków angielskiej Izby Gmin: „Mamy wszystkie środki do szczęśliwego życia, z którego nie korzystamy jedynie dlatego, że nie umiemy korzystać z tych środków”<sup>27</sup>...

Jest to wszystko nader oczywiste, a sprawą nie mniej oczywistą jest i okoliczność, że — nie najmisterniejsza nawet w rozumieniu literalnem, martwa reglamentacja sumień ludzkich, lecz stawianie ludziom przed oczy żywych wzorów życiowo-moralnych, może podnieść człowieka i indywidualnie i zbiorowo...

„Prawda” ta — to... truizm. Czyliż jednak formuła  $2 \times 2 = 4$  miałyby być dlatego tylko mniej słuszną, że za trafną poczytujemy ją wszyscy?



Gdyby przeciętny człowiek normalny, pojęty zarówno potocznie jak dziejowo, ciążył w głębi panteistycznych skłonności swoich jaknajbardziej nawet ku uogólnieniu, jako Wszechjedności — Szatana i Boga, to i tak drgnienia serca jego ułożą się wreszcie w psychologiczny pryzmat elementarny dualizmu, poprzez który — wpatrzony coraz to pilniej w zjawiska i bodźce otaczającego go świata — zaciąży ów człowiek psychicznie, chcąc nie chcąc, coraz to konsekwentniej wśród rozwoju, raczej ku elementom — bodajby, na razie, fizycznym tylko — „dobra” i jego harmonii, aniżeli „zła”, stanowiącego wyraz doznań odwrotnych.

I oto — na tej drodze ewolucji psychicznej, tak bardzo prostej i w prostocie swej tak oczywiście normalnej — wstąpi wreszcie w człowieka siła — najpromienniejsza i najpotężniejsza z dostępnych mu, a najpożądańsza z tych, jakie los zwykł pozostawiać mu do wyboru — Siła i Łaska Boga, zlanego w poczuciach człowieczych z tem, co pojmuje on jako „dobro” nie zaś jako „zło”, wołając: *Ojcze nasz, któryś jest w niebie...*

Tak przemawia z głębin swoich jednostka ludzka do głębin świata...



A my zwykliśmy — jaknajfałszywiej — poczytywać zarówno ów głos jej, jak i ją samą — na tle i w stosunku do masy ludzkiej — za integralną część tejże, „bez reszty”!

Otóż nie jest tak nietylko dlatego, że z punktu widzenia historycznego daje się wyczuwać w perspektywie dziejów doskonalenie się raczej jednostek, niż tłumów<sup>28</sup>, lecz nade wszystko z powodu, że ewolucja psychologiczna jednostek ludzkich odbywa się w ich wnętrzu, niedostępnem dla oka widza, a nieodłącznem od nich samych, podczas gdy takąż ewolucja grup polega raczej na dostrzegalnej wymianie z otoczeniem, choćby i dalszem, składających się na nie jednostek, aniżeli na wewnętrznej metamorfozie psychicznej tychże.

Żadna też i nigdzie jednostka ludzka — mimo zachodzących w niej zmian psychicznych — nie przestaje być sobą; żadna zaś grupa ludzka nie jest zdolna przeobrazić się psychicznie, nie zmieniając swego składu.

Innemi słowy, do grupy raczej i gromadowców, niż do jednostki, jako typowego indywidualisty, dałoby się zastosować psychologicznie powiedzenie: pilnuj każdy samego siebie!

\*

Sprawy, o których tu mowa — choć granice, zachodzące między niemi, a zwłaszcza ich subtelności, mogą czy muszą przedstawiać się poniekąd niepochwytne — prezentują się jednak naogół, pod względem konsekwencji swych psychologicznych dość jasno, by nie powiedzieć: kategorycznie.

Z tych to powodów „dobro” (wykładnik ducha) winno usiłować w każdym, życiowo pojętym, zakresie — pochłaniać „zło” (stronę moralnie, t. j. duchowo ujemną materii) „bez reszty”, gdyż inaczej hołdownicy materii à *outrance* — czyli zła — a takich panuje wciąż jeszcze w życiu większość przegromna — wysiłków ducha, promieniujących zawsze tylko z mniejszości — nie zauważają!...

Ba! I najmniejsze bodaj uchybienie gotowe tu — jak przy-



słowiowa kropla dziegciu! — zepsuć najokazalszą nawet beczkę miodu...

Dlatego *zmycieżanie* (czynne) *zła w dobrem*<sup>29</sup>, a choćby tylko (bierne) Tolstojowskie „niesprzeciwianie się złu” przez proste przechodzenie nad niem do porządku — jest zadaniem wysoce odpowiedzialnem moralnie, będąc jednocześnie najcięższą bodaj z życiowych prac Penelopy, bo czynnością, rodzącą nie tylko w praktyce, lecz i w teorii, aż nazbyt łatwo pozory moralnie i cywilizacyjnie arcygroźne beznadziejnej niepoprawialności ludzi!

Bodaj też, czy nie w myśl tego założenia twierdzi Lew Tolstoj, że tylko człowiek zły może „rozprawiać” o dobrem, czemu zdaje się wtórować dziki Moskal, obwiniający jak wiadomo — w sposób paradoksalnie dla siebie znamieny<sup>30</sup> — o zło, na świecie panujące — dobro bliźniego swego.

Poczytuje on bowiem to ostatnie — wirujące w mglistej zawieszynie u dna własnej swej duszy, jak refleks podświadomy ideału bezbrzeżnej doskonałości Boga — za ziszczalne łatwo na ziemi, gdyby nie urągająca mu niedoskonałość ludzka, którą gotów jest karcić nadewszystko, a od ręki, w osobach (bezpłodnych!) apostołów miłości...

Dziki ów człowiek nie dosłyszał bowiem głosu Joba<sup>31</sup>: *Niebiosa nawet nie są czyste przed oczyma Twemi* — nie mówiąc już o iście dramatycznych na ten temat wyznaniach św. Pawła<sup>32</sup>!

\*

Razem wzięwszy — urastająca w życiu tak pospolicie (a bodaj pozornie) do rozmiarów przepaści bezdennej — różnica zasadnicza między dualizmem a monizmem, zdaje się polegać nie tyle na takim czy innem odczuwaniu łączności materji z duchem, czy zaprzeczaniu jej — ile na brutalizowaniu typowo... materialistycznym — czy to w imię materji, czyli też nieraz (niestety!) z bufonadą (!) branego w obronę ducha! — różnic, jakie zachodzą w nas w związku z tem, co odczuwamy i pojmujemy jako objawy ducha, a tem, co stanowi dla nas wyraz materji.



W gruncie rzeczy, nie jesteśmy bowiem w możności wykazania w sposób przedmiotowy nawet różnicy, zachodzącej między działaniem praw fizycznych w przyrodzie, a psychicznych ludzkich w stosunkach np. czy zwłaszcza międzynarodowych, zwanych polityką zagraniczną. Zdaje się zaś, że podobnie dzieje się również i w powszechnych stosunkach prawnopublicznych. O lśnieniach ideałów duchowych, jako o życiowym motywie realnym, może być conajwyżej podziśdzien jeszcze mowa niemal tylko w sferze stosunków prawnoprywatnych, i to zwłaszcza zachodzących pomiędzy jednostkami, t. j. zarodzią *sui generis* nowotworu rozwojowego, wyłaniającego się z masy ludzkiej, która w zasadzie — jak wszelki naogół objaw życia — nie przestaje atoli być wciąż jeszcze przedmiotem oddziaływania decydującego praw fizycznych natury.

W związku istotnym z tem wszystkim, możnaby tu nadto powiedzieć, że niema właściwie ludzi zupełnie niereligijnych, t. j. zgoła niepogłębionych duchowo. Że natomiast zachodzą jedynie pomiędzy ludźmi różnice co do odczuwania i pojmowania przez nich zakresu granic życiowych, leżących między prąsferą wyobraźni człowieczej, a młodszym od niej rozwojowo czynnikiem refleksyjnym intelektu ludzkiego.

Maurycy Maeterlinck był też rozpowszechnionego już dzisiaj zdania, że: „Nadnaturalność jest tylko głębszą naturalnością, a więc mniej łatwą do zrozumienia“; atoli jedna i druga są to, jak wiadomo, sprawy, przeżycia i stany nader względne, segregowane i ustalone przez wiarę raczej, niż przez wolną od niej umysłowość ludzką, o których — w myśl pojęć zprzed ćwierćwiecza — trafnie powiedział był filozof <sup>33</sup>, że „wiara i nauka — to dwie dziedziny w stosunku do siebie odśrodkowe“.

Mówiąc to, wyprzedził on poniekąd czasy swe o pokolenie, gdyż dziś dopiero staje się jasnem na tle stanu obecnego nauk przyrodniczych <sup>34</sup>, do jakiego to stopnia owa „odśrodkowość“ wzajemna nauki i wiary czyni pierwszą z nich sferą jakby wyłączną obiektywizmu, drugą zaś subiektywizmu naszego, oraz jak dalece z punktu widzenia naukowego (i... sceptycznego) niepodobna zaprzeczyć dziś w niczem żadnej zgo-



ła wierze, nie mogąc jednocześnie uzasadnić żadnej z nich w najniklejszym bodaj punkcie jej zasadniczym.

To też — w świetle okoliczności tych — możnaby dziś uduchowienie ludzkie określić („objektywnie”) w słowach mniej więcej następujących:

Z punktu widzenia psychologicznego, człowiek uduchowiony to nie tylko ten, co przeciwności zewnętrzne życia cierpliwie znosi — tecz ten nadewszystko, co, ożywiony poczuciem odpowiedzialności wobec własnego swego istnienia — aż do ofiarnego poddania „duchowi” „ciała” swojego — zwycięsko sam z sobą, w imię przerastających powszedniość ideałów, ścierać się potrafi.

Przy sposobności, trzeba tu zaznaczyć, że ściśle tak samo, jak zagadnienie stosunku wiary do nauki, zarysowuje się dziś przed nami i sprawa stosunku wszech nauk humanistycznych, a zwłaszcza może pepiniery ich — historii — do przyrodoznawstwa.

Wszelako, jako pole, ogniskujące szczyt „naukowości” w sferze zarówno pewnych zagadnień wiary<sup>35</sup>, jak wiedzy, zarówno humanistyki, jak nauk przyrodniczych — zdaje się wysuwać coraz bardziej na miejsce naczelne psychologja — tymczasem wciąż jeszcze najprzeważniej, jeśli nie wyłącznie — introspekcyjna człowieka<sup>36</sup>.

Ona jednak zawiera w swych głębinach odpowiedź gotową już lub potencjonalną, na wszystkie zagadnienia powyższe: na pytanie, czemu to dla jednych wiara jest rajem<sup>37</sup>, a dla innych — „duszą rozpaczy”<sup>38</sup>; czemu to nauka daje jednym tak wiele<sup>39</sup>, a innym nadewszystko, jeśli nie wyłącznie — uświadamianie sobie własnej swej niewiedzy<sup>40</sup>... Czemu nakoniec ludzi uduchowionych gnębią wiekuiście ci, co *nie są z Boga*<sup>41</sup>?...

Jakiż to jednak ze wszystkich tych przesłanek płynie dziś nadewszystko wniosek zasadniczy dla człowieka cywilizowanego?

Oto, rozwój obecny nauk, zwłaszcza przyrodniczych, nie daje nam wprawdzie dowodu istnienia Boga — boć dowód taki w ciasnych, jakie poznajemy, granicach materji, nie jest zresztą do pomyślenia<sup>42</sup> — wszelako nie usiłuje on już (jak



bywało!) przeczyć Jego istnieniu, dając tem folgę — nie duchowi samemu, bo ten nigdy tego nie potrzebował — lecz spętanemu przed niewiele jeszcze laty chamstwem „wiedzy” — intelektowi człowieka...

Że zaś — jak to powiedziano z punktu widzenia psychologicznego bardzo trafnie <sup>43</sup>: „Śmierć (powszednia myśl o niej) demoralizuje człowieka; umoralnia go: nieśmiertelność“, przeto widoki nasze na przyszłość doczekały się (może nie tymczasem już tylko!) znacznej poprawy.

\*

Podobnie jak z 24-ch liter alfabetu ułożyć można bez trudu wyrazy, hasła i symbole spraw zarówno najwznioślejszych jak i najbardziej nawet plugawych — tak też z szeregu najprostszych momentów psychologicznych — poprzez różne ich zestawienia w człowieku na tle życia — może powstać nietylko dla niego, ale i dla innych — zarówno raj, jak piekło...

To też „dobro” ani „zło” nie są w gruncie rzeczy (a wbrew pozorom) kategorjami zjawisk, odmiennemi a *limine* jakościowo. <sup>44</sup>.

„Jakościowemi” (względnie) stają się one dopiero w pewnych zestawieniach na tle życia, powodując na jego gruncie reakcje zarówno kazuistyczne jak moralne, t.zw. „dobra” i t. zw. „zła”.

A nie stanowi o nich — jak się to nieraz (błędnie) sądzić zwykło — sama intencja człowieka.

On sam powiada przecież często a szczerze: chciałem dobrze — wypadło źle, co wielki poeta trawestując w wyolbrzymieniu kosmicznem, wyraża kategorycznie w słowach:

Ich bin der Teil von jener Kraft,  
Die stets das böse will, und stets das gute schafft!...

Trzeba przeto nietylko chcieć, ale i umieć przewidywać bieg rzeczy, puszczonech w ruch bodajby przez samego siebie.

Trzeba być zdolnym do roli kierownika, nie zaś tylko par-



tacza swych zamierzeń. *Savoir — c'est prévoir*, powiada Auguste Comte, a najwybitniejszym bodaj odtwórcą-pisarzem i artystą-psychologiem takich właśnie zagadnień, jakie poruszamy tu w tej chwili, jest dzisiaj powieściopisarz francuski, Claude Farrère <sup>45</sup>...

Lecz poco sięgać aż do artystów?

Wszak na każdym kroku spotykamy dzisiaj opartą również — jak dzieła ich — na psychice ludzkiej, jaskrawą twórców tych antytezę, panoszącą się w życiu, a mogącą *à rebours* służyć doskonale sprawiedliwej — ba! entuzjastycznej ich ocenie!

Cóż powiedzieć np. o tak popularnym dziś „argumencie” pseudo-logicznym, a bodaj nawet pseudo-naukowym, jak następujący w sprawie ciężącego nad światem przeludnienia?

— Wszak dopiero za jakieś 20 lat (od chwili bieżącej) prawią pewni „statyści” <sup>46</sup> — rodzący się dziś ludzie zaciążą na losach życia zbiorowego... Że zaś nadto wszystkie państwa zabiegają o przyrost ludności (czytaj: mięso armatnie) mogą oni tedy rodzić się bez liku, boć niewiadomo (*sic!*) jak za lat 20 ułożą się na świecie stosunki ludzkie!!!

Że argument taki — podobnie jak „Szkarłatna dżuma” Londona — przecina zgóry wszelką dyskusję — na to zgoda! Gorzej, że mógłby on być zastąpiony powiedzeniem: Nie mierz do celu tak, jak ci każe oko twoje, bo ani wiesz, co może zajść na świecie w chwili, kiedy pocisk twój znajdzie się u tarczy!...

Mniejsza o to, że rój owych „dwudziestolecí”, dobiegających co moment mistycznego swego kresu, otacza nas i dusi kołem coraz to gęstszym i coraz bardziej zwartem... Mniejsza o mnożący się szaleńczo bezlik istot, które przecież powinny by stać się... ludźmi. *Pereat mundus, fiat... fictio!*

Czyżby kryła się poza nią „otucha” (tajemna) jakiegoś potwornego w świecie przewrotu, w którym — wzorem wspomnianej wizji London’a — ludzie *i tak* wyduszą się nawzajem???

★



Nie jeden z nas mógłby wprawdzie powiedzieć o sobie słowami pieśni:

...Każdy kwiat, gdy dłoń go ma dotyka —  
Natychmiast schnie!!!

lecz słowa te należałoby może zastosować przede wszystkim do światoburczych tu i owdzie filozofowań doby obecnej na temat najświętszych niegdyś w swej nietykalności „prawd” czasów minionych...

Oczywiście nie zaszła tu zmiana w psychice ludzkiej w funkcjach jej zasadniczych, lecz w stosunku naszym: w naszym „nastawieniu kulturalnym” do danych rzeczy...

Jest tedy np. sprawą bezsporną fakt, że wszystko co jest — jakoś powstało i posiada przeto swą genezę.

Czyż jednak za tem idzie — jak się to pewnym ludziona wydaje, — że nasza stopniowo rodząca się świadomość stopniowego powstawania arcydzieł życia — to dowód nicości ożywiającego je ducha?!

Czyż sami nawet apostołowie natchnień tak nihilistycznych dostrzegają istotnie w arcydziele architektoniczem sam tylko budulec, a w malarskiem nic ponad farby i płótno??...

A na to przecież zakrawają dziś niejednokrotnie wspomniane „filozofowania”<sup>47</sup>.

Droga ich wiedzie wszędzie i we wszystkim *ad opum*.

Owszem! Niechajże jednak pseudo-rewelacje te będą — w myśl całkowitego sensu swej drogi — logicznie i badawczo bardziej dojrzałe, a w związku z tem i bardziej sprawiedliwe moralnie...

Niechaj — *ad usum Delphini* — nie przeskakują naiwnie a niezgrabnie w rozważanych przez się rzekomo do głębi procesach rozwojowych cywilizacji, niedogodnych dla siebie stadjów ewolucyjnych tam, gdzie założenia istotne wiedą właśnie a automatycznie bezstronność ludzką na szczyty geniuszu.



- Czy wie pan, co podziwiam na świecie najbardziej?
- Niezdolność gwałtu do zorganizowania czegokolwiek.
- Istnieją dwie tylko potęgi na świecie: duch i miecz. Z czasem jednak miecz zawsze pokonany bywa przez ducha...

Tak przemawiać miał Napoleon u schyłku krótkiego a wielkiego swego żywota <sup>43</sup> — podobnie zaś w gruncie rzeczy pojmowały przed nim sprawy te niezliczone umysły ludzkie, a wśród nich i Apostoł narodów, nawołujący świat w słowach: *Co w górze jest, miłujcie, nie co na ziemi...* <sup>49</sup>

Jakoż — potędze popędu płciowego w świecie materialnym, zdaje się odpowiadać w sferze ducha ludzkiego potencjonalna u jednych, świadoma już a nawet przepotężna u innych — siła dążenia do doskonałości moralnej, której osiągnięcie staje się jakby płodzeniem drobin zwycięskich „ducha” na łonie cząstek obcej mu doniedawna jeszcze materji.

Cóż zaś jeśli nie płynące z „ducha” uczucie człowiecze jest czynnikiem twórczym misterjum, budzącego i kierującego intuicję ludzką — najpierw po linii skłonności, potem zamiłowań, a wreszcie entuzjazmu człowieka ku wyżynom wielkich poczynañ?

Sfera pozaświadoma i świadoma stanowią bowiem w każdym człowieku normalnym całość logiczną.

Pierwsza uświadamia się pod działaniem bodźców, poruszających ją, i przechodzi w drugą.

Co dla jednych jest jeszcze pozaświadomym „niebytem” czy „marzeniem” — to dla innych staje się już tworzywem planu czy czynu.

Dlatego to czyn przedstawicieli szczebli wyższych rozwoju, bywa nieraz mianowamy „ekstrawagancją” — niekiedy zaś odpowiada krystalizującym się już „marzeniom” ludzi ze szczebli niższych...

A odnosi się przytem wrażenie, że ci ostatni — nawet pozbawieni odpowiednich wzorów, lecz wyposażeni w środki, posiadane przez pierwszych, realizowaliby „marzenia” swoje — jeśli nie taksamo, to w sposób wysoce analogiczny.

„Ekstrawagancja”, odbiegająca istotnie od normy danej linii rozwoju, — uschnie bez reszty; w przeciwnym, t. j. dodatnim dla siebie przypadku — stanie się zarodkiem wyzsze-



go w danym środowisku szczebla rozwoju: stanie się tem, co (niezawsze zresztą trafnie) nazywamy „postępem“, a co bywa normalnym ciągiem dalszym danych stadjów ewolucji psychicznej: czemś w rodzaju ciągłego, nieustannego ziszczania się — w ramach pewnych *sine qua non* — ludzkich dążeń istotnych.

Większość — mimo fabrykowanych *ad hoc* pozorów przewodniej roli swej w dziejach — nigdy jeszcze i nigdzie nie pojmowała ani konieczności logicznych, ani — tem mniej — misterjów omawianego tu mechanizmu psychologicznego ludzkości; usiłowała natomiast jaknajdaremniej a z mozołem dyktować i narzucać przyrodzonemu dążeniu człowieczeństwa wzwyż — hasła i poczynania, na modłę niższości swej krojone...

Jakże mają przeciw temu stanowi rzeczy bronić i ideałów swoich i — siebie, „szczeble wyższe“?

Nadewszystko chyba uprawą bezwzględną własnych swych dążeń.

A skoro tak — to dziwić się trudno, że np. „większa część wojen wynika z istoty demokracji“<sup>50</sup>, — boć wojny podejmują nie masy, jako takie, lecz ich przywódcy<sup>51</sup>, którym drogę otwartą do ich zabiegów, rywalizacji i działań ściśle właśnie demokracja<sup>52</sup>!

Zresztą, wszystko to, będąc wyrazem jaknajoczywistszym a nieuniknionym, bo zasadniczym, psychiki ludzkiej elementarnej<sup>53</sup>, jest starem jak świat.

Zaznaczono też dawno już temu, nietylko u nas, a bezstronnie: „Gdy mi powiesz, że góra zmieniła miejsce, to ci uwierzę; gdy mi powiesz, że człowiek zmienił charakter — to ci nie uwierzę“...<sup>54</sup>.

\*

„Ludzie nienawidzą geniuszu, lecz uginają się przed jego „potęgą: starają się go spotwarzyć za to, że bierze wszystko „bez podziału, lecz skłaniają się przed nim, jeżeli jest wy- „trwały... Jednem słowem: czczą go na kolanach, jeżeli nie „zdolają w błocie go zagrzebać“...<sup>55</sup>.



Podobnie — *mutatis mutandis* — wypowiadał się Goethe, twierdząc, że: „Geniusz — to wytrwałość“, a wszakże zarówno „geniusz“, jak „wytrwałość“ — to nadewszystko: „duch“...

Łatwemi, zwłaszcza w pospolitych, przeciętnych środowiskach ludzkich, drogi jego nie są...

Jest zaś tak, lubo człowiek — rozważany bodajby tylko „fizycznie“ — toć to twór jakby nieograniczenie do wszystkiego zdolny!

Wszelako ludzkość hołduje najprzeważniej jeszcze „materij“, jako tworzywu, w pojęciu ogólnem wyłącznemu, t. zw. zjawisk „fizycznych“...

Nic dziwnego, że ci wszyscy, co nią — w rozumieniu pospolicem — „kierują“, tworzą sobie wciąż jeszcze ideał integralny jej reglamentacji życiowej na modłę „fizyczną“ — nawet w zakresie zjawisk „duchowych“, których sami albo nie odczuwają jeszcze zgoła, albo li też „nie mają czasu“ nad niemi się zastanawiać...

I stąd to nadewszystko płynie trwałość zaostzona — by nie powiedzieć pesymistycznie: „wiekuista“ — walki „materij“ z „duchem“ — najjaskrawszej niegdyś w przeciwstawności kapłaństwa formalnego z zakapturzonem człowieczeństwem istotnem; dziś uderzającej w stanowisku względem jednostki ludzkiej państwa „totalnego“, mechanizującego życie wgląd pełni jego objawów — pod hasłem: masa! z masą! dla masy...

Jednakże *Duch gdzie chce tchnie*<sup>56</sup> i... skoszarować się nie da<sup>57</sup>. To darmo — a leży w tem zarówno trwałość, jak i otucha człowieczeństwa!

Droga jego atoli mozolna jest, bo i daleka i kamienista...

Człowiek pełny musi uduchować się ponad niwy i pagórki ludzkie, lub — masę zdeptać, aby zapewnić sobie wolność, swobodę i nietykalność — nadewszystko wewnętrzną. Wszelako ludzie tacy są wciąż jeszcze wyjątkami w dziejach...

Wyjątkami — z pewnością. Czy jednak — „przypadkami“, jest to kwestją sporną...

Powiedział ktoś, że „niemasz „przypadków“ w świecie ducha“...<sup>58</sup>.

Pięknie i — słusznie, — może jednak z zastrzeżeniem, że



nieprzypadkowy skarb ducha w człowieku potrafi zajaśnić w węższej, szerszej, czy najszerszej skali życia — li tylko w zależności od odpowiedniego zbiegu pewnych danych, t. j. od przypadku..

Czyż bowiem, oceniając rzeczy moralnie, t. j. „duchowo“, możnaby w zrozumieniu ludzkim powiedzieć bez zająknięcia, że słynny Brat Albert krakowski nie był godzien roli Sykstusa V-go?

Z drugiej jednak strony niepodobna zaprzeczyć dość „objektywnie“ niepojętej dla nas celowości bytu i rozwoju, skoro np. zawiązki serca, ciałek czerwonych krwi i aparatu jej obiegu, pojawiają się w (przyszłych) ustrojach jedno-cześnie!

Tak czy owak — człowiek wybitny, niedość jeszcze uduchowiony, póki nie pokona masy, cierpi od niej tembardziej, im bardziej jest sam w życiu czynny.

Toż samo oczywiście przypada w udziale i tym, co wysunawszy się ponad masę, nie osiągają pozycji dość silnej, by ich ta od masy broniła skutecznie.

A ludzi takich wśród jednostek niebylejakich jest więcej...

Będąc w życiu jakgdyby typami *par excellence* przechodnimi, cierpią one podobnie, jak wszelkie naogół analogiczne typy stworzeń, a może wogóle zjawisk, w całej naturze...

Przytem położenie ich — jakby bez wyjścia — czyni ludzi tych gorszymi, niż są istotnie, a okoliczność ta pomnaża i zwiększa dotkliwie zło nietylko własnego ich życia.

Ponadto nasuwające się tu spostrzeżenia zdają się prowadzić do wniosku, że jednostka, życiowo bezsilna, powinna wystrzegać się jak ognia tak częstego z jej strony przekonywania masy na temat, co się jej i za co od ogółu „należy“ — podobnie, jak nie powinienby (gdyby to poza bajką czynił!) wszczynać spraw takich z owcami — wilk przysłowiowy.

A to tembardziej, że właściwie niewiadomo nigdy naprawdę: kto komu w zespole przeznaczeń, ile czegoś zawdzięcza i — za co?

Czyliż bowiem będziemy kiedykolwiekbądź w stanie odpo-



wiedzieć sumiennie a przekonywująco na pytanie, co Napoleon zawdzięczał światu, a on — jemu?

Czyż zresztą odpowiedź taka jest wogóle możliwa w jakimkolwiek bądź przypadku podobnym i kiedykolwiek bądź?

Wszak nawet ludzie najbardziej do siebie zbliżeni nie potrafiliby zagadnienia takiego rodzaju rozstrzygnąć w stosunku do samych siebie nawzajem...

Trudno zaprawdę o wymowniejszy dowód, jak dalece jaźń nasza jest dla nas samych zagadkową, a jednocześnie — mimo podobieństw (zewnętrznych!) odrębną od innych...

Wszelako — gdy pod względem psychologicznym wszystko w przedstawionym tu stanie rzeczy jest i zrozumiałe i z normami bytu zgodne — niepodobna przypuścić, iżby — poza przysłowionym „kwiatem paproci“ z bajki o szczęśliwości człowieczej — nie miał gdzieś istnieć, t. j. — znowu jak wszystko — najpewniej w nas samych, jakowyś kwiatu tego „surogat“.

Podobnie jak pouczają nas zarówno własne nasze pocucia głębsze, jak powszechne w dziejach doświadczenia ludzkie — namiastką tą jest najniewątpliwiej, jeśli nie jedynie — czynnik, łagodzący zawsze i wszędzie wszelakie tarcia w życiu, t. j. podniesiony w każdym środowisku możliwie wysoko czynnik kultury, nadewszystko moralnej, a przeto — jaknajwyższego doskonalenia się człowieka w dążeniu jego ku szczytom ducha...

I trzeba znowu przyznać, że nie są one łatwe do osiągnięcia w życiu.

Jak nikt, „Chrystus walczył duchem o ducha”<sup>59</sup>, a choć w pewnym okresie swej działalności pozyskał był już sobie w uczniach swoich zapatrzonych weń do głębi wyznawców — pytają Go oni jednak (przy sposobności): *Panie, czy w tym czasie przywrócisz Królestwo Izraelowi*<sup>60</sup>?

A nagabywała Go o coś podobnego — jeśli nie nagabuje dotąd — przyszłość ludzka bliższa i dalsza — czy to, nadając przez długie wieki, a może podziśdzić jeszcze, nieznanemu obliczu Jego rysy gromowładnego Jowisza z Kapitolu, czyli też kształtując wręcz Chrystusa — Wszechdzierżcę: bizantyńsko-ruskiego Chrystusa-Pantokratora,<sup>61</sup> na wzór bez-



ślusznego, okrutnego, lecz mocarnego władcy materialnego świata...

Trudno o bardziej znamiennej ilustrację psycho-kulturalną stosunku człowieka dzisiejszego do „ducha“ i „materii“... Że zaś człowiek jest w gruncie rzeczy wszędzie jednaki — można wskazać bez trudu przykłady analogiczne i w cywilizacjach innych.

Czyż nie wystarczy powołać się tu na przyobleczenie w sztuce chińskiej ascetycznego Sakja-Muni w potworne kształty brzuchate zwyrodniałego bogacza z Pekinu, prostytuującego Buddę?

Tak to szczytom ducha wchodził i wchodzi w drogę zawsze i wszędzie bożek Mammon!

\*

Nic dziwnego przeto, że w dążeniu do definicji psycho-dziejowej człowieka i ludzkości zapuszczano się nieraz od wzlotów niebosiężnych aż do ich psycho-moralnych antypodów, dostrzegając i tam nawet, np. wśród owadów, niejedną cechą wspólną tak żywych, uskrzydłych symbolów nicotności moralnej — z królami stworzenia!

Niestety! Albowiem „zasadniczą charakterystyką owadu, „z punktu widzenia psychologicznego, jest, że posiada on „instynkt czysty, prawie bez śladu inteligencji. Ten czysty „instynkt nacechowany jest okrucieństwem wyrafinowaniem, „straszliwym, nie posiadającym ekwiwalentu w całej naturze“<sup>62</sup>...

W tych warunkach zestawianie ludzkości ze światem owadów, a zwłaszcza rokowanie jej, lub choćby tylko pewnym jej odłamom, przyszłości zgodnej z przytoczonym tu obrazem, byłoby oczywiście przesadą<sup>63</sup>, przeciw której musiałaby protestować sama już bodaj, pokłócona — gdyby nawet nie filo — to onto-genetycznie z entomologją, antropologją!

Same już jednak zestawienia takie i horoskopy zdają się domagać wskazania zainteresowaniom naszym najbliższych sobie nawzajem punktów stycznych obu pomienionych „logii“ ..



Nie leżą one z pewnością na szczytach człowieczeństwa jednostek, lecz jeśli gdzie, to wśród najjaskrawszych ich przeciwieństw: u ich antypodów gromadzkich — w masie ludzkiej...

To też, zamiast wśród owadów, wystarczy bodaj tymczasem rozejrzeć się nieco w tej ostatniej — a zwłaszcza, choćby jaknajogólniej — w pozycjach zasadniczych jej salda życiowego, moralnego i społecznego czasów naszych.

Najbardziej interesująco z punktu widzenia obchodzących nas tu zagadnień, przedstawia się ono oczywiście w Rosji lat ostatnich — nie tylko dlatego, że wypisała ona na swym sztandarze kanony *par excellence* gromadzkie, ale i z powodu, że szczebla istotnego własnej, swoistej jej kultury dziejowej, nie stać podziśdzień wogóle jeszcze na wyraz inny<sup>64</sup>.

To też, kiedy jeden z jej znawców niepospolitych twierdzi, że „tylko masę stać na patos historyczny“<sup>65</sup> — t. j.: na ducha (!!) i woła przytem z emfazą<sup>66</sup>, czemuż to na temat Wrangla, Denikina czy Kołczaka nie powstały (podobne do otaczających Lenina!) legendy; innemi słowy mówiąc, zapytuje, dlaczegoż to legendy nie opromieniają w Rosji (jak nigdzie zresztą!) pół klęski — zdaje się on poprostu ubolewać (wyzywająco!) nad okolicznością, że... tylko dzwon — jego pustkę — stać na ton pełny... dzwonienia.

Miałoby się ochotę odpowiedzieć mu na to — to i owo.

Atoli, starczy tu jedna bodaj uwaga:

Oto — od początków świata — tylko dzwon-masa była, jest i będzie od tego, aby... dzwonić na cześć tej, co wzięła ją za łeb: glorii zwycięstwa!...

A na marginesie tego zagadnienia nie zawadzi znowu pytanie: czy dzwon, złożony z masy niezliczonych drobin rezonansu — dzwoniłby bez dzwonnika-jednostki, oraz czy sławione dźwiękiem jego zwycięstwo byłaby zdolną odnieść upajająca się niem masa... bez jednostki — wodza?...

*Sapienti sat...*

I nie pomoże tu błędne z gruntu, a przecież tak dziś rozpowszechnione, poczytywanie — na wzór bohaterów scen makabrycznych z dziejów minionych Europy: Albigensów, Wojny 30-letniej, czy Wielkiej Rewolucji — Moskali teraz-



niejszych, jako typu upadłych kulturalnie ludzi ex-cywilizowanych<sup>67</sup>...

Wszak cywilizowanymi istotnie nie byli oni — i to w najmniejszej bodaj mierze — nigdy, a trudno jest utracić to, czego się nie posiadało<sup>68</sup>.

Byli oni zawsze i są — mimo czy poniekąd wskutek chybionej historycznie incydentalnej odsłony „potiomkinowskiej” Piotra I-go — barbarzyńcami czystej wody o jaknajwyraźniejszym typie pierwotnym gromadwców<sup>69</sup>, których istic klasyczne prymitywy człowieczeństwa — np. w nagminnem poszukiwaniu „dobra” przy pomocy zbrodni — stanowią w czasach dzisiejszych, dla studjum psychiki pierwotnej i etnologii, istic nieocenioną muchę w bursztynie!

Pseudo-epos ich dziejowy zdobywał się na jatki, albo na liryzm. Szekspirowski ton spiżu był mu zawsze niemniej obcym, niż świat wewnętrzny dojrzałej cywilizacyjnie jednostki europejskiej, żyjącej pod hasłem *unusquisque faber suae fortunae* — obcym zarówno gromadzkim Hamletom dekabryzmu<sup>70</sup>, jak zabawiającym swych towarzyszków ludożerstwem Wańkom-bohaterom...

\*

Mimo wszystko atoli, niepodobna zaprzeczyć, że wszelka — „największa” nawet, potencjonalnie „najdoskonalsza” jednostka — izolowana ściśle, o ile byłoby to możliwe — od gromady i pozbawiona przeto bodźców, właściwych pełni doznań ludzkich — musiałaby bodaj (nie przesadzając kolei dróg niższych czy wyższych dalszego jej rozwoju) przestać być człowiekiem normalnym...

W takim też — metafizycznym raczej niż pozytywnym ujęciu sprawy, możnaby ewentualnie zgodzić się z twierdzeniem, że człowiek rodzi się w masach i — zanurzony w nich — osiąga humanistyczne swe wyżyny<sup>71</sup>... Możliwość zgodzić się na to — wszelako z (nierealnem znowu!) zastrzeżeniem, że unurzany w masach i przeto mogący poznać je do głębi, człowiek ów znajduje potem siły, czas, możność i warunki dla „doskonałego” izolowania się od nich, iżby — przetrawi-



wszy w samym sobie to, co spożył wśród gromady — mógł dojść wreszcie do szczytnego wniosku: *Maius est contemplata aliis tradere, quam solum contemplari*<sup>72</sup>...

Nie o gromadowcu bowiem, lecz o takim właśnie człowieku wyrzekł Goethe swe słowa pamiętne a ważne: „Indywidualność — to uwidoczniiona tajemnica“!

I słusznie. Któż to bowiem jak nie „jednostka w swym rozwoju etycznym powtarza symbolicznie historję kultury ludzkiej<sup>73</sup>“?

Gdyby zaś — wobec podobieństw niezliczonych, łączących — jak wogóle człowieka z człowiekiem — indywidualistę z gromadowcem — szło o wykrycie i ustalenie kryterjum psychologicznego odmienności i odrębności ich typów, to starczyłoby tu może stwierdzenie osobliwej, a iście uderzającej w swej barwie i sile — wierności, we wszelakich okolicznościach życia, ze strony zarówno indywidualisty, jak gromadowca: własnym swym ideałom swoistym...

Np. artysta-twórca — w „nagrodę“ za zasługi swoje — zostaje kierownikiem uczelni sztuk pięknych, czy areopagu literatury, co stanowi właściwie *praemium* (!) życia publicznego, wytrącające go z przyrodzonych mu kolei bytu i rozwoju, jak rybę z wody...

Jeszcze życzliwy mu gromadowiec wtedy właśnie a dopiero powie o nim ze łąz w oku: *the right man on the right place!* — podczas gdy takiż indywidualista, a ściślej mówiąc ów artysta-twórca o sobie sam, pomyślałby może podobnie w chwili, kiedy — uciekając od „zaszczytów“, wsiąkałby w kulisy życia, stając się dla gromadowców: odludkiem, sobkiem, dziwakiem — niczem!

Są to — jednym słowem — dwa światy, ustosunkowane względem siebie antypodycznie a tak swoiście, że żadna literalnie z najistotniejszych naogół cech, różnic czy wartości wszechludzkich, dobro, zło, spirytualizm, ani materjalizm, nie mówiąc już o temperamencie osobistym człowieka — nie zdają się odgrywać w antymonji tej najmniejszej bodaj roli...

To też światy te uczyniłyby może najlepiej, redukując konieczne życiowo stosunki swe wzajemne do darzenia się nie sobą, lecz płynącym automatycznie ze swych przeznaczeń



produktem ubocznym: artyści-twórcy dziełami swemi z masą, ta zaś niezbędnym im z jej strony — spokojem...

Wówczas dopiero pomienione wartości wszechludzkie: z „dobrem“, i „złem“, „duchem“ i „materją“ na czele, spłynęłyby swobodniej (i moralniej!) na każdy z tych światów po swojemu: przewodem tu i tam odmiennym w swej postaci, lecz w zasadzie jednym, jak słońce, świecące wszelkiemu stworzeniu.

\*

Czy to jednak nie frazes, albo wręcz „zielone winogrona“ — twierdzenie, że indywidualista typowy — duchak — nie stoi zgola o spadający na wybrańców poklask, czy gwizd gromadzkiego ich otoczenia: o laur „sług świata“?

Oczywiście — dla naskórka jego — zależnie zresztą od okoliczności, lub nastroju chwili — oklask ów może być nerwowo milszym, niż gwizd.

Niewątpliwie. Chodzi tu jednak o rzeczy głębsze...

Oto — indywidualista typowy — to twórca, nie naśladowca, a twórcy rzeczywistości — bodajby w myśl banalnego powiedzenia: „Jeszcze się ten nie urodził, coby każdemu dogodził“ — wiadomo zgóry, że tylko część danego środowiska może się szczerze wyrazić jego istoty, t. j. twórczością jego, a dalej i nim samym interesować dodatnio albo ujemnie.

— Część — w stosunku do własnych jego pojęć o dziele własnym, nader nikła...

Jest to psychologicznie niewątpliwe, boć gdyby instynkt samozachowawczy podszeptował mu coś innego — to indywidualista ów musiałby być bardziej może szaleńcem, niż bohaterem, pozostając mimo wszystko w życiu, naprzekór praktycznym jego nakazom i... radom „przyjaciół“ — sobą.

Indywidualista typowy bywa tedy psychicznie *ipso facto* dość silnym, by lekceważyć sobie łącznie i coraz łącznie, jeśli nie uczuciowo, to życiowo, otaczając go gromadę...

Co zaś do przysłowiowych „zielonych winogron“ — to w danym przypadku nie drętwieją mu od nich zęby życia.

Chyba wręcz przeciwnie. Zaostrzając je bowiem w miarę



potrzeby, „winogrona“ te pogłębiają raczej i ćwiczą indywidualizm bohatera.

W wyniku możnaby powiedzieć, że powszechność ludzka rozpada się pod względem psychologicznym na dwa odłamy: typów nielicznych, dążących do zagłębiania się w bujnym wnętrzu własnem i — przenajliczniejszych, uciekających odeń (może jako od pustki!) w kierunku swego otoczenia...

Byłoby też daremnem usiłować przerabiać pierwsze z nich na drugie: indywidualistów na gromadowców, czy odwrotnie!

Będąc z kolei jakby wiernem odbiciem antropomorficznem zjawisk powszechnych świata — zarówno fizycznych w rozumieniu pospolitem, jak magnetycznych: dodatnich i ujemnych — mają oni — jedni i drudzy — zadania różne, dopełniające się nawzajem, do spełniania w świecie ludzkim.

Trudno też zgodzić się z tem bez zastrzeżeń, co twierdzi G. Simmel<sup>74</sup> w związku z poruszonem tu zagadnieniem, pisząc:

„Powolne i stopniowe odnawianie się grupy (poprzez ciągły przyrost nowonarodzonych) stanowi o jej nieśmiertelności. Dlatego może ona kształtować w całości swe zdobycze, swe siły i swe doświadczenia, co je podnosi znacznie wyżej ponad egzystencje pojedyncze (jednostek) i wieczne ich rozpoczynanie na nowo...“

Że — również i w rozumieniu handlowem — „solidniej“ jest odziedziczyć wagony Pullmann’a, niż dochodzić do nich od perkoczącego garnka drogą wysiłków Watt’a — któż o tem wątpił i — kiedy?

Pozatem jednak niepodobna obronić się tu uczuciu... paradoksu, jaki nasuwa pośrednio tenże badacz, pisząc na innem miejscu przytoczonej książki swojej, że... grupa czyni wrażenie istoty w sobie jednej — jak organizm wśród ustawicznej przemiany swych atomów...

A czyliż do jednostki ludzkiej: do indywidualisty, najbardziej nawet typowego, można i należałoby tu zastosować określenie biologicznie odmienne?

Biologicznie, bo nie — moralnie.



Albowiem, jakkolwiek rzecz to arcyzadka, lecz bądźco-bądź zdarzająca się w życiu — pojawiają się w niem jednostki tak bohaterskie, że można „liczyć na nie, jak na Zawiszę“...

Zgoła właśnie inaczej przedstawiają się sprawy z „jedną w sobie“ — jak chce Simmel<sup>74</sup> — grupą, gromadą, masą...

Ta jest — *honny soit qui mal y pense* — jak przysłowiowa... bestja.

Zgóry wiadomo, że wbrew wszelakim nakazom ducha, zawsze jeszcze i przedewszystkiem — poza arcywyjątkowymi momentami upojenia — poźre ona żołędź — dobrze, jeśli bez dłoni, czy palców dawcy!

Sensem bowiem bytu masy, jako takiej, nie bywało nigdy i nie jest: „Bądź, jakim być winieneś“, lecz: „Jakim-bądź jesteś — bądź, byleś był ty właśnie, a nie — on!“

Na takim tle psychicznem wszelkie rozważania moralne, t. j. odpowiadające zasadniczo duchowi jednostki ludzkiej — mogą być chyba tylko chimera, kształtowaną *ad usum Delphini!*

\*

— Błędem Zachodu jest to — powiada jeden z bohaterów powieści Claude Farrère'a<sup>75</sup> — że wydzwignął on jednostkę, kosztem ogniska domowego<sup>76</sup>...

Uczynił to — dodajmy — przedewszystkiem bodaj pod wpływem chrześcijaństwa, którego ideologję psycho-społeczną i moralną dałoby się może, choć nie bez reszty, ani wyraźnych podziśdzień jeszcze zastrzeżeń życiowych, zawrzeć tu w następujących słowach Ewangelji: *A w Zakonie naszym jest napisane, iż świadectwo dwóch ludzi jest prawdziwe. Jam jest, który sam o sobie daję świadectwo; i mydaje świadectwo o mnie Ojciec, który mnie posłał*<sup>77</sup>; oraz: *Jeżeli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki i żony i dzieci i braci i sióstr, jeszcze zaś i duszy swojej, nie może być uczniem moim*<sup>78</sup>.

Nieprzekonany bohater powieści twierdzi jednak, że — mimo wszystko — (wyłączna) „odpowiedzialność indywidu-



alna jest iluzją Zachodu, boć płacą w życiu winni i niewinni“...<sup>79</sup>. „Dba się (tam) — woła dalej<sup>80</sup> — jedynie o to, aby żyć „swojem życiem“ i nie troszczyć się o życie drugich...”

Nie jest to słuszne. Pogwałca to bowiem z jednej strony bronią między wierszami przez samegoż Farrère'a (a powszechnie i jedynie trafną psychologicznie!) zasadę wśród gromadowców niepopularną — „sztuka dla sztuki, nauka dla nauki“; z drugiej zaś — życiową prawdę oczywistą, że nie ideologje Wschodu rzucały i rzucają masom tamtejszym Zachód na pożarcie — lecz wręcz odwrotnie!...

„Materjalizm“ — powiecie...

Być może — lecz tylko podobnie, jak druk czy lokomotywa stały się ongiś (nieuniknionym) wyrazem materjalnym arcydalekich odeń natchnień, jeśli nie założeń ideologicznych; jak duchowe „miłuj bliźniego swego, jak siebie samego“ wyposażyło z biegiem czasu, a w wyniku niemniej „materjalnym“, ludy zachodnie w nieznaną Wschodowi, zwłaszcza nowożytnemu, potęgę dynamiki społecznej, którą realnie nie my dzisiaj czerpiemy z Indyj, ani doniedawna z Japonji — lecz znowuż wręcz odwrotnie: one od nas.

Farrère broni Zachodu i — słusznie, mimo to, czy dlatego właśnie, — że jak powiada Conrad (Korzeniowski): „Jesteśmy rozmaici (a) prawda bliźnich jest (dla nas) okrutnem kłamstwem“...

Są dziś jednak i tacy, co w myśl Rousseau'wskiej równi ludzi — zaprzeczyliby skwapliwie temu powiedzeniu intelektualisty w słowach brutalniejszych bodaj, niż powiedzenie: *A beau mentir, qui vient de loin!*

I przed czemś innem przychodzi tu na myśl artykuł znamienity wierzeń bolszewickich p. t. „Totalny humanizm komunistyczny“, polegający wręcz na idei iście rozbijającej wywyższenia ponad wszystkich i ponad wszystko — człowieka pracującego fizycznie, t. j. *comme de raison* ignorant, lub — co gorsza — półinteligenta z przewróconą głową, zwanego dla... eufonji proletarjuszem...

Prawdę mówiąc — nie jest to jednak określenie dość ściśle... Najwłaściwszy bowiem *porte-parole* ideologji, o którą tu chodzi — zwłaszcza na gruncie bolszewickich zboczeń,



utopji oraz ich pseudo-intelektualizmu, brzmiećby powinien za Kryłowem: „Martyszka i oczki“<sup>81</sup>.

John Ruskin chętnie a „bez reszty“ zgodziłby się tu być z bajkopisarzem rosyjskim, przyczem poparłby go znane powszechnie prawdy, orzekające, że:

- 1° Praca fizyczna pochłania fizjologicznie wszelką energję, a więc i intelektualną;
- 2° Prostak typowy — nietylko polski — poczytuje myślenie za karny dopust Boży;
- 3° Plonem „kulturalnym“ jedynym obu pomienionych zjawisk być może — i to tylko dzięki odpowiednim studjom, uprawnianym przez inteligencję rzetelną — naukwy materiał folklorystyczny, jako odbicie prymitywów bytu ludzkiego.

Tymczasem jednak sprawcą najwyższych wartości człowieczeństwa w świecie całym: mocą nadewszystko zasługującą na hołd ludzi, w człowieczeństwie swem dojrzałych — jest i będzie nie kopeć załączków myślenia, zaczadzający mózgi prostaków — lecz myślenie wzorowe, i to (wbrew przeciętnemu ich mniemaniu) nadewszystko właśnie oderwane, unoszące się, jak  *duch* (stworzenia)  *nad modami* (nicości)...

Poza tą koroną człowieczeństwa — cała bodaj „pełnia“ spraw ludzkich innych, to raczej reakcja typowo mechaniczna na bodźce, najprzeważnie zewnętrzne, życia, aniżeli twórczość rzetelna.

Jednem słowem wyższa z tych funkcyj, to jakby (poprzez intelekt nasz) działanie „ducha“; niższa zaś — „materji“.

\*

W epokach, w których życie nie układała się zasadniczo — jak to było tuż przed Wielką Wojną — podobnie do rozlewiska, na którego powierzchni wyladowują się krocie pęcherzyków o podejrzaney woni, lecz (co stało się później) — jako potok rwący o różnorakich moźe, wszelako świeżych najprzeważnie powiewach: w epokach tych nie „materja“.



lecz nadewszystko „duch“ jał objawiać się żywo a odpowiednio do wezbranych stanów i przemian...

Nie lada bowiem ludzi — i to w sprawie zdarzeń niebylejakich, potrzeba było światu powojennemu, by zwrócił on na ich osobowości uwagę swoją, zblazowaną kalejdoskopem wydarzeń...

W dobie dawniej minionej, objijając sobie boki, ocieraliśmy się na każdym niemal kroku o nadęte „znakomitości“ — purchawki: o zaludniające świat zera, poprzedzane nieraz iście zawrotnym puzonem głodnej wyobraźni tłumów; dziś — czego zresztą trudno nie żałować — niejedna znakomitość istotna „odchodzi“ bez echa...

Zamiast mdłej poświaty, tkanej próchnem, naśladowaniem złoto — pokryła świat obecny, rany jego, smutki i bóle — opona barwy nadziei, poprzez którą — z głębi ideałów człowieczeństwa — biją coraz w niebo języki ogniste olśniewających istnień, na których tle bledną niekiedy i najwięksi bodaj z minionych bohaterów ludzkości...

A niepodobna orzekać, co tu „lepsze“, a co „gorsze“!...

Są to bowiem naogół rzeczy i sprawy wielkie, acz niekiedy przerażające...

Ludzkość — podobnie jak jednostka — przechodzi głody swe i nasycenia.

Wydaje się jednak, że jeśli w czasach przedwojennych rzekomego „dosytu“ swego zużywała ona fizjologicznie tylko  $\frac{1}{7}$  energii serc i  $\frac{1}{4}$  sił rozwojowych mózgu swego — to w następujących potem okresach „głodu“, biegnie ona „stuprocentowo“ *ad astra!*

Można wprawdzie określić ów wyścig nietylko jako zmaganie się światów idei platońskich pomiędzy sobą, lecz również jako walkę wzajemną ludzi o powodzenie w życiu.

Niewątpliwie. Wszelako — podobnie jak owo zmaganie się, tak i ta walka, nie będąc „złem“ bezwarunkowem, przeciwstawiającem się takiemuż „dobru“, ani „materją“, dybiącą bez pardonu na „ducha“ i jego sprawy, nie mogą być ocenione kategorycznie „ujemnie“ — tak też i poruszanej tu „walki o powodzenie“ niemożna nazwać podobnie.

Przeciwnie! Rozpatrując sprawy te bliżej, dostrzegamy



również i w ich łonie — zwłaszcza w czasach ostatnich — niedoceniany w nich aż nazbyt często objaw „ducha“ i „dobra“ — prometeizm!

Oto bowiem życie, przepelniające świat i będące ruchem zarówno w całości jego bezmiaru, jak w najniklejszej swej drobnie, a uderzające nas w ujęciu bytu, zwanem materją, swym (pozornym) bezwładem, zdaje się w (rzekomej) jej antytezie bezwzględnej, uruchamiającej wszystko, co jest, a pojmowanej jako dziedzina duchowa zjawisk psychicznych — wysuwać na plan pierwszy wszechistnienia coś jakby emulację kosmiczną zarówno pyłków, jak ich ogromów...

Ostatni ów stan rzeczy człowiek — w przykładzie na własny swój, odzwierciadlający jego istotę życiową, język swoisty — mógłby bodaj nazwać najtrafniej współzawodnictwem wzajemnem wszystkiego i wszystkich o wszystko: walką powszechną wszechzjawisk bytu i każdego z nich z osobna o przewagę jednych nad drugimi, t. j. o — powodzenie...

Chyba też tylko w potocznem rozumieniu ludzkim, „bezwład“ czy „niebyt“ — stany i pojęcia raczej konwencjonalne, bo niemające właściwie miejsca w naturze, *quae horret vacuum* — mogłyby być wolne (umownie!) od walki pomienionej. Życie bowiem — w przeciwstawieniu do (potocznego pojmowania) śmierci — walką tą żyje, a ona niem włada. Jest jego duszą, z czego człowiek niezawsze, a conajmniej niedość zdaje sobie sprawę, choć każdy z nas, znajdując się w pełni sił swoich, walkę tę — tak czy owak — toczy z otoczeniem swoim, bliższem i dalszem, bez przerwy.

Ale i „bezwład“ ma swoje prawa.

Zazębia się o sferę jego wszystko to, co jest znużone...

Nas jednak zajmuje tutaj życie i jego werwa, nie zaś spokój śmierci.

Przechodząc też w danej chwili do porządku nawet nad zimną, nie tylko nad *ostygłą* wodą, którą z *ust* swoich wyrzuca Ewangelista <sup>82</sup>, zmierzamy tu do podkreślenia następujących przesłanek psychologicznych:

1° Człowiek, obserwowany zarówno jednostkowo jak



- zbiorowo, walczy z otoczeniem swem nieustannie o wy-  
bicie się tak lub owak ponad innych, t. j. o powodzenie;
- 2° Ponieważ nie jest on niezmordowanym, a wyczerpanie  
życiem - walką spowija wydatnie jego szeregi — odno-  
simy (mylne) wrażenie, że — obok żywotności — apa-  
tja bezwładu: spokój (w pełni sił potencjonalnych)  
i wegetacja są również *quasi* - czynnym żywiołem  
człowieka;
- 3° Tak jednak nie jest. Są to bowiem tylko momenty (sta-  
tyczne) jego wytchnienia, a w gruncie rzeczy gro-  
madzi on w ich spowiciu moc do skoku, mającego  
przesadzić przeciwnika, co jest treścią, sensem i istotą  
(dynamicznych) właściwości życiowych wszelkiego  
stworzenia.
- 4° Na gruncie takich to warunków bytu, momenty powo-  
dzenia — zwłaszcza stalsze — jednych, stają się wzglę-  
dem nich bodźcem niechęci ze strony innych, gdyż na-  
ogół — a w myśl współzawodnictwa, powszechnego  
w naturze — niepowodzenie bliźniego bywa, mimo  
wszystko, człowiekowi miłsze, aniżeli tegoż bliźniego  
tryumf.
- 5° Na fundamencie wyłuszczonych wyżej właściwości  
psychologicznych istnienia, opiera się zjawisko społecz-  
ne zespołu gromadowców (= ludzi słabszych) z groma-  
dą: zespołu tem silniejszego im powszechniejsze i do-  
tkliwsze są w danych warunkach niepowodzenia po-  
szczególnych jej członków — a tem luźniejszego, im  
liczniejszym jednostkom, składającym się na nią, to-  
warzyszy powodzenie w życiu.
- 6° Dlatego to właśnie świat jednostki — kultura cywili-  
zacyjna ludzkości — jest, bo być winna, niezwalczoną  
antynomją przyrodzoną stadnego jej barbarzyństwa.

\*

Ale jakże to zarysowują się w głębi poczuć i dociekań na-  
szych podstawy psycho-fizyczne stanów i towarzyszących



im okoliczności wielorakich, jakie usiłowaliśmy rozważać dotychczas?

Oto, nietylko bodaj obiektywizm mikrofizyki czasów naszych, lecz i sąd subiektywny człowieka teraźniejszego, dobiegającego w możliwej pełni świadomości mety swej wędrówki doczesnej, zdają się stwierdzać zgodnie, że energja, niesiona na falach wszechistnienia, czy tworząca — co wyjdzie na jedno — jego fale, ulega tu i owdzie zagęszczeniu...

I to jest życie, które, ulegając z czasem odgęszczeniu tworzącej je w danej chwili tkaniny istnienia, zwraca siebie — poprzez śmierć (koniec i wy-tchnienie danej formy bytu) — falom dalszym i dalszym i coraz dalszym, przenikającym, czy tworzącym to, co nazywamy wszechświatem...

Czemże w wiekuistej nieskończoności tej jest „materja“, a czem „duch“?

*Ignoramus — ignorabimus*, ale pierwsza — raczej już subiektywnie tylko — wydać się tu może zmętnieniem drugiego w niezglębionych jego wirach...

To jedno.

Jakże atoli usiłować ująć i wyrazić tu spostrzeżenia czy doznania, oraz związane z niemi zagadnienia, częściowo bodaj metafizyczne, a często subiektywne, językiem możliwie zrozumiałym ujęć i zestawień obiektywnych?

Spróbójmy, zagajając wywód nasz — w myśl założeń, rozwijanych wyżej — od stwierdzenia faktu, że — być do brym (= uduchowionym = „niezmętnionym“) nie znaczy to, jak powiada (bodaj nie bez ironji) Platon: „być tym, co zadowala się marzeniem o czynie, który spełniają inni“, lecz — jak głosi Apostoł narodów<sup>83</sup>: — (chcieć czynnie) *cudze brzemiona nosić*<sup>84</sup>.

Jest to niewątpliwie — zpośród najwznioślejszych cech moralnych człowieczeństwa — zadanie najszczytniejsze, ale i najtrudniejsze zarazem, *albowiem* — jak naucza tenże Mistrz chrześcijaństwa<sup>85</sup>: — *ciało pożąda przeciwko duchowi, a duch przeciwko ciału*.

Konieckońców tedy — kryterjum ludzkim, stanowiącem o dobrem i o złem, jest stosunek człowieka do otoczenia: jednostki do grupy, a w dalszym ciągu do masy ludzkiej



wogóle, czyli: poziom cywilizacji w moralnem istotnie, t. j. — jak dla nas — chrześcijańskiem znaczeniu tego wyrazu.

W wyniku tych założeń masa ludzka występuje jako zjawisko tak dalece w sprawach bytu naszego przemożne — nietylko zakłętą w niej siłą biologiczną gatunku i fizyczną bezliku jego przedstawicieli, lecz wręcz — *implicite* — i moralną (sic!), że w gruncie rzeczy ją tylko jedną w świecie poczytuje za „absolut” umysłowość człowieka!

Przyjrzyjmy się przeto zjawisku masy nieco bliżej, stwierdzając przedewszystkiem, że zawisłość przyrodzona jednostki od masy ludzkiej jest wręcz (jako przemożny wynik „absolutu“!) jej przeznaczeniem, t. j. aktem przemocy, która nigdy i nigdzie nie pierzcha przed wolą człowieka bezwzględnie, ani przed żadnym z normalnych jej atrybutów.

W związku z tem nasuwają się tu uwagi, prowadzące do spostrzeżeń, których zespół — z punktu widzenia psychologicznego — stanowi jakby prawo wspólnych w świecie ludzkim mianowników, jako wyrazu równowagi bytu ludzkości.

Oto one:

1. Żadne ludzkie środowisko gromadzkie nie znosi zasadniczo — jak płyn kropli swej, któraby wznosiła się ponad jego poziom — jednostki ludzkiej, należącej doń, a usiłującej przekroczyć w życiu daną normę, t. j. wspólny mianownik jego bytu, polegającego istotnie na zestroju pomienionego środowiska.
2. Na straży prawa tego (1) w życiu zbiorowem, może nie tylko ludzkim, stoi już rodzina, przyczem
3. prawo to idzie tak daleko, że obejmuje w zasadzie zasięgiem swoim przyrodzonym całość czynników życiowych, t. j. pełnię psychizmu człowieku, a najpewniej i innych stworzeń.
4. Stąd to całość stosunku danego człowieka do życia może być wprawdzie bardzo tu i owdzie — zwłaszcza w miarę złożoności swej kulturalnej — skomplikowana, ale owa jego złożoność musi ustępować bezwzględnie z pola tam nadewszystko, gdzie — na zew gongu „przeznaczenia“ (= „substancji twórczej“ = „absolutu“) — dana grupa zwierza się w sobie, przyczem wsze-



laki nalot nad- czy pod-rzędności, składających się na nią jednostek, usuwa automatycznie ze swego łona i poziomu.

5. Przeważnie staje się to w momentach grozy lub upojenia<sup>86</sup>, występując coraz rzadziej już — przynajmniej w świecie cywilizowanym — w związku z *delirium* zapалу<sup>87</sup>... Najjaskrawiej i najczęściej jeszcze miewa to miejsce naogół, jako panika tłumu<sup>88</sup>, kiedy wyrazem psychicznym natężonego popędu do odzyskania zachwianej równowagi zbiorowiska: wspólnym (dyktowanym przez instynkt samozachowawczy) mianownikiem danej gromady staje się przyrodzony wszechstworzeniu żywiół strachu...

Te — tak otchłannie głębinowe — sprawy bytu ludzkości muszą oczywiście wiązać się z tajnikami niemniej niezglębionej, człowieczej koncepcji Boga, oraz łączonych z Nim praw moralnych...

Nie może nam również nie przyjść na myśl, że w poruszonej tu sferze zagadnień właściwe człowiekowi i duchowemu jego potrzebom poczucie Boga zazębiało się odwiecznie i zazębia zawsze, a nadewszystko — nieraz w myśl potrzeb przyziemnie życiowych mas ludzkich<sup>89</sup> — o dążenia ich wiekuiste do pochwycenia Go i ujęcia w duchu reglamentacyj wierzeń, sprowadzających Go na ziemię.

Bóg tedy i związane z Nim przez nas prawa moralne, to właściwie w ujęciu człowieczem — transpozycja szczytów psychizmu ludzkości, włoniona, jako „absolut“, we wszechświat, jako w pełnię „bezwzględna“ wszechistnienia.

Wynika stąd, że czynnikowi ducha (*a*) we wnętrzu jednostki ludzkiej (*b*) — „ducha“ innego nie znamy — odpowiada (jako współabsolut) masa ludzka (*c*), zawarta w ramach życia (*d*) jako zespołu wszechczynników naszego istnienia.

Znaczy to, że  $a : b = c : d$ , a przeto:

$$a = (b \times c) : d; b = (a \times d) : c; c = d : (b \times a); d = (b \times c) : a.$$



## COŚ O DZIEDZINACH DUSZY.

Pisałem niegdyś, że dusza to formuła stosunku stworzenia do Boga<sup>90</sup>...

Mam i dzisiaj wrażenie analogiczne, że psyche nasza, to jakby macka w stosunku do otaczających nas objawów „ducha“, czy materji“.

„Macka“ wyczuwa *to* i *tamto*, ale czuje przytem i *siebie*<sup>91</sup>...

Czy ta przesłanka jest „objektywna“, to znaczy wiarogodna dla każdego z nas — nie wiem i raczej o tem wątpię. „Subiektywnie“ atoli, z całą pewnością płynie tu dla mnie wniosek, że zapoznawanie „pierwiastku nadprzyrodzonego“ („ducha“) w życiu — to absurd, ale: przerzucanie na jego barki a *limine* wszelakich spraw człowieczych — to barbarzyństwo...

\*

Nie wegetacja istot żyjących, lecz wysokie, bodaj najwyższe możliwie napięcie ich sił, może odsłaniać przed nami tajniki głębsze mechanizmu ich życia.

Podobnież — nie społeczność, zgrana wielorako w zespole swych cząstek składowych, lecz starcia, jakie między cząstkami temi — ludźmi — zachodzą na arenie życia, zdolne są wprowadzić nas wgląd wyczuwanych przez nas tajników ich bytu.

Nic dziwnego przeto, że psychika ludzka, kryjąca zakłę-



ty w niej świat zarówno biernych jak czynnych sił poznawania, może odsłaniać ich przed nami stokroć więcej w stanie silnego swego napięcia: fermentu, podniecenia, burzy — aniżeli w powijakach konwenansu, na tle dnia powszedniego...

Oskar Wilde w arcygłębokim rozważaniu „grzechu“ i „cnoty“, „winy“ i „kary“, „zbrodni“ i „odkupienia“, zawartem w słynnym jego utworze „De profundis“<sup>92</sup>, dał nam, jako w studjum głębinowem, zaczerpniętem z życia, tysiąc-krotnie więcej niezrównanych podpatrzeń psychologicznych, niż mogłoby zdobyć się na to t. zw. pospolicie „dociekanie“.

Teżą wytyczną Wilde'a zdaje się być spostrzeżenie, że w psychice człowieczej istnieje tak wysoka kraina duchowości, iż na jej wyżynach niebosiężnych wszystko: wszelakie zjawiska życia, w nas odbite — zarówno nizinne jak górne — zdolne są osiągnąć swą nirwanę, wskutek czego i najstraszliwsze nawet wstrząsy moralne (a może i wszelkie inne) mogą znaleźć tam swe ukojenie...

Jak atoli odbywa się w psychice ludzkiej doniosły ów proces na szczeblach swych stadjów poszczególnych: w kolejach swych, przemianach, przegubach i zwrotach — trudno się o tem wszystkiem w poetyckich obrazach Wilde'a czegoś wyraźniejszego doczytać...

A — szkoda wielka, bo jeżeli całość akordów jego psychologicznych może człowieka zająć, to właśnie a li-tylko przemilczane przezeń wśród fiorytur artystycznych stadją pośrednie procesy, o jakim mowa — byłyby w stanie pouczyć go o rzeczach i sprawach, życiowo i cywilizacyjnie z punktu widzenia psychologicznego bodaj najważniejszych.

\*

U wstępu do poruszonego tu zagadnienia trzeba rzucić pytanie, czy człowiek jest szczęśliwym przez to, że nim — jakby się zdawało — w danych okolicznościach „być powinien“?

Jaknajoczywiej — nie, bo nie rozumowanie, ani konsekwencje jego logiczne, lecz to, co zwykliśmy nazywać psy-



chicznym, albo nerwowym stanem człowieka, rządzi jego „usposobieniem” — ono zaś „szczęściem” jego, lub „nieszczęściem”...

Być może wprawdzie, że silna wiara, wznosząca człowieka ponad poziomy przeciętne życia, zdolna jest narzucić „nerwom”, jako ludzkiej więzi materialnej, właściwy sobie stan psychiczny — wszelako nie ona to bezpośrednio, lecz owa „więź”, stanowi o danym „usposobieniu” naszym.

Jakże wątle są wobec tego podstawy subiektywizmu człowieka, a wszakże one to, nie zaś jakoweś dane obiektywne, stanowią o losach naszych moralnie!

Spokój i ukojenie, czy najboleśniejszy wstrząs cierpienia zawisły tedy w nas od dopustu czynników, nieraz — w poczuciu naszym — zgoła od nas niezależnych, które smagają jaźń naszą okrutnie, albo folgują jej zbawczo, niczem jeździec, ujeżdżający konia!

Tu właśnie — po ziemsku rzeczy oceniając — miejsce na zespół nasz wewnętrzny z wyczuwaniem przez nas źródłem niewyczerpanem sił świata, t. j. na modlitwę i zdobywanie wśród niej wyzwającego nas wewnętrznie z bolesnych więzów słabości — natchnienia mocy...

\*

W człowieku — jak wiadomo — rządzi wszystkim „usposobienie” jego w danej chwili<sup>93</sup>: tak dalece, że możnaby powiedzieć pod przenośnią, iż „doskonałego” Mutiusa Scaevoli ogieńby nie parzył...

A jednak i nastroje — najwładniejsze nawet — ulgą zewnętrzną nie gardzą: pragną, aby trud ich napięcia, płynącego z wysiłku mocy wewnętrznych człowieka, zastępowały — możliwie jaknajzupełniej — „konjunktury” zewnętrzne.

Dlatego to błysk — chwilowy a zawodny — „konjunktury pomyślniej” działa w depresji nietylko pocieszająco, co demoralizująco, bo łudzi człowieka ulgą, gmatwając jednocześnie jego nastrój, pożądany przezeń istotnie w danej chwili.



A oto co nadto zaznaczyć tu trzeba w związku z przepo-  
tężną rolą „nastroju“.

Jak ktoś, łaknąc ananasa, zdolny bywa pono — pod  
wpływem sugestji — odczuć go i w ziemniaku, tak też  
u dna wszelakiej depresji człowieczej zdają się pobrmie-  
wać mimo wszystko fletnie Syren olimpijskich, wieńczących  
męczennika wizją jego chwały, zdeptanej wprawdzie w ki-  
pieli złych losów, lecz marzonej (jak widać) tem usilniej  
w głębi tęsknot jego podświadomych...

Antynomje skłóconych z sobą wzajemnie w ludzkim  
starcu wewnętrznym elementów psychicznych — to wła-  
śnie cierpienie, dążące — choćby i naprzekór t. zw. rzeczy-  
wistości — do stania się, bodajby drogą metamorfozy czaro-  
dziejskiej własnych, ponurych pierwiastków swoich —  
szczęściem życia!

Czyliż „cierpienie“ różni się w tem zasadniczo od czego-  
kolwiekbyś?!

\*

Ale oto — po wielorakiem szamotaniu się człowieka z sa-  
mym sobą — nachodzi na niego fala prostracji, a za nią —  
nuda, nie będąca jednak dowodem, że coś jest „nudne rze-  
czywiście“, lecz raczej, że w psychicznej kolei rzeczy po na-  
pięciu idzie wyczerpanie: ugorowanie nieuniknione a zbaw-  
cze danej dziedziny wrażliwości ludzkiej w danem złożeniu  
spraw człowieczych...

Potem refleksje — refleksje i refleksje...

Refleksje w takim chociażby rodzaju:

W „winie“ — nie zadanej komuś krzywdy żywej, bo ta  
byłaby jawną obrazą Boga, lecz w „winie“ t. zw. (teoretycz-  
nie) „bezprawia“, przewiną istotną nie jest bodaj ono samo,  
lecz ujemny moralnie stosunek do niego ze strony „win-  
nego“...

Jeżeli też ten kaja się w danym przypadku szczerze —  
jest winien; jeżeli jednak niemniej szczerze a mężnie trwa  
przy swoim — może okazać się „przestępcą“-bohaterem,  
walczącym z przemocą czy obłudą.



Racja bytu „prawa“ polega bowiem nieraz, a niestety dość często jeszcze na tem, iżby w interesie niecnoty, jako (niezbędnego jakoby tu i owdzie) motoru bytu zbiorowego — gasić światło życia pod pozorem jego ochrony...

Tymczasem zaś jest — jak słusznie twierdzi Roesbrock — wolą Chrystusa, iżbyśmy wśród spraw życiowych nawieźdzali głębię pojęcia naszego o Bogu.

A głębia ta właśnie — nie coś innego, jak się to wydaje nieraz „mędrcom z szkiełkiem w oku“ — głębia procesów psychicznych człowieka — jest poprostu dającą się ująć nader wielorako „rzeczywistością bytu“.

Jako przykład, pierwszy z brzegu, niechaj tu posłuży rzut oka na zjawisko, zwane przecuciem.

Bywa ono w ramach stanu pod- (nad?) czy poprostu świadomego człowieka — tchnieniem, nie budzącem bodaj wątpliwości...

Ktoś, opanowany pragnieniem natężonem, aby coś zewnątrz niego się stało<sup>94</sup>, uczuwa w pewnej chwili, że owo coś stanie się — jakóż się staje...

A odczucie to udziela się w momencie krytycznym nie tylko świadomości, lecz i całemu „samopoczuciu“, a zwłaszcza nerwom i mięśniom opanowanego przecuciem człowieka.

W masie jego ciała jest ono jakby fizycznym akompaniamentem myśli, przelewającym się ciężko, jak ołów, w takt jej drgnień mglisto-świadomych...

Razem wzięwszy, odnosi się wrażenie, że — bez względu na to, co z czego powstało genetycznie: „fale“ świadomości pomienionej z ciężkiego „fluidu“, czy odwrotnie — są to już dziedziny, w człowieku dzisiejszym: odrębne...

„Dusza“ i „ciało“?

Zaczynny, czy stan odwieczny ich „symbiozy“?

Może...

Zdaniem Platona, „ze wszystkiego, co człowiek posiada bliskiego bogom — dusza jego jest im najbliższą, (nie przestając być jednocześnie) najistotniejszą jego własnością“...

To też człowiek — mimo całą swą niedoskonałość moralną, wyrażającą się w jego lawirowaniu nieudolnem między biegunami pychy i pokory, posiada jednak naogół pewien



instynkt, pozwalający mu na ocenę przybliżoną wartości, jakie danemu mu jest wnosić do życia swego otoczenia.

Dzięki darowi temu, człowiek, a nadewszystko człowiek-twórca, któryby nawet wartość swą mierzył jedynie miarą, narzuconą mu przez środowisko własne — dojdzie łatwo do stwierdzenia swej wyższości, zwłaszcza gdy dostrzeże, że to, na co się zdobył, ma widoki stania się dorobkiem nie tylko danego pokolenia, lecz i dalszych...

Z chwilą tą jarzmiące go dotąd sugestje wyższości otoczenia jego nad nim, załamują się automatycznie. Że zaś zasady stosunku potomności do jego osoby — bodajby jako nieznanemu mu zgoła — również krępować go nie mogą, przeto ów wiekuisty (jako typ) człowiek-prymityw, wyłaniający się ze stada: — on i jego w rozumieniu rozwojowym epigonowie — poczynają „śpiewać“ — coraz to swobodniej — „samym sobie“...

Akompanuje im w tem, a raczej może dyktuje im pieśń swą — ich sumienie: głos głębin wewnętrznych człowieka — werdykt trybunału, w którym „duch“ osądza ich zgodność lub niezgodność ze sobą.

Odnosi się przytem wrażenie, że rola t. zw. intelektu sprowadza się w procesie tym do czynności mechanicznej pośrednika, przekazującego przebieg owego procesu — świadomości, jako syntezy duchowo-materjalnej człowieka.

Co zaś trzeba tu zaznaczyć, to okoliczność uderzającą, że potędze t. zw. wyrzutów sumienia<sup>95</sup>, które określamy tu, jako „głos ducha“, nie odpowiada w najskromniejszej bodaj mierze siła intelektu, którą, zgodnie z naszymi tu założeniami, — poczytujemy za „głos materji“.

Posiłkując się porównaniem, moglibyśmy powiedzieć, że gdy głos pierwszy to jakby surma, burząca mury — to drugi przypomina w zestawieniu z nim igiełkę gramofonu, znaczącą na powierzchni samopoczucia człowieka nikłym, acz na zawołanie wymownym swym śladem, tony huraganu, przepelniającego jego wnętrze.

To też człowiek normalny<sup>95</sup>, mijający się z sumieniem, nie zaśnie spokojnie, podczas gdy popełniającemu błędy inne, wspomnienie ich snu nie zamąci.



W pierwszym bowiem przypadku człowiek ów skrzywdził — wbrew „duchowi“ kogoś, albo pogwałcił inne jakieś ideały własne, szukając i znajdując tu i tam poziomo samego siebie; w drugim mógł być może kogoś i zgładzić — wszelako w obronie „głosu ducha“, którego porywowi z mieczem w ręku (np. w walce o ojczyznę) nie potrafili by zaprzeczyć ani on, ani inni...

Bywają jednak ciężkie sytuacje, których człowiek — bez względu na swe do nich istotne ustosunkowanie się, nieraz uniknąć nie zdoła.

Nazywa się to (kwestjonowaniem dość powszechnie <sup>96</sup>!) „przeznaczeniem“, a posiada (praktycznie) na równi z „wolną wolą“ (choć to i tamto to sprawy [bodaj „życiowo“] zgoła różne) — swój zasięg oddziaływań, któremu kres kłaść zwykło realnie — zwłaszcza w dziedzinie woli — *non possumus* człowieka niedoskonałego:

Skoro jednak przypuścilibyśmy możliwość jego doskonałości, a przeto przesłanki istnienia żywego „absolutu“ (w danym przypadku — moralnego) w ramach naszego bytu — z chwilą tą ustałaby automatycznie racja, a za nią sens i celowość samego nawet rozważania poruszanych tu zagadnień...

Z podobnych bodaj względów nie należałoby również mieszać z wywodami myśli ludzkiej — wyrazem intelektu — superlatywu uczuć ludzkich, Boga, za Którego sprawą bezpośrednią zdaniem jednych, a bez Którego udziału, zdaniem innych — myśl ta została usamodzielniona, choćby na podobieństwo bujającego w przestrzeni końca nitki, tkwiącej zawiązkiem swym w kłębku niewiadomego...

*Le mieux est l'ennemi du bien!* To też i takie bodaj poczucie starczy najpotężniejszej nawet roli człowieka w życiu, jego godności, a niemniej i najbardziej nawet buńczucznym, lecz zrównoważonym, aspiracjom badawczym jego umysłowości.

\*

Marzona przez poetów i bohaterów ludzkości wolność człowieka, za którą tenże cały już bezmiar najserdeczniej-



szej krwi swojej przelał w kolei wieków po świecie — nie jest koncepcją jego materialistyczną. Gdyby bowiem tak było istotnie, to ani człowiek, nękany głodem ciała a dochodzący pod razami dręczących go przeciwności do stanu apatii — ani ci, co toną w przesycie i jego prostracji, nie byliby w stanie ani służyć t. zw. ideałom „oderwanym“, ani — zwłaszcza — odradzać się pod ich oddziaływaniem...

W koncepcji „wolności“ nie idzie tedy człowiekowi — a bodaj i wszelkiemu naogół stworzeniu, wydzierającemu się z jarzma udręczeń — o dosyt w rozumieniu potocznym przyziemny, lecz o swobodę w wewnętrznym wyżywaniu się, t. j. o t. zw. „wolność ducha“.

A jest to nakaz niemniej żywiołowy niż chęć nasycenia głodu, albo popęd płciowy — z tą wszelako różnicą, że jeśli ostatnie te nakazy występują najpotężniej naogół i najbezwzględniej na szczeblach najniższych stworzenia, to walka — zwłaszcza systematyczna — o wolność ducha, na najwyższych.

Nadto, owa tak wyraźna w swej nadrzędności, a przeto i młodszości życiowo rozwojowej, dziedzina ziemska żywiołu ducha, wykazuje (z natury rzeczy) podobnie jak wszelki szczebel, ewolucyjnie wyższy, złożoność w funkcjach swych bardziej skomplikowaną, a stąd i bardziej w wyrazie swym życiowym indywidualistyczną, osobistą, niż objawy praelementarnie podstawowych w bycie ludzkim żywiołów innych.

Stąd też nikt bodaj z myślicieli nie wyraził się o żadnym z żywiołów, jakim ulega człowiek — tak charakterystycznie, jak o duchu, chodzącym niby samopas pomiędzy ludźmi i biorącym w swe posiadanie jednych, a pomijającym innych: *Duch gdzie chce, tchnie*<sup>97</sup>...

Nic też dziwnego, że masa, jako taka, będąca wyrazem i rezerwuarem zasadniczej przeciętności ludzkiej, i tolerująca przeto bez zastrzeżeń folgowanie przez człowieka żywiołom niższym — krępuje od prawieku wszelakimi, dostępnymi jej więzami tych, co nie gromadzą już, lecz indywidualnie, dążą w życiu (zawsze bądźco bądź zbiorowem!) za nakazami przepełniającego ich ducha...



Tak to z jednej strony powstają tamy, utrudniające rozwój człowieczeństwa w ludzkości; tak z drugiej rodzi się nakaz: *A jeżeli ręka twoja, albo noga twoja gorszy cię, odetnij ją i odrzuć od siebie*<sup>98</sup>...

Płynie stąd wniosek, że jednostka ludzka, moralnie świadoma samej siebie, a stąd przeciwstawiająca się zasadniczo otoczeniu swemu, nie powinna nikomu wogóle poddawać się na ślepo. Tam zaś, gdzie istota człowieka nie godzi się z przypadkiem jej z urodzenia środowiskiem, co rzekomo winno ją z tem ostatniem wiązać na zawsze, a bezwzględnie — człowiek ów — o ile do głębszej samotności zupełnej nie jest zdolny — winien, porzuciwszy związki krwi, ciążyć jedynie ku ludziom, bliskim sobie duchem, póki — zgodnie z założeniami najwyższymi psychiki swojej, nie odnajdzie własnego, osobistego swego synostwa Bożego — w sobie.

Wprawdzie — jakby w myśl Ewangelji: *Kto miłuje duszę swą, utraci ją, a kto nienawidzi duszy swojej na tym świecie, ten jej strzeże ku wiecznemu żywotowi*<sup>99</sup> — powiadają i gdzieindziej: „Co oddasz, pozostanie przy tobie; co zachowasz — stracisz nazawsze“<sup>100</sup> — wszelako dotyczy to najpewniej — jedno i drugie — nie „ducha“, o którego tu chodzi, lecz o „duszę“ w rozumieniu egotycznie bardziej poziomem.

\*

Człowiek przychodzi na świat, jako stworzenie, o którem, wbrew ideologii Rousseau'a, a z niemałą bodaj dozą słuszności, możnaby powiedzieć, że jest ono zgóry już, jeśli nie bezwarunkowo, to conajmniej w rozumieniu „ramowym“, gotowem moralnie...

A w dalszym ciągu tej tezy możnaby chyba dodać, że wszelka tresura, nie wyłączając strony życiowo naprawdę realnej t. zw. wychowania, staje się w roli życiowej człowieka czynnikiem, służącym nadewszystko do maskowania istotnych jego cech psychicznych.

Łatwo też w świetle tem pojąc nieubłagane niekiedy stanowisko przepojonych duchem miłosierdzia, a rozgorycz-



nym życiem, powiedzeń Ewangelji: *Dlatego my (słów Bożych) nie słuchacie, że nie jesteście z Boga*<sup>101</sup>... albo: *jeżeli oko twoje gorszy cię, mylup je i odrzuć od siebie*<sup>102</sup>...

Na tem tle pewien — nietylko rozpowszechniony, lecz wręcz bodaj „obowiązujący“ — sposób ujmowania i interpretacji niektórych zasadniczych a popularnych zagadnień natury moralnej, czy raczej może moralno-pedagogicznej, wydać się musi bardzo błędnym.

Oto np. przychodzi na świat dziecko utalentowane, rozmilowane w pięknie i dobre...

W „pogańskiej“ Japonji (nie wiem, czy i w dzisiejszej jeszcze, znacznie już „umoralnionej“ przez Europę...) odpowiedni wywiadowca skierowuje je na drogę wychowania i edukacji sumptem cesarza<sup>103</sup>.

U nas w przeświadczeniu (godnem ludożerców!), że: „...ono i tak się wybije!“ — wmawia się w dziecko takie — niemal zasadniczo i we wszelkich „sferach“ pozbawione specjalnej opieki — na domiar obciążających je przeciwności — ba! wdraża mu się na wszelkie sposoby i chwytysens komunału, że... samopoczucie swego osobistego miejsca w życiu — t. zw. wartości osobistej — (kolidujące z naśladownictwem, jako treścią życia społecznego!) — jest godną potępienia przywarą — ba! grzechem, gdyż nie należy być... „zarozumiałym“...

— Nie bądź nim, powiadają, boś wszystkim równy — co w gruncie rzeczy znaczy: nie drażnij stada ujawnianiem swej własnej (a cóż dopiero: wyższej) jaźni. Kłam egalitarność (nie istniejącą w niczem i nigdzie!!)

Atoli, zalecenie to — na niższych zwłaszcza szczeblach rozwoju dość praktyczne życiowo — osiąga zazwyczaj skutek wręcz odmienny od swych naiwnych założeń...

Choć „prawda“ to rozgłośna, że gdyby koty miały boga, nosiłby on postać kota, a przeto i bóstwa masy ludzkiej powinnyby być słabe, jak ona. W rzeczywistości dzieje się jednak inaczej.

Gdyby bowiem „bohater“ szedł był stale i konsekwentnie drogą, wytkniętą mu przez zasadę równości ludzkiej, nietylko — i to na mocy elementarnych praw psychicznych — nie



byłby nigdy i nigdzie został „bohaterem“, lecz wszędzie za-  
to i zawsze: męczennikiem!

Skoro bowiem dziecku wyjątkowemu wmawia się z naci-  
skiem, że nie jest ono w niczem lepsze — ba! że jest raczej  
gorszem od innych. Skoro dziecko to wzrasta pod wpływem  
sugestji podobnej w przeświadczeniu, że niczem nie różni się  
od swego otoczenia, a to, co (wyjątkowo!) umiłowało samo, jest  
niemniej drogiem dla wszystkich. Skoro w wyniku wszystko  
wogóle, co istnieje, ma stać się dla niego — bez względu na  
szczeble swoje — tożsamem — to „umoralnienie“ takie  
sprowadza się w gruncie rzeczy fikcyjnie do nadcnoty, real-  
nie jednak i życiowo — do zagłady związków najwyższego  
nawet dobra za cenę taniej a bezpłodnej chimery!

Zresztą, wdrażanie komuś — w sposób z „prawdą“ jego  
niezgodny — cnót bodajby najszczytniejszych — musi zro-  
dzić w wyniku niecnotę, jako moralną reakcję psychiczną  
przeciw zadaniom fałszywym ponad siły...

Bo i jakże?

Wszak obserwacja bliższa t. zw. „wybicia się“ człowieka  
prowadzi do wniosku, że polega ono na wypełnieniu życia  
szeregiem „nadludzkich“ napięć woli, która zmuszona jest  
wziąć na się cały ogrom dziedziczonego przez „bohatera“ po  
szarych przodkach balastu bierności i zemleć go w żarnach  
własnego swego wysiłku, by z osiągniętego w mozole tworzy-  
wa zdobyć chleb żywota na ogniu cierpienia bez granic.

Cały bowiem ów proces męczeński spływa w „materję“  
doczesności z wyżyn „ducha“, którego wspomniani przodko-  
wie-wychowawcy „bohatera“ mieli usta tem pełniejsze, im  
wolniejsze odeń — pustsze — były ich serca...

Prawda, że istnieją dziś po świecie tak straszliwe, jak Bol-  
szewja, środowisko zatracenia, w których nawet opisane tu  
męczarnie byłyby może rajem.

Prawda, że wyjątkowe już teraz naogół podniebia w daw-  
nym stylu, przez arystokratyzm swój „uprzywilejowane“,  
mogły były i mogą grozić swym pupilom przez wmawianie  
cnót w głupotę ich czy zdrożność, innego rodzaju zagładą.

Wszelako wszystko to błędnie dziś w zestawieniu z ogro-  
mem posępnej rzeczywistości powszechnej w świecie...



Łatwo jest wprawdzie wytworzyć sobie fikcję równości ludzi, a na jej fundamencie oprzeć fikcję drugą: typów doskonale przeciętnych, zaludniających liczebnością swą świat — „robotów“ społecznie zmechanizowanych, którym, jako gromadzie, „nadrzędnej“ jakościowo (!) i przeto (!) panującej nad położeniem — od „wszystkich“ należy się... „wszystko“<sup>104</sup>! Wszelako — mimo niezwalczonej pozornie prostoty tego obrazu, popartej nadto niemniej oczywistą „tożsamością“ somatyczną, „wszechludzki“ — obraz ów jest jednak wynikiem zupełnego pomieszania pojęć, polegającego na okoliczności, że typowi doskonale przeciętnemu (gromadowca!) doktryna przypisuje tu — i to w roli dominanty (!) — właściwości klasyczne (indywidualisty!) człowieka wybitnego, a przeto odmiennego: ba! wręcz przeciwstawiającego im się psychicznie!

Zakrawa to — mimo ponurego tragizmu swego — na wesołą grę sylogizmów, z której mogłoby również wynikać, że skoro Sokrates był człowiekiem, a pierwszy lepszy współczesny mu matolek był także człowiekiem, przeto... Sokrates był matolkiem, a matolek Sokratesem.

\*

I zwierzęta posiadają w swem życiu chwile podniosłego piękna — np. gołębie wśród ekstazy płciowo-uczuciowej. Wszelako niepodobna zauważyć, iżby przyczyniały się one świadomie i celowo do przedłużania lub utrwalania chwil tych czy to w życiu płciowym, czy poza niem, jak człowiek<sup>105</sup>.

Istnieje w nas bowiem zdolność nie tylko planowego omijania czynników, sprawiających nam przykrość, lecz i takiego poddawania się bodźcom, powodującym przyjemne doznania, czego bodaj (zwłaszcza w tym stopniu!) zwierzęta nie posiadają — podobnie, jak sugestywnego wprowadzania się w nastrój<sup>106</sup>, przez siebie pożądaną.

I dlatego to człowiek, poddający się biernie — obyczajem ludzi, zwłaszcza (*vide*: zwierzęta!) niekulturalnych wpływom szpetoty bytu, zdaje się mijać (nie tylko „idealnie“, lecz tak-



że jaknajrealniej) z przyrodzoną w rozumieniu psychicznem sytuacją swą potencjonalną wśród stworzenia.

Są to zagadnienia, doniosłe zarówno z punktu widzenia teoretycznego, który pozostawić tu należy specjalistom psychologom, jak — życiowego z dziedziny kultury cywilizacyjnej wogóle, a — uprawy uczuć ludzkich w szczególności.

Ta ostatnia — podobnie zresztą, jak wszystko niemal, co dotyczy człowieka — kojarzy się nietylko ze sferą wysiłków jego indywidualnych, lecz i zorganizowanych — nadewszystko w instytucji religij.

Nie dotykając tu jej wartości wewnętrznych, trzeba stwierdzić, że jest ona reglamentacją dążących do zapewnienia ładu społecznego kanonów moralnych: że płynie z potrzeb zarówno jednostkowych jak gromadzkich ludzkich — że wiąże się nietylko z pewnymi nakazami państwowości, ale i działającą w zgodzie z nią instytucją.

Trzeba jednak pamiętać, że związane ze sferą poruszanych tu zagadnień pojęcia o „duszy“ a — reglamentacja spraw choćby i najszczytniejszych, człowieka — to nie jedno. Wszelka bowiem reglamentacja może stawać się tem conajwyżej w stosunku do życia, czem jest gramatyka w stosunku do języka, państwo w stosunku do narodu, a forma wszelaka, choćby i najdoskonalsza, w stosunku do zawartej w niej treści — t. j. czemś, co martwe jest i zatrzymane w biegu wobec tego, co żyje i co potęgą żywotności swej stwarza coraz to nowe postacie istnienia, a co mianujemy: „duszą“.

A wszystko to, co nią — *quasi* ideą Platonską — nie jest, przemija z natury rzeczy w obliczu nieśmiertelnego, niestarzejącego się „ducha“; przemija, napełniając drogi pochodu swego oparami nietylko cnót swoich, lecz i błędów...

Albowiem: *errare humanum est...*

Dlatego apologeta greckiej harmonji — utalentowany w dziejach politycznych przenajwyżej władca świata — Rzym starożytny — nie pojmował i najczystszych nawet prymitywów chrześcijaństwa, zarzucając jego bohaterom *odium humani generis* i poddając ich prześladowaniom, jako rzekomych gorszycieli ludzkości. Dlatego zwycięzcy epigonowie męczeńskich w swoim czasie apostołów miłości dręczyli po-



tem pogan, nie szczędząc następnie — w dobie herezji i reformacji — ognia ani miecza na zwalczanie wzajemne samych siebie. Dlatego podziśdzić jeszcze głoszenie a pełnienie hasła, choćby i najwznioślejszych — to sprawy bardzo nieraz od siebie dalekie...

Któż przeto i kiedy bywał wśród owych zmagania się ludzkości z własnym ościeniem jej duszy, gorszyicielem, a kto zbawcą?

Odpowiedź na pytanie to jest niemniej ograniczoną, niż ścisłość poznania człowieczego w jakiejś bądź dziedzinie...

Mimo to poszukiwanym sprawdzianem sądów, bodajby do ideału cokolwiek zbliżonym, stanowić tu w świadomości naszej winno, bo życiowo za wszelką cenę musi, jakoweś kryterjum, którem nicość dla człowieka być nie może choćby dlatego, że zarówno psychika jego, jak humanistyka powiadają mu niezbitcie: *natura horret vacuum*.

Jeżeli nadto i najgłębsze dociekania dzisiejsze przyrodnicze prowadzą do wniosku, że „wszechświat to łupinka tego, co jest, szybująca na falach nieskończoności tego, czego nie ma”<sup>107</sup> — to — mimo wszystko — owo coś, co jest, nie jest i nie może być dla nas tem samem, co to, czego nie ma. To zaś, czego nie ma, nie wyczerpuje z zasobu pojęć naszych tego, co w nich jest — tembardziej, że nic nie upewnia nas, iż to, co w pojęciach naszych dziś nie istnieje, nie znajdzie się w nich nigdy.

Odczuciem takim darzy nas zarówno stosunek życiowy psychiki naszej do świata, jak kwiaty jego duchowe: wiara, nadzieja i miłość.

To prawda, że przedmiot ich może i musi być zawsze i wszędzie w życiu — na tle różnorodnych jego zmienności — względny, wszelako ludzkie kategorie psychiczne trzech cnót pomienionych, są nie mniej „bezwzględne“, niż kartezjańskie: *cogito ergo sum*.

Poucza nas o tem zarówno przeciętna psychika nasza, jak humanistyka, a bez pouczeń tych i głoszonego przez nie sensu życia — nie moglibyśmy wogóle mówić o rozwoju, czy uduchawianiu się ludzkości, jak również o jej — wedle pesymistów — obniżaniu się okresowem.



I popadlibyśmy sceptycznie w nihilizm: owoc tegoż w gruncie rzeczy obskurantyzmu uwstecznienia, który zwykł towarzyszyć jaskiniowcom.

Któż tedy — raz jeszcze pytamy — gorszy ciem jest, a kto zbawcą?

Ten, co podtrzymuje w człowieku i ludzkości wiarę, nadzieję i miłość — choćby jako kadry jej odczuwania i zastanawiania się nad rzeczami — czyli też ktoś, co kadry te paraliżuje, usypiając człowieczeństwo li-tylko dlatego, że dany stan życia nie zgadza się tu i owdzie w danej chwili z głoszonym przez kogoś — szablonem?

A przecież powiedziano: *Idź, a jakoś uwierzyć, niech ci się stanie*<sup>108</sup>...



„Bóg jest treścią istoty ludzkiej — jest więc pojęciem ludzkim<sup>109</sup>... Atoli bóg tryglodyty — to tryglodyta sam, jak najwierniej wyolbrzymiony we własnej, bujnej swej fantazji, zespolonej przytem magicznie dla zdumiewających nas dzisiaj, acz u kolebki swej najniewątpliwiej „logicznych“ powodów — dajmy na to... z rogiem baranem.

Natomiast Bóg nasz obecny — to superlatyw bezkształtnych marzeń naszych<sup>109</sup>, przenikających pełnię uczuć i zgodnych z niemi moralnie, jaknajdodatniejszych pojęć naszych.

Prawda, że rozmaitość tych uczuć i tych pojęć, nietylko wynikająca z natury psychiki ludzkiej, lecz również zawisła od stopnia jej rozwoju — jest wręcz nieskończona... Mimo to jednak rdzeń ideałów człowieka różni się tem od ułudy, że zbyt powszechnie w czasie i przestrzeni, a nadewszystko zbyt immanentnie i niezależnie od wzajemnych wpływów międzyludzkich, w duszy człowieka i tęsknotach jej złożony, przenika z różnych ognisk życiowych drogą ciężących ku sobie analogji psychologicznych, odwiecznie, powszechnie a stale świat szeroki...

Złudną natomiast może i musi się tu okazywać w życiu i w dziejach, w stosunku do treści swej głębinowej — trafność form, sposobów i metod ludzkiej uprawy tej treści...



To też — jak powiedział Pascal. *Nous ne connaissons Dieu, que par Jésus Crist*“... a najtrafniejszem z trafnych określeń zagadnienia i ideału, o które tu chodzi, wydać się musi hasło, głoszące, że: „duszą kultury jest kultura duszy”<sup>110</sup>...

Psychologicznem atoli i moralnem następstwem tego hasła winno stać się zrozumienie tej prostej prawdy życia, że — im człowiek jest duchowo słabszym, tem skłonniejszym być musi do opierania się na czemś czy na kimś w pochodzie swym ku Bogu; im silniejszym zaś — tem skwapliwiej sam, o własnych siłach ku Niemu zmierza.

Nadto, wobec różnaitości (jednakich zasadniczo!) dusz ludzkich — niemniej oczywiście różnaitą jest i psychologicznie być musi, powstająca w ich głębi koncepcja (jednakiego jakoby! bo) jedynego w szerokim już świecie, Boga...

W zasadzie nie mogło być nigdy inaczej i nie będzie, boć darmo byłoby człowiekowi kusić się o to — podobnie jak dążyć do ujarznienia potęgi morza...

Dlatego też wszelakie — martwe z natury rzeczy — reglamentacje żywych dusz ludzkich pozostaną sobą, a człowiek wysoce uduchowiony, choćby się i przedzierzgnął w przysłowiowego pasterza wieprzów — nie zorientuje się w sprawach istotnych rdzennego materialisty, podobnie jak ten — nawet w roli moralisty — nie pojmie spraw szczytnego *ecce homo!*

Charakteryzując ich obu w sposób potoczny, a stawiając przed nimi np. działo, możnaby powiedzieć, że gdy jednego z nich zajmie w niem wynalazca, to drugiego — kanonier. Jednego bowiem uderza i pociąga ku sobie idea zjawiska, drugiego — jego zastosowanie. Stąd pierwszy z nich tylko zdolny jest zainteresować się bardziej twórcą, niż jego dziełem: Stwórcą — niż stworzeniem...

Rady na to nie było nigdy i niema, gdyż oba te typy, obdarzone psychiką (pozornie) jednaką, a myślące (na równi) logicznie, ustosunkowują się do życia zasadniczo odmiennie.

Jeden z nich spogląda przez pryzmat „ducha“, a drugi — „materji“ na jego sprawy; jeden dostrzega w nich przesłanki wyżyn, drugi — padołów.

*Kto z Boga jest, słów Bożych słucha. Dlatego my nie słuchacie, że nie jesteście z Boga*<sup>111</sup>.



A jednak istnieją odwiecznie obok siebie jedni i drudzy, tworząc świat ludzki taki — jaki jest.

Pogodzenie tych antynomii i wiążącego się z nimi bezliku psycho-życiowych przeciwieństw pochodnych, wymagałoby bodaj możliwości spojrzenia w jakimś przypadku konkretnym na obie te kategorie zjawisk psychologicznych — zgóry.

Czy to jest dla badacza możliwe?

Zdaje się, że — nie.

A dla tejże samej przyczyny nie potrafimy również rozwickłać ludzkich niewspółmierności innych, nie wyłączając ciążącego wciąż nad nami samymi zadania trafnej oceny epoki własnej, a na jej tle — własnej naszej roli.

Prawda, że i ocena gruntowna czasów, oraz ludzi dawno minionych łatwą nie jest, a pozorną jej przystępność stwarza w nauce raczej konwencjonalizm, darzący nas „spokojem pracy“ — niż to, co mogłoby stać się i w danym przypadku walką, a co mianujemy: „prawdą“...

Tak czy owak — papier przysłowiowy bywa w stosunku do przeszłości dawniejszej o wiele cierpliwszym, niż wobec „aktualności“. Gdy bowiem, powołany do głosu konwencjonalizm, wpatrzony w uleżące pod nalotem czasów linje rozwoju, skłonny jest przymykać oczy na wiele danych, zwłaszcza szarych, życia minionego, a nawet poprostu nie dostrzegać ich podobnie, jak oczarowany dziełem sztuki widz, który chłonie z niego to nadewszystko, co jego samego przepelnia w danej chwili — tak, w przeciwieństwie do tego rodzaju wyzwolonego nastroju — przed trybunałem aktualności zwykły stawiać „nagie dusze“ bohaterów — rzadziej upięk-szone przez dobrą, niż skarykaturowane przez złą wolę opiniodawców.

To też, nie mówiąc już o ideale sprawiedliwości, dusze te nie mogą oczekiwać — z różnych, jak widzimy, powodów — oceny możliwie — jakby się zdawało — bezstronnej, ani „teraz“, ani „potem“...

Przedewszystkiem jednak — póki nie będą udoskonalone metody psychodziejowego badania przeszłości dziejowej — na szwank musi być narażona i „aktualność“ z powodu, że skrzydła swoje zarówno nad dziedziną przedmiotową jak



podmiotową sądów rozpościera tu nie względna bodaj bezstronność, lecz miłość lub nienawiść otoczenia.

Im bardziej zaś wybitnym, a nadewszystko zasłużonym realnie był „bohater“ — opanuje go raczej druga, niż pierwsza. A to tem bezwzględniej — im jawniej śmiał on przekroczyć Rubikon przyjaznych mu, t. j. egalitarnych życzeń otaczającego go świata.

Na tle rozpowszechnionych formalnie kanonów (cnoty!) wygląda to na ironję i paradoks humanistyczny. Atoli, w istocie rzeczy oraz prawd psychicznych życia — wystarczy tu może wspomnieć o płynie, nie znoszącym zasadniczo odrębnej kropli swej ponad własnym swym poziomem<sup>112</sup>...

Powiedziano też jaknajtrafniej: „Zawsze ogarnia mnie obawa, kiedy wielki człowiek, przez swą małośćkowość, daje sposobność miernotom do ukarania go za jego wielkość<sup>113</sup>...”

Nic dziwnego, że — jak pouczają dzieje — szczery indywidualista musi kończyć dzieło życia swego, jeśli nie wręcz na mizantropji, to conajmniej na równoznacznem z nią — nie psychicznie może, lecz życiowo — izolowaniu się, możliwie zupełnem, od otoczenia.

Ale i w tem niezawsze osiąga on „powodzenie“. Choć bowiem — dzięki właściwościom przyrodzonym typu swojego — potrafi względnie łatwo obejść się bez uznania, a nawet bez tolerancji ze strony otoczenia — to staje się to pod warunkiem kategoriycznym jego uduchowienia. Tymczasem, stan taki, narzucający się siłom fizycznym człowieka bezwzględnie, prowadzi do wyczerpania. A wtedy — w chwili słabości — pojawia się, i u najsilniejszego bodaj indywidualisty (typowa dla gromadowców) potrzeba pomocy z czyjejś strony, zpoza której czai się już masa ludzka — biegun jedynostce przeciwny...

\*

Występujący przeważnie w roli „odyńca“, przysłowiowy u Rosjan „człowiek stary a zły“ — mógłby — bodaj bez trudu — obok pesymistycznych odczuć swych subiektywnych, odszukać usprawiedliwiające je kryterjum obiektywne.



Jest niem tak typowy dla wszelkich większych, oraz niekulturalnych, nawet pomniejszych środowisk ludzkich — boć tu i tam słabną w stosunku do zadań życia siły duchowe człowieka — brak poczucia wdzięczności dla tych, co siebie samych w ofierze danej gromadzie złożyli...

Tłumaczy się to — wbrew tanim komunałom humanistycznym — z punktu widzenia psychologicznego — bez trudu.

Oto bowiem, podobnie jak wszelkie naogół stworzenie normalne zdolne jest na zew i pod wodzą swego instynktu samozachowawczego bronić bezwzględnie zagrożonego istnienia własnego; jak w głębi najświetniejszego nawet człowieka tkwią nieznane mu na codzień siły, umiejące wyładować się ostro w brutalnych chwilach próby — tak też i w sferze stosunku gromady do jednostki (przykładem: państwowość, władza, polityka!) — posiada zbiorowość ludzka, zależnie od samopoczucia swej, gromadzkiej w danej chwili słabości czy siły — bardziej lub mniej uczulony egoizm własnego swego zespołu, którego najwyższem, jeśli nie jedynem w gruncie rzeczy przykazaniem, jest obrona — choćby i najbezwzględniejsza — samego siebie...

Jednostka prawdziwie wybitna, samoofiarna, zasłużona, wyjątkowa — toć to z powyższego punktu wyjścia — jawna nadewszystko, zwłaszcza w chwilach czujności wzmożonej, obcość nastroju, a wraz z tem wyłom w okopach *sacrosancti vulgus*...

Gdzież tu miejsce na wdzięczność, będącą z jednej strony (genetycznie) hołdem duchowym, składanym istotnie Stwórcy przez człowieka uduchowionego na ręce życiowego wyrazi-ciała Jego dobra; z drugiej zaś (życiowo) zachętą (nietylko moralną) dla danej jednostki, iżby ta pozostawała sobą?!

Jakoż: *Nie jest naleziony, któryby się wrócił, a dał Bogu chwałę, jeno ten cudzoziemiec* <sup>114</sup>...

Nic też dziwnego, że choć żywot ludzki, opromieniony pełną ufności naiwnością wieku dziecięcego może rozpoczynać pochod swój doczesny od jaśniejącej optymizmem chęci podobania się wszystkiemu i wszystkim, jako (precyzyjnemu pozornie) zwierciadłu szczęśliwości własnej i samego siebie



— to jednak żywot ten musi z czasem zastanowić się i nad antytezą różowych poglądów i wierzeń.

Czy to pesymizm?

Bynajmniej. To bodaj właściwe dopiero — bo z ducha raczej, niż z ciała poczęte — narodziny człowieka...

Czemże atoli wydać się może w danych warunkach kult wieku sędziwego, choć i wieprz ze starości siwieje, a *grzesznik stuletni przeklęty będzie*<sup>115</sup>?

Cóż to — wszystko razem — znaczy?

Oto — masa ludzka, skonfederowana w takie czy inne zespoły, a dostrzegająca bez trudu tępotę wieku podeszłego, bywa wprawdzie i ze względów gospodarczych skłonna naogół do przyspieszania końca jego przedstawicielom — wszelako, jakby przez skłonność do kontrastów, wrodzoną stworzeniu — nie waha się, zwłaszcza w momentach wzlotów, i z tego również źródła czerpać natchnień swoich...

To też podobnie jak nienawiść to hołd, składany odruchowo sile; jak obłuda to pokłon, oddawany cnocie przez niecnotę — tak i odwieczna tu i owdzie cześć dla starców, poczytywana za uduchowanie i będąca niem niekiedy istotnie ze strony ich apologetów — wygląda jednak w gruncie rzeczy (genetycznie, a nieraz i życiowo) na nieświadome już może, lecz wciąż jeszcze przepotężne ze strony gromadowców — przysięgłych czcicieli materji — uwielbienie niepożytości tejże w ludzkich jej przedstawicielach.

Oto garść przesłanek psychologicznych dramatu życiowego dusz indywidualnych, pogrążonych w morzu zbiorowości ludzkich.

Czy jednak na tem koniec — tam zwłaszcza, gdzie nie jednostka samem już życiowem prężeniem się swoim drażni i niepokoi masę szarmonizowaną, lecz ta ostatnia, zbrojna w bezwzględna swą przemoc liczebną, przechodzi od obrony biernej do ataku na jednostkę, uskrzydłona żądzą osobistą, oraz doktryną gromadzką swych wodzów.

A w tem celują właśnie czasy nasze.

Zaczęło się to w Rosji przedwojennej, gdzie i kiedy — głośno a jękliwie na świat cały — istne zastępy bardziej lub mniej utalentowanych rycerzy pióra, albo i zwykłych ma-



zgajów, opanowanych przez strach, naiwny mistycyzm czy *delirium tremens*, jęło bić się po apostołsku w piersi — najprzeważniej za winy, jeszcze nie popełnione...

I wynikiem nie tylko ustrojowym, czy politycznym, ale również... prostolinijnie psychologicznym, zrozumiałym zwłaszcza na tle klasycznej ziemi barbarzyńców; skutkiem — a może raczej tanim wykładnikiem obłądnych założeń, podchwyconych pod wpływem agitacji, *delirium* i przedwczesnego wyzwolenstwa przez szerokie masy niekulturalne — stało się tam, jak wiadomo, to, co ciążyć nie przestaje nad światem: wywrócenie do góry dnem, realnie i programowo, odwiecznego — ba! normalnego w zrozumieniu zarówno cywilizacyjnym, jak psychologicznym, porządku rzeczy...

\*

Póki barbarzyństwo moskiewskie, rozśmieszające do rozpuku świat jeszcze w okresie XVII — XIX st., a dzisiaj mrozące krew w jego żyłach, ograniczało się do ludożerstwa czy nekrofagii<sup>116</sup> uprawianych w Rosji nierzadko, zwłaszcza na przednówkach — póty było ono poniekąd w porządku samo z sobą. Odkąd jednak rozwinęło zorganizowaną czy to na polu literatury, czyli też innej działalności ludzkiej, swą swoistą... psychofagję<sup>117</sup> — np. pod postacią tragifarsy, polegającej na przerabianiu pod terrorem żywych mózgów ludzkich na wynaturzone automaty, po proletariacku rzekomo tworzące — żył się na to człowiek.

Żył się, ale i śmieje zarazem, boć nie może mu to nie przypominać proroczej, jak się okazuje, bajki Kryłowa: „Martyszka i oczki“ — „Małpa w okularach“!!

Właściwie, trzeba by tu jednak — dla zobrazowania całej tej ohydy — Danta, albo Szekspira! Mógł był sobie bowiem w czasach przedwojennych jakiś w najgorszym guście literat-doktryner snuć kędyś w speluncie plugawej obrazy psychopatyczne śnionej przez siebie przyszłości świata — ale, iżby komuś — a cóż dopiero światu samemu — kazać potem na tę właśnie modłę, pod terrorem pohańbienia, głodu, czy kuli, bzdurstwa owe na własnej skórze przeżywać — to da-



libóg, jak świat światem, nigdy jeszcze na myśl nie przycho-  
dziło „Zgniłemu Zachodowi“, nawet w chwilach najostrzeż-  
szych jego obłądów dziejowych!

Nic dziwnego, boć — jak wiadomo — i obłąd nie zwykł  
wyzuwać człowieka z posmaków złego czy dobrego tonu.  
Ten zaś, o którym tutaj mowa — z najgorszych z pewnością  
— najgorszy...

Nieszczęściem cywilizacji nie są też zaprawdę krew ani  
łzy, lecz raczej zdarzające się już i w Europie naśladownic-  
twa tak upadlająco niskich wzorów!

— Nie możemy znieść tego — woła dr. Ley, przywódca  
niemieckiego frontu pracy — by panowały u nas inne partje,  
lub inne poglądy! Żądamy wszystkich dusz!!!

Mimo wszystko, brzmi jednak w tym okrzyku bojowym  
ton walki i człowieczego przeciwstawienia się jednym umy-  
słów — innym.

O wielez beznadziejniej pogrąża je w obustronnej nicości  
posępnej — „korektura warunków twórczości literackiej  
w Rosji<sup>118</sup>“, polegająca na programowem przytuleniu (t. j.  
obezwładnieniu, lub — co gorsza — spaczeniu umysło-  
wem<sup>119</sup>) literatów, jakoby „zlekceważonych i zaniedbanych  
przez burżujów na Zachodzie“ — do serca proletariatu!!

Zimno robi się człowiekowi na myśl o tak niesamowicie  
prerażających horoskopach planowanej względem jednostek  
przez zawodowych arcyszamanów masy ludzkiej, prostytu-  
cji psychicznej świata!

Strasliwie występuje w świetle tem, w obliczu człowieka-  
jednostki, rola gromady; tem strasliwiej, że: rewelacyjnie  
obco, przyczem obcość ta staje się psychicznie tem jaskraw-  
szą i dotkliwszą, im bardziej łagodną (na pozór) bywa for-  
ma wzajemnego zbliżania się do siebie obu tych antynomii.

I nic dziwnego! Kiedy bowiem treścią psychiczną świado-  
mej siebie jednostki człowieczej jest kształtowanie się, w mo-  
żliwej pełni samodzielne, stosunku jej do tworzonej własną  
jej wolą za każdy krok życiowy odpowiedzialności moralnej  
— to takąż treścią gromady ludzkiej staje się nadewszystko  
popęd żywiołowy do wyręczenia jednostki, i to w tem zwa-



szcza, o czym mowa — integralnie, arbitralnie, bezwzględnie...

Że zaś stosunek do życia ludzkiej psychiki zbiorowej polega w każdym przypadku poszczególnym na wybuchu jej egotyzmu, nieustępliwie wyrażającym rację, oraz podstawy własnego jej bytu zbiorowego, podczas gdy — wręcz odwrotnie — plastyczna, jak samo życie, psychika jednostki raczej przetwarza je w sobie, niż je absorbuje, albo mu się przeciwstawia — przeto, gdy z jednej strony przewaga jednostki nad gromadą może conajwyżej przekształcać jej formę, nie naruszając treści, to z drugiej przewaga odwrotna staje się znieweczeniem kategorycznym tych zasadniczych przesłanek psychicznych i życiowych, na których bytuje, opiera się, wznosi i rozwija istota człowieka pełnego: indywidualizm ludzki.

Wiąże się to ze sprawą dla nas najdonioślejszą, gdyż cywilizacjom, jakie znają dzieje, towarzyszy zawsze i wszędzie jakaś reglamentacja mas ludzkich; niepodobna zaś wyobrazić sobie cywilizacji, opartej na gruzach przyrodzonego psychologicznie naczynia człowieczeństwa: jednostki ludzkiej...

To też spotworniała dziś w stopniu niebywałym przewaga gromady nad indywiduum człowieczem, jest dla rozwoju gatunku *homo sapiens* zjawiskiem, pod względem zarówno psycho-biologicznym, jak historycznie ewolucyjnym, o wiele groźniejszym, aniżeli np. — dla innych gatunków stworzenia — przypadki potwornienia warunków współbytu przez głód, zachodzące żywiołowo w świecie zwierzęcym.

Tam bowiem, powodowane przez katastrofy, wykolejenia zasadnicze są wyjątkiem, a jedyna bodaj pepiniera rozwoju — nakaz przyrodzony zachowania gatunku: popęd płciowy — czynnikiem uporządkowanym sezonowo i zapewniającym przeto danemu gatunkowi znaczną w czasie i przestrzeni swobodę rozwoju, gdy tu, u ludzi, dominanta danego typu kultury, polegającego, jak dziś, na przewadze masy nad jednostką<sup>120</sup>, staje się — na przestrzeniach niemal nieograniczonych — zjawiskiem utrwalającym się, o nasileniu niezwykłym, choć w stosunku do ducha dziejów minionych świata,



ze względu na powszechność swą i „totalizm“ — anormalnem.

Jest to właściwie temat w związku z Bolszewją niewyczerpany, a tembardziej „rewelacyjny“, że „kultura sowiecka“, nawet w jej arcywzorach życiowych i moralnych — to coś — mimo pozorów — nietylę przypominającego typową kulturę dziejową danej epoki, danego kraju, czy nawet danej, szerzej pojętej masy ludzkiej, lecz raczej wyglądającego na zbiór eklektyczny a przygodny cech, związanych tymczasowo z daną grupą społeczną (komunistów).

Wprawdzie są oni dziś w Rosji „klasą panującą“ — i to stokroć bezwzględniej, niż dawni kapłani egipscy nad Nilem — wszelako, zgoła nie jak tamci, na podstawie swych walorów intelektualnych.

Możnaby też powiedzieć o nich poprostu, że miecz przysłowiowy dostał się tam w ręce szalonego, którego zbiorowość, oraz jej „kultura partyjna“ nie tworzy wprawdzie cywilizacji, będąc raczej jej karykaturą<sup>121</sup> — wszelako ta ostatnia, polegająca aż do absurdu na wierze bezwarunkowej w skuteczność pozytywną mierzenia sił niewolnika na zamiary obłędne jego gnębiiciela, potrafiła pod grozą iście owadziego<sup>122</sup> terroru wytworzyć na pohańbienie ludzkości koszmarną rzeczywistość piekielnego współżycia człowieka — z nieczłowiekiem<sup>121</sup>...

\*

Nic dziwnego, że potworność faktów takich, ciężących dziś realnie nad światem, każe spostrzegaczom dociekać przyczyn, skutków, a może i horoskopów, z wulkanem natury ludzkiej związanych.

Trudno też dziwić się przesadnym niekiedy na ów temat wywodom nauki, a zwłaszcza publicystyki, dyktowanymi przez zrozumiałe przerażenie.

Najbardziej może znamiennie przedstawiają się tu domniemania, że — jeśli pójdzie tak dalej — to psychika ludzka gotowa upodobnić się do tej, jaka cechuje owady<sup>123</sup>, a która w obrazie ogólnym życia stanowi ze względu na oś swoją —



bezmyślnie w bezwzględności swej zautomatyzowane okrucieństwo — kartę najbardziej ponurą.

Istotnie. Wyniki — niektóre zwłaszcza — studjów, podjętych przez gruntownych znawców Bolszewji <sup>124</sup>, mogłyby bodaj — i to bez przesady — nasunąć podobnie wstrząsające obawy na myśl, że wobec postępującego (w dotychczasowym pojęciu potrzeb ludzkich) przeludnienia świata, instynkt samozachowawczy gatunku *homo sapiens* musi wreszcie — nie pomijając i wzoru owadów — zareagować zanikiem własnych swych szczytów na rzecz apoteozy nizin.

Nasuwa się tu jednak uwaga, że linia rozwoju nie biegnie prosto, lecz zygzakiem <sup>125</sup>, wskutek czego i najgłębszy nawet upadek może (jeśli nie musi!) stanowić zarazem wrota odrodzenia.

A w danym przypadku jest to tem prawdopodobniejsze, że odsłonięte przez bolszewizm dno człowieczeństwa może w ludzkości wzbudzić raczej odruch ucieczki wzwyż na widok ujawnionej ohydy, aniżeli zachętę do brnięcia w kierunku pozbawionej dalszego ciągu... nicości...

Jest w tem coś analogicznego ze zjawiskiem temperatury, w której *maximum* gorąca wydaje się nieograniczonem, gdy *maximum* zimna — zero absolutne — w zestawieniu z nieskończonością żaru — czemś tak nikłym, że bodaj niegodnem wspomnienia!

Więc mocarną w swych zamierzeniach wydać się tu może groźba doprowadzonego do rozpaczcy człowieczeństwa:

*Flectere si nequeo superos,  
Acheronta movebo!*

Konieckońców zaś warto zanotować tu, co następuje:

Oto, apoteozy bolszewizmu, podszyte paszkwilami na cywilizację <sup>126</sup> naszą, prorokują dziś już — naprzekór upadkowi intelektualnemu swego kraju — świetność (!!) przyszłej jego produkcji umysłowej (*recte*: duchowej), mającej zdumieć świat...

Jakże się jednak owa zjawia magiczna zarysowuje rzeczowo w przewidywaniach, o których mowa, gdyż jesteśmy nie-



tyle zdumieni zasadniczo, — ile zaskoczeni nieoczekiwanym na pozór jej kształtem!

W szkicu, mglisto tymczasem zarysowanym, czai się tu rewelacja nielada. Oto, wyposażona w strzeliste wieżycy bryła owego kształtu przypomina nam bowiem nietyle cytowaną gęsto w wizjach jego budowniczych Helladę<sup>127</sup> — ile wizję, prawda, że anonimową jeszcze... religii!

Tak jest — wyrażmy głód wiary, czy choćby wyplenionego tak niedawno temu jeszcze... „bogostłowa“, posiadającego właśnie marzoną przez dzisiejszych wizjonerów bolszewickich moc mistyczną jarzmienia, a zarazem i jednoczenia w zespół, mocarny swym zestrojem: mas nieprzebranych, gromad i.. jednostek ludzkich<sup>127</sup>!

Mocy takiej zaprawdę żadne i nigdy dzieło artystyczne — poza religią — nie posiadało i nie posiadzie dla tej prostej przyczyny, że — pomijając i mistycyzm i metafizykę — wyłącznie idea Bóstwa, zazębiająca się psychicznie o właściwe każdemu bez wyjątku człowiekowi normalnemu tendencje teistyczne, posiada moc stawania się jednocześnie na tle życia kopułą ogólnoludzkiej, marzonej dowolnie, koncepcji wszechbytu.

Żadne zaś zgoła — jak stwierdzają dzieje — natchnienia inne, kursu, a temniej aplauzu powszechnego nie zdobędą tu nigdy i nigdzie dlatego, że — zamiast stać się zwierciadłem, i to w istocie swej precyzyjnym, wszystkich ludzi razem i każdego z nich z osobna — podpadają raczej pod trafne a stare jak świat przysłowie: „Jeszcze się ten nie urodził, co by każdemu dogodził“...

Ale pozatem — czyliż wspomniane tu wizje nie stanowią pośrednio iście klasycznego dowodu barbarzyństwa, które tem właśnie a nadewszystko różni się od cywilizacji, że z mąki jego nie bywa... chleba?

Co zaś do nasuwających się tu w związku z Rosją refleksji na temat różnych po świecie odcieni psycho-historycznych „dusz narodów“ — to z refleksyj tych zdaje się nadewszystko płynąć wniosek natury metodologicznej.

Samo bowiem uświadomienie sobie powyższego zagadnienia, a cóż dopiero uprawa jego w literaturze naukowej, są



kwestją — mimo względnego już jej rozgłosu — na tyle jeszcze (wśród pewnych przesłanek dawniejszych) nową, że tłumaczy nam to dostatecznie nietylko różnorodność, lecz i różnorodność sposobów obecnego prowadzenia badań na dany temat.

Analiza i synteza; introspekcja psychologiczna samego siebie, jako syna danego narodu i kazuistyka psycho-historyczna, oparta na fragmentach dziejów jego bohaterów — wszelakie, najbardziej nawet kłójące się z sobą zabiegi metodologiczne należą wciąż jeszcze do zjawisk powszednich w tej dziedzinie.

Niepodobna też stwierdzić zgóry, które to z tylu metod rozmaitych i w jakiej mierze przyczynią się pozytywnie, czy bodaj negatywnie, do wzbogacenia omawianego tu studjum.

Wydaje się atoli, że — w myśl zasady: *Le mieux est l'ennemi du bien*, — należałoby tu, bodaj na razie, uniknąć dróg skomplikowanych, dając pierwszeństwo prostszym...

Czy nie byłoby przeto metodą pewniejszą odpowiedzieć na pytanie, dotyczące danego punktu psychiki „mego” narodu: „ja — jego syn — tak i tak o tem myślę” — aniżeli podejmować dorywcze, przypadkowe, fragmentaryczne, wątpliwe zgóry co do stopnia precyzji swej, zawodne dociekania historyczne na temat zachowania się kiedyś w jakimś przypadku jakiegoś bohatera „mego” narodu i (zasugerjowanych przezeń) współpracowników?

Jest to bowiem tak, jakgdyby ktoś z bladego ułamka odbicia się czegoś na moment (dziejowy) w zwierciadle danej duszy (minionej) usiłował odtworzyć w (aktualnej) duszy swojej zatarty życiowo obraz nietylko duszy czyjejs, lecz nadto (a pośrednio!) — rzeszy dusz jej pobratymczych z czasów przebrzmiałych i obecnych — nie mówiąc już o obrazie (niemniej pośrednim!)... duszy własnej!

„Celów” takich byłoby zapewne zbyt wiele!

Z drugiej zaś strony (praktycznej raczej niż naukowej) sprawy zaszły tymczasem tak już daleko — że nietylko buduje się tu i owdzie „pewniki” na temat wyodrębnionych nawzajem od siebie kategorycznie typów psychicznych różnych narodów, lecz nadto głosi się przytem spostrzeżenia



w rodzaju, że niemiec — to (oderwany od życia) uczony <sup>128</sup>; że włos — to (bujnie wyprzedzający życie zbiorowe) indywidualista; a polak — to romantyk <sup>129</sup>...

Jednocześnie, budując na (kruchej odrębności!) duszy ras pewniki „naukowo“ praktyczne o „boskości“ niektórych z nich, dochodzi się <sup>130</sup> do — coraz to niezłomniej wyrażanego — twierdzenia, że: „człowiek przez swe urodzenie staje się przynależnym do pewnej rasy, a tem samem do sfery boskiej rzeczywistości <sup>131</sup>“.

Zresztą, na twierdzenie to — jednak z zastrzeżeniem „boskości“ wszystkich naogół ras ludzkich na ziemi, połączonej z niemniej powszechną ich ułomnością — niepodobna się nie zgodzić.

Wątpliwą natomiast wydaje się teza myśliciela francuskiego, André Joussain, który — jakby w myśl superlatywu powiedzenia, że: *żaden prorok nie jest przyjęty w ojczyźnie swojej* <sup>132</sup> — zdaje się dowodzić <sup>133</sup>, iż nie najpotężniejsze nawet indywiduum ludzkie winno być poczytywane za geniusza swej rasy, lecz — rasy tej instynkt zbiorowy...

Owo atoli, tak nieuchwytnie jednostronne ujęcie sprawy mogłoby być zastąpione śmiało truizmem innym, w rodzaju: *nec Hercules contra plures*, z tym jednak dodatkiem, iż owi „plures“ mogą reprezentować w danym przypadku jakiś szczepek określony, w innym zaś — nawet całą ludzkość. Ludzkość — cywilizowaną, wielbiącą czy ganiącą i greckiego Homera i włoskiego Danta i angielskiego Szekspira, czy niemieckiego Goethe'go jak swego, z czego zdawałoby się wynikać, że wszelki paradoks pozostanie konieckonców sobą, podobnież jak i... kwadratura koła, będąca — *mutatis mutandis* — na równi z nim nierozwiązalną, jak zagadnienie, czemu to człowiek wielki jest wielkim: dlatego, że jest wielkim, czyli też dlatego, że został za wielkiego uznany?

Co do notorycznych wielkości dziejowych, możnaby odpowiedzieć, że są one (przeważnie) wielkościami z obu pomienionych powodów; co zaś do interesujących nas tu zagadnień: że psychika i jednostki i masy posiada — jak ich somatyka — cały bezmiar cech wspólnych. Wreszcie — że bytują obok siebie w życiu „dusze“ zarówno in-



dywidualne, jak zbiorowe<sup>134</sup>, dzięki czemu pierwsze z nich zdolne są pojmować w przybliżeniu drugie i — odwrotnie.

Innymi słowy — „duch“, wyczuwany przez nas, jest jakby jeden, lecz stosowane przezeń w życiu narzędzia „materialne“ — bywają nader wielorakie i rozmaite.

Pierwszy — trwa, drugie — przemijają. I dlatego to może człowiek uduchowiony, usiłujący żyć wzorowo, oraz osiagający to w pewnej mierze, lecz mimo to, czy dlatego właśnie pokorny w głębi duszy, staje się dziko pysznym — bodaj na moment — w chwili, gdy ktoś — ani przeczuwając „doskonałości“ jego wewnętrznej, zadraśnię ją brutalnie a dotkliwie swem — z „materji“ płynącym powątpiewaniem.

„Doskonałość“ ludzka bowiem, to „duch“ — przeciwstawiający się wprawdzie „materji“<sup>135</sup>, lecz i zmierzający do możliwie wiernego uplastycznienia się w niej. A wszelkie — w człowieku każdym — ziszczanie się podobnych jego zamierzeń — to przenajwyższy z tych, z jakimi stykamy się w życiu — cud istnienia...

\*

Człowiek — jak wszystko, co żyje — rozwija się z biegiem czasu, w którego ramach danem mu bywa wśród wysiłków osiągać pewne udoskonalenie wartości swych najwyższych. Tak dalece, że człowiek stary może niekiedy dostrzegać poza sobą nie tylko sprawy swe „przemijające“, ale wśród nich — w obliczu „duszy“ własnej — bodaj i samego siebie...

Naogół jednak — w życiu — wśród pełni jego doznań, człowiecza „miłość samego siebie“, oraz towarzyszący jej automatycznie nakaz odpowiadającego jej skłonnościom „prawa doboru“, brzmiącego: bliscy sobie niechaj trzymają się razem! — to potęga, jak życie samo, niezwalczona!

Gdybyśmy też wyobrazili sobie ową miłość i to prawo jako wzrok, sięgający tem dalej, im wyżej wznosilibyśmy się na szczyty istnienia, to *alter-ego* naszym stałby się ten, co by równie daleko wzrok swój roztoczył.

Stałby się on jedynym przyjacielem naszym: pomieniona



bowiem miłość i prawo sięgają na ziemi i niebie ponad wszystko to, co prawem tem i miłością nie jest.

Atoli, skarbowi tym bezcennym towarzyszy jako płynąca z przeznaczeń ludzkich więź fikcyjna wprawdzie, lecz sugestywnie potężna, zbiorowisk, grup, gromad, społeczeństw, ludów i narodów — której imię: złudzenie (cywilizacyjne!) orzekające, że nie tylko my, lecz i inni miłują i dostrzegają naokół siebie tożsamo i taksamo, co i jak miłujemy i widzimy — my.

Inaczej — wszystko, co ludzkiego jest na świecie, uległo by w chaosie (antykulturalnym!) indywidualnych egotyzmów człowieczych — rozproszeniu.

Otóż — klęską powojennych czasów naszych, które podkopały wszędzie w świecie podstawowe walory cywilizacji, jest osłabienie pomienionego „złudzenia“, spowodowane — mimo nienaruszalności trybów psychologicznych bytu — zbyt ostrem pod wpływem „niehumanicznych“ doznań wojennych wejściem w życie i w ludzi, podobnie jak my dotkniętych dziś wszędzie w świecie obnażeniem (niehumanicznym!) swego zmysłu spostrzegania...

A wśród bezmiarów powstających stąd „przemian“ życiowych, wybijają się tu nadto na ich czoło potężne zjawisko inne.

Oto, Chrystus — z idealnie arcyhumanicznych i przeto boskich wysiłków, oraz zmagania się Ducha Swojego z doczesnością, w celu zaszczepienia Go ludzkości, znalazł jako wyjście — Swą śmierć męczeńską, uznając przez to Sam, że ludzie w swej większości przytłaczającej, a władnej, zdolni są tylko Go ukrzyżować.

Nic przeto dziwnego — zwłaszcza z punktu wyjścia psychiki pospolitej — że ludzie — „tymczasem“ podziśdzeń, a jaknajmniej — krzyżują Go bez przerwy w osobach Jego naśladowców.

Odnosi się jednak wrażenie, że gdyby — wobec utajonej w głębi życia i rządzącej nim stamtąd jakgdyby kosmicznie <sup>136</sup> miłości, będącej ponadto prawdą naczelną chry-



stjanizmu — wszelka jednostka, jako kropla, odbijająca w sobie „wszechświat“, dalej zaś wszelka grupa ludzka, nie zrywając (zbędnie!) związku swego cywilizacyjnego z powszechnością — szukać zechciała nadewszystko we wnętrzu duszy własnej Boga — to warunkujący jedyną do pomyślenia cywilizację, godną człowieczeństwa i duszy człowieczej rozwój chrześcijaństwa w świecie<sup>187</sup>, stałby się naogół może głębszym, pełniejszym i nadewszystko szybszym.



## MIŁOŚĆ I STRACH JAKO BIEGUNY: DODATNI I UJEMNY PSYCHIKI WSZECHSTWORZENIA.

Prainstynkty wiekuiście żywiołowe — miłość i strach — to najniewątpliwiej dwa podstawowe kamienie węgielne wszechstosunku psychiki (nietylko naszej!) do świata, a wraz z tem: praźródła wszelakich jej „nastawień” życiowych.

*La démonstration n'est jamais source de certitude; toute assurance de la vérité nous vient du bon sens*<sup>138</sup>...

Otóż odnosi się wrażenie, płynące z owego sensu (rzeczy), że nietylko jest tak właśnie, jak powiedzieliśmy przed chwilą, ale, że inaczej wogóle być nie może. Że mianowicie miłość-strach, to niewątpliwie ów poszukiwany przez nas<sup>139</sup>, a w głębinach psychiki wszechstworzenia utajony, wspólny mianownik wszelakich psychiki tej objawów. Objawów, na wyższych szczeblach rozwoju nader rozmaitych, ba! nieogarnionych wskutek nieustannej swej wibracji i życiowego różniczkowania się wśród warunków wielorakich bytu; na niższych zaś — prymitywnie niezłożonych i prostolinijnych. Tu i tam jednak ów „wspólny mianownik” — jak mu z natury rzeczy przystało — nie przestaje być ani na chwilę jaknajistotniej — rozstrzygająco i wszechwładnie — sobą.

Na tle dostępnej nam pełni zjawisk, czy to rozważanych poszczególnie, czyli też w zespołach, staje się przytem jasnem, że pomieniony „mianownik”, sięgający z jednej strony głębi istoty wszechrzeczy — z drugiej zaś wszelakich jej objawów, to właściwie kwintesencja treści życiowej uświa-



damianego sobie przez nas bytu. Mieści się w niej bowiem zarówno (życiodajne) umiłowanie czegokolwiek bądź przez cośkolwiek bądź, poczynając od wszelakiego w drobinie, a kończąc na wszelakim w ogromie, „samym w sobie“, jak — lęk (ochronny) istot o zakresy bytu, miłowaniem tem objęte...

Jednocześnie każdy z obu biegunów, o których tu mowa, a bez których zespołu nie byłoby wogóle w „ja“ naszym tego, co „zespołem“ nazywamy — stanowi sfery bytu potencjonalnie (nietylko bodaj w pojęciach naszych) nieskończone.

Nie możemy też — z natury rzeczy — dążyć tu do niczego więcej, jak do (subiektywnego, jak wszystko w zasadzie) ogarnięcia sfer tych pojęciem naszym, oraz (niemniej subiektywnego) przenikania w nie odczuciem i myślą naszą — dla siebie...

\*

Doświadczenia psychologiczne Ribot'a doprowadziły go do wniosku, że im głębiej coś utkwilo w stworzeniu, tem łatwiej dziedziczy ono owo coś po przodkach swoich, oraz — do spostrzeżenia, że najłatwiej odziedzicza się instynkt, potem skłonności uczuciowe, a wreszcie dopiero zdolności umysłowe.

Przeciwstawiającym się temu poniekąd teorjom Weismana'a, opiewającym, że nie dziedziczy się (jakoby!) cech nabytych, zaprzeczył jak wiadomo kategorycznie Achilles Loria.

Są to zagadnienia zasadnicze; wszelako punkt wyjścia niniejszych rozważań naszych znajduje się na tyle od nich daleko, że możemy oprzeć się tu raczej na znanym aforyzmie Pierre Duhem'a<sup>140</sup>, sceptycznie ustosunkowującego się do wszelkich „wywodów“ apologety wyczuwanego przez każdego z nas „sensu“ rzeczy — by, nie zabierając głosu w sprawie dróg, jakimi dane popędy opanowują stworzenia — stwierdzić, że wrodzone im, najprymitywniejsze z tych, jakie znamy, impulsy miłości i strachu, nie ulegają dla nas wątpliwości.



Zacznijmy od: miłości.

Na nizinach bytu stworzeń jest ona połączona nietylko integralnie, lecz jakby wyłącznie, z popędem płciowym. Poniekąd jednak (*avis*; potomstwo!) przerzuca się wtedy już na następstwa, wiążące się z impulsem tym życiowo.

Jest to fakt tak znamienity, a odwiecznie trwały, że słowa Nietzsche'go: „Stopień i jakość płciowości w człowieku przejawiają się aż po najwyższy szczyt jego ducha“ — Freud<sup>141</sup> poczytuje za prawdę biologiczną<sup>142</sup>.

Nie potrzebujemy tu na ów temat rozwodzić się szerzej. Czem zaś jest miłość, jako szczyt czyjegoś przywiązania do samego siebie i spraw swoich, wiemy wszyscy dobrze. Kto jednak posiadał ją w wyższym stopniu duchowym, nie wątpi, że — poprzez samozatrącenie się ludzkie dla danego ideału, oderwanego w swej istocie od dóbr materialnych — otwiera się przed wybranym sferą mocy „nie z tego świata“, a tak przepięknych „na ziemi i niebie“, że pod jej czarem *Altissimo Poeta* przenika w szczytnym swym olśnieniu tajemnicy bytu i woła:

Miłość, co słońce porusza i gwiazdy!

Najwyższe to bodaj w poezji Chrystjanizmu natchnienie i wypowiedzenie się ludzkie, które jednak nie byłoby dla człowieczeństwa i najszczytniejszem zarazem, gdyby nie stawało się dlań — dzięki jego uduchowieniu — i najprawdziwszem wielorako...

Ponadto, poruszany tu wielokrotnie „sens rzeczy“ każe nam wyczuwać w miłości akord zawiązków — a dalej: symfonię pełni cnót ludzkich.

To też: *Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałbym się jako miedź brzęcząca, albo cymbał brzęiący... A teraz trwają: miara, nadzieja, miłość — to troje: z tych większa jest miłość*<sup>143</sup>...

Idealna miłość duchowa — to stan psychiczny, zdolny najgłębiej i najbardziej — bo aż do samozatrącenia się — pochłonać człowieka trwale, podczas gdy miłość fizyczna bodaj na chwilę tylko potrafi go ujarzmić.



Atoli są to stany wewnętrzne jednostek ludzkich, niemające związku bezpośredniego z otaczającym je światem zewnętrznym. W dalszym ciągu dopiero stan duchowy objawia się w życiu, jako źródło „dobra“, podczas gdy fizyczny, nie będąc sam przez się „złem“<sup>144</sup> — leży jednak o mie-dzę ze źródłem jego najgłębszym<sup>145</sup>...

Z tego powodu istota moralności naszej, jako wyrazu amfibji człowieczej, złożonej z „ducha“ i „ciała“: oś etyczna zbiorowości ludzkiej i jej spraw — miłość bliźniego, jest „talentem“ biblijnym przenajtrudniejszym bodaj do zdobycia dlatego, że stróż przyrodzony naszego „ja“, jako pełni każdego z nas w ramach życia — instynkt nasz samozachowawczy — „nie z jednego pieca chleb jada“...

Jakże często bowiem zmuszony jest on poddawać się samoograniczeniom nie tylko dla miłości, której jarzmo słodkie jest i wdzięczne, lecz i pod buntującym go naciskiem brutalnym gwałtu, zadawanego jego poczuciom moralnym przez wyczyny szaleńcze, popełniane z ręki „bliźnich“ na jego rachunek z dezynwolturą i szantażem „moralnym“ tem bardziej bezczelnym, im głębiej pragnąłby hołdować cnocie — dobroczyńca!

Jeżeli też na szczytach zawrotnych miłości indywidualnej, czy to fizycznej, czy uduchowionej, wolno nam może zatracać samych siebie bez szkody dla sprawy — to „miłość bliźniego“, postawiona moralnie w Dekalogu nie przed, lecz po miłości samego siebie — raczej i nieraz zyskałaby może, niż straciła, na uczciwym a krytycznym ujmowaniu jej przez człowieczeństwo.

Lubo: *Bóg... nie dopuści kusić was nad to, co możecie...*<sup>146</sup>... nieraz jednak byłyby tu może na miejscu słowa Ewangelii: *Co mnie i tobie, niemiasto? Jeszcze nie przyszła godzina moja*<sup>147</sup>...

Niepodobna atoli zapominać, iż rzeczy wielkich a trwałych dokonywała zawsze i bodaj jedynie miłość uduchowiona — tak dalece, że od wieków już czyny, powstające z natchnień odmiennych, zwykły były swe intencje, a wraz z nimi i moralną genezę swoją, przypisywać choćby kłamliwie cnocie, dla zyskania pożądanej powagi i chwały...



A „pobożne kłamstwa“ takie, zwane zazwyczaj legendami, wskazują nam podziśdzień jeszcze — poprzez wieki — w jaki to sposób, *sub specie aeternitatis*, dana sprawa, gwooli swej nicśmiertelności, *est legenda*.

Na takiej to kanwie zjawisk, będącej osnową praw psycho-fizycznych, rządzących w ramach natury ludzkością, zlał się najgłębiej bodaj z cywilizacją klasyczną chrystjanizm, przez zespolenie najwyższych jej wzlotów duchowych ze wzlotem własnego swego ducha.

Później też dopiero ciąg dalszy potęgi materjalnej cywilizacji pomienionej, mający w gruncie rzeczy mało już z chrześcijaństwem wspólnego, jał kłamać — *legendi causa* — swój z niem wciąż integralny związek historyczny, jakgdyby poto, iżby zasadniczym prawom psycho-fizycznym rozwoju stało się zadość (choćby pozornie tylko!) i tutaj...

Czyż zresztą inną drogą mógł być zrodzić się z chaosu dziejów Chrystus-Pantokrator?!

A tymczasem: *Miłość nigdy nie ginie... chociaż umiejętność będzie zepsowana*<sup>148</sup>...

\*

Jak powiedziano wyżej, strach jest — obok miłości — biegunem drugim psychiki wszechstworzenia: strach, będący stanem psychicznym, uzasadniającym (negatywnie) twierdzenie, że — gdyby nie on — nie byłoby rycerzy, rycerstwa, rycerskości, ani pokrewnych im pojęć...

Jakże to? powiecie...

A oto — poprostu — trzeba być, aby... stawać się sobą — —

Jest zaś pewnem, że gdyby ludzkość ożywiała sama tylko cnota męstwa, to trwanie jej na świecie nie byłoby możliwem.

Natura bowiem i tkwiące w niej siły zagłady są niezmienne, strach zaś pełni wobec nich zadanie ochrony — możliwie najskuteczniejszej — tego, co jest stosunkowo słabem — wobec tego co grozi, a jest przemożnie silnem.

Że atoli ludzi — a może nietylko ludzi samych — zachwy-



ca przytem, choćby i w oderwaniu od własnego „ja“, ideał niemożności tego, co jest: zwycięskość siły — nic przeto dziwnego, że w gruncie rzeczy pogardzają oni strachem, jako puklerzem słabych...

„Słaby“ i „silny“ są to jednak, jak wszystko na świecie, stany względne, przyczem względność ta przenika obraz życia w toku dziejów tak dalece, jak nic bodaj innego.

To też niepodobna nieraz stwierdzić dokładniej, co w danym przypadku siłą jest, a co słabością — co strachem bywa, a co odwagą...

Nawet człowiek najuczciwszy sam o sobie niezawsze powiedzieć może sumiennie, że tu, tam, czy owdzie był lwem przysłowiowym, a nie takimże zajacem.

Zjawiska podobne stwierdzają również baczni obserwatorzy wojny, twierdząc, że tenże sam żołnierz bywa wśród walki — i to na zmianę — „tchórzem“ i „bohaterem“. Wellington powiada, że: „Wszyscy żołnierze się boją... Cała mądrość wodza polega na tem, by najbezpieczniejszym kierunkiem ucieczki uczynić atak na nieprzyjaciela“... Ostatnio zaś, w znanym swym wywiadzie z czerwca 1936 r. Negus Haile Selassie twierdzi przekonywująco, że: „Najbardziej tchórzliwi ludzie stają się bohaterami, gdy niebezpieczeństwo przekracza granice ich wyobraźni“.

Jakże daleko tedy do ścisłości, choćby tylko przybliżonej, sądom ludzkim w ocenie „rzeczywistości“ wydarzeń!

Mimo to wszystko „prawdą obiektywną“ zdaje się być w życiu (zbiorowem) jedno: szlachetność (w poczuciu osób trzecich) cudzych (bo niezawsze — niestety — własnych człowieka) „czynów męstwa“, a nieszlachetność (w takimże poczuciu) „strachu“.

Czy jednak i ta „prawda“ bywa prawdą rzetelną zawsze i wszędzie?

Wszak, pomijając tajniki danej jaźni, starczą tu aż nadto ukryte przed wzrokiem świata okoliczności wielorakie, iżby było inaczej: by zjawisko moralnie a pozornie dodatnie, okazało się w danym przypadku (istotnie) ujemnem, a ujemne — dodatniem.

Zawsze też i wszędzie byłby (moralnie) na miejscu szko-



puł względności w słowach: „w rozumieniu naszym“, wyrażający zastrzeżenie, że „absolutem“ pozostanie tu — tak czy owak — zasadniczo współczynnik zbiegu okoliczności zewnętrznych lub wewnętrznych.

Ale w życiu bywa — niestety — inaczej.

O charakterze „dodatnim“ czy „ujemnym“ danego czynu stanowi bowiem w świecie „obiektywna“ jego ocena ze strony widzów, nie zaś subiektywna — możliwie najbliższa prawdy — ferowana rzetelnie przez samego „tchórza“ czy „bohatera“.

Oczywiście, wchodzi tu w grę rola szczerości... Ta ostatnia, mimo niedostępności swej, bywa jednak do osiągnięcia stokróć łatwiejszą, niż zdolność oceny przenikliwej ludzi jednych przez drugich.

Panuje tedy nad światem waga nieudolna, stosowana do najgłębszych nawet pobudek moralnych ludzkich, nie przez człowieka samego względem siebie, lecz — w stosunku do niego — przez innych, często obcych mu zgoła ludzi...

Okropne to dla człowieczeństwa, a przecież nieuniknione w życiu!

Jakże niewinnie a miłosiernie przedstawia się w zasadzie na tle takim rola spowiednika wobec ofiary bytu, wyznającej bezpiecznie *motu proprio* swe przewiny...

To prawda. Nie tu jednak zdaje się leżeć punkt ciężkości sprawy.

Spoczywa on bodaj w okoliczności, jakby transcendentalnej, która sprawia, że siła jakaś oddziela — nie w historii dopiero, ale już w życiu człowieka — ziarno od plewy: zło jego od jego dobra, potępiając we własnem poczuciu człowieka — bo rzadziej poza niem, t. j. na forum świata, zło, a wieńcząc dobro.

I proces ten bywa tak nieprawdopodobnie ścisłym<sup>149</sup>, że tryby jego miażdżą zło wtedy nawet, kiedy tkwiące w danym uczynku źdźbło zła, zazębiające się o źdźbło dobra, gotowo mieć nas uludą, że kara dosięga także i to ostatnie.

Tak jednak nie jest<sup>150</sup>.

Czarne z białem nie pogodzi się nigdy<sup>151</sup>, choć mogą powstawać tu i owdzie pozory takiego właśnie zespółu.



Toż i strach<sup>152</sup> — rodzic grzechu — mimo wszystko<sup>153</sup> jest czymś innym niż odwaga, bo w zasadzie chroni on od uszczerbku materję (życie samo), gdy męstwo — z natury rzeczy — potyka się pod znakiem ducha o czyste jego ideały.



Strach jest antytezą miłości, wyposażonej w niebiańskie poczucia i wzloty; jest przeciwstawiającą się marzeniom o raju, syntezą piekieł, smagających stworzenie biczem obłąkania, wylaniającym się z otchłani nędzy materialnej i moralnej bytu: Strach bladolicy, każący ratować w przerażeniu strzępy rozwichrzone własnego swego szafu — bodaj za cenę świata, podczas gdy przeciwstawiająca mu się miłość buduje świat w człowieku właśnie z chwilą, gdy ów go opuścił dla ideału...

*Kto chciałby zachować duszę swoją, straci ją, a kto by stracił duszę swoją dla mnie, znajdzie ją*<sup>154</sup>...

A jednak, mimo wszystko, posępna i okrutna rola strachu — to wprowadzie jakby „tymczasowa“, a w obliczu promieniującego nieśmiertelnością ideału doskonałości, klasycznie doczesna i moralnie najniższa z najniższych, lecz w życiu wiekuista — ochrona wszystkiego tego zła, czy poniekąd i zawiązków dobra, jakie — zagrożone w danej chwili — stworzeniu, wedle własnych jego pocuć — sprzyja...

Konieckońców jednak, strach jest syntezą wielokrotnie i wielorako ujemnego stosunku stworzenia do zagrażającego mu zjawiska.

Jeżeli też duszą miłości jest ufność, to pomieniona synteza (strachu) poczyną kształtować się już na szczeblu zawiązków przeciwieństwa ufności, (t. j. nieufności) — na razie, jak wszelaki stan psychiczny, niemal nieświadomej jeszcze siebie, lecz z biegiem czasu zdolnej zgotować tchnącą poświstem piekieł, zagładę opanowanemu strachem stworzeniu!

Nikły u wstępu stopień świadomości strachu, przechodzi łatwo — nawet bez wyczuwalnych przeobrażeń stopniowych. położonych między początkowym odruchem lęku a pani-



ką — w antytezę swą: „bohaterstwo“, czy entuzjazm, leżące już — jak „cnota“ naprzeciwko „niecnoty“, a „dobro“ naprzeciw „zła“ — w sferze bieguna dodatniego psychiki, przeciwstawiającego się ujemnemu.

Razem wzięwszy — podobnie jak element miłości to akord istotny potencjonalnych zawiązków „cnót“ wszelakich — tak element strachu, to takiż akord istotny zawiązków potencjonalnych wszelakiej „niecnoty“...

Miłość tedy i strach — innemi słowy: tworzenie czegoś (przez nas) i straż nad tem, co (z nas) powstało — to jakby pra-pierwsze rozwidlenie życiowo-psychiczne stanu: „jestem“! To oś życia, warunkująca ciągle jego powstawanie i utrzymywanie za wszelką cenę — zarówno w pierwotniaku, jak w człowieku. To wszechzasada, leżąca u podstaw bytu, zakłeta w najistotniej elementarnych instynktach wszechstworzenia — to norma norm wszelakich, syntetyzująca wszystko co było, jest i będzie. To na koniec — szukając porównania w powszechności cech temperatury, przenikającej życie — jakby, znane wszystkim, zjawiska „gorąca“ i „zimna“...

Im więcej pierwszego, tem mniej drugiego i — odwrotnie. Nadto, pierwsze, jak miłość, przenika w nieskończoność; drugie, wraz ze strachem, to — podobnie jak on — ograniczona zasadniczo skończoność doczesności danych form bytu<sup>155</sup>...

Oba jednak elementy, zarówno miłość, jak strach, rozpatrywane na kanwie życia, polegającego, (co i tu widać), na harmonji, wykazują w najwyższych swych napięciach swą zdolność zasadniczą pokrywania kanwy tej bez reszty...

Przysłowiowy głuszc na tokowisku i szekspirowski Romeo z jednej, a szczwany zając, i Candide Voltaire'a z drugiej strony, to jakby upostaciowania poruszanych tu zagadnień...

Jeżeli „instynkt“ — to wrodzona (w stanie już zmechanizowanym) tradycja odwieczna danego *modus procedendi* stworzenia w danych okolicznościach bytu — to zarówno miłość jak strach są niewątpliwie, w czystej swej postaci, stworzenia tego pra-instynktami podstawowymi, kierujący-



mi niem zasadniczo nie z mocy refleksji, świadomości, ani woli, lecz: „przeznaczenia“, t. j. tej siły przemożnej, która drwi sobie z kruszącego jakoby skały, powiedzenia ludzkiego: *chcieć* — to *módz*!!

Są to tedy — w sferze psychiki — dwa fundamentalne, niezwalczone w zasadzie żywioły, bez których — jak bez odżywiania się, czy oddychania — *niemasz życia...*

Różnica — i to raczej bodaj pozorna, niż istotna — jaka między pomienionemi sferami zjawisk zachodzi, zdaje się polegać nadewszystko na okoliczności, że wyniku życiowego funkcij żołądka ani płuc człowiek nie ukrywa przed nikim „moralnie“, a do plonów życiowych psychiki swojej ustosunkowuje się inaczej.

Mimo to człowiek, nawet przeciętny, zdający sobie dobrze sprawę z istnienia zarówno jednych, jak drugich, a przypisujący — zwłaszcza na wyższych szczeblach swego rozwoju — w najbardziej cenionych przez siebie dziedzinach życia — rolę kierowniczą czynnikom psychicznym, usiłuje je zgłębić możliwie dokładnie.

Dążenie to zaznacza się przedewszystkiem, jako *sui generis* uprawa rytmiki życia ludzkiego; polega bowiem, jak rytm, na wprowadzaniu ładu, porządku i proporcji w świat odpowiednich doznań i wrażeń: na instynktownej segregacji w samym sobie tchnień „dobra“ i „zła“ — na uduchowianiu się przez zlew wewnętrzny pierwszych z tych tchnień z własną, uczuciową koncepcją Boga, — drugich zaś z nieudoskonaloną, nawet i we własnem poczuciu człowieka, brylą samego siebie...

Drogą takich to procesów, — zazębiając się stopniowo o sferę duchową ludzką, zjawisko miłości — idea jej, a wreszcie ideał coraz czystszy i coraz wznioślejszy — odrywa się tak dalece w przeciętnem pojęciu naszym od życia (zwłaszcza życia pospolitego w swej przyziemności), że na koniec emigruje gdzieś — *hen!* z tego świata, lubo miłość ziemską nie przestaje mimo to nigdy — będąc i czarodziejką i mistrzynią życia zarazem — władać niem bardziej, niż przeciwstawiający się jej we wszechstworzeniu, strach, ja-



koby bardziej od miłości realny — przeciwstawiający się jej techniciom, drugi biegun bytu...

Psychika — źródło, a zarazem i zwierciadło procesów, o których tu właśnie mowa — to jakby klawiatura, na której życie wygrywać potrafi melodie, rzekomo dowolne.

„Rzekomo“, gdyż dowolność tę ograniczają z jednej strony zasadnicze — jakby zewnętrzne w stosunku do danego stworzenia, warunki bytu — z drugiej zaś prawa, rządzące naturą, której omawiana „klawiatura“ jest odbiciem, przystosowaniem do danego stworzenia i możliwości jego rozwoju.

Płynie stąd wniosek, że gdy z jednej strony wszystko, co wogóle jest, jest światem — to z drugiej psychika — w danym przypadku ludzka, jest jedynie światem świadomości zarówno realnej, jak potencjonalnej człowieka.

Jej poznawanie jest tedy jakby wyluszczeniem z wszystkiego tego, co nią nie jest — poznawaniem istoty tego, co człowiek wogóle poznawać może.

Jeśli nie wszystkie (ze względu na ułomności subiektywizmu) to większość argumentów zdaje się przemawiać za tem, że zadanie pomienionego poznawania podjąć i przeprowadzić można stosunkowo najgłębiej — na drodze introspekcji własnej — jedynie bodaj zdolnej poprowadzić nas również ku poznawaniu praw, nie tylko elementarnych, lecz i bardziej złożonych, jakie rządzą nami w życiu...

A poznawanie to wiedzie nas — właśnie w związku z rozważaniami tu zagadnieniami — do wniosku, że w gruncie rzeczy nie stróż „świata“: strach — zjawisko *sui generis* wtórne, rządzi i rządzić może światem, lecz własna świata tego „dusza“: twórca, odtwórca i wyraz naczelny jego istoty — prapierwotny:

Amor che muove il sol e l'altre stelle...

\*

Biegun drugi — strach — choć powołał on do życia w człowieku — poprzez przeciwstawienie się biegunowi mi-



łości, a dalej poprzez zwalczającą miłość — koncepcję „złego ducha“, to jednak — poprzestając na naiwnym stworze „djabła“ — strach „transcedentu“ poważniejszego nie potrzebuje dlatego, że — Bogiem a prawdą — biegunowi ujemnemu bytu, pociągającemu ku sobie wciąż jeszcze ogromną większość ludzi (nieuduchowionych) nic właściwie nie grozi. A w myśl tej okoliczności, zasadę moralną: „Dobro — dobrem (tylko) przerywać można“<sup>156</sup>, świat zwykł zmieniać skwapliwie, zwłaszcza w praktyce rzeczy, na wskazówkę (życiową): Nie sprzeciwiaj się nigdy, nigdzie i w niczem... złemu<sup>157</sup>.

Atoli, mimo wszystkich tych komplikacji psycho-życiowych, związanych z człowieczeństwem — prawa, rządzące życiem powszechnem, są w gruncie rzeczy wciąż i wszędzie zasadniczo jednakie, życie zaś jak powój, zarówno w roślinie, w człowieku, czy naogół bodaj we wszechświecie całym, pełni się i pnie najbujniej tam nadewszystko, gdzie nic mu nie zagraża...

Skoro zaś o człowieku czasów naszych można powiedzieć bez przesady, że nadewszystko, jeśli nie wyłącznie, zagraża on sobie — sam, a najwydatniej panują i dziś nad nim własne jego popędy psychiczne, tedy nietylko przez prostą ciekawość, czy wyłącznie dla zaspokojenia zainteresowań akademickich — lecz również ze względów utylitarnych, bodajby w potocznym tylko rozumieniu ich kulturalnem, wartoby rozejrzeć się w popędach tych możliwie jaknajdokładniej.

Jest bowiem sprawą oczywistą, że trafna analiza danych stanów psychicznych człowieka, wiodąca do zgłębienia ich istoty poprzez poznanie ich pochodzenia, t. j. wniknięcie w ich embriologję, pozwalającą na bezpośrednie, a choćby pośrednie wyprowadzenie ich poprzez różne stadja rozwojowe — z jednego z dwu omawianych prazródół: miłości, czy strachu — miałoby może dla badaczy wielką wartość naukową, dla ludzi zaś, sprawujących władzę — nietylko zwierchnią — niemnniejszą wartość praktyczną.

Razem wzięwszy, wiodłoby to bodaj nietylko do bliższego naogół zdania sobie sprawy, w stosunku do ogromu ma-



sy ludzkiej, z istoty i roli życiowej na jej tle jednostek, jako mikro-czynników psycho-socjalnych w obrębie ustrojów zbiorowości... Wtedy bowiem i ciemne wciąż zagadnienie przyczynowości zjawisk, badanych przez humanistykę, stałoby się niewątpliwie bardziej przystępnem.

Niestety jednak to, o co tu chodzi, jest — mimo pozorów prostoty rozbijającej — niezmiernie złożone!

Przedewszystkiem:

1° dlatego, że nad zagadnieniem genezy jakiegobądź — zawsze zresztą (zdaniem naszym) wywodzącego się w swych pra-początkach od miłości, czy strachu — stanu psychicznego człowieka, ciąży splot nagromadzonych przezeń

a osobiście, albo

b dziedzicznie, przez niezliczone jego pokolenia wstępne, komplikacyj psychologicznych, narastających w miarę wzmagania się złożoności (= „postępu“) danych postaci życia dziejowego. Powtóre zaś

2° z powodu, że niezbędne w danym przypadku (introspekcyjne) wywiady psychologiczne skazane są, niemal w zasadzie, na trudności niewalczone.

Ktoś np. — ze strachu — nie zdążywszy uciec z pola bitwy — zabił wroga, przez co nie tylko ocalał swe życie, ale i zdobył łupy...

Ktoś inny — również ze strachu — odrzucił ofiarowywane sobie stanowisko, które — jak wykazać miała przyszłość — stałoby się było najpewniej jego zgubą...

Jeden i drugi — tu i tam — był właściwie tchórzem (prazródło: strach); łatwo mu jednak — czem nie gardzi — uchodzić jaknajpowszechniej za bohatera (prazródło: miłość)...

Możemy tedy powiedzieć, że jakkolwiek metoda badania narzuca się tu niemal sama, to jednak trafne stosowanie jej w praktyce staje się na każdym bodaj kroku jakby niewykonalnem...

Cóż dopiero mówić o przypadkach, w których sam „bohater“ nie byłby w stanie — choćby nawet tego pragnął — objaśnić nas o naturze faktu badanego.



Ktoś np. może być względem kogoś uprzejmym:

a „z natury“ (= dziedziczności, por. j. w. 1. b),

b z nawyknienia osobistego (por. j. w. 1. a),

c z przyjaźni (praźródło: miłość), albo

d) z lęku (praźródło: strach)...

Już te pierwsze z brzegu przykłady wystarczają, by stwierdzić, że na drodze omawianych tu dociekań częściej bodaj możemy spotkać się z fałszem świadomym, czy choćby nieświadomym, aniżeli z „prawdą“...

Możnaby jednak zauważyć tu z boku: — A „marzenia senne“, podpatrywane tak pouczająco przez Freud'a?!<sup>158</sup>.

Niewątpliwie! Jest to materiał wielorako bezcenny dlatego, że zdaje się odsłaniać przed nami niekiedy i ukazywać nam „bez maski“ otchłanie psychicznie najgłębsze...

To prawda. Jakże jednak znikomo szczupłe i fragmentaryczne są plony „życiowe“ kazuistyki tych dociekań — nie tylko w stosunku do poszukiwanego tu wyjaśniania rozległych dziedzin bytu, lecz bodaj w obliczu jakiegobądź z zasadniczych jego akordów!

Więc może semazyologia, mogąca stanowić tu i owdzie kryterjum arcyenne trafności danych wywodów psychogenetycznych?<sup>159</sup>

Zapewne! Jest w niej również — acz, niestety, nie tak, jak w „marzeniach sennych“ odwieczna — „naga dusza“ ludzka, a poza nią bezlik innych ponadto, pomocniczych w danej potrzebie, walorów naukowych...

Wszelako, zarówno względna szczupłość jej plonów (życiowo realnych), jak naogół stan jej dzisiejszy, zwłaszcza w Polsce, tak daleki jeszcze od wyczerpania surowego po archiwach czy żywym folklorze, materiału — może skłonić nas tu nietyle bodaj jeszcze do czerpania z semazyologii odpowiednich danych — ile raczej do apelu, aby młodzi badacze jęli się pociągającego jak mało co, opracowywania tabel, odzwierciadlających koleje ewolucji stopniowej pojęć naszych przodków...

Wreszcie, zagadnień, o które nam tu chodzi, dotyczą również, acz pośrednio i na zgoła innym terenie dociekań, słynne badania fizjologiczne mózgu, prowadzone ostatnio tak



świetnie przez zmarłego niedawno temu nieodżałowanego prof. Iwana Pawłowa i jego szkołę.

Dotyczą one<sup>160</sup> nadewszystko mechaniki zjawisk (warunkowych i bezwarunkowych) psychicznych zwierzęcych. Rozwinięcie ich elementów w kierunku zjawisk bardziej złożonych — wyższych — mogłoby oczywiście stać się zdobyczą bezcenną dla poznawania interesujących nas tu zagadnień: istną „semazyologią fizjologiczną“...

Nie przesądzając przyszłości nauki w kierunkach pomienionych — chodzi nam tu dziś jeszcze o postawienie na porządku dziennym problemu psycho-embriologii, choćby — oczywiście — niebezblędne, na jakie stać nas może już teraz. Jutro zaś: *faciant meliora potentes!*

Idzie nam przytem nie o byleco, gdyż problemat, o którym wciąż tu mowa, kryje w sobie tajniki takiego np. faktu, jak to, że (egoistyczny) kult samego siebie, wyrażający się pra-pierwotnie w atrybutach psychicznych strachu, wkra-  
da się z czasem w przypadkach niezliczonych w życie ludzkie zarówno jednostek, jak gromad, pod sfałszowanym moralnie znakiem ochronnym (płynącego z miłości) altruizmu...

A wskutek zjawisk podobnych byt ludzkości nie może nie wypełniać się prostem a fatalnem następstwem równie fermentacyjnego zaczynu.

Jest nim zamęt i dysharmonja chaosu — tembardziej gmatwającego się w nieskończoność, że tkwiąca *in nuce* psychizmu (nietylko bodaj ludzkiego!) a odpowiadająca istotnie *Początkowi*<sup>161</sup>, (który w nas przemawia) busola (on-  
giś nadewszystko gatunkowo-zachowawcza, z czasem ewolucyjnie i na najwyższe dziedziny życia rozszerzona) ludzkich pojęć moralnych i czynów, ulega zaburzeniom w głębi swojej...

Nic dziwnego, że te — poprzez bezmiar ewolucyjnych swych przekładni, wdrażonych w życie — muszą z natury rzeczy powodować burzę (piekiel) na jego powierzchni.

Tak dalece, że chwilami cały bodaj rozwój człowieczeństwa ludzkości, zmierzający w zasadzie moralnej do podniesienia jej gatunku, wręcz wydać się musi nalotem patolo-



gicznym na pniu „Natury, którą Ty (Boże) dobrą i prawą utworzyłeś“...<sup>162</sup>.

Bo i jakże?

Troska o kogoś — pramotyw miłości — zamienia się w sarabandzie tej automatycznie na lęk o siebie — pramotyw strachu. A w dalszym ciągu — przełożony na język teogonji i związanej z nią arki moralności — „Absolut“, stojący jako nadrzędne kryterjum zasadnicze na straży symbolów: „ja“ i — „on“: „zło“ i „dobro“ — Bóg i szatan, ulega wywróceniu na wspak.

Tak dalece, że wciąż daremnie, jak dotąd, usiłuje przywrócić Mu w ludzkości i jej cywilizacji pozycję właściwą największe z przykazań moralnych świata: *Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich i ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego twego, jak siebie samego*<sup>163</sup> — przykazanie, któremu wtóruje Najwyższy Poeta w słowach:

Amor che muove il sol e l'altre stelle...

\*

Podobnie jak dawność ciąży nieubłagane nad nowością, która z trudem, a nieraz krwawo musi jej się przeciwstawiać, tak też — w następstwie przyczyn, analogicznych z całym bezlikiem zjawisk innych — prostota prymitywu psychiki ludzkiej ciąży na wyrosłej z niego złożoności życia, a następstwa minionej pierwotności bytu, t. j. „barbarzyństwa“, nie przestają tłoczyć t. zw. „kultury“, dalej zaś i korony jej — cywilizacji.

W procesie tym niezrównana plastyka psychiki człowieka, bardziej bodaj gibkiej i sprawnej aniżeli muskulatura nasza, zdaje się otwierać przed zjawiskami, o jakich tu naogół mowa, możliwości nieograniczone...

Z drugiej atoli strony zbyt bezwzględne w ich kierunku ciążenie rozwoju grozić zwykło i najsprawniejszym nawet jego poczynaniom — wykolejeniem...

To też przeciwdziałać niebezpieczeństwom takim usiłowała już starożytność, głosząca zasadę: *quieta non movere*, al-



bowiem — w przeciwieństwie do stopniowej ewolucji twórczej — wszelaka rewolucyjność, czy to skierowana naprzód, czyli też wstecz — burzy nieraz zbędnie (choć wpatrzona w cele najwyższej miary) — ład, porządek i proporcję, czyli rytm przyrodzony wszelkiego rozwoju, współdziałającego pokojowo a istotnie ze szczytami życia...

Należy przeto, zwłaszcza w obecnych czasach przełomów, podkreślić okoliczność, że niekiedy ani nam wiadomo, kiedy to my sami wywołujemy celowo i z dojrzałymi zamierzeniami naszymi zgodnie, dane w życiu naszym indywidualnem czy zbiorowem, napięcia woli — a kiedy one same — niby wybuchy wulkaniczne podrażnionej psychiki naszej — ponoszą nas, nieokiełznane, w dal nieznaną...

Zastanawiać się nad tem należałoby tembardziej, że wulkaniczność psychiki jest bezdenna, a prężność sił życiowych wielorako ograniczona...

To też, w praktyce życia normalnego, typ przeciętny najwyższych nawet napięć psychicznych ludzkich bywa naogół, pod względem treści swej i formy, a niezależnie od czynników czasu i przestrzeni, dość jednolity...

Takie przynajmniej odnosi się wrażenie na tle zestawienia łatwiej dostrzegalnych objawów psychicznych życia obecnego a minionego.

Np. w zakresie stosunku wierzącego człowieka cywilizowanego czasów naszych do Boga a — niewolnika ras i epok zamierzchłych, do swego samowładnego, nieraz deifikowanego pana...

Analogje są tu wręcz uderzające, a cechują je w obu przypadkach pomienionych zasadniczo objawy takie:

- 1°. Poczucie zawisłości bezwzględnej;
- 2°. gotowość do posłuszeństwa bezwarunkowego;
- 3°. wiara w moc nieograniczoną błaganego;
- 4°. zatracenie i zapoznanie całkowite siebie wobec przewagi absolutnej błaganego.
- 5°. Wreszcie, odwiecznym tym poczuciom ludzkim, wiekuiście (acz wśród odmiennych okoliczności) podziśdzień trwałym — zdaje się towarzyszyć niemniej trwale analogiczna,



rytmowi ich psychicznemu odpowiadająca, forma zewnętrzna hołdów, składanych przez błagającego — błaganemu.

Czyliżby przeto od czasów przeszłości otechłannej aż po dni nasze, nie powstały nigdzie w poruszanej tu dziedzinie na przestrzeni globu żadne zgoła różnice istotne?...

Po stronie zasadniczego układu głębin psychicznych „błagającego“ — żadne bodaj, jak świadczyłaby np. o tem nagminna w Bolszewii możność nieograniczonego poniżania w ludziach ich człowieczeństwa...

Atoli — po stronie błaganego, a raczej jego dzisiejszej koncepcji ludzkiej, będącej w gruncie rzeczy przerzutem głębi błagającej duszy człowieczej czasów naszych, na tło nieskończoności — różnica, jakiej poszukujemy, urasta tu — w kierunku uduchowienia istoty ludzkiej — do wymiarów wręcz tytanicznych.

Baal a Bóg kardynała Newmana <sup>164</sup> — to zaprawdę nie jedno już, choć żaden jeszcze wódz dzisiejszy ofiar krwawych, zwłaszcza czasu wojny, się nie wyrzeka.

Rozważania te prowadzą nas do wniosku, że aczkolwiek — wzorem form somatycznych człowieka — mechanizm psychiki ludzkiej zdaje się zachowywać wciąż jeszcze zamierzchłą swą niezmiennością, to jednak dokonywujący się w jego żarnach przemiał życia osiąga stopień coraz to doskonalszy: bóg prymitywu był bowiem ludożercą, a Bóg czasów naszych — niedościgłym w swej doskonałości arcywzorem człowieczeństwa Chrystusowego *ecce Homo!*

Mimo to, z wysnuwanych tu przesłanek wynika, że o przeciwstawiających się sobie biegunach Miłości — Strachu, możemy wciąż jeszcze i mimo wszystko — po niezmierzonych okresach rozwoju — mówić, jako o sprawie „aktualnej“.

Niemasz bowiem bardziej dla nas odwiecznego z jednej a tryskającego młodością swą z drugiej strony, wszechludzkiego w powszechności swej stanu psychicznego, nad dwa bieguny pomienione.

To pewna. A zachodzi tu ponadto i inna okoliczność arcydoniosła, niemniej zasadnicza. Uwydatnia się ona zwłaszcza, gdy zważymy, że „rzeczywistości“, jako stanu o przypisywanym mu charakterze „bezapelacyjnym“, nie masz w życiu



zgoła<sup>165</sup>. Że tedy prymitywy — w danym przypadku: Miłość i Strach — choćby dzięki częstotliwej trwałości, czy trwałej częstotliwości swego bytu, godniejsze są tu uwagi naszej, aniżeli inne, jakgdyby efemeryczne w zestawieniu z nimi, stany psychiczne złożone<sup>166</sup>.

Okolicznością, o której tu mowa, jest wzgląd, że — gdy t. zw. rzeczywistość „bezw warunkowa“ nie istnieje zgoła, przeto i psychika ludzka, a za nią psychologja — nie mogą mieć w zasadzie do czynienia z takim czy innym stopniem (nieistniejącej w gruncie rzeczy) „rzeczywistości“, lecz raczej z rodzajem i stopniem uznawania przez danego człowieka, czy jakiegokolwiek bądź stworzenie, danego czegoś za dane coś.

Trudno przeczyć, że wobec tego zarówno najpotężniejsze uczucie dodatnie — miłość, jak i najsilniejsze uczucie ujemne — strach, mogą być wzniecane czy potęgowane przez bodźce jaknajrozmaitsze, a nawet tożsame, zależnie od predyspozycji danego osobnika w danej chwili.

Reakcje psychiczne dadzą się tedy — z różnych punktów wyjścia — porównać z działaniem młyna, zdolnego mleć wszystko: kamienie i zboże.

Sprawy ludzkie zawisły przeto — jak widzimy — nietyle od bodźców (zewnętrznych) czy zjawisk (powszednich) życia — ile od (wewnętrznych) pryzmatów człowieczych, powodujących w danym środowisku, czy zwłaszcza może na danym szczeblu rozwoju, interpretację — jeśli nie tożsamą, to analogiczną — danych zjawisk<sup>167</sup>.

A pokrewieństwo interpretacji, o których mowa — to cecha, bodaj najistotniejsza rodzaju i stopnia kultury, wspólnej danej grupie ludzkiej.

Niepodobna również pominąć tu okoliczności, że w zasadzie:

1°. Człowiek uznaje rację tych tylko „prawd“, z którymi się godzi, a wpośród nich tych nadewszystko, które (subiektywnie) są mu na rękę. I tak dalece, że:

2°. przechodząc przez życie, jest on skłonny zwracać uwagę na to tylko, co jest zgodne, a zwłaszcza współmierne z jego predyspozycją psychiczną (z jego „prawdą“) w danej chwili.



Razem wzięwszy, stosowanie lekkiej napozór zasady: *ut aliquid fieri videatur*, może być, jak widzimy, owocnem z punktu widzenia psychologicznego nietylko w medycynie, czy pedagogii, ale niewątpliwie (o czem zresztą wiadomo nam również skądinąd) — i w polityce.

Konieckońców bowiem „wspólny mianownik“ podstaw mechanicznych ludzkiego aparatu psychicznego, działającego w życiu zarówno jednostkowem, jak zbiorowem danej chwili — to przystosowany do tej ostatniej zespół funkcji psychologicznych ludzkich, zawarty w ramach danego stadium kultury.

Wszelako na dnie różniczkujących się wyżej, ponad niem, w czasie, przestrzeni i zakresie działania funkcji złożonych, trwają zawsze, wszędzie po świecie, odwiecznie i wiekuiście — nietylko w łonie ludzkości — podstawowe a prymitywne, zasadnicze, elementarne a zawsze naczelne, kategorie sił psychicznych prekulturalnych: Miłość i Strach...

W pewnych warunkach są one zdolne od „początku czasów“ aż podziśdzień z siłą pokonywującego wszystko żywiołu, do przepotężnych bezwzględnie, obnażonych z wszelkiej osłony, wyładowań bezpośrednich — bez uciekania się do jakiegokolwiek bądź nadbudowy stanów psychicznych pochodnych<sup>168</sup> o charakterze czy to hamulca, czy podniety.

Wreszcie jedna jeszcze uwaga: oto — z punktu widzenia życia — bez względu na to, czy wulkanem będzie w walce pomienionej twórcza siła miłości, czy strach, niosący zagładę — koniec ostateczny superlatywu napięć, będzie tu i tam — jednaki.

Będzie nim śmierć bohatera dramatu.

I nic w tem dziwnego!

Wszak stworzenie — samo przez się, w oderwaniu od mocy, których jest narzędziem — nietylko właściwie potrafi tworzyć (przy pomocy biernej bądźcobądź w stosunku do tajemnicy tworzenia, roli miłości) — ile raczej ochraniać (to, co stworzone zostało) wyładowywaniem roli czynnej swego... strachu.

Wyrazem doczesnym „absolutu“ życia: punktem zasadniczym ziemskiego („materjalnego“) jego ciężaru gatunkowe-



go, okazuje się tedy (znowu) strach, nie miłość, której wyżynom i mocom (duchowym) poświęciliśmy ustęp poprzedni.

\*

Dotarliśmy ponownie do punktu widzenia, z którego staje się dla spostrzegacza jasne, że wyrazy psychiki ludzkiej tak nawet głębinowe i podstawowe, a na tle życia sprzeczne, jak siła (charakteru) i (jego) słabość, jak ludzka czynność a bierność, jak odwaga a tchórzostwo, cnota a niecnota, uskrzydłone bohaterstwo a przyziemna nikczemność, twórczość a naśladownictwo, dobro a zło, wyżyny a padoły bytu — jednym słowem to wszystko, co nazywamy „duchem“ z jednej, a „materją“ z drugiej strony, znajduje w życiu praźródło swoje w synbiozie dwu najistotniejszych antytez wszechrzeczy psychologicznych świata — miłości i strachu...

Potęga iście kosmiczna tego dwuoblicznego żywiołu, przenikająca wszechświat — jest tak w pojęciu ludzkim „absolutnie“ przeogromna, że jej to, jako panaceum psychizmu wszechstworzenia, przypisać możemy jedyną w swoim rodzaju, a jakby wykluczającą się w życiu, rolę węzła, zarazem zaś i antytezy splotów najistotniejszych bytu, trwających wedle natury pojęć naszych, zarówno w otchłaniach, jak na szczytach istnienia...

Sądzi się nieraz „po gospodarsku“ — że „niema zła, co by na dobre nie wyszło“, a może i... odwrotnie.

Jaknajślusniej.

Niemasz bowiem miłości bez lęku (choćby o nią), ani tak panicznego strachu, czy zwłaszcza wywiązujących się z niego (pochodnych) stanów psychicznych<sup>169</sup>, na których dnie nie czaiłaby się dążność do wytchnienia pod skrzydłami miłości, iub stanów z niej początek swój biorących...

Skoro zaś dotkniemy sprawy oddziaływania na człowieka potężnego życiowo czynnika, który określamy jako „urabianie go pod danym wpływem“, to dostrzeżemy pośrednio może, lecz dokładnie, jak dalece schodzi do zera rola czynnika tego w chwili, kiedy człowiekiem owładnie miłość, albo — strach...



Żaden inny stan psychiczny (zasadniczo bardziej warunkowy a pochodny!); ani przyjaźń najgorętsza, ani najbardziej ognista nienawiść, nie wytrzymają nigdy i nigdzie próby takiej, równie „bez reszty“!

A jest to i ważne dla nas i wysoce znamienne.

Trafnie też bodaj — acz tylko jeszcze połowicznie — o rozwijanej tu przezemnie teorii dało się powiedzieć jakby zgóry — bo jeszcze na podstawie pierwszych przesłanek jej zasadniczych:

„Il est certains éléments psychiques qui exercent sur la „pensée humaine à peine naissante des influences considérables à côté des instincts et des appétits: c'est avant tout la „frayeur, qui peut engendrer l'accord ou la revolte, et ensuite „des états plus conscients: tels que l'appréhension du péché, le regret, et favoriser l'élévation morale.

„Les sociologues ne doivent pas négliger l'embriologie correspondant à l'étude de tels états primitifs“<sup>170</sup>.

Czyż nie wiele słuszności przemawia za tą radą, i to zarówno z tytułu prawd, zgłębianych przez naukę, jak z powodów nader praktycznych, którym wyraz dają niekiedy i politycy, pragnący np. dowiedzieć się od humanisty, czym to i jak — z jego punktu widzenia — należałoby trafiać do umysłów ludzi, których pragnęłoby się zdobyć...

Ów odpowiada (nb., po 4-ch wiekach, już nieco cnotliwiej niż czynił to był ongiś Macchiavel): miłością lub strachem. W dalszym ciągu zaś — w myśl kardynalnych przesłanek cywilizacji — radzi politykowi trzymać się... psychologii...

— Dobrze! — replikuje na to mąż stanu: aleć wszystko — cały ogrom różnic, zachodzących w sposobie myślenia moim a mego partnera — toć to także nic innego, jak: psychologia!

— Zapewne — upiera się humanista, ale — podobnie jak w ułamkach, które owe „różnice“ myślenia naturą swą strukturalną przypominają tak żywo — niezbędny jest również i w tem, o co nam chodzi, pewien wspólny mianownik, zdolny doprowadzać ludzi, mimo różnic indywidualnych, zachodzących w sposobie ich myślenia — do wzajemnego porozumiewania się między sobą...



— „Wspólnym mianownikiem“ tym jest nadewszystko: psychologia elementarna.

Prawd jej nie naruszył z pewnością nawet wpływ głębinowy Wielkiej Wojny, który jakoby, pod ciśnieniem swoim, starł w proch świat miniony...

Jakże to jednak i co stało się tu rzeczywiście?

Odpowiedź nie będzie trudną, albowiem wszystko to, co występowało zasadniczo kiedykolwiek bądź w życiu, pozostało w zarysach istotnych sobą i nadal. Zmienił się jedynie — i to poniekąd tylko — rodzaj, a nadewszystko bodaj wyraz stosunku człowieka do owego czegoś...

Wiadomo, że psychika ludzka składa się z nawarstwień spraw „podświadomych“ i „świadomych“. Otóż ciśnienie, spowodowane przez wpływy Wojny wzbogaciło nie tylko w myślicielach, lecz i w typie przeciętnym ludzkości powojennej, warstwy „świadome“, dzięki życiowemu pogłębieniu ich i pomnożeniu z zasobów „nieświadomych“.

Nic dziwnego, że człowiek, wzniósłszy się przez to na wyższy szczebel poznania i spojrzawszy zeń w oblicze bytu, stwierdzić musiał w poczuciu swoim, że stosunek jego do życia uległ zmianie.

Atoli w gruncie rzeczy nie zmienił się człowiek, ani świat...

Tem większe jednak zainteresowanie może, a bodaj winna budzić w nas — na myśl o psyche człowieczej — sfera jej niezmienności istotnej, odwiecznej a wiekuistej: ludzka psychologia elementarna.

\*

Rozejrzyjmy się z kolei we wtórnych, wywodzących się na tle życia rozmaicie z prażywiotu, t. j. z miłości i strachu — ludzkich stanach psychicznych pochodnych.

Wprawdzie bowiem w nurtach najgłębszych psychizmu wszechstworzenia prażywiotł pomieniony króluje podawnemu, lecz między głębią a powierzchnią życia, zwłaszcza ludzkiego, zawisł w toku rozwoju, a w ramach czasów niezmierzonych — z tegoż żywiołu wyłoniony świat wielorakich stanów psychicznych, jakby samodzielnych, w istocie jednak



bezpośrednio lub pośrednio z sobą powiązanych nawzajem, a dających się ułożyć w rodowód *ab ovo* — niekiedy dość jeszcze przejrzyste...

Zdają się one, z punktu widzenia psychologicznego, odpowiadać w przybliżeniu takiemu oto (prawdopodobnemu) schematowi ewolucji:

#### a. MIŁOŚĆ<sup>171</sup>

1. Z jednej strony występujący chwilami (fizyczny) popęd płciowy, z drugiej (praucuciowa), trwalsza już, miłość macierzyńska.
2. Troska (okresowa) o samiec;
3. także troska (u obu płci) o potomstwo.
4. U człowieka przejście stopniowe okresowości w stan coraz to bardziej stały, co staje się...
5. podłożem kultury cywilizacyjnej, w której...
6. miłość nabiera uduchowienia na gruncie, historycznym już procesu cywilizacyjnego, jako...

#### b. STRACH

1. Zjeżanie się (fizyczne) uwłosienia, występujące pod wpływem (praucuciowym) lęku, poczem
2. ślepe przerażenie przechodzi w grozę, a ta w...
3. ...zaciekawienie na widok przeciwnika, co
4. ...staje się podłożem psychicznym dociekliwości, która u człowieka osiąga stopień gieniuszu...
5. ...kultury — z czasem cywilizacyjnej,
6. kojarzącej się stopniowo z jej uduchowieniem, jako procesem cywilizacyjnym...

7. ..syntezy obu nurtów żywiołu: miłości i strachu, w postaci treści historii w ramach dziejów.

Schemat ten zdaje się być zasadniczo zgodny z tem, co Zygmunta Freud<sup>171</sup> mówi — w związku z życiem seksualnym (por. tutaj: miłość) o nerwicy lękowej (por. tutaj: strach).

Z trzech zaś pierwszych punktów tego schematu (a — b, 1 — 3) zdawałoby się wynikać, że wyłącznym „sensem” stworzenia jest: być aby być. Przeczą temu atoli nietylko zawar-



te w tymże schemacie przesłanki inne, których głos (a — b, 4 — 7) pobrzmiewa w ludzkim świecie wewnętrznym, lecz bodajby również i stare jak świat a wnikliwie spostrzeżenia Anaxymandra, że żaden dany stan (j. w. „być“) nie może ani pochodzić od samego siebie, ani — co (*per analogiam*) ważniejsza — sam siebie (tożsamo) w nieskończoność rodzić...

Nie mamy oczywiście zamiaru wyczerpania tu poruszonego zagadnienia genezy ani wzajemnych pomiędzy sobą skojarzeń psychicznych stanów wtórnych.

Byłoby to zadaniem, podobnie jak one same, niezmierzonym.

Idzie nam jedynie o próbę podjęcia go, w związku z tematem książki niniejszej.

Podany wyżej schemat posłuży nam jako kościec obrazu rozwoju, w którego ramach, a najpewniej również i w obrębie kolejności wskazanych tam stadjów (a — b, 1 — 7) wywiązywały się, rozwidlały i komplikowały stopniowo przeróżne w kolei wieków ludzkie stany psychiczne pochodne, wywodzące się z prażywiolu (miłość — strach), a przeto — w stosunku do niego — nietylko wtórne, ale i noszące na sobie podziśdzeń ślady, a niekiedy bodaj i cechy nieodparte swego (przybliżonego w ujęciu naszym) rodowodu.

Oto — przydługi może — szereg przykładów, pierwszych z brzegu:

**B o h a t e r s t w o**, por. str. 180, oraz męstwo, odwaga.

**B u n t**, por. przyp. 243, oraz str. 163 pod tym tytułem.

**C h c i w o ść** — to „strach“ (b<sup>172</sup>), ekonomizujący życiową pastwę swoją (b. 4 — 7<sup>172</sup>).

**C i e r p i e n i e** (i cierpliwość) wiąże się psychicznie z pokusą, a ona z cierpieniem (i cierpliwością).. *wy jesteście, którzyście wytrwali przy mnie w pokusach moich...* (Łukasz XXII.28), (por. szczęście). Podstawą elementarną cierpienia i szczęścia, jako tezy i antytezy: równowagi i jej braku, jest bodaj ruch i spokój — innemi słowy: dążenie psychiczne stworzenia poprzez trud ku wytchnieniu: poprzez dysharmonję (wysiłku) do harmonii (osiągniętego dosytu). Nie z wytchnienia przeto, lecz z zalecanego przez mędrców zmagania się z przeciwno-



ściami (t. j. z cierpienia, skutku „zła“), wylania się szczyt istnienia ludzkiego: szczęście („dobro“) twórczości człowieka: *per aspera ad astra!*

**C y n i z m** — to ostatni atut materialisty, przegrywającego zasadniczo partję oceny życia z człowiekiem uduchowionym. Cecha najbardziej znamienita cynizmu polega tu na pozornie filozofującym, istotnie jednak obłudnem (por.) przechodzeniu do porządku nad wymykającym się już ze słabnących pojęć przedstawiciela *moral insanity*, racjami „nieważkami“ bytu.

**D o b r o** — z ł o <sup>172</sup>. Por. Zły człowiek.

**D u m a** — to normalne, w przeciwstawieniu do pychy (por.),

**D u m a** — to moralne, w przeciwstawieniu do pychy (por.), poczucie własnej ze strony człowieka wartości i godności moralnej, rodzące odwagę (por.), zwaną dziś jeszcze przez gazdów podhalańskich honorem (a. 5... 6 — 7: b. 4 — 7 <sup>172</sup>). Por. sponiewieranie.

**F a ł s z** (moralny, por. obłuda). To jednak, co wrażenie fałszu takiego sprawia — niezawsze i nie bezwzględnie bywa grą niecnoty. Niekiedy bywa to tylko etap wyzwalań (= odczepiania) się czyjegoś od czegoś, czego nie chciałoby się (np. przez uprzejmość, por.) potraktować niegrzecznie, czy zwłaszcza brutalnie, a co owego kogoś nie interesuje zgoła. Z tej to bodaj okoliczności płynie właśnie (częste a nietrafne) pomawianie o fałsz moralistów (por. wyrażenia: „chytry klecha“, „uśmieszek jezuicki“ i t. p.), gdy w gruncie rzeczy ich „fałsz“ (pozorny) może wynikać z nużącej niewspółmierności umysłów w ocenie danej sprawy. Moralnie jest to tedy zjawisko, nie wspólnego z fałszem nie mające. Psychologicznie jednak, zarówno uprzejme salwowanie się od natrętów, jak naogół wszelkie inne — świadome czy nieświadome — stwarzanie nieprawdziwych pozorów, puszcza w ruch mechanizm obłudy. Negatywnie „fałsz“ wiąże się ze skandalem, polegającym najprzeważniej na „szczerem“ aż do impulsyjności zupełnej, postąpieniem publicznem człowieka cywilizowanego wzorem prostaka, celującego w bezpośredniości działania. — (Por. kłamstwo, mściwość, obłuda).

**F u r j a** — to delirjum (biernego z natury swej) strachu, przechodzącego w stan czynny (por. mściwość). Nb. prostacki wpadają naogół w furję o wiele łatwiej od ludzi



cywilizowanych — między innymi z powodu trudności wypowiedzenia się w sprawach, odbiegających od normy przeciętnej ich życia. (Por. nienawiść).

**G n i e w** — to stan przemijający chwilowego podniecenia „nerwów“ a przeto zawsze i wszędzie (jako patologiczny) wspólny obu biegunom ( $a - b$ ,  $1 - 7^{172}$ ). Jako mogący stać się podniecią do (niepoczytalnie) ujemnych czynów człowieka, zwłaszcza nieopanowanego (kulturalnie) — gniew (poprzez synonim swój: złość) bywa (w gruncie rzeczy niewłaściwie) utożsamiony ze złem. (Por. gwałt, kłamstwo, oburzenie, prostactwo, pycha, usposobienie, złość).

**G w a ł t** (por. niesprawiedliwość). Podobnie jak sile uderzenia czy nacisku (pokrewne: ucisk, napór, odpór) wywarłego na danem ciele fizycznym, odpowiada automatycznie siła jego reakcji — tak też i psychika stworzenia reagowałaby najpewniej zawsze i jawnie na wszelki ucisk, gdyby nie jej (ochronne) hamulce refleksyjne, zabezpieczające ją (ew. lękiem, obłudą, pokorą — ob.) przed niebezpieczeństwem starcia się z siłą przemożną (nb. niem. *Gewalt* = władza!). Moc, zawarta w hamulcach pomienionych, nie ginie jednak w zasadzie bezpłodnie, zamieniając się automatycznie na zapas sił potencjonalnych reakcji odwetu i magazynując je. Odwet bowiem gotów jest przy lada sposobności odpowiedniej wyładować się (normalnie) pod postacią gniewu, (por.) zemsty, (por.) kary <sup>174</sup>. I dlatego to bezwzględność ucisku, stosowanego przez jednych względem drugich, powoduje niemniej „ujemny“ odwet ze strony tych ostatnich, odbity w znamienym przysłowiu naszym: „Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy“.

**H a r m o n i a**, por. sprawiedliwość.

**H o n o r**. Por. duma, męstwo, odwaga.

**K ł a m s t w o** (mijanie się z prawdą, ob.) — to słabość moralna, wynikająca najprzeważniej, pod wpływem strachu, ze słabości materialnej a należąca do typowych stanów psychicznych złożonych ( $a + b^{172}$ ). Po pierwsze dlatego, że w samym już poczuciu kłamstwa ( $b$ ) ze strony kłamcy mieści się *implicite* poczucie prawdy ( $a$ ), a powtórę z powodu, że kłamstwo (por. obłuda), podobnie jak gniew (ob.) czy smutek (ob.) wspólne jest poniekąd obu żywiołom ( $a - b$ ;  $1 - 7^{172}$ ). Wszelako, gdy pierwszy



z nich (a) — przynajmniej na szczeblach kulturalnych — poczytuje zwalczanie kłamstwa za swoje zadanie (a. 4 — 7<sup>172</sup>), to drugi (b) nigdy, a niekiedy nawet zasadniczo z niem się nie rozstaje (b. 1 — 7<sup>172</sup>). Uznaje prawdę — nawet jaknajoczywistszej, zasadniczo, o ile pociąga ono za sobą czyjś sukces — powoduje automatycznie psychiczny o tendencji zbiorowej sprzeciw kłamstwa ze strony otoczenia, rządzącego się, jak natura całą zasadą: *ote toi que je m'y mette*. Tylko zespół sił, zwanych wysoką „kulturą“, a o wiele w życiu rzadszych, niż się to wydaje na pozór, potrafi zapewniać moralnemu majestatowi prawdy, jej niewątpliwą jakoby niezaprzeczalność w życiu. Mimo to „kłamstwo“ o tyle tylko jest zawsze „złem“, o ile być niem musi zestawiona z siłą słabość. Istnieje w nas bowiem pojęcie, zwane *pia fraus* — (podstępne) „kłamstwo“ nabożne, mające na celu dążenie, uznane jako „dobre“. „Kłamstwo“ takie należałoby jednak utożsamiać raczej z „wybiegiem“.

**K r z y w d a** — ob. niesprawiedliwość.

**L ę k**, ob. strach, (por. obłuda, pokora).

**L o j a l n o ś ć** — to bohaterstwo na małą stosunkowo skalę życiową, olbrzymią jednak niekiedy moralnie! Por. odwaga, męstwo.

**M a t e r j a**, materializm to (w zrozumieniu potocznym) to, co w odczuwaniu subiektywnym każdego z nas nie płynie z ducha (ob.).

**M a d r o ś ć** — to na tle życia wykładnik rozumu (ob.) którym, jak powiada złośliwie przysłowie „ludzie najsprawiedliwiej zostali obdzieleni, bo każdy zadowolony jest z tego, co dostał“... Otóż — tak pojęta mądrość ujawnia mimo woli głębię faktu, że t. zw. „rozum“, będący w zasadzie syntezą trafnego stosunku człowieka do świata, a przeto wyrazem zdrowej jego psychiki, oraz rdzeniem strony jej praktycznej, życiowej, sensownej, żywej, będącej „sensem“ psychiki normalnej człowieka — psychiką jego w ideale — toć to właściwie ów człowiek w pełni: to on sam... Nie może też człowiek normalny przez szczerą przyganę swemu rozumowi własnemu — zaprzeczać samemu sobie: racji istnienia swego. Rzecz inna (a zrozumiała) że nie zawszę (ze swego stanowiska subiektywnego) podzielają co do niego ową jego „rację stanu“ bliźni. Spotyka to — jak wiadomo — na falach nieubłaganej



względności zjawisk — nawet i „Napoleonów“. (Por. zazdrość).

**Męstwo** — to gotowość bezwarunkowa stania się ofiarą swego ideału. (a — b, 1 — 7<sup>172</sup>). Por. odwaga.

**Miłość** (ponadpłciowa), to uduchowanie, (por.) przejawiające się w stanach psychicznych dodatnich, jak: ufność (ob.), sprawiedliwość (ob.), szlachetność (ob.). O miłości takiej św. Jan Apostoł (IV.9-21. „Lekcje i Ewangelje“, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904, str. 190) powiada, że: *Bojaźni niemasz w miłości, ale miłość doskonala precz wyrzuca bojaźń, bo bojaźń ma utrapienie. A kto się boi, nie jest doskonały w miłości...* La Rochefoucauld zaś twierdzi, że miłość niszczy zalotność, a Nietzsche, że „wybacza ukochanemu nawet żądzę“. (a, 1 — 7<sup>172</sup>). Lecz i o miłości czysto fizycznej, a właściwie o oczywistej dla ludzi pierwotnych syntezie miłości jednej i drugiej, czytamy w liście Menelika II, cesarza Abisynii, do Humberta I, króla Włoch, co następuje: „Szczytem... cynizmu i infamii jest fakt, że ci, co się mienią cywilizowanymi, nie mają skrupułów kupować małych dzieci, (poczem) dla zgaszenia w ich sercach wszelkich wzniosłych uczuć... kastrują je bez litości“... (Józef Kalmer i Ludwik hr. Huyn: „Abisynia“. Warszawa, Trzaska, Ewert, Michalski, str. 229). Miłość to głębokie wżycie się w coś „umiłowanego“; nienawiść (ob.) to stanu tego antyteza. Dlatego też warunkiem miłości jest zdolność do współbytu z kimś harmonijnego, a cechą nienawiści — dysharmonja. Chcąc krzewić miłość, nie dość jest tedy głosić ją (co może wywoływać i skutki wręcz odwrotne!) lecz należy działać w kierunku harmonizowania warunków życia, co daje się osiągać *sub specie aeternitatis* przez pogłębianie rozumienia go, a *sub specie vitae* przez usuwanie kolców z jego dróg. Nie samym bowiem chlebem, ale i nie samym słowem żyje człowiek. Por. nadzieja, strach, spokój, szczęście.

**Miłosierdzie**. Podobnie jak sprawiedliwość (ob.), której przesłanki tkwią w przyrodzie, a której poczucie występuje już u dzieci, tak też, jako przesłankę analogiczną miłosierdzia, wyprzedzającą rozwojowo ludzką jego nadbudowę moralną, mógłbym tu przytoczyć spostrzeżenia własne, że np. gołębie — nawet wśród walki o miejsce na gniazdo — nie atakują piskląt swych przeciwników, jakby wiedzione nakazem ochrony swego gatunku, czemu na szczeblach wyższych rozwoju odpowiada uduchowanie (ob.).



**Moralny rozwój.** ob. Rozwój moralny.

**Mściwość** — to (warunkowe) wyładowywanie nienawiści (ob.) ciulanej przez czas pewien przeciw komuś<sup>174</sup>. (b. 4 — 7<sup>172</sup>). Por. fałsz, obluda. Możliwy też bodaj powiedzieć, że mściwość to poszukiwanie naruszonej sprawiedliwości (ob.) w gniewie (ob.).

**Nadzieja**, ob. ufność, por. miłość, prawda. Jeremjasz (XVII.13-18) zdaje się utożsamiać nadzieję z miłością, przeciwstawiając tej ostatniej (nadziei-miłości) strach. Woła on do Boga: „Nie bądźże mi Ty na strach — nadziejo Ty moja w dzień utrapienia“!... Por. przyp. 172.

**Nienawiść** — to ferment strachu, trzymanego w jego postaci czynnej na uwięzi przez nienawidzącego, z powodu niemożności zwycięskiego wyładowania go w odwecie pomsty (ob.) na znienawidzonym. Uczucie nienawiści to bodaj naczelną z nieodruchowych tylko, bo utrwalaonych mniej więcej na gruncie życia, reakcyj wybuchowego jeszcze, bo porywistego z natury swej (jak popęd płciowy<sup>172</sup>) strachu<sup>172</sup>. To prymitywny a prątypowy odwet psychiczny za oścień przewagi, narzuconej, a zwłaszcza narzucanej przez pogromcę — zestrachanemu walką lub zawiedzionemu w nadziei zwycięstwa przeciwnikowi. To też tylko słabszy istotnie (t. j. duchowo) człowiek jest zdolny nienawidzić silniejszego. Normalnie a zasadniczo nie bywa nigdy inaczej — bez względu na źródło nienawiści — nawet gdyby miał być niem odwet za zawiedzioną miłość<sup>174a</sup>. Samo już zresztą utrwalanie się w człowieku toksyny uczuć ujemnych świadczy o stosunkowej słabości jego życiowej lub duchowej, albo — co najpewniejsza — o jednej i drugiej zarazem. Odpowiednia bowiem siła życiowa pozwoliłaby nienawidzącemu ugasić pożerający go płomień w falach pomsty; duchowa zaś — w źródle wody żywej<sup>175</sup>. Mylił się też ciężko Jaurès, twierdząc, że „tylko nienawiść jest urodzajna!“ Rzeczy mają się bowiem wręcz odwrotnie. Urodzajnym cywilizacyjnie, t. j. płodzącym nabytki trwale dla świata może być zasadniczo tylko moralnie silny charakter twórczy, a ten powstaje jedynie z miłości, lub poprzez miłość. Nie wyklucza to oczywiście faktu, że ktoś może miłować ideał, znienawidzony przez kogoś innego, co potrafi stwarzać na tle komplikacji życiowych pozory istnienia „nienawiści twórczej“. — To też bolszewicy, uprawiający programowo kult nienawiści klasowej, jako (rzekomej) pramacierzy „cnót obywatelskich“, po-



pełniają ciężki błąd psychologiczny, iście zasługujący na odprawę w słowach: *c'est pire qu'un crime — c'est sot!* Pramacierzą bowiem nastrojów w zrozumieniu cywilizacyjnym zbrodniczych — o które im chodzi, nie jest nienawiść, lecz — strach<sup>172</sup>, albowiem najprostsza już obserwacja wykazuje, że zanim stworzenie coś czy kogoś pocznie nienawidzić, to się owego czegoś czy kogoś boi. A i prosta logika prowadzi do wniosku, że prastanem psychicznym, skutecznie broniącym słabego przed silnym nie może być zaślepiająca pierwszego z nich nienawiść, lecz superlatyw prymitywnego skupienia się człowieka w sobie — strach. Słusznie też szatan, bóg zła, zwykł występować w beztroskiej humorystyce ludowej, jako... tchórz. Wprawdzie miłości zwykło się najpowszechniej przeciwstawiać nienawiść, nie zaś strach: przyjętą ogólnie antytezę męstwa (por.) i odwagi (por.) — wszelako leży w tem wyraźnie pomieszanie — jeśli nie pojęć samych, to błędnie przeciwstawianych sobie na jednej płaszczyźnie, różnych stopni ich natężenia, a stąd i różnych nieraz ich wyrazów, w zależności od różnych szczebli rozwoju<sup>176</sup>. Nam idzie tu o szczebel I., nie zaś o jakikolwiekbyś inny właściwego „schematu“ rozwoju<sup>172</sup>, kiedy to z jednej strony (a. 1) miłość (płciowa i macierzyńska) istnieje już niewątpliwie, ale z drugiej (ob. strach. b. 1.) na nienawiść, jako na zjawisko życiowo i psychicznie stosunkowo zbyt już złożone, byłoby jeszcze zawcześnię... Ze zresztą niepodobna zamieścić nienawiści wśród zjawisk *ab ovo* (jak strach) — najlepszym tego dowodem jest okoliczność, że nienawiść mogła powstać dopiero na podłożu pamięci, będącej uzdolnieniem psychicznym, zwłaszcza w sferze abstrakcji<sup>177</sup>, (bez której nienawiść pomyśleć się nie da!) o wiele bardziej złożonym, aniżeli strach, występujący już odruchowo, jako skurcz dośrodkowy (charakterystyczna to cecha lęku-strachu!) w mięśniach, mechanicznie podrażnionych... A więc: jakże daleko stąd do owąd! Na podanym tu wyżej schemacie<sup>172</sup> — nienawiść nie dałaby się bodaj umieścić przed szczeblem 4-tym! (Por.: furja, mściwość, obłuda, sponiewieranie, strach, wstręt, wstyd, zawiść, zazdrość. b. 4 — 7<sup>172</sup>).

**Nie sprawiedliwość:** Moc reakcji psychicznej stworzenia reguluje w znacznej mierze nietylko sama siła bezpośrednia danego bodźca, rozumiana mechanicznie, lecz — rodzaj i stopień sugestji siły, emanowanej przez ów bodziec w danej chwili. Najcięższa nawet „krzywdą“



życiowa, zadana komuś przez ślepą siłę natury, nie pociąga za sobą normalnie pełnej reakcji psychicznej pokrzywdzonego. Podobnie, acz mniej już wydatnie, chroni krzywdziciela od reakcji takiej charakter jego zbiorowy (*vide*, gromada, masa, armia, naród i t. p.), a nawet, w stosunku do zbiorowości podobnej — przedstawicielski czy reprezentacyjny (*vide*: najeźdźca, wódz, monarcha, sędzia...). Analogicznie kształtują się tu rzeczy i w stosunku do (ujmowanego po ludzku) Boga. — Pełnię reakcji przeciw niesprawiedliwości emanuje nade wszystko równy względem równego, (bo i nie słabszy względem silniejszego); znaczy to, że, jak we wszystkim, tak i tutaj pełnia (jakby Newtonowskiej) akcji-reakcji wymaga niezbędnie odpowiedniego układu czynników współrzędnych, czyli: harmonii. Ob. sprawiedliwość, por. gwałt, krzywda.

Nieszczęście, ob. strach, por. szczęście.

Nieufność, ob. ufność.

Niewdzięczność, ob. wdzięczność. Por. w tekście książki niniejszej rozdział p. t. „Grzech“.

Obluda — to wyraz maskowanej przez człowieka (słabego stosunkowo) tęsknoty za siłą, przy pomocy której mógłby on pokonać zwycięskiego, znienawidzonego, a conajmniej niemiłego mu komparsa-przeciwnika. La Rochefoucauld powiada, że „obluda to hołd, jaki występki składa cnocie“ (albo — dodajmy: słabość — *sile*). (Por. fałsz, kłamstwo, lęk, mściwość, pokora, skandal, szczerość, uprzejmość).

Obrażliwość (miłość własna), por. duma, pycha.

Oburzenie, ob. gniew, por. złość.

Odważa — to bodaj fragment męstwa (ob.), czynnego w danej chwili (a — b, 1 — 7<sup>172</sup>). Por. lojalność.

Pocziwość, por. wdzięczność.

Pokora, (ob. gniew, por. lęk, obluda oraz zło). — Z punktu widzenia duchowego (ob.) pokornym należy być, a raczej niepodobna nie być wobec Boga, co (gdy nie znamy Go poza człowiekiem i ludzkością) innemi słowy znaczy, że pokornymi winny być niziny (materialne) człowieka wobec istotnych (t. j. duchowych) jego wyżyn. Taką harmonia może powstać tylko w człowieku pełnym —



naprawdę; por. w tekście książki niniejszej rozdział p. t. „Żal”. Św. Tomasz à Kempis (O naśladowaniu Jezusa Chrystusa, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1887, str. 66) łączy pokorę z pokojem, a pychę — jej antytezę — z zadróżnością (ob.) i gniewem (ob.).

P o k u s a, por. cierpienie.

P o m s t a, ob. mściwość.

P o n i e w i e r k a, ob. sponiewieranie.

P r a w d a — to synteza możliwie harmonijna wszechpragnień danego człowieka, jaknajrdzenniejszej i jaknajgłębiej z nim związana i przeto jaknajistotniej subiektywna, a połączona z takąż jego wiarą (ob.) w ziszczalność pomienionych pragnień. Nie bez związku z tem padły słowa: *Jakoś uwierzył, niech ci się stanie*<sup>178</sup>. Ujmując rzeczy jak najściślej, trzeba tu powiedzieć, że tyleż jest pragnień głębinowych, a wraz z nimi przystosowujących się do nich wierzeń, dalej zaś — „prawd”, ilu jest ludzi, przy czem przyrodzoną tendencją psychiczną każdej z tych „prawd” jest ich nieustępliwość względem „prawd” innych w powodzeniu, a żądanie ustępliwości dla siebie od innych w niedoli. Tkwi w tem odbicie wierne prawd powszechnych natury, których imię: *ote toi que je m'y mette*, a leży w tem zarazem punkt ciężkości dramatu wiekuistego dusz ludzkich, w którym ulgę nieść może jedynie pogłębianie kultury, t. j. oświecanie świadomości psychicznej człowieka aż do wpojenia jej zasady rozważania na jednej płaszczyźnie siebie i innych. Obiektywizując, możliwie jaknajbezstronniej, psychologiczne to zagadnienie historycznie, w ramach mas ludzkich, należałoby — wbrew wszelakim pozorom materialistycznym, stwierdzić, że — jak dotąd — względnie zwyciężskiemu w życiu „prawdami” powszechnemi ludzkości były w kolei dziejów: 1° prawdy religijne i 2° prawdy narodowe. Co do wszelkich „prawd” innych, nie wyłączając społecznych i ekonomicznych, to, lubo migotliwe ich przeblyski jako współczynniki, pojawiających się obok czynników głównych, występują w świecie oddawna — nie dorównały im one podziśdzień nigdy i nigdzie. Razem wzięwszy — zarówno rodzaj roli psychicznej, jak dzieje „prawdy” ludzkiej — zdają się stwierdzać obiektywnie niewątpliwą dotąd — wbrew pozorom życia — przewagę ideową „ducha” nad „materją” w świecie ludzkim. Ponieważ zasadą wszechrzeczy jest ich względ-



ność, a zgodnie z tem zjawiska wszelakie są przez różne umysły ludzkie analizowane i syntetyzowane rozmaicie, płynie stąd wspomniana rozmaitość „prawd“, z których każda jest sobą. Zasadniczo stosunek wzajemny tych „prawd“ niezliczonych pomiędzy sobą jest takiż sam, jak wszelakich zjawisk, rzeczy i stworzeń innych t. j. przyjazny w płaszczyźnie podobieństw wzajemnych a wrogi w płaszczyźnie odmienności celów i dążeń, nie wyłączając form pospolitych bytu. T. zw. (w rozumieniu dodatniem) „kultura“ polega na konsekwencjach wyrozumiewania tego stanu rzeczy; t. zw. „barbarzyństwo“ zaś — na jego zapoznawaniu. To ostatnie, cechujące nadewszystko a gęsto atmosferę barbarzyństwa, zwłaszcza w jego nieuniknionych „krótkich spięciach“ z „kulturą“, obfituje nadto w bezmiar cierpień (ob.) ludzkich bezpłodnych. A są one wysoce znamienne. Nikt np. nie cierpi dlatego, że nie może chodzić na głowie, lecz ludzie cierpią — i to bardzo — z powodu, że wierząc w ziszczalność (nieraz absurdalną) życiowej „prawdy“ własnej, zapoznają aż nazbyt często nietylko ziszczalne (istotnie — niekiedy zaś jedynie) prawdy cudze, lecz wraz z tem i potencjonalnie realne siły własne. Najwspanialsze nawet, ze względu na treść swą istotną, czy (w pojęciu biologicznem) „substancję twórczą“, wzloty i nastroje, powstające w danej „duszy“ — mogą, a najprzeważniej i muszą stawać się zarzewiem piekieł w stosunku do „duszy“ innej, o ile „dusze“ te, ożywiające typy odmienne, nie są zdolne zestroić się we wspólnej harmonii. Dlatego to, jak mawiano u nas: „dwa dobrane szatany zdolne są stworzyć raj dla siebie, a dwa niedobre anioły — dno piekieł“. Tkwi w tem „tajemnica“ psychiczna roli światoburczej „nieporozumień“, oraz potęgi „zgody“, której mocą *res parvae crescunt*, a tąż samą „tajemnicą“ rządzi się i mechanika wszechrzeczy, oparta na harmonii. Mechanikę opanowuje człowiek oddawna już przy pomocy myślenia matematycznego: „duszy“ strzeże jednak podziśdzień jeszcze pilnie od wpływu prawd psychologicznych! Z czasem jednak, choć „prawda“ każdego z nas jest wciąż jeszcze nadewszystko subiektywną — oświecili ją *pro publico bono* szczytów kultury człowieczej. Por. kłamstwo, miłosierdzie, wiara, nadzieja, miłość, ufność). Nadto w tekście książki niniejszej por. rozdział p. t. „Nastroje“.

**Prostactwo**, ob. prostota, por. gniew.

**Prostota** potrafi sprawy skomplikowane wyrazić prosto



i jasno; prostactwo — wręcz odwrotnie — sprawy najprostsze gmatwa i komplikuje <sup>179</sup>.

**Przerażenie**, ob. strach, por. lęk.

**Przyjaźń** — to w rozumieniu potocznym bliski stopień zbratania się kogoś z kimś (zasadniczo: tejże płci). W rozumieniu socjologicznym jest przyjaźń na tle życia zbiorowego stanem anormalnym, sprzyjającym, zwłaszcza ze strony ludzi możniejszych, forytowaniu ludzi najmniej wartościowych (np. pochlebców), ze szkodą ludzi prawych. Nadto — *vice versa* — człowiek głębszy, stający na każdym kroku wobec niewiedomego i daleki przeto od niezachwianego poczucia pewności siebie, staje się łatwo, nawet w roli protektora, pastwą wyzysku moralnego ze strony nie liczących się z niczem „przyjaciół”. „Przyjaźń” — poza wyjątkami, rzadszymi niż cośkolwiek — polega tedy najprzeważnie na pozorach dobra, tuczających zło. O przyjaźni „prawdziwej” mówi wprawdzie La Rochefoucauld, że niweczy ona zazdrość, ale możnaby tu od ręki zadać pytanie, na jakimże to gruncie przyjaźń taka powstała? Jeśli na dobrym, to skąd wzięła się tam zazdrość, a jeśli na złym, to czemużby miała ona kapitulować przed powodzeniem życiowym „przyjaciela”? Por. wdzięczność.

**Pycha** — to odpowiednik materialistyczny dumy (ob.), mniej od niej — zwłaszcza na wyższych szczeblach kultury — wrażliwy na sponiewieranie (por.). Pycha, nade wszystko wśród nastrojów materialistycznych świata — łączy się wydatnie z dążeniem do (jaknajtańszej kulturalnie i duchowo) przewagi nad otoczeniem, co umieszcza ją genetycznie w sferze strachu (ob.), obrońcy naczelnego instynktu samozachowawczego, posiadającego też same naogół, co i pycha, cechy istotne. Por. gniew, snobizm, zazdrość, zło (b. 4 — 7 <sup>172</sup>).

**Religia**, poczucie religijne — to w gruncie rzeczy poczuwanie się człowieka do odpowiedzialności wobec własnego swego istnienia. Atoli większość wyznań ogranicza się do sfery stosunków międzyludzkich, nie wyczerpując pełni psychiki człowieka. Por. wiara.

**Rozum**, ob. mądrość. Zło jako rozum ludzi anormalnych (i głupich) por. p. t. Zły człowiek.

**Rozwój moralny**, por. sprawiedliwość, wstyd.

**Skandal**, por. fałsz, obłuda.



**Smutek** — to tęsknota (ob.) za ziszczeniem się pożądan<sup>180</sup>, nurtującego człowieka w danej chwili. Smutek ani tęsknota nie są tedy w zasadzie atrybutami jednego tylko z rozważanych w książce niniejszej biegunów psychicznych. Mogą ciążyć nad obu (a — b, 1 — 7<sup>172</sup>). Wszelako, na wyższych szczeblach rozwoju moralnego (ob.), zwykło się wiązać zarówno smutek, jak tęsknotę — nadewszystko z uduchowieniem (a. 1 — 7<sup>172</sup>). Por. kłamstwo.

**Snobizm** — widzenie siebie oczami innych — to najwyższy bodaj wykwit kultu gromadzkości nie tylko zewnętrznego, ale i wewnętrznego. Świadczy on — tembardziej im jest „doskonalszy“ — o pustce duchowej swych adeptów i dlatego — mimo towarzyszących mu często, ludzających pozorów „ducha obywatelskiego“ i „cywilizacji“ — winien być zaliczony do zjawisk, ujemnych moralnie (b<sup>172</sup>). Ob. pycha, por. uduchowienie.

**Spokój** — niepokój, ob. szczęście — nieszczęście; por. miłość — strach.

**Sponiewieranie** (kogoś) — to jakby zakwestjonowanie fizyczne lub moralne, albo jedno i drugie zarazem, czyjejs racji bytu. To też przeciw sponiewieraniu — nie mniej bodaj niż w obronie życia — reaguje instynkt samozachowawczy człowieka. (b. 4 — 7<sup>172</sup>), por. duma, oraz w tekście książki niniejszej rozdział p. t. „Żal“.

**Sprawiedliwość.** Prawo Newtona, opiewające ścisłą zależność akcji-reakcji i odwrotnie w przyrodzie martwej, znajduje pełne swe zastosowanie w świecie zwierzęcym (o czym będzie mowa niżej), jak i w psychice ludzkiej. Siła uderzenia czy nacisku, wywartego na danem ciele fizycznym, odpowiada automatycznie także siła jego reakcji (por. gwałt). Badany przez prof. Iwana Pawłowa pies wydzielał sok trawienny w zawisłości od pewnych bodźców, przyczem ścisłość zachodzącej tu koordynacji zasługuje w granicach naszego poznawania na miano „doskonałej“<sup>181</sup>. Niemniej imponującą jest i przystosowana do danych potrzeb, zdolność ruchowo-przestrzenna (ślepego od urodzenia) kota, oparta — obok fenomenalnej jego spostrzegawczości, — na pamięci, przewyższającej pamięć człowieka tysiące razy<sup>182</sup>. — Przykłady podobne stwierdzają, że już w zawrotnych otchłaniach prymitywu życia jest zasada zjawiska, zwanego przez nas „sprawiedliwością“, prostym wyrazem



prawa równowagi, która, wiążąc cząstki bytu w nieprzeliczone jego zestroje, stoi jednocześnie na straży wszechharmonii, warunkującej życie. — Z punktu widzenia humanistycznego wonne kadzidło spalił na jej cześć mądry Talleyrand w słowach: *Tout ce qui est exagéré, est insignifiant*, co dałoby się wyrazić w języku potocznym w słowach: To, co narusza daną równowagę (= co nie jest sprawiedliwe) — nie ma sensu. — Trzeba np. stwierdzić, że oś cywilizacji i ożywiającej ją moralności istotnej — poczucie odpowiedzialności — nie może powstawać w życiu naprawdę pod wpływem poszumu słów czy hasła, jak się to ludziom wydaje niekiedy — lecz jedynie jako skutek psychiczny danej sytuacji życiowej, nakazującej człowiekowi normalnemu, t. j. przystosowanemu kulturalnie i moralnie do danego środowiska — odpowiednie ustosunkowanie się do życia, czyli narzucającej mu — bodaj automatycznie, w zależności od warunków — postać odpowiednią stosunku świata jego wewnętrznego do zewnętrznego. Między innymi, znajduje to wyraz swój wymowny w przykazaniu: kochaj bliźniego swego jak siebie samego. Odpowiada ono ściśle prawom rzeczywistości bytu i dlatego to nawet miłość (wyłączna względem kogoś) a wywołująca jednostronność życiową (krzywdzącą innych) — jest „grzechem“ i to zasadniczym, gdyż krzywda, komuś zadana, to niesprawiedliwość, będąca zwichnięciem równowagi moralnej, a więc: wszechistotnej. — Ludzka idea sprawiedliwości, to jakby refleks równowagi psychicznej człowieka, wypowiadającej się przez miłość uduchowioną (ob.). *Albowiem Królestwo Boże jest sprawiedliwość i wesele w Duchu Świętym* (św. Paweł do Rzymian XIV.17). „Duch Ewangelii jest objawem najwyższym świadomości ludzkiej, szukającej szczęścia w sprawiedliwości“ — powiada Loisy („*Quelques Lettres*“, str. 71). Por. rozwój moralny, wdzięczność. W tekście książki niniejszej por. rozdziały p. t. „Odrodzenie“.

**S t r a c h** — to napięcie psychiczne dośrodkowe, gdy miłość (ob.) — wręcz odwrotnie — jest napięciem psychicznym odśrodkowym. Oba te napięcia mogą przewyższać potęgą swą dane życie i nieść stworzeniu zagładę. Antytezę strachu — miłość, łączy wyobrażenia ludzka ze szczęściem — rajem; strach, zarówno psychologicznie, jak semajologicznie<sup>183</sup> zestawia z potępieniem, piekłem, przekleństwem. Iwan Bunin pisze: „Z pragnienia rodzi się chęć radości, z radości powstaje zgryzota, z radości



i zgryzoty — strach“... („Czara życia“, Warszawa, J. Przeworski 1934, przekład Jana Lorentowicza, str. 56)... Zarówno jednak miłość jak strach są w zasadzie objawami instynktu samozachowawczego, skierowanego i tu i tam — zależnie od okoliczności — ku ochronie gatunku poprzez dane stworzenie. Por. furja, lęk, nienawiść, niepokój, nieszczęście, przerażenie, tchórzostwo. (b. 1—7<sup>172</sup>). Ob. wiara, nadzieja, miłość

**Sumienie**; wyrzuty sumienia. Ob. wstyd; por. w tekście książki niniejszej rozdział p. t. „Grzech“. O sumieniu, podobnie jak o sercu — i to bez zająknienia — prawią najchętniej najwięcej ci, co ich sami nie posiadają, (por. przyp. 229, 273).

**Szczerłość**, zmierzająca do wyposażenia pełni nieuszczerbionej natury ludzkiej w folgę zupełną na tle życia, przypomina używaną w lecznictwie nitroglicerynę, która ułatwia tkankom oddychanie w chorobie, a rozsądza je w stanie zdrowia. W ramach cywilizacji szczerłość nieskrępowana nie jest do pomyślenia choćby dlatego, że sama cywilizacja stoi na wzajemnem tolerowaniu przez ludzi przywar swoich, gdyż: „delikatnym jest ten, kto cudze niedelikatności znosi<sup>184</sup>“. — Nieszkodliwe, użyteczne, ba! budujące posługiwanie się szczerością zawisło od taktu, ów zaś, jako umiar, sam opiera się przede wszystkim na przystosowaniu odpowiednio do danych okoliczności szafowaniu szczerością. — Koniec-kóńców — jak *summum ius* — *summa iniuria*, tak i szczerłość bezwzględna, to zarazem bezwzględny egoizm, zaprawiony (najpewniej!) egoizmem bezwzględnym, wskutek którego i „najwyższa z cnót“, szczerłość, przeobraża się automatycznie w szczyt niecnoty, prowadzącej brutalnością swoją tych, z którymi współżycie jest i wyrazem i fundamentem racji kulturalnych cywilizacji. Można by też powiedzieć, że szczerłość, będąca najwyższą z cnót w nurtach istnienia, zdolna jest stać się automatycznie największą niecnotą na jego powierzchni. Trudno bodaj o lepszy przykład, o doskonalszy arcywzór względności humanistycznej zjawisk psychologicznych. Por. obłuda.

**Szlachetność** — to nasycenie moralne biegunem dodatnim (a.<sup>172</sup>) przez człowieka stosunku jego do życia, a w ramach jego — do wszystkiego i wszystkich. Por. miłość (ponadpłciowa).

**Szczęście** — nieszczęście. Ob. cierpienie, miłość — strach.



**Tchórzostwo** — to folga, dana strachowi (ob.). Por. odwaga, lojalność. Por. nadto w tekście książki niniejszej rozdział p. t. „Bunt“.

**Tęsknota** — to wyraz duchowy stanu, który fizjologicznie, np. w stosunku do łaknienia napoju, a pod przenosią powszechnie, w stosunku do wszelakich łaknień innych, fizycznych i duchowych, nazywa się — pragnieniem. Tęsknota w cywilizowanym rozumieniu dzisiejszem — to pragnienie, wyłaniające się ze sfery duchowej (ob.) człowieka.

**Uczciwość** — ob. sprawiedliwość.

**Uduchowienie** to stan psychiczny, w którym człowiek nie dba w gruncie rzeczy ani o siebie, ani o sprawy swoje, z wyjątkiem jednej: spoglądania na wszystko nie poprzez siebie, lecz — zpoza siebie. Muzykolog, prof. Bronisław Rutkowski, mówiąc, (przez radio warszawskie dn.1.XII.1936 r.) o dawnej muzyce, między innymi zaznaczył, że treść jej — podnoszenie duchowe człowieka — bywa zawsze jedna. Tylko „język“ jej — forma zewnętrzna — bywała i bywa różna. Niemożnaby też o muzyce, jak np. o maszynie, powiedzieć, że późniejsze jej okazy są od wcześniejszych „wyższe“ czy „lepsze“: że treść jej ulega ewolucji... Podzielając w zupełności pogląd ten, dodajmy, że toż samo trzeba powiedzieć naogół o wszelakich emanacjach ducha (ob.) w człowieczeństwie, a przeto i o „duchu“ samym, gdy przeciwstawiamy go „materij“ (ob.). Człowiekiem i ludzkością rządziły i rządzą stwierdzone przez nas obiektywnie „prawa natury“, poprzez które przebiegała się i przebiega subiektywnie, na podłożu świadomości ludzkiej, cała, nie dająca się wyczerpać obiektywnie głębia procesów, składających się na to również, co nazywamy głosem Bożym. Przeczyć mu jako zjawisku psychologicznemu, twierdzić: czego, jak i czemu pożąda on od natury, albo li też w imię jego zaprzeczać racjom tej ostatniej — wszystko to stanowi jedynie dowód dziecięctwa naszego, przed którym zdaje się słać w danych warunkach na przyszłość wręcz niezmiernie jeszcze droga rozwoju. Tymczasem atoli, przejściowa w pojęciu ewolucyjnym niedojrzałość nasza psychiczna, przestając już składać się tu i owdzie na zupełną w życiu przewagę materializmu, lecz nie będąca jeszcze osiągalnem w temże życiu uduchowieniem, musi prowadzić do ciężkich wstrząśnięć, które osłabiać



może jedynie pogłębianie kultury danych środowisk. Ona to sprawi, że mimo tarć najgłębszych, zachodzących w ludzkich światach wewnętrznych, życiowa ich powierzchnia pozostanie gładką. Nie inaczej objawi się na zewnątrz i uduchowienie—korona cywilizacji. Za szczytną a błyskawiczną ewolucję naturalną uduchowienia wybranych możnaby poczytywać poniekąd i zenit jej — Objawienie. Ob. miłość (ponadpłciowa), miłosierdzie, por. snobizm; por. nadto w tekście dwa rozdziały ostatnie.

**U f n o ś ć** — to stosunek dodatni do życia i świata, płynący z harmonii wewnętrznej człowieka, sprawionej przez miłość (a <sup>172</sup>), a narzucający się jako dobro, otoczeniu, nawet pogrążonemu w dysharmonii zła i jego artybutów (b <sup>172</sup>). **U f a ć** — jest to bowiem: stwierdzać zgodność czyjejś „prawdy” za swoją własną, a czyż jest to psychologicznie możliwe poza sferą miłości? Por. miłość, nadzieja, prawda, sprawiedliwość, szlachetność, uprzejmość, wiara, zaufanie.

**U p r z e j m o ś ć** — to w zasadzie forma stosunku człowieka do człowieka, kryjąca w sobie treść ufności (por.) jego — szczerzej (a. 5 — 7 <sup>172</sup>) lub fałszywej (b. 5 — 7 <sup>172</sup>) w stosunku do otoczenia. Por. obłuda, ufność.

**W d z i ę c z n o ś ć**, pocziwość, przyjaźń, życzliwość i t. p. pojęcia i określenia — raczej konwencjonalnie towarzyskie, niż poważniej życiowe, ograniczają się w praktyce najprzeważniej do naskórka „rzeczywistości”, nie przenikając (poza rzadkimi wyjątkami) wgłąb życia, zwłaszcza może czasów naszych. W ostatnim jednak przypadku, aby uniknąć nieporozumień, należałoby wyjątki takie — poważnie już, t. j. szczerze — określać zgoła inaczej. Np. z kolei jako: sprawiedliwość, dobroć, uczciwość, „ludzkość”... Co do „wdzięczności” — to gdyby ożywiła ona ludzi naprawdę — świat stałby się w okamgnieniu rajem (a <sup>172</sup>) a tak przecież nie jest (b <sup>172</sup>). Wszak wdzięczność istotna to właściwie — w rozumieniu psychicznym — akt najgłębszej podzięki, składanej za doznawane dobro, Bogu, na ręce ludzkich Jego pośredników... A przecież — w nieuniknionym naszym życiu zbiorowym — najwyżsi jego chorażowie historyczni: narody, państwa, dynastje, rządy, mężowie stanu, politycy, ani na koniec „mocodawcy” ich — ludzkie masy przeogromne — nie liczyli się nigdy i nigdzie z niczem mniej, niż z... wdzięcznością... Może dlatego, że t. zw. rzeczywistość ra-



chuje się tylko z... życiem, a ono — płynie... Koniekońców niepodobna zaliczyć wdzięczności, podobnie jak świętości czy geniuszu, do zjawisk powszednich. Mimo to wszystko, wyraz: „niewdzięcznik“ wypowiadamy z oburzeniem: Czyżby w myśl nie władających jeszcze bytem ludzkości, lecz zasadniczych przeznaczeń jej rozwoju? Por. sprawiedliwość, oraz w tekście książki niniejszej rozdział p. t. „Grzech“.

**W i a r a** — nadzieja, (ob.), powszechnie a jakże trafnie łączone z miłością (zwłaszcza już uduchowioną, a. 5—7<sup>172</sup>) stanowią wyraz najistotniejszy w życiu i dziejach cywilizowanych świata. Miłość (ob.) bez nadziei nie byłaby w pełni sobą, bo nie krzesałaby z siebie wiary, stanowiącej oś wszelkiej kultury, a cóż dopiero cywilizacji historycznej! Z punktu widzenia psychologicznego, wiara, nadzieja i miłość, to właściwie trzy oblicza jednego i tegoż samego w swej istocie stanu psychicznego. Ob. miłość, por. prawda, religja, ufność.

**W s t ręt** (moralny) to jakby nienawiść (ob.) uduchowiona (!!), a ściślej mówiąc: spotęgowane oburzenie (por.) Trafnie też powiada Nietzsche, że „wstręt do brudu (moralnego) może być tak wielki, że nie pozwala się (człowiekowi) usprawiedliwiać — oczyszczać“, a św. Tomasz à Kempis<sup>185</sup> (jakgdyby do powiedzenia tego) dodaje: „...św. Paweł... cierpliwością tylko i pokorą zastawiał się przeciwko złym i kłamliwym językom, miotającym fałsze i potwarze“... Por. dobro — zło.

**W s t y d.** Na jego dnie, w chwili jego napięcia, zdaje się panować nad człowiekiem tegoż człowieka poczucie słabości własnej wobec czyjejś przewagi. Z tego zaś, psycho-mechanistycznego założenia, zazębiającego się w toku rozwoju o sferę ducha (ob.), który przenika stopniowo wszystko co ideowo ludzkie — zdaje się powstawać impuls moralny świadomości na temat harmonii lub dys-harmonii danego „ja“ ludzkiego z duchem, jako (chwilowym bodaj) superlatywem jego i innych. Prapierwotny strach (ob.), ocierając się z tą chwilą o duchową już sferę miłości własnej człowieka, wplata ją — poprzez mechanistyczne prymitywy wstydu — w poczucia ludzkie wyższe, rodząc w nich wyrzuty sumienia (por.)—zawiazek i zadatek trwałości rozwoju moralnego (ob.). — Inaczej te rzeczy ujmując, możnaby powiedzieć, że wstyd — to refleks tęsknoty (ob.) za „niewinnością“ — to



strach (ob.) moralny, wyrosły kędyś na pograniczu a — b<sup>172</sup> — w fazie, bodaj zbliżonej już do szczybli 4 — 5<sup>172</sup>. Człowiek dąży bowiem do równowagi swego świata wewnętrznego z zewnętrznym, a w dążeniu tem instynkt jego samozachowczy — tenże sam, który stoi na straży jego życia — smaga go *sui generis* strachem (b<sup>172</sup>) w chwilach, kiedy pomieniona równowaga (por. harmonia) jest zagrożona. „Profilaktyczny“ strach taki — to właśnie wstyd, stanowiący awangardę ochrony przed niebezpieczeństwem wyższego w rozumieniu rozwojowym, pokroju. Zestawiając wstyd z nienawiścią (por.), możnaby powiedzieć, że gdy prymityw pierwszego zakrawa psychologicznie na rozwojowy objaw wstępny strachu (b<sup>172</sup>), to druga — choćby i w stylu nader jeszcze pierwotnym — raczej na zstępny.

W y b i e g, ob. kłamstwo.

W y r z u t y s u m i e n i a, por. wstyd.

Z a u f a n i e — to ufność (ob), ograniczona przez zakres danej powierzony komuś sprawy. Por. przyjaźń, wdzięczność i t. p.

Z a w i ś ć — to zarówno psychologicznie jak i semazjologicznie<sup>186</sup> zazdrość (ob.) ograniczona co do zasięgu rzeczowego, lecz spotęgowana nieraz do granic nienawiści (ob.). La Rochefoucold twierdzi, że: „najlepszym dowodem, iż ktoś urodził się z zaletami, jest brak u niego zawiści“. Por. sponiewieranie. (b. 4 — 7<sup>172</sup>).

Z a z d r o ś ć — to bezpośrednia bodaj podstawa psychiczna zbliżonego do niej, lecz silniejszego, mimo swych ograniczeń rzeczowych, stanu zawiści<sup>187</sup> (ob.). Zarówno jedna jak druga graniczą z nienawiścią (ob.), w różnym jednak a słabszym (zwłaszcza zazdrość) stopniu i zakresie (niż zawiść). Należą też obie wskutek słabszej (aniżeli nienawiści) mocy natężenia, hamowanego przez (obce nienawiści) bodźce łagodzące (a<sup>172</sup>) — do ujemnych stanów psychicznych względnych, t. j. warunkowych i słabszych oraz mniej trwałych niż nienawiść (b<sup>172</sup>), a dających się usunąć łatwiej — mniejszym kosztem — niż ta ostatnia. — Zarówno zazdrość jak zawiść może odczuwać — zwłaszcza trwalej, podobnie jak nienawiść — tylko człowiek (istotnie, t. j. duchowo) słabszy, względem silniejszego. Nadto, trudno oprzeć się wrażeniu, że zazdrość i zawiść to stany — w znacznej mierze bodaj psychopatyczne



(por. mądrość). Tylko bowiem człowiek b. słaby i nie mający przeto (bodaj słusznie!) poszanowania instyktownego, a więc zasadniczo normalnego, dla samego siebie, może zionąć zazdrością czy zawiścią względem kogoś. Czyliżby zazdrościł mu w gruncie rzeczy tego właśnie, że on sam nie jest... tamtym? A przecież powiedziano tak kąśliwie trafnie, że: „czem jak czem, ale rozumem wszyscyśmy zostali obdzieleni jaknajsprawiedliwiej, bo każdy (człowiek normalny!) zadowolony jest z tego, co dostał“... Genetycznie zazdrość i zawiść dają się stwierdzić bodaj<sup>188</sup> już na szczepku a — b. 2<sup>172</sup>. Por. gniew, pycha.

Z e m s t a, ob. mściwość.

Z ł o — d o b r o, ob. Dobro — z ł o<sup>172</sup>.

Z ł o ś ć, ob. gniew, oburzenie.

Z ł y c z ł o w i e k. Jest to pojęcie i miano, któremi — podobnie jak (pokrewnem w istocie!) słowem: „warjat“ — zwykło się zazwyczaj szafować ponad miarę, łącząc je (niewłaściwie, bo powierzchownie!) z pospolitemi a powszechnymi właściwościami ujemnymi człowieka, jak gniew (ob.), obraźliwość, złość i t. p. Tymczasem, w życiu środowisk cywilizowanych (a bodaj i innych!) człowiek zły naprawdę, t. j. odpowiednio unormowany psychologicznie, zdaje się należeć do wyjątków arcyzadkowych, godnych — jako osobliwość — bacznej uwagi społecznego strzegacza. — Lżby człowieka takiego scharakteryzować pokrótce a zasadniczo, dość może byłoby powiedzieć — na tle uczucia, zwanego przez Niemców *Schadenfreude* — że nie jest on jego — jak większość przeogromna ludzka — przygodnym i na okamgnienie przelotnym amatorem — lecz iście wiernym mu do ostatniego tchu, stałym, trwałym, niezachwianym i niezłomnym arcykapłanem-szermierzem. — A przytem „zawodowa“ służba jego i życiowe jej programy wymagają ciężkich nieraz „poświęceń się“, trudów, wysiłków i mokołów w stosunku do tych zwłaszcza „opornych“, co niełatwo w pajęczynę osobliwego nemroda dają się łowić. Razem wzięwszy, wygląda to na patologiczny sadyzm moralny (*moral insanity*) obłąkańca o gustach perwersyjnych, nakazujących mu lubowanie się krzywdą, zadawaną komuś tam nawet, a bodaj tam zwłaszcza, gdzie w pospolitem rozumieniu życiowym byłoby stokroć łatwiej czynić dobrze. Atoli — *de gustibus non est disputandum*, tem-



bardziej, że człowiekowi typowo złemu idzie nietylko o to, iżby zawsze i wszędzie, a nadewszystko ostatecznie być w życiu górą, lecz niemniej i o to także, aby „wyżyny” te osiągać wyłącznie przy pomocy swych metod swoistych. Wierzy on bowiem raczej w pozory siły (zła) aniżeli w siłę samą (dobrą). Jest mu zaś obojętne, że ulegną mu tylko ludzie bardzo słabi, którym do zrozumienia, a choćby tylko odczucia (życiowej) siły dobra nie dano było jeszcze dorosnąć. Ludzi takich jest zresztą na świecie większość przeogromna! Razem wzięwszy jest to tedy *sui generis* „zawód” klasycznie antimoralny, zasługujący tem słuszniej na to miano, że różnica rdzenna między człowiekiem dobrym a złym wydaje się naprawdę antypodyczną, gdy zważymy, że pierwszemu z nich zależy bardziej może na samej okoliczności ciągłego czynienia dobrze, niż na wynikach swych działań, zawisłych konieckońców od czynników nieobliczalnych. — Różnica między człowiekiem złym istotnie, a „złym” przelotnie, chwilowo, przypadkowo, jest również wydatną psychologicznie i moralnie, acz nieraz zaciera ją życie, zwłaszcza zaś powszechna niemal w świecie zbiorowym ludzkim jego przyziemność, dyktująca ironicznie znane powiedzenie: *Si le crime n'est pas toujours recompensé — la vertu est toujours punie...* Ostatecznie jednak, w duchu odwiecznych słów Jeremiasza<sup>189</sup>: *Przeklęty człowiek, który ufa w człowieku... Błogosławiony mąż, który ufa w Panu* — należałoby tu bodaj powiedzieć: Od tego jest cnota, aby — przegrywając w życiu — wygrywała w nieśmiertelności<sup>190</sup>. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy olbrzymie wstrząśnienia i przewroty czasów naszych sprowadzają nieraz nietylko ludzi przeciętnych, ale bodaj i lepszych od nich, na bezdroża... To też rzadcy naogół ludzie źli znajdują dziś liczniejszych niż zwykle adherentów i naśladowców, tworzących jakby *ad hoc* nowy poniekąd (przynajmniej ilościowo) gatunek psychiczny ex-chrześcijański i ex-cywilizowany. A nie jest to „odmiana” dla życia zbiorowego obojętna z tego zwłaszcza powodu, że niezliczeni ludzie przeciętni nie potrafią wystrzegać się jej równie bacznie, jak ludzi złych notorycznie. Przeciętny jednak człowiek normalny, skłonny do „złego” i „dobrego”, zdolny jest zarówno do cnoty jak niecnoty. Jeżeli jest gromadowcem, pławiącym się w atmosferze bliźnich, to ci — zwłaszcza w sferach kulturalnie niższych — ani nie gloryfikują go za byle akt „dobra”, ani nie potępiają za byle „ułomności”. To też tych



ostatnich wystrzegać się musi nadewszystko indywidualista — odynieć, nie tylko przez snobizm, ale również i przez wzgląd na ujemnie „przeczulone” względem niego otoczenie. W związku z tem mogłoby może powstać pytanie, co jest „moralniejszem” i „lepszem”: pełnienie „zła” powszechnego w towarzystwie innych, czy unikanie go w sposób (a czyliż jest inny?) wiodący do „wynoszenia się” człowieka ponad swe otoczenie? Pierwszy bowiem z tych przypadków to rodzic pokory (ob.); drugi — pychy. (ob.). Konieckóńców jednak człowiek — jak żadne wogóle stworzenie, nie jest w zasadzie ani „złem” ani „dobrem”: jest tylko sobą. Dopiero zespół jednostek takich wytwarza automatycznie w danych okolicznościach warunki powstawania komplikacyj, zwanych, czy będących w pewnem złożeniu zbiorowem ludzkim „złem” lub „dobrem”. To też w myśl powiedzenia: *Senatores boni viri — senatus autem mala bestia* — nie człowiek, lecz raczej ludzie bywają „zli”, a to — w świecie t. zw. cywilizowanym tembardziej, że stokroć jest łatwiej współżyć i współświadczyć „dobro” bliżnim co do poziomów życiowych współrzednym, aniżeli odmiennym. Są to bowiem różnice przeogromne, pociągające za sobą automatycznie zakłamanie, wstrząsy i przewroty tem większe, im skwapliwiej naprawiacze równowagi utraconej pragną pogodzić „społecznie” ogień z wodą. Lekarstwem może się tu stawać jedynie pogłębianie kultury wewnętrznej człowieka, a przezeń i jego środowiska. Por. dobro — zło<sup>172</sup>, oraz rozum.

Ż y c z l i w o ś ć — nieżyczliwość, ob. wdzięczność etc.



Podobnie jak z dwu barw zasadniczych można, łącząc je w proporcji rozmaitej, tworzyć dla oka cały bezmiar tonów kolorystycznych, różniących się nieraz kapitalnie pomiędzy sobą — tak z praźródła miłości i strachu danem jest życiu czerpać i na tło psychiki ludzkiej miotać niewyczerpaną skalę wzorów...

Mimo wpływu okresów i komplikacyj rozwojowych bez miary, typowość wielu z tych „wzorów” psychologicznych, nie pozwala i dziś jeszcze spostrzegaczowi wątpić o ich pochodzeniu genetycznem, a nawet, przy analizie głębszej dane-



go „wzoru“ — o drodze przybliżonej, jaką tenże przebywał z kolei rzeczy w toku swych stadiów rozwojowych.

Ostatnia ta okoliczność jest tem donioślejsza, że zdaje się ona umożliwiać badaczowi w pewnych przypadkach śledzenie nie tylko rozwijającej się *ab ovo* (postępowej) ewolucji, wzwyż danego „wzoru“, ale i (ew. wstecznej) jego regresji.

Odnosi się przytem wrażenie, że obie te linie psychogenetyczne pokrywają się (w zasadzie mechanistycznej) nawzajem, a o poziomie rozwojowym każdego ze składających się na nie etapów stanowi nadewszystko taka czy inna kolejność związanych z nimi szczebli: postępowych czy wstecznych.

Przyjrząwszy się np. bliżej zjawisku „niepokoju“, łącznie z pojęciem i procesem jego przeobrażenia się na „spokój“, co określa się wyrażeniami: „uspakaja się“... „uspokoił się“ — nabieramy przeświadczenia<sup>191</sup>, że jeżeli ktoś — przechodząc od spokoju do niepokoju, przebył szczeble:  $b - c - d - e$ , to — uspakajając się — przebywa je w porządku:  $e - d - c - b$ . Mielibyśmy tu przeto do czynienia ze zjawiskiem odwracalności<sup>191</sup> stanów psychicznych, którą — podobnie jak w powyższej sprawie „niepokoju“ — bez trudu bodaj, a niemniej wyraźnie moglibyśmy śledzić i stwierdzać na tle kolei powstawania i zaniku: fałszu, kłamstwa, smutku, sprawiedliwości, szczerości, tęsknoty<sup>192</sup> i t. p.

Historycznie pierwsza z pomienionych przed chwilą kolejności odpowiada pojęciu rewolucji; druga ewolucji. W języku zaś książki niniejszej drugą z nich wolno by może było nazwać tendencją psychologiczną o kierunku: strach — miłość ( $b - a, 5 - 7$ <sup>172</sup>); pierwszą zaś odwrotnie: miłość — strach ( $a - b, 5 - 7$ <sup>172</sup>).

W ujęciu takim „ewolucja“ przedstawia się nam jako antyteza zasadnicza „rewolucji“<sup>193</sup>. Tej zaś rdzeń psychiczny (którego wszystko inne jest tylko zewnętrznym wyrazem) polega na stopniowym, w kierunku rozstroju, rozluźnianiu się kolejnem i rozwiązywaniu węzłów t. zw. postępu, powstałych drogą (ewolucyjnego) różnicowania się coraz to subtelniejszych władz psychicznych, nie dających żadną miarą



zaasekurować się bezwzględnie od powrotu (drogą odwracalności), na łono swych pra-elementów<sup>172</sup>.

Razem wzięwszy, gdy spojrzymy tu na odpowiedni schemat<sup>172</sup> — nie będziemy w stanie zaprzeczyć, że ewolucja to kolej rzeczy, objętych symbolami:  $b \rightarrow a$ ,  $1 \rightarrow 7$ <sup>172</sup>, które to symbole odpowiadają rewolucji w porządku wręcz odwrotnym:  $a \rightarrow b$ ,  $7 \rightarrow 1$ <sup>172</sup>.

Nadto, trudno oprzeć się wrażeniu, że wspomniane procesy wsteczne zdolne są odbywać się z szybkością, w zestawieniu z procesami postępowymi, wręcz zawrotną, co żywo przypomina bieg zgóry i pod górę.

Nic bodaj równie uderzająco, jak omawiane tu zjawiska, nie stawia nam przed oczy prawdy niewątpliwiej, iż stan, nazywany przez nas konwencjonalnie „kulturą“ czy „cywilizacją“ — to wartewska na pniu rozwojowym ludzkości, rozważanym nietylko onto — lecz bodaj nawet i filo-genetycznie, nad wyraz jeszcze nikła i wątła, a przeto wymagająca z punktu widzenia człowieczeństwa jaknajtroskliwszej ochrony.



## NASTROJE.

Przedziwną jest rozmaitość spadających na człowieka z jasnego czy ciemnego nieba bodźców nieuchwytnych, a za nimi poruszeń psychicznych i towarzyszących im stanów duszy.

Można je nazywać olśnieniem naszego „ja“, czy jego pogromem, ale wolno również powiedzieć o nich, że to pryzmat ustawiony tak lub owak...

I powstają poprzez skupione w nim promienie świetlne — w zależności od ich układu — nieprzeliczone w rozmaitości swojej, nasze ustosunkowania się do życia: to pogody pełne, czy burzy — to radosne, lub żałosne, to niebosiężne, albo wręcz niosące nam zagładę...

A człowiek nie zdaje się móż kierować światem odczuwanych dziwów, przynajmniej w pełni świadomie i bezpośrednio.

Może on wprawdzie usiłować utrzymać się w danej konstellacji, albo pragnąć przejść w inną — wszelako nie jako pan położenia, lecz raczej jak bryła bezwładna, której „chcenia“ takie czy inne, jakby pogrążone w sennym chaosie majaczeń, mogą w stanie swej beznadziejności, żałośnie bezradnej, liczyć tylko na pomoc „siły wyższej“, raczej odczuwanej niż uświadamianej sobie przez nas.

I tutaj to — jak w wielu zresztą przypadkach innych — rola modlitwy potrafi stać się realnie przepotężną — nietylko jako czynnika natężenia danych pragnień ludzkich, w pewnym kierunku zwróconych: *Proście a weźmiecie*<sup>104</sup>, ale również jako siły, *niedopuszczającej kusić nas nad to, co może-*



*my*<sup>195</sup>, t. j. ponad to, co mękę naszą zdaje się zbliżać do samych już granic bytu: do wrót śmierci naturalnej, czy innej, bo zaprawdę — w danych okolicznościach — pierwsza może być równa nie tylko fizycznie, ale i moralnie... drugiej.

Zjawia się bowiem, niezależnie od normalnych planów ludzkich, a z automatyzmem „przeznaczenia“ zarówno jedna jak druga, to też błędem jest psychologicznym powściąganie ludzi groźbą od rozstawiania się z życiem...

Czego jak czego, ale groźb ma *moribundus* w danym złożeniu rzeczy już i bez dodatku opiekuńczego — dosyć.

Wszak w stanie opisywanego tu nastroju milknij wszystko, skupiając resztkę sił męczennika w opanowującym go *sui generis* „samozachowawczym“ automatyzmie końca.

Nie jest też śmierć taka — wbrew temu, co się niemal powszechnie a bezkrytycznie twierdzić zwykło — tchórzostwem ani bohaterstwem. Jest ona najprostszym, jak pęknięcie wrzodu, czy omdlenie, danej sytuacji — rozwiązaniem.

Lecz skądże — zapytacie — powstaje w takim razie niezbędna celowość praktyczna końcowych czynności mechanicznych ślaniającego się już jakby w zaświatach, samobójcy?

Mniemam, że powstaje ona dzięki temuż motorowi, który sprawia, że człowiek, zdolny jeszcze do chodu, idzie, nie myśląc zgoła już o tem, czy i jak kroki swe stawia...

Automatyzmem również — wszelako w objawach swych odmiennym, niż opisany: odmiennym tak dalece, że dochodzącym niekiedy aż do swoistego kontrapunktu, przypominającego sugestię smakową ananasa w ustach, napełnionych razowcem — bywa niepojęta, a jednak leżąca w psychice naszej siła odwracalności<sup>191</sup> sposobów (powstawania<sup>196</sup>), widzenia i oceny zjawisk.

Oto, jakby na zew mocy tajemnych, których człowiek nie uświadamia sobie zgoła — toż samo, co pogrążało go przed chwilą w rozpacz, poczyną nagle cieszyć go i bawić, a powstające stąd olśnienia, pouczenia, czy ułudy — albo i wszystkie razem, radują go niemniej, niż samo bodaj, osiągnięte nieoczekiwanie wśród niebezpieczeństw, ocalenie.



I pryska w obliczu rzeczy tych złuda nadrzędności człowieka wobec niezmierzoności jego otoczenia.

Gdyby też ktoś cieszył się nawet rolą taką w życiu „realnie” — nie stanie się ona przez to tak trwałą, jaką wydaje się na pozór. Kiedy bowiem w chwilach nieuniknionych osłabień psychicznych człowieka, zwiększy się odpowiednio przewaga wszelakich jego przeciwników — z mocy tytana pozostanie tylko już zacieraające się również z czasem wspomnienie...

Oto geneza przebolesnego jęku człowieka, rzuconego samotnie w otchłań wszechistnienia: *Eloi, Eloi, lamma saback-thani* <sup>197</sup>!

\*

Istocie ludzkiej do pochodzenia przez życie niezbędne jest pewne minimum powodzenia pospolitego, t. j. — w środowisku danej zbiorowości — względnie pomyślny, nie zaś „pechowo” niepomyślny stosunek człowieka do otoczenia.

Służba idealna u ołtarza indywidualizmu własnego, jest niewątpliwie zadaniem dla człowieka najszczytniej olbrzymiem, ale i „nadludzką” mozołnem zarazem...

A miłość ponadzmysłowa <sup>198</sup>? — zapytacie...

To bodaj wdrażony słonecznie w duszę miłującego zespół wszelakich spraw, dziedzin i potęg istnienia, zaklęty w umiłowanym ideale... przedziwny swą nadzieją, wzniosły swą wiarą — okres człowieczego „nastroju” kwitnienia!

\*

Gdyby nastroje ujemne władały ludźmi bez przerwy — a choćby tylko najprzeważniej — świat nasz nie byłby tak żywotnym, jakim znamy go z życia i z dziejów.

Nadewszystko tedy zdają się towarzyszyć nam nastroje dodatnie, a conajmniej do nich zbliżone.

Prawda, że spływają one na ludzi najprzeważniej nie wedle ich woli, ale poniekąd bywa i tak.

Skoro zaś bywa — znaczy to, że bywać może, a jeśli tak — to i bywać powinno...



Czemś innem bowiem są niepokonalne w gruncie rzeczy żywiły, jak miłość i strach<sup>172</sup>, a wraz z tem i płynące z nich pochodne stany wtórne<sup>172</sup>, psychicznie dodatnie<sup>192</sup>, czy ujemne<sup>192</sup> — czemś innem zaś nastroje, polegające w głębi swej na uległości lub odporności człowieka wobec pomienionych stanów, t. j. jakby będące psychiczną sferą „buforów“, uzależnioną od woli ludzkiej w znacznej mierze.

„Nastrój“ bowiem, jak wesele czy smutek, jak wytrwałość czy ustępliwość, jak uwaga, czy roztargnienie — to właściwie (nawet gdy uwzględnimy predyspozycję, danemu człowiekowi wrodzoną) — nie żywiołowy przymus bezwarunkowy, to nie podporządkowany mu i z niego płynący stan psychiczny, do opanowania rzeczywistego bodaj niemożliwy — lecz dające się w zasadzie wysiłkiem woli i „chwytami“ jej odmienić: „usposobienie“ chwili...

I tutaj to przed kulturą ludzką, a nadewszystko przed zabiegami jej tak pospolitymi, jak „tresura“ i wychowanie — ściśle się nader rozległe i owocne pole działania.

To też można twierdzić śmiało, że np. rozpanoszona w świecie dzisiejszym aż do obrzydzenia, zatruwająca życie zbiorowe wszystkich od góry do dołu, niemal „przysięgła“ i „zawodowa“ niechęć wzajemna ludzi do siebie, wyładowująca się jako *bellum omnium contra omnes* — mogłaby przez kulturę, zgoła nawet przeciętną, a choćby formalną tylko, lecz szczepioną uczciwie, uleść łatwo zewnętrznemu na razie, z czasem zaś i gruntowniejszemu przeobrażeniu.

Ale nie chodzi tu bynajmniej o zastąpienie niechęci, o której mowa — „zakłamaną“, „z nieprawdziwego zdarzenia“ rozlewnością towarzyską przedwojenną, która zapadła w przeszłość, lecz poprostu o nieodłączne od sensu cywilizacji dobre wychowanie ludzkie.

Wszak pod sklepieniem cywilizacji, którą szczycimy się oddawna, nie jest ono w zasadzie, nawet dla mas szerokich, do zdobycia zbyt trudne.

Przeciwnie! Ciało, nasiąkłe barwą, w której je zanurzono i którą chłonie, nabywając jej koloru — ilustruje poniekąd, z punktu widzenia psychologicznego, najdonioślejszą może z cech zasadniczych człowieczeństwa, polegającą na zdolno-



ści jego zestroju z tą właśnie zawiesiną kulturalną, jaka otacza je przemożnie w danym środowisku życia.

*Summum* tego zjawiska, to prawo iście kosmicznej mimi-kry duszy ludzkiej w stosunku do Boga.

Raczej właśnie prawo, niż wypływający z danej postaci rozwoju panteizm, gdyż w przypadku pierwszym (mimikry) odczuwamy wyposażenie duszy naszej — zgodnie z „sensem“ cywilizacji naszej — w moc wyboru otaczających nas wzorów, gdy w drugim (panteizmu) skazujemy się — z pominięciem wolnej woli ludzkiej — na płynące z teizmu takiego, pożerające nas „bez reszty“, przeznaczenie.

W myśl cywilizacji pomienionej — zawisło to nadewszystko od nas samych, co i jak chłonimy zzewnątrz i przyswajamy sobie, stając — w zależności od tego — na nizinach, albo na wyżynach bytu.

Wszelako, trzeba się tego mózdz i umieć nauczyć, a warunek ten jest tem donioślejszy—zwłaszcza wśród ludzi, niedość kulturalnych, że trudności normalne, związane z osiągnięciem życiowym czegokolwiekbaż, a cóż dopiero czegoś „nowego“! — zamieniają się automatycznie w umysłowości prostaczej, kroczącej zawsze po linii najmniejszego oporu — na przyganę, a wreszcie na obrzydzenie owego czegoś sobie i innym.

Należy zaś pamiętać, że struktura kultury cywilizacyjnej, oraz świadomej siebie społeczności z jednej, a — „folkloru“ i barbarzyństwa z drugiej strony, różnią się nie tylko charakterem, lecz i zasięgiem więzi wewnętrznych, występujących i tu i tam.

W pierwszym przypadku (kultury) mamy tu do czynienia z odśrodkowością zainteresowań, jako zasadą ideologii i dążeń danych zestrojów ludzkich; w drugim zaś (barbarzyństwa) z taką dośrodkowością psychiczną.

Nic dziwnego, że zespół zbyt gwałtowny a nieogłębny dwu takich światów może i musi prowadzić raczej do zobopólnego ich rozstroju i dyssonansów, aniżeli do szarmonizowanego zestroju.

Słusznie też powiedziano, że — „aby stać się pięknym — trzeba cierpieć“...



I czemu?

Rzecz tłumaczy się bez trudu...

Oto bowiem uderza nas nieraz zjawisko, niezrozumiałe na pozór, że pokrzywdzeni przez los prostacy są znacznie mniej odporni na przeciwności życia, zwłaszcza natury materialnej, niż ludzie cywilizowani, a coś dopiero uduchowieni bohaterowie — świetni dziejowo wybrańcy przeznaczenia, których — naprzekór rzeczywistości — baśń ludowa rosyjska widzi kąpiących się w wódce z kielbasą, perska jako księżniczkę, wyczuwającą poprzez stos piernatów ziarno grochu, a nasza — polska — jako panią, co to, „choć w łóżku leży — jużby kawę piła“!

Dopiero też znalezienie się typowego przedstawiciela „biednych“ pospołu z „bogatym“ wśród prywacyj i braku, zwykło wykazywać fakt, pozornie uderzający, że pierwszy łatwo załamuje się w okolicznościach, które w drugim potęgają odporność i hart bohaterstwa.

Sądząc o rzeczach przyziemnie, pierwszy, a za nim rzesza jego swojaków, powiedzieliby tu może o drugim: Ba! Cóż w tem dziwnego, że głodny sytemu nie sprostał!

I z punktu widzenia psychogenezy jednego i drugiego — boć nie realnych już w chwili próby, ciężkich warunków życia ich obu — mieliby może rację.

Nie o to nam tu jednak chodzi: Oto bowiem — w przykładzie jak powyższy, dostrzegamy wyraźniej niż gdziekolwiekś — bądź indziej, czem że to właściwie okazuje się w rozumieniu rozwojowem rzeczywista cywilizacja twórcza, skoro sięgniemy do genetycznych jej prairód, bijących wciąż — jak wiadać — nietylko z pokładu zabytków przeszłości zamierzchłej, lecz i naokół nas, ze zjaw życia codziennego.

Prostu, rodzi się ona z nastrojów najwyższych bohaterstwa i bohaterstwem żyje!

Poza niem — pozbawiona swej duszy — istnieć może — bez względu na epokę i środowisko — tylko pozornie...

Nic dziwnego zaprawdę, że — zachwiała się spaczona z wielu względów, dawna cywilizacja nasza i że wielki jedynie wysiłek bohatersko-moralny człowieczeństwa może ocalić ją i podtrzymać<sup>100</sup> na przyszłość.



A dalej — co do źródeł, zdolnych służyć nam do poznawania spraw, jak niniejsza, związana integralnie z sensem podstawowym dziejów, to — nie uwłaszczając typowo historycznym ich zabytkom, należy pamiętać, że w grunt wszelakiej przeszłości ludzkiej można zagłębić się jedynie poprzez dostępny nam wyłącznie rdzeń psychiczny teraźniejszości <sup>200</sup> — nigdy zaś w oderwaniu od bijącego nieprzerwanie tętnem odwiecznem życia.

\*

Wobec przesłanki, że żadna „rzeczywistość“, a przeto i społeczna, jako układ nieuniknionych rzekomo, lecz kategorycznie form bytu zbiorowego, nie istnieje zgoła, gdyż byłoby to sprzeczne z naturą rzeczy <sup>201</sup> — nie znajdujemy się istotnie nigdy i nigdzie w konieczności bezwarunkowej wyboru danego a nie innego sposobu myślenia, czy postępowania...

Wszelako, gdy na swobodę abstrakcji, idącą aż tak daleko, pozwala nam myśl nasza, jako wyraz skojarzeń o możliwościach nieograniczonych, to — nie mówiąc już o stronie realnej życia samego — własna psychika nasza stawia tu *veto* swoje, wołając:

— Nie masz w naturze możliwości zgoła nieograniczonych: nieprzekraczalna w zjawiskach atomowych porcja wymiany energii to *kwant*. Nie znamy przypadku, iżby atom zyskał albo utracił energję większą albo mniejszą od jednego kwantu <sup>202</sup>. Wtórujcie mi oświadczeniem, że psychicznym *sui generis* „kwantem“ podobnym wszechstworzenia, stanowiącym oś i regulator istoty jego życia, jest molekularna drobina niepodzielna siły witalnej, ujętej wyżej w układzie normy zasadniczej: miłość — strach <sup>203</sup>.

Poza tym układem nie jest do pomyślenia molekula życia, którego zasada ogarniałaby zarazem ludzkie kategorie „dobra“ i „zła“, wykazując przytem jednocześnie <sup>172</sup>, że są to pojęcia zasadniczo względne.

Czemuż tedy, piastując w sobie pragnienie dobra, jako wy-



razu ducha miłości, nie mielibyśmy przenosić w życiu jego właśnie ponad jego antytezę?

Wszak idea (pesymistyczna), że „rzeczywistość życia — to zło“, nie może zgoła, jak dostrzegamy to kategorycznie, tamować idei (optymistycznej), że „życie stworzone jest dla dobra“ — a „rzeczywistość ludzką budujemy dla siebie — my sami“!

Ludzie wierzący mogą tu dodać, że Bóg — źródło i szczyt miłości — zawsze jest po jej stronie, a *świat przemija i pożądlivości jego* <sup>204</sup>.

Jest też najniewątpliwiej błędem psychologicznym — sprzeczna również z istotą życiową chrześcijaństwa — zasada bezwzględnego przenoszenia dobra z doczesności w zaświaty: z ziemi do nieba, i to za cenę porzucenia życia na pastwę złu...

Przecież (względne jak wszystko!) dobro i szczęście, do którego człowiek normalny zmierza — zdobywa on sobie tutaj życiem uduchowionem, nie dostrzegając przytem powodu, dla którego dobrze miałoby być tam tylko — w zaświatach — gdzie nas niema, a źle — tu, gdzie właśnie jesteśmy, skoro pojęcie nietylko zła, lecz i dobra — pojęcie na jakie nas stać — związane jest z życiem, nie zaś z jego poza-sferą.

Raczej należałoby bodaj sądzić, że zarówno „dobrze“ jak „źle“ może — i to pod każdym względem — być wszędzie, a przeto tu, tam i owdzie, wobec zasadniczej jedności wszechświata <sup>205</sup>. Zresztą, dobrem — i to przynajwyższem — jest Bóg, znajdujący się wszędzie.

Nie sądzimy, iżby wyłuszczoney tu bieg myśli miał uwłaczać w jakiejbądź mierze nieśmiertelnym słowom otuchy: *Dziś ze mną będziesz w raju* <sup>206</sup>.

Wszak, podobnie jak „rzeczywistość“ — nie istnieje również i „czas“; natomiast przesłankę nieskończoności potwierdza na każdym kroku wszystko to, co poznajemy... „Wszechświat (wraz ze mną) zamienia się w mgławicę, aby mgławica mogła stać się wszechświatem <sup>207</sup>“, a — *wielka jest wiara twoja: niechaj ci się stanie jako chcesz* <sup>208</sup>.

Jak widzimy — uduchowienie nie jest bynajmniej obrzydzeniem sobie życia na rzecz wieczności. Wręcz przeciwnie:



to najgodniejsza człowieka kontemplacja — to odczuwanie, a niekiedy bodaj widzenie życia *sub specie* przenikającej je w gruncie rzeczy nieskończoności...

Stanowisko inne wydaje się tu niemniej błędnem, niż sprzeczny z żywotnością pesymizm.

Boć sens normalny rzeczy — to twórczość; odbija go przeto w człowieku wiara optymistyczna w ich płodność, nie zaś mdle rojenia pesymistyczne na temat ich zagłady...

*Natura horret vacuum!* Kiedy też Piłat zapytał Chrystusa: *Co jest prawda* <sup>209</sup>? — odpowiedzi nie otrzymał. Szło tu bowiem o pospolicie życiową prawdę „absolutną“, a ta jest jedynie ludzką ułudą...

To też: *...jakoś uwierzył, niech ci się stanie* <sup>210</sup> a dlatego *roy* *nie słuchacie, że nie jesteście z Boga* <sup>211</sup>.

Pierwsze z tych dwu powiedzeń dokładnie zgadza się z faktem, naukowo dziś zgłębnym, że t. zw. rzeczywistość (życia i jego spraw) jest przywidzeniem <sup>212</sup>; drugie zaś stwierdza (pośrednio) przesłankę psychologiczną, że tyleż bywa na świecie „prawd“ — ilu jest ludzi; orzeka bowiem, że coś, co nie jest z danymi umysłami współmierne — nie istnieje dla nich...

Konieckońców: podobnie jak wszechświat jest „łupinką tego, co jest, płynącą na falach nieskończoności tego, czego niema <sup>213</sup>“ — tak też „prawdą“ każdego człowieka jest i być może to tylko, co ów człowiek szczerze a do głębi za prawdę poczytuje.

Wobec tego krzewienie prawd subiektywnych (a innych niema), jako „absolutnych“ i mających przeto bezwzględnie obowiązywać świat — musi zasadniczo, wcześniej czy później, skończyć się fiaskiem.

Natomiast trzeba tu stwierdzić, że duch chrześcijaństwa, wyrażający — jak wykazują to dzieje 'poczuć' ludzkich — najistotniejszą ze znanych głębi prawd człowieczych, objawia nam przez to samo nadrzędność swą moralną, której interpretacje są jednak, bo być muszą, z natury rzeczy przemijające.





A jednak, gdyby przeciętny człowiek normalny — prototyp t. zw. ludzkości — przejął się do głębi świadomością Heraklita, że niemasz nic stałego, a więc i pewnego pod słońcem, gdyż wszystko, nie wyłączając jego samego, bez przerwy w dal nieznana płynie *panta rej...* Gdyby dalej, dając w życiu swoim otchłaniom psychiki własnej wyraz konsekwentny, człowiek ów zachwiał się na nogach tem łacniej, że — jak wiadomo<sup>214</sup> — glob nie przestaje nigdy uginać się pod jego stopami... Gdyby wszystko to — nb. w myśl danych faktów obiektywnych — zapanowało w ludzkiej świadomości życia, toć miejsce mocarnego „króla stworzenia“ zajął by w niem nagle pod postacią ludzką twór z istniejących w świecie nie najsprawniejszy, jak dotąd, lecz bodaj najbardziej bezradny...

Jednakowoż — jakby przechodząc do porządku nad niebezpieczeństwami, o których mowa — instynkt samozachowawczy ludzki, stojący na straży i gatunku i osobnika, zaszczerpił psychice naszej zdolność koncypowania i fingowania pojęć, spraw i rzeczy, jakoby niezmiennie stałych, bez których człowiek (o ileby się trafem na ziemi wogóle ostał) nie dokonałby w życiu niczego, zatraciłby wszystkie „moce“ swoje — byłby... niczem<sup>215</sup>.

A przecież, nie mówiąc już o zagadnieniach takiej miary, sięgającej kosmologicznie wgląd stworzenia, liczne przesłanki analogiczne leżą wokół nas na zwykłych, codziennych szlakach życia!

Jakże słabi np. w gruncie rzeczy bywają psychicznie i „najsilniejsi“ nawet ludzie, wytrąceni z utartych kolei życia: ludzie, których nie zaprawiło ono dostatecznie do przetrwania się z jednych okoliczności i warunków bytu w inne...

Cóżby ludziom takim — a jest ich przecież większość niezaprzeczona — pozostało w chwilach ciężkich bez najpotężniejszego z punktów oparcia — w Bogu?

Freud<sup>216</sup> powiedziałby na to: A więc wiara — to utylitaryzm!

— Zapewne, ale — jak wszystko — tak i utylitaryzmy są różne. Niektóre z nich, jak np. cele, służące jaknajwyłączniejszemu miłości bliźniego, oraz Boga, wiążą się integralnie ze szczytami



mi najczystszych ideałów, jak „ciało“ z „duszą“, „zło“ z „dobrem“, a „materja“ z „duchem“. Czem zaś są w swej istocie owe wartości „nieważkie“ — na ten temat byłoby może już zbędnem tutaj <sup>217</sup> się rozwodzić...

Rola przepotężna wiary w życiu ludzkim, a cóż dopiero dzisiaj, pełnem niebywałych w niesamowitości swej wstrząśnień i przewrotów, — nie ulega wątpieniu; wymaga natomiast — znowu jak wszystko — odpowiedniej kultury w swym rozwoju.

To też czynniki, do propagowania wiary powołane, miałyby niechybnie zadanie wysoce ułatwione, gdyby — co najważniejsza — obok zdolności służenia przykładem własnego swego życia nauczaniem — nie pogardzały również metodą nieustannego w miarę możności podwyższania poziomu umysłowości własnej.

Wobec tryumfującej *ab ovo* jaskiniowości krajowej kultury naszej (nietylko na padolach) mogłoby wydawać się pozornie, że zalecenie powyższe mogłoby u nas jeszcze „począć“... Rzeczy przedstawiają się atoli inaczej, gdy zważymy, że poziom międzynarodowej zawiesiny moralno-intelektualnej czasów naszych — smacznej, jak wiele trucizn, dla prostaków — acz nie dotrzymujący kroku myśli głębszej — nie jest jednak zupełnie nizinny...

A tymczasem życiowem prawem „wyżyn“ — i to wszelakich — jest nad nizinami górować.

Jak u nas — może i bez trudu...

Tylko bowiem zapalony folklorysta-archeolog mógłby tu ucieszyć się może z następujących próbek <sup>218</sup> żywych dotąd w Polsce szczebli rozwoju.

Dodziśdnia jeszcze wśród prostaków naszych jadło, jego spożywanie i ocena posiadają sporo odwiecznych cech magicznych, na poły jeszcze sakralnych.

Potrawa „udana“, a nadewszystko odpowiednio, t. j. jakby praprzepisowo przyrządzona, zaspakaja w środowiskach tych nietylko i nietyle smak, ile godność osobistą — coś jakby honor spożywającego; chybiona sprawia zawód nietylko jego podniebieniu, ale i... czci.

Kopalnemu niemal archaizmowi scen takich i nastrojów



odpowiada u nas dość jeszcze wiernie — i to nietylko na najniższych szczeblach życia — połączony wciąż jeszcze na poły z magją odwieczną, na poły zaś z mistycyzmem, władny podziśdzień irracjonalizm życiowy „nastawień“ kopalnych, w kraju rolniczym niemniej silnie zakorzenionych, jak zestrojona z nimi integralnie a najczęściej rzekome tylko panaceum „dobra“ cywilizacyjnego stanowiąca, olbrzymia — nieraz wręcz stadnie jeszcze na wspólnem miejscu skupiona — rodzina, albo jak rozwojowo pokrewne jej archaiczne „sąsiedztwo“ raczej, niż obywatelstwo, czy tacyż zwalczani jeszcze przez statuty Kazimierza Wielkiego *sub titulo* „krzywoprzysięstwa“, „przyjaciele“.

Wszystkie te objawy i czynniki specyficznego klimatu psychicznego, będącego żywym wciąż echem przeszłości zamierzchłej, nie mają coprawda z dołą obecną wiele wspólnego; mimo to niepodobna zaliczać ich tylko do folkloru i nie rachować się z nimi tam zwłaszcza, gdzie w związku z potrzebami cywilizacyjnymi chodzi o nastroje.

Wprawdzie opat Grzegorz Mendel, twórca genetyki nowoczesnej, powiada, że wszelka jednostka dziedziczna<sup>219</sup> składa się w połowie z cech odziedziczonych po matce, a w połowie z ojcowskich, przyczem każda z tych grup zachowuje zawsze swą samodzielność, nie stapiając się bezpośrednio jedna z drugą... Wprawdzie zdawałoby się stąd wynikać, że walka z tak trwałymi przesłankami dziedziczności nie prowadziłaby, nawet przez krzyżowanie, do zwycięskich wyników, ale kultura robić jednak winna, acz pomału, swoje.

A tymczasem zachodzą wciąż jeszcze i to w świecie całym, nastroje o trwałości wręcz ...nieśmiertelnej.

Np. w żołnierzu wszech epok i wszechkrajów, leży podziśdzień nietylko uświęcona przez tysiącolecia historycznego istnienia ludzkości, lecz wręcz bodaj jaśniejsza poprzez całą filo-i ontogenezę walk krwawych, toczonych dosłownie na śmierć i życie przez wszechstworzenie — odwieczna pełnia bytu, gdy w człowieku, zwanym dzisiaj „cywilnym“ — jakgdyby pusty, bo tylko cząstkowy i zewnętrzny w rozumieniu głębi istnienia — tegoż bytu pozór...

Cóż dziwnego, że gdy w danem środowisku dochodzi do



momentu próby najcięższej życia zbiorowego, za żołnierzem oświadcza się nie tylko romantycznie kobieta — *vagina vitae*, lecz — gnane przemożnym impulsem psychicznym pełnej a zawsze i wszędzie żywej dziedziczności nastroju — wszystko to, co z „waginy“ tej w życiu i dziejach wyłoni się na niwy ludzkości!

Prawda, że rola odwieczna żołnierza, a bardziej może sama kategoryczność jego funkcji nie przestaje wciąż jeszcze być niemniej w świecie żywotną, niż człowieczeństwo, narodowość, państwo, a za nimi bodaj życie samo — wszelako niepodobna stwierdzić dokładnie, co jest tu psychicznie bardziej żywotne: żołnierz jako niezmienna w zasadzie pozycja życiowo-socjalna, czy też jako obrońca (zmiennych w kolejach czasu) ideałów?

Tak czy inaczej — nastrój w stopniu równie potężnym, to nie tylko już nastrój syntetyczny rdzennych wartości życia — to autosugestia psychiczna tak mocarna, że po stronie ducha zdolne jej odpowiedzieć jedynie tylko słowa: *jakoś uwierzył, niech ci się stanie*<sup>210</sup>.

A na padolach znane są wypadki, w których „razowiec“, nie tylko pod przerośnią, staje się — „ananasem“...

Nic dziwnego, że nastrój jednostki, sprzeczny z nastrojem otoczenia — prowadzi do wybuchu...

I rzekł: (Szczepan) *Oto widzę niebiosą stworzone... A oni krzyknąwszy głosem wielkim... kamienowali (go)*<sup>220</sup>...

Jeżeli też co, to kultura rzetelna nade wszystko, zdolna jest psychiczne tarcia nastrojów wszelakich nie tylko łagodzić, lecz, urabiając je w zespole, — na wyższy i coraz wyższy szczebel rozwoju ludzkość prowadzi...

\*

Rozwój pojęć moralnych, np. rozpatrywanych na tle dziejów języka danego kraju<sup>221</sup>, jest ilustracją wysoce pouczającą pochodzenia stopniowego psychiki ludzkiej od założeń przyziemnych do podniebnych.

Nic też nie sprostą w dociekaniach takich roli kształcącej semazjologii, nade wszystko powołanej do udzielania badaczo-



wi wskazówek hermeneutyczno-historycznych, bez których niepodobna mówić o dziejowo-moralnym, t. j. cywilizacyjnym rozwoju ludzkości, ani — w dalszym ciągu — o bilansie poglądowym dorobku pokoleń, zwanym perspektywą historyczną.

Wszelako, nawet w ramach bilansu, najbardziej nawet dodatniego, rozwój danego podniebia, a ściślej mówiąc: jego tempo, bywa — jak wiadomo — w różnych środowiskach i momentach — zarówno najskromniejszych i nikłych dziejowo, jak również historycznie najwspanialszych, nader rozmaite.

Tempo to i jego intensywność zawisły bowiem nietylko od szczebla ewolucji przeciętnej, cechującej dane podniebie, ale również — i to przede wszystkim może — od zasięgu społecznego i stopnia jego harmonii, oraz od sprawności w działaniu aparatu psychiki jego zbiorowej.

To też trzeba tu wspomnieć znowu o kulturze, nieustannie podkreślając decydujące niemal znaczenie jej w tem, co się daną pełnią życia ludzkiego mianuje.

Kultura jest bowiem w każdym środowisku próbą i wyrazem możliwie najdoskonalszego ujednostajnienia poczucia wagi podstaw zasadniczych człowieczeństwa: ujednostajnienia, ociągniętego kosztem uprzedniej — cywilizacyjnie nadmiernej — różnorodności i różnostopniowości psychiczno-moralnej poczuć danego podniebia<sup>222</sup>.

Nie bowiem dziwnego, że — w zależności od poruszonych tu zagadnień — same nawet poglądy podstawowe na „dobro“ i „zło“, oraz związane z nimi nastroje i sposoby moralnego ustosunkowania się do nich, muszą przedstawiać się w życiu psychicznie rozmaicie.

A okoliczność tę — bądźcobądź przeciwstawiają się życiowej jednolitości „kultury“ cywilizacyjnej już u jej podłoża — potęgują nadto zawsze i wszędzie po świecie odmienne w ludziach „poruszenia“ psychiczne, zachodzące między typami zasadniczymi indywidualistów a gromadowców.

To też arcyznamiennym na tle pomienionych przesłanek objawem życiowym względności „dobra“ i „zła“, jest wysoce pouczający fakt psycho-dziejowy, że właściwa przeciętne-



mu człowiekowi „szaremu“ (= gromadowcowi) pospolita słabość zmysłu życiowego, rodząca bez przerwy wielorakie a ciężkie zło bytu na jego drodze, uchodzi jednak nieraz — *faute de mieux* — w pojęciu tegoż człowieka za typową, normalną, powszechną, niezmienną i przeto — mimo wszystko — jedynie naogół naśladowania godną syntezę (osiągalnego) dobra.

Nic dziwnego, że równolegle i jednocześnie „szarą“ opinię taką, typy silne (=indywidualistów) poczytują za wyraz niedołęstwa słabych, rodzącego zło, któremu należy przeciwdziałać.

Atoli, względnie najskuteczniejsze po temu środki, dostępne realnie (np. w drodze zarządzeń) z ręki silnych a władnych, kierowanych w imię, pod hasłem i w celu zamiany zła panującego na pożądane przez wszystkich na równi dobro — szary człowiek — gromadowiec, o ile siły mu służą, zwykł zwalczać jako zło, gorsze od pierwszego.

Razem wzięwszy, przypomina to rolę różgi, utożsamianej ze złem przez dzieci, a kojarzonej z dobrem przez ich wychowawców.

Naogół powiada się, że o dobru, czy o złu decyduje intencja czyniącego to lub owo. Wszelako „różga“ i przykłady analogiczne stwierdzają, że obok intencji sprawcy, gra tu — w stosunku do życia — rolę niemniej doniosłą nastrój strony biernej. To też nie to staje się konieckiem dobru czy złem, co tu i owdzie za dobro czy zło uchodzi, lecz nade wszystko to, co dla danej większości staje się plonem dobra lub zła na niwach życia.

Pozatem, cechą zasadniczą tak pojętego zła jest — przynajmniej w fazie przygotowawczej powstawania tegoż — stosunek jego skryty a tajemniczy do otoczenia; cechą zaś dobra — wręcz odwrotnie: jawność, oraz przejrzystość słowa i czynu.

Stąd też bodaj płynie — *caeteris paribus* — większa stosunkowo na powierzchni życia siła dobra niż zła, gdyż dobro nie potrzebuje zazwyczaj tracić mocy swej na obsłony.

Zważywszy wszystko to, dochodzimy do wniosku, że dusza gromadzkości — popęd do zwierzeń — toruje w atmosferze



dobra drogę nastrojom zaufania, gdy przeciwnie, w aurze zła — nowemu z ukrycia skokowi czyjemuś na kogoś lub coś.

Zło występuje tedy jako wyraz słabości nizin, oraz towarzyszących temu nastrojów poddaństwa i uległości; dobro zaś zjawia się jako wyraz siły wyżyn.

A owe niziny to wiara wyłączna człowieka w samego siebie; wyżyny zaś — w chwilach wysiłków najcięższych — nadewszystko w Boga!

To też: „kto nie pragnie podobać się ludziom, ani nie obawia się im niepodobać — ten w pokój obfitować będzie”<sup>223</sup>...

Innymi słowy, jest to zalecenie człowiekowi nastroju, opartego przede wszystkim na własnym jego indywidualizmie, bytującym w miarę możności swoim życiem własnym.

Jaknajśluszniej. W gruncie rzeczy bowiem — mimo wszelkich haseł odmiennych, sugestij czy pozorów — wszelkie stworzenie skazane jest na własny swój przez życie pochod<sup>224</sup>.

Nie znaczy to jednak, iżby najbardziej nawet godny człowieka indywidualizm nie miał korzystać z wzorów czy podniet czyichś.

Przeciwnie! Byleby jednak roli takiej godnych.

Najgodniejszymi zaś są tu niewątpliwie ludzie uduchowieni, choćby dlatego, że... „i przykłady dobre są zaraźliwe”<sup>225</sup>...

Naogół bywa atoli zgoła inaczej: na większość bowiem ludzi, i to przeogromną, wpływa przede wszystkim własny, przytłaczający ich bezlik, czyli oni na siebie sami, co znaczy, że t. zw. człowiek szary staje się, i to zasadniczo, własnym naśladowcą swym i wzorem...

A przecież wtedy dopiero, gdy... *szatan rozdzielony jest przeciwko sobie* (powiedzieć wolno): *jakże ostoi się królestwo jego*<sup>226</sup>?

Szczęśliwy, kto wszystko to dość wcześnie zrozumie, a — pojawiawszy — bodaj jako tako zastosuje w życiu.

Otchłanna większość ludzi — ciemna jak noc — depcze się i tłoczy nawzajem, płodząc tasiemca nieszczęść wspólnych, będących najprzeważniej stekiem t. zw. „nieporozumień”, jarzmiących ludzi na tle, a niekiedy aż u podłoża życia.

Powiadają, że „tak być musi”.

Czyż to jednak prawda?



Wszak jedynym kryterjum ich „prawdy“ i ich „fałszu“ jest wiara ich w nieustępliwość „absolutną“ danych postaci t. zw. „rzeczywistości“, która przecież sama — jak wiadomo — tak mało różni się od „chimery”<sup>227</sup>!

*Ambo meliores!*

Nie! Wolimy zaprawdę „złudę“ szczęścia, niż „koszmar“ rozpacz — tem śmieiej, żeć i sami nie potrafimy stać się bardziej rzeczywistymi, niż t. zw. rzeczywistość!

\*

Powiedział ktoś trafnie, że „tylko najwyższa prostota, jak genjusz, czy świętość, może ocalić świat nasz, przepełniony jeszcze naogół“... (rozkładającymi się już jednak) „półwartościami”<sup>228</sup>... (jak zaletka, talencik i t. p.)...

Hasło to, od „rzeczywistości“ wszędzie dalekie, spotyka dziś nadto, tu i owdzie na swej drodze sytuacje wręcz a wielorako w stosunku do siebie antypodyczne — zwłaszcza gdy zważymy, że najbardziej z „sytuacyj“ tych życiowo ważkie, a moralnie (zrzadka) najczystsze, bywają raczej objawami szaleństwa, niż (zdrowego) idealizmu.

Mamy tu na myśli bolszewizm, stwierdzający realnie słuszność biadań Czadajewa, że: „Rosjanie należą do kategorii tych narodów, których przeznaczeniem jest własnymi przeżyciami dawać ludzkości bolesne przestrogi“...

Trudno zaprawdę o pełniejszą prawdy i goryczy skargę...

Ważniejszym atoli jest zaklęte w niej przypomnienie nam faktu, że „ogień parzy“ — że „dziś tobie — jutro mnie“ i t. p.

Odnawiamy sobie tedy w pamięci znaną nam skądinąd okoliczność, że u barbarzyńców nietylko okrucieństwo czy wyuzdanie, budzi śmiech homeryczny i szczerą spod serca wesołość. A niemniej bodaj i wszelkie analogiczne zjawiska inne, poczytywane w świetle wyższych poziomów rozwoju za wykroczenie moralne jak: kradzież, oszustwo, zdrada, podstęp, fałsz, obłuda, sprzeniewierzenie...

Dzikus, zetknąwszy się z niemi na własnej swej skórze, reaguje na nie krótko w psycho-kulturalnej prostolinijności swojej a naiwnie łą lub śmiechem. Jeśli jednak skóra jego wła-



sna szczęśliwie ocalała, a ucierpiał ktoś inny — wesołość staje się wyrazem głównym, jeśli nie jedynym, jego nastroju.

Tkwi w tem wszystkim w myśl (lekkomyślnego raczej niż liberalnego) powiedzenia: „nieświadomość grzechu nie czyni“ — nietylko z pewnością, w rozumieniu moralnym, „zbrodnia“ sama, ile — nie licujące już z bytem człowieczym przepomnienie okoliczności, że samo hodowanie życiowe „kultury“ zbrodni — już jest zbrodnią.

Wiadomo zaś, że bolszewizm może być zwalczany grunto-wnie jedynie przez chrześcijaństwo prawdziwe, bo jego to pozorami sam moralnie stoi: „dobrem mas“, „równością“, „pro-  
stotą“ (apostolską) ludzi...

To też utajona w pozorach tych cnót dusza — jeśli tu i ow-  
dzie nie „szatana“ samego, to z pewnością jego chochlika —  
winna być zastąpiona duchem chrześcijańskim, gdyż wtedy  
dopiero pozory wspomniane przestaną być pozorami, stając  
się normalną szatą życia...

Takie to zmiany nastrojów stają się dziś a bez zwłoki nie-  
zbędne w większości środowisk świata!

Jeśli bowiem nie jedynie, to z pewnością nadewszystko,  
rola sugestji, karmionej i potęgowanej przez dobre przykła-  
dy odpowiednie, może stawać się w dziedzinie tej nieodpartą.

Nigdy zaś twierdzenie, oparte rzekomo na jakowejś praw-  
dzie psychologicznej, która — zbliżona poniekąd do parado-  
ksu Lwa Tołstoja: „Ten, kto o dobroci mówi — jest zły“<sup>229</sup> —  
nie brzmi podobnie oszałamiająco, acz bardziej może błę-  
dnie, jak powiedzenie: „Takimi człowiek widzi ludzi, jakim  
sam jest“<sup>230</sup>...

Czyżby tedy wszyscy niemal ludzie dzisiejsi (a może nie-  
tylko dzisiejsi...) byli prawie bez wyjątku „źli“?

Nie. Rolę decydującą odgrywają tu obiektywnie — wobec  
(stwierdzanych na każdym kroku i przez biologję<sup>381</sup>) wzglę-  
dności zasadniczej i realnej zjawisk wszelakich — dane wa-  
runki życia, subiektywnie zaś stosunek danego człowieka do  
nich.

Dlatego też — zgodnie z psychologją — należałoby tu ra-  
czej powiedzieć: Nie takimi człowiek widzi ludzi, jakim (sam)  
jest, lecz — w zależności od tego... jak mu jest.



Jest też bowiem zjawiskiem niezaprzeczonem powszechne a uderzające obniżenie się uczuciowo-moralne ludzi powojennych w zestawieniu z przedwojennymi.

Nadto, wobec występującego równolegle z tem „dzisiejszego“ w stosunku do „wczorajszego“ — i to w życiowym rozumieniu powszechnem — podwyższenia poziomu haseł i drogowskazów ideowych, stoimy tu jakby w obliczu zdwojonych dystansów moralnych...

Skądże jednak pochodzą te i aż takie zmiany?

Nie tłumaczą bowiem w pełni radosnego nieraz ideowo, acz najprzeważniej posępnego życiowo ich obrazu same przeżycia wojenne, ani krwawe o nich wspomnienia...

Przyczyną — główną bodaj — są tu raczej ustrojowe, odczuwane zarówno społecznie jak moralnie, wstrząsy życia zbiorowego, polegające zasadniczo na tem, że po Wielkiej Wojnie zachwiały się dawne, niekiedy odwieczne, a przeto w krew ludzi wsiąkle, podstawy zestrojów (i jakiej takiej harmonii moralnej) bytu społecznego ludów — i to tem silniej, im większa w danym kraju (np. u nas) panowała przed wojną rozpiętość socjalna.

Powstająca stąd — ba! niosąca z sobą niemal z dnia na dzień posiew szaleństwa nastrojów — dysproporcja między ideowym szczyblem kulturalnym ludzi i ich środowisk, a kurczącymi się realnie warunkami ich bytu, smagana nadto bez wytchnienia przez hasła, piekielne raczej niż gospodarczo-ideowe, samowystarczalności głodowej — okazuje się koniecznością dla coraz to liczniejszych ludzi wręcz nie do zniesienia!

Nastrój graniczy tu często już a dosłownie z ...agonją.

Dotyczy to zwłaszcza (względnych bodaj) „wyżyn“ — bo „niziny“ (niemniej względne) łatwiej oczywiście przystosowują się naogół do nowych warunków egzystencji, i to nie tylko tam, gdzie warunki te niosą im pewne polepszenie bytu.

Razem wzięwszy, niepodobna dopatrzeć się w tem wszystkim — i to poza Olimpem bohaterów — realnych podstaw psychologicznych twierdzenia, że: „Takimi człowiek widzi ludzi, jakim sam jest”<sup>230</sup>.



Zapewne. Zgoda i na to, wszelako z dodatkiem, że i kogu-  
łowi z poderżniętem gardłem świat w momencie krytycz-  
nym barwi się niechybnie na ciemno... bardzo ciemno!...

Nie! Rodzące nastrój zły i ponury masowe sugestje zła,  
winny być zastąpione — bodaj za cenę wysiłków przenaj-  
wyższych — niezbędnymi sugestjami dobra. Na to jednak  
nietylko słów potrzeba, ile — ze względu na naturę ludzką  
człowieka — dawek, choćby minimalnych, dobrobytu.

A jest to tem konieczniejsze nietylko realnie, lecz i zasa-  
dniczo, im bardziej ludzie (jak u nas!) są ciemni, a wraz  
z tem głupi, „źli“ i nieszczęśliwi...

Nadto, trzeba zaznaczyć, że i poprzez ciemnię najgęst-  
szą spowijających ich mroków, łakną oni całą swą istotą  
dobra takiego, jakiego każdy z nich potrzebuje — jakgdyby  
w odczuciu jedynie tu miarodajnej prawdy psychologicznej,  
że li-tylko z takiego właśnie „dobra“ może na nich spłynąć  
światło „prawdy“, dla każdego z nich zrozumiałej, t. j. wy-  
rażającej stan rzeczy, odpowiadający życiowo i moralnie  
potrzebie ich normalnej.

Bo powiedzenie tragi-komiczne (człowieka klasycznie upar-  
tego): „Tem gorzej dla rzeczywistości“ (o ile ta nie chce ze  
mną być w zgodzie) — nie jest w gruncie rzeczy ani para-  
doksem ani żartem. Jest ono raczej zakulisowem stwierdze-  
niem dziwnej (na pozór „prawdy“, że żaden w świecie  
„objektywizm“ — żadne  $2 \times 2 = 4$ , nie obalą głębinowego  
faktu, że — podobnie jak niema dla poznania naszego rze-  
czywistości istotnej<sup>201</sup>, tak też ani to, co za nią, choćby i naj-  
powszechniej, uchodzi, ani najbardziej nawet łudzące jej  
pozory, ani wreszcie oparte na nich opinie, jakoby bez-  
względnie nietykalne — nie są w stanie zmienić „irracjonal-  
nego“ (= instynktowi samozachowawczemu odpowiadające-  
go, czyli: psychologicznego istotnie) kierunku pochodzenia za-  
równo człowieczeństwa, jak ludzkości, w dal życia...

To też głoszone zzewnątrz „prawdy“, dla danych ludzi,  
a zwłaszcza grup, życiowo nieodpowiednie, nie trafiają za-  
zwyczaj (nawet mimo swego „objektywizmu“) nietylko do  
ich przekonania, lecz bodaj świadomości, jakby *ad hoc* opan-  
cerzonej profilaktycznie nastrojem autosugestji ochronnej,



która sprawia, że nieraz sytuacja, jaknajoczywiściej dla innych fikcyjna i złudna, starczy owej grupie (owocnie!) za „rzeczywistość“ pożądaną.

Stąd to i prawdy najszczytniejsze człowiek ogarnia i uwzględnia o tyle tylko, o ile mu to w danej chwili jest istotnie potrzebne.

Przenajwyższem bodaj prawem jego i prawdą — w rozumieniu normalnem — było, jest i będzie: żyj! co znaczy: bądź sobą; nie zaś: bądź innym niż jesteś ty i twój świat, co znaczyłoby: nie żyj!

To też — w konsekwencji prostoliniijnie psychologicznej — powiedzenie: przyznaj mi rację (szczerze, z wynikającymi z niej następstwami) znaczy: pozwól, że cię pochłonę, a conajmniej — „napocznę“...

Dlatego to Nietzsche twierdził (paradoksalnie na pozór) że budowanie czyjejś sławy, to w gruncie rzeczy — własna budowniczego niesława.

Konieckóńców, tylko t. zw. „nieporozumienie“, t. j. wyraz nieświadomości, niezamieniony jeszcze gruntownie na t. zw. „przekonanie“ (równe już „prawdzie wewnętrznej“ człowieka, będącej w gruncie rzeczy głosem potrzeby jego psychożyciowej, bezwarunkowo domagającej się zaspokojenia) można przemódz tłumaczeniem, perswazją, wpływem...

Zgoła inaczej mają się rzeczy z „przekonaniem“ będącem wyrazem psychicznym postaci wewnętrznej człowieka — podobnie nieulegającej już zmianie, jak linje zewnętrzne jego naskórka, badane przez daktyloskopję.

Stąd też powiedzenie: *tout comprendre, c'est tout pardonner* staje się nad wyraz prostem i jasnym: Wszak zrozumieć kogoś, to znaczy dokonać zlewu jego „prawdy“ ze swoją... A człowiek normalny nie może nie przebaczyć sobie, a przeto i sobowtórowi swemu, czegokolwiek — choćby z czasem — gdyż inaczej doprowadziłby sam siebie do absurdu.

Iżby zaś jakiegokolwiek — nie wyłączając „jaknajoczywistszych“ „fakty obiektywne“ i ich sens, miały komuś prawdę głębinową, płynącą z nurtów przeświadczenia jego i jego fundamentów, zastąpić, jest to złuda, równa przypuszczeniu, że ktokolwiek bądź może być (nietylko grzecznością



wo) prorokiem między swymi<sup>231</sup>, albo, że nagi król z bajki Andersena pięknie był przyodzianym dlatego, że mu to wma-  
wiali jego dworacy.

Atoli, nieprzeliczone, jak ludzkość sama, człowiecze łaknie-  
nia prawdopodobne ziszczają się naogół tylko w marzeniu,  
którego realizacji pożądamy wszyscy jawnie lub skrycie.

Wszelako wszyscy i każdy — każdy i wszyscy, toć to „je-  
dność“ tylko pozorna, będąca w gruncie rzeczy gordyjskim  
węzłem antynomii.

Jakoż — jak stwierdzamy to wciąż w życiu — prawda  
moja i jego, to nietylko nie toż samo, lecz przeciwieństwo wy-  
rażne — ba! przeciwieństwa dwa, boć „jedną“ może być  
tylko jednia.

A jednią tą dla nas wszystkich i każdego z nas zosobna —  
dalej zaś w nas wszystkich naogół i w każdym znas oddziel-  
nie, może być to tylko, co—jak pokrywające nas swą kopułą  
— świetlne zwierciadło wszechbytu—wyczuwane jest przez  
wszystkich tak lub owak, a jednak niezgłębione przez niko-  
go — duch, będący sobą, nami i wszystkim, co było, jest  
i będzie, czego w poczuciach naszych odwiecznych a wiekui-  
stych, nie może nie być podobnie, jak nie może być nicości,  
*quam horret natura...*

Zresztą, gdyby w życiu istniała a przeto i panowała jedna  
tylko (dostępna nam) prawda — to znaczy jednia zarówno  
istotna jak morfologiczna wszechzjawisk, — to w temże ży-  
ciu nie odbijałyby się (w percepcji naszej) ich rozmaitość nie-  
tylko gatunkowo, lecz i poszczególnie, a tak przecież nie jest.

Jest nawet wręcz odwrotnie, co odbiło się w powiedzeniu  
o braku dwu liści jednakowych na drzewie.

Pozatem „prawda“, na którą czyjś sens nie godziłby się  
szczerze — jużby prawdą „bezwarunkową“, a przeto praw-  
dą być nie mogła nietylko dlatego, że ów ktoś by jej prze-  
czył, lecz że przez owego kogoś przeczyłoby jej — życie.

Jakiż stąd wniosek?

Oto, wolność, marzona przez ludzi, a nieistniejąca w ży-  
ciu („wszyscy“ stwierdzają to społem) — jest jednak do zna-  
leżenia (zdaniem ludzi uduchowionych) w duchu.

Podobnież ma się i z „prawdą“, którą odszukać można je-



dynie, wraz z „wolnością“ — siostrą jej sjamską — li-tylko w duchu, t. j. w krainie marzonego przez psychikę ludzką „absolutu“.

Zresztą, zarówno słowa: *jakoś uwierzył, niech ci się stanie* <sup>210</sup>, jak wyniki nauki dzisiejszej <sup>201</sup> stwierdzają, że t. zw. prawda, t. j. innymi słowy t. zw. „rzeczywistość“, które ludzkość tak uparcie a odwiecznie chce wiązać z wiedzą, leżą li-tylko w wierze. Choć zaś — głębiej rzeczy biorąc — nie masz wiedzy bez wiary, to przecież jedna a druga to nie jedno <sup>33</sup>, wskutek czego, z punktu widzenia t. zw. strony realnej życia, związanej — na podobieństwo formuły  $2 \times 2 = 4$  — z wiedzą, nie z wiarą, należałoby powiedzieć, że prawdy jednej, t. j. prawdy — niema.

Spoczywa ona — jak już wiemy — w sferze t. zw. subiektywizmu, co oznacza, że tyleż jest prawd, ilu jest ludzi, gdy — niezbędny dla życiowej wagi „prawdy“, umysłowy ludzki współczynnik jej — obiektywizm, winienby tu jednak wyznać, że „prawda“, jaką znamy, to nie bezwarunkowość — to względność czyli..., własna jej antyteza, której w granicach poznania naszego imię: niepoznawalność.

A i z punktu widzenia przyrodniczego wynika w zasadzie toż samo <sup>201</sup>, albowiem — jako istota rzeczy — tu i tam występuje niepoznawalna „substancja“ zjawisk.

Nie mamy tu zresztą na względzie t. zw. (praktycznie) prawd natury, bo te — do granic poznawalności swej, osiągniętej już przez człowieka — mniej lub więcej proste są dla nas, jasne i oczywiste.

Idzie nam tu o panujący masom, ustalony jakoby — w istocie zaś nieuchwytny — stosunek człowieka do t. zw. „rzeczywistości bytu“, będący w gruncie rzeczy, podobnie jak „rzeczywistość“ <sup>201a</sup> sama z jednej, a „człowiek“ z drugiej strony, rozmaitym, bo z natury swej — zmiennym.

Ludzie jednak — opinia ich powszechna — nie chcą się z tem pogodzić — najpewniej wskutek oddziaływania na nią pierwiastku gromadzkości, nie znoszącej, jako oś królowania ludzkiego stworzeniu, w molekuli swej — człowieku — odchyłeń od jego jednolitej rzekomo i zasadniczo nienaruszalnie w ramach życia umocowanej, jaźni...



To też — dzięki sugestjom podobnym, człowiekowi (każdemu zośobna) — jako „centrum świata“ — wydaje się wiekuiście, że Opatrzność z jego to „prawdy“ nie zaś z innej, winna uczynić swoją rację stanu.

I w tem to bodaj leży psychologicznie, przelewając się w nastrój, ta właśnie „prawda życia“, której ludzkość poszukuje odwiecznie, a o którą Piłat pytał Chrystusa Pana <sup>209</sup>, nie dostrzegając Prawdy Bożej w Nim Samym.

Na ogólnem tle takim nie jest zgoła dziwnem, że t. zw. opinia publiczna, jako chór wielu życiowych prawd dowolnych, nie może w gruncie rzeczy posiadać przypisywanego jej przez entuzjastów tłumu <sup>210</sup>, charakteru *voxis Dei*, nie mówiąc już o tem, że bywa ona często przez wielorakich rycerzy przemysłu nadużywana do niecných ich celów.

Dzieje życia wykazują atoli, że samo głoszenie choćby i przynajwyższych nawet haseł moralnych bez uczynków odpowiednich, jest bezpłodne — tak dalece, że nietylko konkretnym wyrazem życia, lecz miarą wartości, oraz wspólnym mianownikiem wszystkiego tego, co staje się naokół nas w sposób godny uwagi — są konieckońców ważkie swym ciężarem gatunkowym moralnym czyny ludzkie.

Powiedziano też, że: *Syn człowieczy... odda każdemu według uczynków jego* <sup>211</sup>.

\*

O potędze wpływów sugestji na nastroje ludzkie, świadczy najdosadniej może przykład i zestawienie efektów psychicznych, związanych ze zgładzeniem człowieka przez człowieka w walce orężnej a skrytobójstwo. Pierwsze potrafi otwierać przed „zwycięscą“ wrota raj, drugie — piekiel... A przecież i tu i tam z ręki ludzkiej zginął — człowiek.

Pomijając autosugestję, sugestja klasyczna płynie zasadniczo zewnątrz człowieka w jego głębię psychiczną — podobnie jak t. zw. opinia publiczna, z którą — boć i ta ostatnia jest także sugestją w swoim rodzaju — posiada ona naogół wiele cech wspólnych, zarówno psychologicznych, jak życiowych zewnętrznych, zarówno czynnych, jak biernych.



Na ich czoło wybija się tu w stosunku do człowieka ta nade wszystko okoliczność, o rozpatrywanych tu sprawach decydująca, że jest on stworzeniem stadnym.

Świadczy o tem bezlik przesłanek wielorakich, ale na czoło ich — w znaczeniu psychologicznem — wybija się dzisiaj niewątpliwie, z kryzysem i troskami doby jego połączona, t. zw. „psychoza człowieka zbytecznego“, polegająca na obcej zasadniczo typowi indywidualisty (nietylko zoologicznego) właściwości psychicznej gromadowca, która dałaby się ująć w nakaz życiowo-moralny: bądź za wszelką cenę użytecznym (widocznie i bezpośrednio, t. j. nawet wbrew hasłu: „sztuka dla sztuki“, „nauka dla nauki“, i t. p.) swemu otoczeniu!

Trudno o dowód jaskrawszy gromadzkości typów, przeciwstawiający się o wiele od nich rzadszym odyńcom ludzkim, bytującym jaknajchętniej psychicznie i życiowo poza masą, albo li-też umiejącym się jej zzewnątrz narzucać władnie <sup>234</sup>.

Wprawdzie są to wszystko — truizmy, ale... osobliwe.

Stado ludzkie, zwane na wyższych szczeblach kultury (ex-hordą) gromadą, grupą, społecznością, otoczeniem, (ew. klasą) — to w gruncie rzeczy nic innego, jak zmienna kulturalnie w toku rozwoju prapielina socjalno-wychowawcza człowieka, będąca *sui generis* odpowiednikiem życiowym błony fizjologicznej, spowijającej go niegdyś w łonie matki.

Stado — bez względu na swą nazwę — łagodzi dolegające człowiekowi wstrząsy, powodowane przez życie; koi uderzenia jego fal wezbranych; staje się jakby drugą z kolei rodzielką człowieka — już w rozumieniu psychologicznem...

Nic dziwnego, że — podobnie jak dziecko osamotnione odczuwa o wiele bardziej głód czy ból, aniżeli otoczone gronem rówieśników, tak też i człowiek-jednostka, pozostawiony sam sobie, może stawać się męczennikiem tam nawet, gdzie gromadowcowi mogłoby być jeszcze znośnie, czy dobrze.

Z takiej to pieliny-matki wyzwala się prężnością sił swoich indywiduum ludzkie, aby jako bohater czy święty podjąć — innym na podziw, poprzez sugestję, naśladownictwo, nastrój czy wzór — wędrówkę samodzielnią przez życie.

Miejsca opieki utraconej nie zajmie nigdy już przy nim



nikt inny, jeno własny jego, uświadamiający się w nim samym życiowo — duch.

Cóż dziwnego, że gdy ów, a raczej ludzkie narzędzie jego słabnie, bodaj chwilowo, człowiek zgnębiony, chcąc nie chcąc, tęskne oczy swoje zwraca znowu w kierunku — stada?...

*I vice versa*: jeden i tenże sam człowiek, zwłaszcza wybitny, t. j. indywidualnie pod względem psychicznym silniejszy od innych — może uchodzić w rozumieniu stada, czyli wobec t. zw. (w świecie cywilizowanym) opinii publicznej, zależnie od zbiegu okoliczności (t. j. od przypadku), za... potwora i mę-  
ża opatrnościowego: za burzyciela i — zbawcę; za bóstwo i szatana...

Potencjonalna rozpiętość opinii jest tu tak... nieskończona, że, biorąc rzeczy gruntownie — właściwie jej... niema.

Jest też ona raczej szmerem słów bez głębszej treści — trafiającym do typów przeciętnych, nie zaś do zastanawiających się głębiej nad rzeczami.

Są to zresztą sprawy powszechnie znane, acz... drastyczne, bo kłójące się z najpotężniejszym orężem przeciętności i nizin — z demagogją.

Że tedy t. zw. opinia publiczna, mogąca cieszyć się w warunkach sprzyjających jej, względnie a conajwyżej rolą *bluffu*, nie posiada i wtedy nawet głębszego znaczenia, cóż w tem dziwnego?!

Wszakże o jednej i tej samej sprawie może, a nawet w zasadzie musi być tyleż „prawd“ i zdań, ilu ludzi je wypowiada...

A przytem żadne bodaj z tych zdań nie sięgnie do głębi osądzanego zagadnienia, będąc wyrazem stosunku przelotnego a powierzchownego danego człowieka do danej sprawy...

Skądże suma ich ma stać się głębszą moralnie, niż one same?

Conajwyżej suma ta — w osobach licznych swych rzeczników — może zdobyć sobie znaczenie materialne przewagi masy nad jednostką — podobnie jak fura piasku to góra niebotyczna w zestawieniu z ziarnkiem.

Wszelako „dusza“ fury nie zagóruje nad „duszą“ ziarnka w niczem...



*Vox populi — vox Dei* — powiecie...

Zapewne. Atoli tam jedynie, gdzie tryumf czy zagłada, których ów głos dotyczy, są już w danym momencie faktem dokonanym, nigdy zaś... dokonywanym!

A cóż dopiero, gdy zważymy „klimat lokalny“ rzeczy, określony trafnie w słowach: „U ludów silnych opinia więcej podnieca, niż zniechęca; raczej poklaskuje niż gromi. U nie-„szczęśliwych: u upadłych — radaby, zdaje się, wszystko „zniszczyć, wszystko pogrzebać, nikomu nie przebaczyć”<sup>235</sup>...”

Jakżeż i jak krańcowo dalekie to od właściwej tylko bohaterskim jednostkom ludzkim samoofiarności w bezinteresownym służeniu ideałom!

Jakże — i to w najlepszym nawet razie — poziom kulturalno-moralny opinii „ludów nieszczęśliwych“, pochwycony przez wielkiego pisarza, przypomina tu bolesną groteskę w rodzaju: „J. U.... zmarła w szpitalu... Przyczyna samobójstwa — rozpacz, spowodowana obcięciem włosów przez córkę”<sup>236</sup>...”

Wiele oczywiście zawisło tu od kultury danego środowiska, ta zaś niemało od rodzaju i poziomu wychowania pokoleń: od poddawania im właściwych nastrojów i trwałości ich podstaw.

Wierzą w nie po swojemu — t. j. swoiście słusznie — nawet i bolszewicy; tembardziej winniśmy po swojemu i my zastanawiać się nad poruszanymi tu zagadnieniami.

Rozważania ich prowadzą między innymi do wniosku, że człowiek właściwie nie zmienia się, lecz wciąż się nastraja: że tedy wszystko to, co jest oddziaływaniem nań świata zewnętrznego, a najogólniej nazywa się wpływem, staje się w stosunku do niego, jak wiatr wobec strun harfy — pobudką do zmiany nastrojów... Że tedy powiedzenie: człowiek zmienia się częściej niż wąż — brzmiećby raczej powinno: człowiek — od przypadku do przypadku — nastraja się łatwiej bodaj, niż struna skrzypiec, na dany ton.

Trafnie ocenia ów stan rzeczy św. Tomasz à Kempis, mówiąc: „Przygody nie czynią człowieka ułomnym, lecz wykrywają jakim jest”<sup>237</sup>, co znaczy psychologicznie, iż to, co nazywamy potocznie zmianą człowieka, jest zmianą jego nastroju,



przyczem trzeba zaznaczyć, że cechą zasadniczą tego ostatniego jest zmienność.

Dalej należy tu stwierdzić, że poddając się łatwo przemożnej roli nastroju, psychika gromadowca skłonna jest przechodzić równolegle z tem do porządku nad wszelkim faktem — bodaj najbardziej nawet oczywistym, lecz nie harmonizującym z brzmieniem jarzmiącego ją właśnie kamertonu.

Innymi słowy — dla człowieka pospolitego, jako typowego przedstawiciela przytłaczającej większości — fakty nie zdają się posiadać znaczenia tam, gdzie silniej od nich w danej chwili władają ludźmi nastroje.

Tem to bodaj tłumaczy się w znacznej mierze trwałość nawyków ludzkich, tradycy i zwyczajów — tem odporność człowieka na wpływy kultur obcych, oraz na reformy wychowania.

Oczywiście, pewna część ludzi zawsze musi ulegać życiowym „wykolejeniom“, wskutek niedających się usunąć przeciwności losu i oni to, stanowiąc materiał podatny na szermierzy nowego autoramentu, zmieniają pod ciężkim nieraz przymusem warunków odmiennych bytowania, tory swe dawne na zgoła obce im niekiedy i nowe.

Wszelako jedna jaskółka wiosny nie czyni, to też większość ludzi przeogromna pozostaje sobą po dawnemu — nietylko w ustalonem — bodaj ponad wszystko — rozumieniu antropologicznem, lecz również psychologicznem i życiowem.

Mimo to — jak widzimy — nie przestaje być arcydoniosłą w rozwoju ludzkości rola nastrojów. Ujemne ich postacie tworzy ciemnota i barbarzyństwo; dodatnie kultura cywilizacyjna, przesycona harmonją, a niosąca z sobą podniety radosne.

Nasuwa się tu siłą rzeczy sprawa wychowania, będącego mniej lub bardziej zorganizowanem wpływaniem danych rzeczoznawców — pedagogów, na rozwój umysłu i duszy dziecka, czy młodzieńca.

Wychowanie szkolne — tak pojmują je wszyscy — ma być przeto kształtowaniem człowieka w kierunku dodatnim. Takim przynajmniej byćby powinno, jeśli nie w gruncie rzeczy, to w ideale.

Istotnie bowiem dziecko w środowisku wychowawczem po-



dlega ewolucji rozmaitej: niekiedy postępowej, niekiedy zaś wstecznej, t. j. — rozwojowi albo przytępieniu swej inteligencji wrodzonej, zależnie od współmierności zasadniczej pomienionego środowiska ze zdolnościami wychowanka.

To też — zarówno o wielu szkołach, jak i o wielu ich wychowancach możnaby powiedzieć śmiało, że się w nich ten i ów rozwinął pomyślnie nie dzięki nim, lecz mimo ich oddziaływanie na siebie.

Tak czy owak na wzór życia, w którego ramach nie zmieniają się naogół (o czem się zapomina) ludzie dojrzały, nastrajający się raczej na ton danych podniet bytu — dzieci i młodzież w wychowalniach swoich, będących niwą ich egzystencji, nie mogą również ulegać odmiennym psychologicznie stanom rzeczy.

Dalej, a istotnie — zupełnie jak w szrankach ludzi dojrzałych (co jest jasne!) — na plan pierwszy wpływów wychowawczych wszelakiej szkoły wybijają się nadewszystko czynniki tresury i charakteryzacji jej pupilów *ad usum vitae*.

Wychowanie szkolne — to w gruncie rzeczy owe właśnie zabiegi, mające na celu przystosowywanie materiału ludzkiego do sprawności w szrankach życia zbiorowego danego podniebia.

Pod względem psychologicznym nie jest tedy wychowanie, jak się nieraz a błędnie sądzić zwykło, (a co byłoby przecież zgoła niemożliwem) urabianiem, w znaczeniu „przerabiania“ natury wychowanka na upatrzoną modłę, lecz conajwyżej bardziej lub mniej udatnem nastrajaniem natury tej na dany ton. Boć indywidualizm jest siłą wewnętrzną danego typu, poniekąd niemniej potężną, niż samo życie. To też ów typ potrafi działać owocnie dla siebie i dla innych, jedynie poprzez siebie, t. j. poprzez cechy swe istotne. Jako wykonawca bierny, może on być tylko automatem i miernotą. A dzieje się tak dlatego, że — im silniejszym jest dany typ psychiczny — tem bardziej przerost egotyzmu zagłusza w nim przeciętne cechy inne, ale — sprawiając to — wyzwala w nim i z niego jednocześnie własne jego siły twórcze, niekiedy tak potężne i płodne, że mogące wystarczyć w życiu nietylko dla niego samego, lecz i dla wielu ludzi innych. To też wychowanie, będące



w gruncie rzeczy zabiegiem, mającym na celu upodobnić, t. j. w wyniku: zbanalizować pupila na modłę przeciętną, byłoby wręcz dla typów indywidualistycznych zagładą, gdyby te nie potrafiły uchylać się skutecznie od grożącego im „dobrodziejstwa...”

Czy jednak nie szkoda na to i sił i czasu?

W metamorfozy psychologiczne wierzył był wprawdzie przed laty J. J. Rousseau na Zachodzie, a świeżo Lenin, Łunaczarskij, czy Stalin w cofniętej rozwojowo o wieki Bolszewji — ale, gdyby coś podobnego było wogóle możliwem, to pupile doskonalszych zwłaszcza wychowalni, oddawna już byłiby wszędzie jednacy.

A tak przecież nie jest, choć — w myśl tego, co o „tresurze” i „charakteryzacji” nadmieniliśmy wyżej — trzeba przyznać, że — jak zwierzęta w cvrku, poddane biczowi jednego pogromcy — tak i pupile ludzcy „jednej marki” stają się — im marka jest „doskonalszą” — uderzająco zbliżonymi do siebie... zewnątrznie. A nie samą przecież zewnętrżnością — nawet po ustalonych (na krótko!) kolejach swoich, toczy się życie!

Dawniej zwykło się było twierdzić, że człowiek to iloraz urodzenia przez wychowanie.

Dziś — głębiej może w rzeczy wnikając — należałoby raczej powiedzieć, że — im „staranniej” został ktoś wychowany — tembardziej odbiega on w życiu pozornie od swej istoty wewnętrznej, która zasadniczo niewiele bodaj na tem zyskuje ani traci...

\*

W związku z omawianemi tu sprawami może nasunąć się uwaga na temat niezmiernie doniosły, o ile wogóle wolno go poruszać.

Mamy tu na myśli zagadnienie, a ściślej mówiąc nasuwające się niekiedy pytania co do „domniemanej” przyszłości, czy raczej może co do kuszącego nasze przewidywania, dalszego toku cywilizacji...

Boć zawisł on nadewszystko bodaj od rodzaju nastrojów



świata, że zaś dzisiejsze pocieszające nie są — to więcej niż pewna.

Przyjrzyjmy się im nieco bliżej, choćby od takiej oto strony:

Po wielu latach życia, bogatego w doznania wielorakie, człowiek dostrzega poprzez górę wspomnień, że usposobienie jego, pociągi, porywy, zainteresowania, ożywiające go od czasów niemal dziecięcych—mimo wszystko—nie zmieniły się wcale. Gdy zaś toż samo powiedzieć może i o różnych swych rówieśnikach — przestaje wreszcie dziwić się niemocy czasu i stwierdza, że ludzie naokół niego — poza dziedziną fizjologii wieku — pozostali sobą.

Czyż istnieją tedy „w świecie“, a raczej w granicach naszego żywota (innych dostatecznie nie znamy!) jakoweś — poza kwiatem paproci wielkiego uczucia — trwałe w oddziaływaniu swem na człowieka, wpływy i wzory?

Mamy tu na myśli wewnętrzne — w rozumieniu przeistoczeń jego głębinowych — wpływy kultury...

Wpływy, zmieniające to, co człowiek na świat z sobą przyniósł; wpływy zewnętrzne na molekulę czy to indywidualistyczną czy gromadzką człowieka, rozkwitającą pod daną jego postacią w życiu z soków pra-odwiecznych pnia, z którego wyrósł?

Niewątpliwie. Wszelako w stopniu tak znikomo nikłym, że niepodobna byłoby śladów jego zauważyć realnie, gdyby nie megafony frazesów socjalno-kulturalnych, pracujących *ad hoc* w służbie różnych... nastrojów.

Cóż tedy dziwnego, że wpływy cywilizacyjne, t. j. oddziaływania syntezy danej kultury historycznej na człowieka, będącego w gruncie rzeczy akumulatorem odwiecznych, ze-wsząd poprzez zmysły spływających na niego nastrojów bez liczby ni kresu — nikłe jest jak mgła niedostrzegalnego nalo-tu chwili, wiotkie i słabe.

W związku z tem panuje wprawdzie w życiu komunał, głoszący, że „dusza ludzka się nie zmienia“ — wszelako, jak-że często towarzyszy mu przesycone śmieszną w swej naiwności, emfazą, wołanie: „Przecież to już (!! ) wiek XX, na Boga!!“.

Po której-że tu stronie frazes?



Z pewnością nie po pierwszej, lecz po drugiej...

Kędyż atoli i jakie mogą nam się tu nasunąć (mimo wszystko) przesłanki, dotyczące ew. przyszłości cywilizacji?

Oczywiście i nadewszystko: w dziedzinie zjawisk, bodaj względnie „stałych“, jak dany w danej chwili pod danem podniebieniem stan kultury historycznej, będący wyrazem zespołu, (niekiedy zaś już i zestroju) pewnych nastrojów cywilizacyjnych — łącznie zaś z tem sama ich pepiniera — psychika ludzka, do pomienionego stanu rzeczy rozwojowo przystosowana w sposób, darzący ją odpornością, chociażby tylko wobec wrogich cywilizacji bodźców i nastrojów efemerycznych.

Jest to tem ważniejsze, że Wielka Wojna oraz jej następstwa zmiotły z powierzchni życia wartości niedość w glebie jego utrwalone: unicestwiły to, co nie zdołało przeniknąć wgłąb molekuli psycho-dziejowej świata w toku jego rozwoju: co nie stało się jeszcze składnikiem integralnym, choćby potencjonalnym tylko, typowej psychiki dzisiejszego, panującego liczbą przemożną nad ludzkością, człowieka przeciętnego.

Niemozna być pewnym, czy pojęty tak właśnie warunek podstawowy przyszłości cywilizacji naszej przekroczył już dostatecznie zasięgiem swoim — wobec siły ciśnienia wrogich mu mocy — granice drzemiącego w każdym z nas, barbarzyńskiego prymitywu psychicznego<sup>172</sup>.

Jakże się jednak przedstawiają sprawy poszukiwane w ujęciu nieco bodaj bardziej bezpośredniem — w świetle dążeń i nastrojów, których prawdopodobieństwo w ramach przyszłości—*sit venia verbo*: dostrzegalnej—zdaje się wynikać z przesłanek wielorakich ostatniej doby?

Otóż — po pierwsze — wysuwa się tu z chaosu powojennego w dal przyszłości nieodparte — mimo wszystko — dążenie świata do podtrzymania instytucji rodziny, bodaj jednak nie wolnej od tendencji matryarchalnych, to znaczy: od domieszki poliandrii, co — razem wzięwszy — zdaje się być zjawiskiem nieodłącznem od niezaprzeczanej dziś już w świecie całym fazy stadnej<sup>238</sup> bytu zbiorowego.

Powtóre, taż sama stadność, wyrażająca się syntetycznie



w totalizmach państwowych czasów naszych, stwarza potęgujące się wciąż usiłowania rozwiązywania zagadnień, związanych gospodarczo i obyczajowo z instytucją ogniska domowego, drogą — mniejsza o nazwę — masowych urządzeń spółdzielczych.

Wreszcie — wobec niewątpliwej nadrzędności moralnej chrystjanizmu, zdolnego znieść wszelkie próby wieków i ustrojów — nie zdaje się on być przez żadne zgoła ataki zagrożonym. Atoli formy jego kultów historycznych nie mogą oczywiście przetrwać tych warunków bytu, jakie powołały je do życia w toku dziejów.

W tych to bodaj kierunkach zdają się dziś zarysowywać — nietylko z pobudek praktycznych, czy pod działaniem wpływów zawodowo wywrotowych — nastroje europejskie na przyszłość.

Prawda, że nie jest to wszystko dla miłośników *temporis acti* dość różowe, wszelako — wzorem wolterowskiego *Candide'a* — mogą oni sobie powiedzieć z rezygnacją, że po pełnych zaślepienia, nieprawdopodobnych błędach przeszłości — dobrze, że nie jest, a może i nie będzie, jeszcze gorzej.

Błędne zaś ujmowanie położenia rzeczy, płynących z nastrojów, łatwo przemijających i — co za tem idzie — fałszywe interpretacje zagadnień życiowych, zwłaszcza ze strony ludzi, choćby formalnie tylko władnych — to droga niezawodna do niweczenia sytuacji znośnej gwoździ nieuchronnego jej pogorszenia.

A nie tak nie szkodzi ładowi spraw zbiorowych, jak zbędne w gruncie rzeczy i przeto bezpłodne — drażnienie kogośkolwiek, zwłaszcza zaś przeciwnika.

Drażnienie — to wpędzanie kogoś z dobra w zło, choćby przez proste obniżanie jego lotów.

Wszak natura, nietylko ludzka, to amfibia dobra i zła, z których każde wymaga odpowiednich dla siebie warunków bytu i rozwoju.

Drażnienie jest typowo nastrojowem potęgowaniem zła w sobie i przeciwniku przez proste naruszenie w człowieku równowagi psychicznej, będącej ostoją normalną a niezbędną harmonii, jako warunku dobra.



Wstrząśnienie moralne, o jakim tu mowa, powodowane niekiedy drobiazgiem, łatwo zamienia się w lawinę, choćby dlatego, że gołosłowne fakty realne, nawet jaknajoczywistsze — podobnie jak sama tylko logika, nie poparta czynem — z trudem przekonywują, i łagodzą ludzi. Pierwszeństwo atoli mają tu skojarzenia uczuciowe, posiadające przed forum psychiki ludzkiej względnie najpotężniejszą bodaj siłę wymowy.

Nic dziwnego! Wszak logika, będąca wyrazem skończonym mechanizmu wnioskowania, właściwego umysłowości ludzkiej — nie jest zdolna ogarnąć zasięgiem swoim rozleglejszej skali przesłanek, niż umysłowość sama<sup>239</sup>. Ta ostatnia zaś obejmuje zaledwie fragment tych dziedzin życia, na jakie — świadomie czy podświadomie — potrafi jednak reagować psychika człowieka.

To też w oczach jego zarówno życie, jak on sam na jego tle — to pastwa irracjonalizmu, a Duhem ma rację, pisząc: *La démonstration n'est jamais source de certitude; toute assurance de la vérité nous vient du bon sens*<sup>240</sup>.

Konieckońców, przekonywanie ludzi o czymś przy pomocy t. zw. argumentów rozumowych, może udać się... w sądzie, gdzie wchodzi w grę nacisk, wstyd przed zgromadzeniem, a wreszcie — przemoc, nigdy jednak w życiu, zwłaszcza publicznem, zawsze opartem na *parti pris*, a drwiącem sobie nieubłagane w momentach krytycznych z przeciwnika, takiego zwłaszcza, którego można „zarzucić czapkami“!

To jedno, powtóre zaś, argumenty logiczne, trącające z natury rzeczy powiedzeniem: „Nie uwierzysz, kochany sąsiedzie, jak wygodnie jest mieć rozum“ — argumenty, zmierzające do zwycięstwa „impertynenta“, który ich używa, o wiele bardziej drażnią ludzi, niż ich przekonywują.

Jest tak — poza tryumfami, o których zrzadka mówią dzieje — zawsze niemal i wszędzie, gdyż nastrój ludzki przeciętny, zwłaszcza gromadzki, zwycięstw, odnoszonych nad sobą, nie toleruje dobrowolnie; trzeba umieć zmusić go do ich przyjęcia postrachem, lub czarem miłości<sup>172</sup>. *Tertium non datur*.

Jakież jednak z wszystkich tych rozważań płynie wniosek?



Oto, staje się jasne, że gdy z jednej strony najpotężniejszym faktem psychologicznym człowieczeństwa jest koncepcja Boga <sup>241</sup> — to z drugiej wiara głęboka, gorąca, a nade wszystko szczera w Tegoż Boga — musi stanowić dla człowieczeństwa punkt oparcia najprzedszy.

A skoro jest tak, to ujęcie trafne stosunku człowieka do teistycznych szczytów jego jaźni, winnoby być równoznaczne z istotnym jego obrazem psychicznym.

Atoli obraz ten przedstawia się, i to zasadniczo, w sposób dwojaki.

Przeogromna bowiem większość ludzi — gromadowcy — zaspakajają część walną potrzeb swych duchowych surogatem (społecznym) ducha: „przyjaźnią ludzką“, płynącą, czy zdającą się spływać na nich ze sjamskiego związku ich z masą ludzką...

*Jakoż my możecie, wierzyć którzy się w chwałę jedni od drugich kochacie* <sup>242</sup>?...

Wynikiem tego jest odgrodzenie się człowieka człowiekiem od Boga!

To też ducha, siły jego i rolę ich w życiu — masa zdolna jest w zasadzie pojmować conajwyżej jako *cud*: zjawisko, łamiące na jej rzecz prawa natury...

Znikoma jedynie mniejszość ludzi o typie indywidualistów, szuka bezprzedmiotowo, w napięciu swem najwyższym, wewnętrznego z „siłami nadprzyrodzonymi“ związku duchowego, którego zdobycie darzy wybrańców tych pokrzepieniem najdoskonalszem w przewyciężaniu ciężarów życia.

Jakże tedy między jednakimi pozornie ludźmi — daleko stąd do owąd!

Jakże odmienne bywać muszą nastroje każdego z tych... obozów!



## B U N T.

Odmieniając kategoryczne powiedzenia inne, możnaby tu zawołać:

— Powiedz mi przeciw czemu czy komu i jak się buntujesz, a powiem ci, kim jesteś!...

Nawet jednak w przypadkach, kiedy usiłowanie bezwzględne przeciwstawienia się złym losom wieńczy skutek owocny, łatwoby stwierdzić nieraz, że jawna to szkoda tracić siły, mogące iść w sukurs sprawie samej — na efekty, zbędne w danem złożeniu rzeczy...

Gdy atoli bunt — co zdarza się najczęściej — to nade wszystko *vana sine viribus ira* — zasługuje on tembardziej na miano przysłowiowe omlotu pustej słomy, zwłaszcza gdy brak mu cech, a nieraz bodaj i pozorów obrony wartości wyższych przed... wątpliwymi.

Zasługiwałby tedy bunt w wielu przypadkach na szyderstwo, gdyby rolą człowieka bywać mogła tylko „doskonałość“.

Tak jednak nie jest i dlatego to może nie być zbędnem ubolewanie, że i „najmędrszy“ człowiek utracą niekiedy bezowocnie dla siebie i innych siły swe na wystąpienia, uznawane za ujemne („złe“) — jaknajoczywiściej dlatego, że praktycznie nie zapewniają one plonu („dobra“).

W gruncie rzeczy jest to jednak przesłanka niemniej ... kopalna, niż przysłowiowa już niemal, pieczona kaczka nietscheańska — źródło „domniemanie“ uczuć wdzięczności i... dobra.



Semazjologia potrafiłaby może poprowadzić nas tu do głębszych i bardziej realnych pokładów rozwoju...

Gdzież tedy „prawda“?

Rdzenne pierwiastki jej leżą oczywiście w człowieku samym — w szczerym jego subiektywizmie: w głosie i wynurzeniu jaknajistotniej bezpośrednim danego istnienia — w wyrazie, którego nie może zastąpić obiektywny osąd zewnętrzny...

Gdy jednak człowiek skazany jest na byt zbiorowy, a w zasadzie (dostępnej nam „rzeczywistości“) wyrok ten jest absolutem — przeto wszystko to, co „absolut“ ów pogwałca bezowocnie, jest życiowo „złem“, to zaś, co w temże rozumieniu sprzyja mu, jest „dobrem“ — jeśli nie zawsze ujemnie (zło!) czy dodatnio (dobro!) subiektywnie moralnem, to zawsze i obiektywnie dla rozwoju spraw moralnych ludzkości — *sub specie aeternitatis*: ramowem.

Co zaś do użytych tu określeń rzeczy „owocnych“ i „beowocnych“, toć wiadomo, że — jak wszystko — tak też i one są względne, a to tembardziej, że człowiek sam i jego otoczenie potrafią wyzyskać życiowo wartości wszelakie, nie wyłączając najniklejszych, byleby im przyszło zetknąć się z nimi. Życie — bez względu na swą postać — pełni się bowiem wszędzie, gdzie może...

W wyniku spostrzeżeń takich trzeba powiedzieć, że bunt, zarówno wewnętrzny jak zewnętrzny: że powstające pod jego znakiem porywy, najprzeważniej moralnie ujemne, jak i wieńcząca je nienawiść: że cały zespół nastrojów łatwych, bo niskich, przystępnych, bo tanich — stanowi raczej bezpłodną a conajmniej rozwojowo niską, niż dodatnio płodną i wyższą, a zwłaszcza najwyższą, głębę życia, gdy przeciwnie, cierpliwość, wynikająca z przenikliwości dojrzałej, nie zaś, jak bunt pospolity, z porywczosci niedowarzonej — to nie tylko cecha (pozorna) niedołągów, ale i (istotna)... mędrców.

Na takim to rusztowaniu psychologicznem (względności nieuniknionej) zdają się powstawać, rozwijać się i krzepnąć wszelakie, nie tylko (formalnie) buntownicze, lecz i godzące się z losem stany „ujemne“ i „dodatnie“ — „moralne“ i „nie-



moralne“ człowieczeństwa: cierpliwość, pokora, dobroć — porywczosć, pycha i złość...

Bunt egoizmów rodzi się nadewszystko z pobudek grupy drugiej, a rola jego, w którą obfituje życie, jest najlepszym bodaj dowodem, jak dalece szczupłym bywa w niem miejsce na niezbędną przy górnych buntach ideowych cnotę męstwa, choć pozornie żaden wogóle bunt obejść się bez niego nie może.

Wszelako, jak bywają fałszywe wstydy, ambicje czy apetyty — podobnież nie brak i... lwów rzekomych po świecie — i to bardziej nawet rykliwych, niż rodzeni królowie pustyni...

Leonidasów pozornych dostarczają nadewszystko szeregi przyziemnych malkontentów życia.

Układ stosunków — choćby nawet z dostępnych najdoskonalszy — nie jest w stanie zaspokoić nigdy i nigdzie, zwłaszcza zaś jednocześnie, wszystkich członków danego zbiorowiska.

I oto dla pozbawionych krzty idealizmu wyczekiwaczów — grunt buntu gotowy, a fikcja — niecnotą z niego wydobyta — nasiennik zła — zagłusza ziarnem swem to nawet dobro, jakieby skądinąd znaleźć się tam mogło...

\*

„Narody nigdy nie są wojownicze — głosi Hipolit Taine —: to ich wodzowie prowadzą do zatargów — to owa *sotisse des princes*“ ...

Ale i poza sferą tronów, w świecie pospolitym, pojawia się: szumi nie rzadziej bunt przeciw dolegliwościom życia.

Prawda, że i tutaj nietylko masowy czy choćby przeciętnie gromadzki, ile raczej — jak i na tronach — opanowujący jednostki: częściej, niestety, słabe, typu gromadzkiego, aniżeli — dzięki psychice swej indywidualistycznej — osobiście potężne.

To też, skądkolwiek bądź ku zagadnieniu psychicznemu buntu się zbliżymy — uderza nas w niem na pierwszy ogień nietylko czynnik bohaterski walki człowieka z absolutem, upo-



staciowany w kosmicznej rewolcie aniołów — ile raczej popolite niezadowolenie ludzkie w życiu z tego, czego najczęściej nie może w niem wogóle nie być...

Zresztą i sam „absolut“ — poza potężniejszym, bo i bardziej od ludzkości odwiecznym pra-żywiołem wszechstworzenia, jarzmiącym je bezwzględnie pod przemocą miłości czy strachu <sup>172</sup> — występuje w zastosowaniu do czegokolwiek bądź innego raczej jako sztuczne swe odbicie: jako księżycowy wyraz fikcji słońca, spowijającej swą poświatą na jednej płaszczyźnie stany rzeczy i walory najbardziej nawet wielorakie — najwyższe, średnie i najniższe.

Ludzie normalni lękają — zwłaszcza w cięższych chwilach życia — świadomości, że są czemś istotnie w środowisku swoim, oraz gotowi są buntować się przeciwko wszystkiemu temu, co temu zaprzecza...

Zasadą dynamiki buntu jest bowiem zdolność wyłonienia z siebie dla przeciwstawienia się podjętej przez coś czy przez kogoś, negacji częściowej, czy zwłaszcza zupełnej, danych dążeń człowieka — własnego jego ja.

Zasada ta jest przeto zjawiskiem, wynikającym z instynktu samozachowawczego, jak miłość i strach <sup>172</sup> — wszelako bardziej warunkowem już, pochodnem, genetycznie późniejszym, nietylko w bardziej złożonych psychicznie, wyższych swych przejawach <sup>243</sup>...

Jakkolwiek bowiem świat, wedle (zbliżonych ideowo do mgławicowych też kosmogonii dzisiejszej <sup>244</sup>) wierzeń antycznych <sup>245</sup>, powstać miał z chaosu, a więc z dysharmonii zawiązków potencjonalnych bytu — to jego powstanie, istnienie i trwanie, nie dadzą się pomyśleć poza (względną) harmonią rzeczy.

Otóż zasada buntu jest jakby harmonii tej naruszeniem: wtórnem w sferze równowagi wszechistnienia echem chaosu: rodzajem wiekuistej jego zapowiedzi — falą powrotną stanu przedstworzenia...

Oczywiście — wszystko to w ujęciu *quasi* — platońskim. Ujmując bowiem poruszone tu zjawisko na gruncie dziejów ludzkości, możnaby powiedzieć, że bunt, to wyraz dysharmonii, jaka powstała w danej chwili między potencjałem



psychicznym jednostki ludzkiej a — masy. Trzeba tu atoli zaznaczyć, że stosunek wzajemny obu tych stanów jest zawsze mniej lub więcej ruchomy: że podlega on fluktuacjom i wahaniom podobnym, jak sam rytm — t. j. ład, porządek i proporcja czynników życia.

A — nie mówiąc już o zarysowujących się w kolei dziejów przewagach epokowych masy nad jednostką i odwrotnie <sup>246</sup> — każdy z potencjałów pomienionych — zarówno jeden jak drugi — może wśród pulsowań rytmu, o którym mowa, zazębiać się o linię spadku czy wznoszenia się fal energii życia, jeden kosztem, czy może raczej: dzięki drugiemu.

W zasadzie tedy ani gromadowiec ani indywidualista, nie posiadają, jako „typy wieczne“, w żadnych zgoła okolicznościach bytu, racji zasadniczo, t. j. bezwarunkowo dostatecznej do zwalczania przemocą bezwzględną istniejącego porządku rzeczy.

Z punktu widzenia *sui generis* klasycyzmu istnienia, typy te winnyby raczej oczekiwać spokojnie swej kolei i — trwać, pókiby owoc dojrzały nie spadł własnym swym ciężarem na łono niemniej dojrzałego do spożycia go — zwycięzcy.

Podobnie bowiem jak stworzenie powstaje, rozwija się i ginie normalnie bez pomocy anormalnych środków przymusu — tak i rola wszelakich „rewolucyj“ — jak wykazują dzieje — wydaje się w gruncie rzeczy, na tle ewolucyjnych kolei rozwoju, przysłowiową „grą — niewartą świecy“ — wyrazem nie sił twórczych, działających poprzez człowieka zpoza człowieka — lecz raczej... temperamentu (młodych cywilizacyjnie) ludów.

Konieckońców bunt, to poprostu akt zniecierpliwienia, ponoszącego niesforne *sub specie aeternitatis* drobiny życia w wyścigu powszechnym o istnienie.

A fakt ten świadczy z jednej strony o przerastającej potrzeby istotne życia, prężności stworzenia, z drugiej zaś, że prężność ta nie przestaje grozić ani na chwilę harmonji bytu otchłanią chaotycznego jej rozprzężenia.

Na straży równowagi pomienionej stoi atoli zawsze i wszędzie instynkt samozachowawczy stróżów danych form bytu, przeciwstawiający się siłom burzycielskim aż do chwi-



li, w której pod młotem sił tych, uderzającym, jak dziób ptasi w skorupę jaja, rozsadanego przez pisklę, pocznie zieleń się na dobre już, życie nowe.

Wtedy obrońcy dawnych bojów uchodzą z pola...

Leżało to zresztą w ich „przeznaczeniach“:

„W każdym (bowiem) przywódcy ludzi kryje się ten, który ucieka <sup>247</sup>“, a zresztą samo już „życie wielu ludzi jest uciekaniem od samych siebie <sup>248</sup>...“

Przed buntem bowiem — może poza armatą, nb. niezawsze zwycięską, — nie masz innej drogi, jak ucieczka wgląd samego siebie — na łono ducha, jedynie zdolnego przynieść człowiekowi pełne ukojenie.

Ale i to również są formy buntu (życiowego), do którego podniecię bezpośrednią stwarza nie (jak w stosunku do żywiołów miłości i strachu <sup>172</sup>), sam ślepy motor życia, lecz nadewszystko zjawiska jego wtórne, płynące z bytu zbiorowego ludzkości i nad nim ciężące.

Źródłem ich kapitałnem bywa nadewszystko brak psychologizmu w ludziach samych, t. j. ich dezorjentacja w dostępnych im potencjonalnie arkanach istnienia.

Gdyby bowiem ludzie „psychologizm“ swój — możliwą jego znajomość — uprawiali w sobie tak, jak on na to zasługuje, jako istny *clavis rerum*, to świat napewno byłby stokroć i lepszym i szczęśliwszym, niż jest.

Oto przykład — pierwszy z brzegu:

W rządzie czynników, wpływających pośrednio, lecz silnie na byt zbiorowości ludzkich, wysuwa się dziś zwłaszcza na ich czoło zwierzchnia władza państwowa, dobór jej i odpowiednia sprawność.

Ta ostatnia zawisła od siły zestroju właściwego grona osób — siły niezbędnej, stanowiącej walor w państwie najcenniejszy, nietyle ze względu na wielorakie jego plony wtórne, ile, a nadewszystko dlatego, iż rząd dobry winien być jednolity, że zaś nie może go tworzyć realnie człowiek jeden, lecz zawsze i wszędzie jakaś — bez względu na swe miano — oligarchja, przeto ta ostatnia, aby zadaniom swym sprostać, musi składać się z ludzi o zbliżonym do siebie wzajemnie ciężarze gatunkowym psychicznym.



Zgranie się życiowe ludzi pomienionych z sobą jest konieczne, zwłaszcza w chwilach prób moralnych, które na pomienionym poziomie odpowiedzialności do rzadkości nie należą.

Owo zgranie się psychiczne jest tu stokroć ważniejsze od pożądanego zresztą zawsze i wszędzie, zawodowego orjentowania się ludzi w poruszanych przez nich sprawach. Pierwsze bowiem stanowi nadewszystko o niezbędnej życiowo — sile.

To też, odmieniając znane przysłowie, możnaby tu powiedzieć: *vana sine viribus voluntas!*

Nietrudno i o przykład inny:

Psychika ludzka zasadniczo i normalnie nie znosi w otoczeniu swem wysiłku, wieńczonego powodzeniem wyjątkowym.

Zespół taki razi ją, jak płachta czerwona byka na arenie i uspasabia do reakcji czynnej, lub biernej.

Pierwszej imię: walka otwarta z „przeciwnikiem“ (!) drugiej — zazdrość w stosunku do niego, zawiść i nienawiść<sup>249</sup>...

Skądże pochodzi cała ta, *sub specie* kultury wyższej: nad prężność bezwzględna „ja“ ludzkiego, poczytywana przez cywilizację z punktu widzenia moralnego za ohydę?...

Prostu, zetknięcie, a zwłaszcza stykanie się człowieka przeciętnego z tryumfującym zwycięzcą życia, z jednej strony podnieca go do (niefortunnej przeważnie) rywalizacji; z drugiej zaś każe mu obawiać się (bodaj podświadomie) ataku i przegranej.

Kiedyś jedna przewaga kazała bezwzględnie niemal pogromcy gonić za drugą; dziś nie jest to już ani tak łatwe, ani potrzebne, to też walka z tryumfátorem staje się dla człowieka przeciętnego w miarę złożoności życia zbiorowego, coraz to bardziej... jednostronną, nie przestając jednak być zasadniczo bezwzględną — nawet jako potencjonalne tylko mierzenie się sił w szrankach życia pod hasłem: „ja“ a „on“, zabronione już przez Dekalog.

Ostatecznie człowiek czuje się najlepiej, jeżeli już nie wśród tych, którym może przewodzić bez przeszkody —



to choćby wśród równych sobie (miernot) nie wchodzących mu psychicznie ani życiowo w drogę.

Kultura moralno-socjalna, nie będąca w stanie zmieniać a zwłaszcza przekreślać praw życia, ma jednak za zadanie łagodzić je w miarę możliwości...

Niekiedy udaje jej się to niezgorzej.

W dziedzinie, o której mowa, osiągała ona w świecie (zwłaszcza przed Wielką Wojną) sukces niemały przez (względne) równanie pomiędzy sobą ludzi w ramach danych sfer społeczno-towarzyskich.

Nie obalając praw życia, system ten — acz od doskonałości daleki — zmniejszał dość wydatnie płaszczyzny tarć wzajemnych, zachodzących pomiędzy ludźmi, a wraz z tem i to nadewszystko, niekulturalną ich brutalność.

Mimo to woła z goryczą Hebbel: „Są ludzie, przy których chwalić można tylko... cesarza japońskiego!“...

Możnaby też dodać tu nie bez racji, że t. zw. wybicie się człowieka „ku chwale swoich“ a niekiedy i obcych, polega psychologicznie nie tyle z pewnością na bezpośredniej realizacji życiowej sił jego potencjonalnych twórczych — ile na uodpornieniu się moralnem przeciw „małości“, żeby nie powiedzieć: nikczemności ludzkiej.

Konieczności, zewsząd wyłania się napomnienie, że wnikliwość psychologiczna w sprawy ludzkie usuwa najsprawniej z drogi życia kamienie obrazy, budzące bunt w człowieku, którego sił szkoda aż nazbyt często na walkę z chimera, która — tak czy owak — runęłaby sama.

A wszakże Cycleron jeszcze głosił, że „i mądry zbłądzić może, ale trwać w błędzie może tylko głupi“... Ostatnio zaś myśliciel chiński, Czang Hsin-Hai, zastanawiając się nad stroną ujemną wiedzy, pozbawionej podstaw moralnych, przeciwstawił wymownie chorej dziejowo na skurcze buntownicze Europie, odwieczny spokój psychiczny, związany z głęboką wyrozumiałością chińską<sup>250</sup>...

To zarazem — zagadnienie „dobra“ i „zła“, ujęte od strony poruszonych tu zagadnień, bo to spokój i niepokój: miłość konstrukcyjna harmonii pierwszego z nich i strach<sup>172</sup> przed dysharmonią destrukcyjną drugiego...



Dobro bowiem da się tu określić jako niezamącona w człowieku trwała ciągłość ducha; zło zaś jako postać przemijająca materji. Psychika ludzka zaś dąży (jak wszystko) do stałości swego trwania, zarówno w treści jak w formie, czy raczej może w treści i bezformie, bo gdy pierwsza (treść) jako świat wewnętrzny człowieka może być kształtowana w znacznej mierze i prowadzi ku „dobru“ przez naszą wolną wolę — tchnieniem wewnętrznem ducha, to natomiast wszelka forma, jako refleks naszego świata zewnętrznego, musi stawać się w zestawieniu z treścią rzeczy, kategorią bardziej ułomną, a przeto w pojęciu naszym mniej „doskonałą“, w wyniku zaś, wobec wolnej woli naszej, w znacznej mierze oporną, czyli: „złą“.

\*

Przejdźmy z kolei do wiążących się z powyższem zagadnień bardziej konkretnych, nie cofając się w razie potrzeby przed wnioskiem, że — nie wszystko złoto, co się świeci: że nie wszelkie „prawdy“ winny być nienaruszalne dlatego, że są dawne.

Zdarza się bowiem i inaczej, co stwierdził był na sobie już i Kopernik, którego natchnienia borykać się musiały tak długo z odwiecznością Ptolemeusza...

Daremne byłoby żałować, że nie jest inaczej: ani, że postać ustroju ludzkości, oraz zasada umysłowego czy społecznego jej rozwoju nie daje się wyrazić w kształcie koła, opromienionego hasłem: „wolność — równość“, lecz raczej piramidalnego trójkąta <sup>251</sup>, na którego szczycie zasiadł w psychice ludzkiej — Bóg.

A jest to przyrodzony „kształt“ niezniszczalny ewolucji psychicznej gatunku naszego — niemniej rdzenny i trwały, niż naturalne kształty kryształów.

Czyliż tedy nie byłoby bardziej dla nas wskazane walczyć, jak kryształy, o kształt swój z otoczeniem, niż dążyć bezpłodnie do przemiany trójkąta na koło?

A jednak — mimo wszystko — apoteozując bunt, jako najszczytniejszy niekiedy stan psychiczny człowieka — wyno-



simy na szczyty koło allegoryczne i usiłujemy przeciwstawić je zwycięsko, bodaj na chwilę, opancerzonemu mocą swą trójkątowi.

Oto przykład niesamowitych zjawisk w tym rodzaju:

Śmiech jest akompanjamentem złanych w akord przeciwnieństw, a — skoro tak, to stopniem jego natężenia możnaby mierzyć głębię danych sprzeczności. Dalej — trudno o bujniejszy homeryzm śmiechu nad tem, jaki zwykł towarzyszyć upadkowi powag „rzekomych“ (a w gruncie rzeczy, któraż nią nie jest?) albo drwinom publicznym z uświęconych *tabu* stada, inscenizowanym przez zbuntowanych jego członków...

Czyż nie najjaskrawszy to bodaj dowód antynomii głębinowej, zachodzącej między stosunkiem do życia psychiki jednostkowej a gromadzkiej<sup>252</sup>, allegorjami trójkąta i koła, a wreszcie: koncepcją ducha i materii?...

Z założeń takich wywiązują się psychologicznie liczne przesłanki moralne, oraz w przeciętnym rozumieniu życiowym i potoczne. Pierwsze — w stosunku do uzewnętrznionych normalnie sił etycznych natury ludzkiej — tkwią w niej zagrzebane głęboko, czyniąc niemal beznadziejnem ich wydobywanie na powierzchnię życia. Co do drugich, to właściwa im w stanie surowym niesforność ustępować zwykła bez nadmiernego trudu pod naciskiem wpływów kultury cywilizacyjnej środowiska.

Wszystko to jest zupełnie jasne.

W pierwszym przypadku — tarć moralnych — człowiek, aby je usunąć, musiałby stać się aniołem; w drugim — wystarczyłoby mu często posiąść oświatę średniej bodaj miary. W gruncie rzeczy nie szłoby tu bowiem — jak w przypadku pierwszym — o metafizyczną nieskończoność „dobra“, lecz jedynie o praktyczne świadczenie go otoczeniu, w miarę możliwości.

Trzeba jednak pamiętać, że w ostatnim tem złożeniu wrażenie „dobra“ nie równoważy wrażenia „zła“, bo nie jest w stanie podnieść człowieka z poziomów przyziemności na szczyty.

Związany z tem ciężar bytu maleje w stosunku do potęż-



nienia walorów moralno-kulturalnych środowiska, co sprawia, że sensem „dziejów“ jest, a przynajmniej być by właściwie powinien obraz procesu zmagania się ducha z materją w ludzkości: historia cywilizacji.

Nic też dziwnego, że bolszewizm<sup>253</sup>, unoszący się dziś, jak zawiesina negacji wszystkiego we wszystkim, nad światem — podnieca w ludzkości czującej i myślącej, pierwiastki człowieczeństwa, buntując je na chwałę ducha przeciw nurtującym barbarzyńców prądom upadku.

Nic dziwnego również, że w buncie tym, narazie wyłącznie niemal ideowym, t. j. tembardziej doznaniu uczuciowemu przystępnym, nie brak żadnego z tonów, składających się na symfonię człowieczą...

Nie da się ona wyprowadzić w pole rzekomym, a choćby i rzeczywistym (o czym — i to właśnie w imieniu mas, wciąż wąpimy w Europie!) udoskonaleniom mechanicznym życia (dla wielu: na papierze!) kosztem walorów tegoż życia najwyższych, a przeto i najistotniejszych zarazem.

Oceniany jaknajbezstronniej nawet ustrój ideowo-życiowy bolszewicko-komunistyczny — toć to dla człowieka, bodaj nawet niecywilizowanego — piekło tem okropniejsze, że poza strachem<sup>172</sup> — panem wyłącznym sytuacji — wszystko niemal jest tam nurtom psychicznym, nawet w elementarnej ich postaci — obce.

Rzeczy i sprawy ludzkie rozgrywają się w tej jaskini dziejów nietylko poza światem wewnętrznym, ale i poza wszelkim jego związkiem z społecznieniem człowieka<sup>254</sup>, a przeto poza tem wszystkim, co jest realne, konkretne, rdzennie ludzkie i właściwie z punktu widzenia przedstawicieli normalnych gatunku naszego, ważne.

W Bolszewii — dziś już zresztą podfałszowanej<sup>255</sup> — istnieją jedynie: „jarzma“ wołów, „tabuny“ koni, „stada“ wron... „roty udarników“: niema zaś tam wołu, ani konia, wrony, ani człowieka...

Analogja z Europą dałaby tu przeprowadzić się jedynie chyba na polu standaryzacji przetworów zwierzęcych, których miejsce zajmuje tam również po bydlęcemu skoszarowany „były człowiek“...



A tymczasem — naprzekór owym „wyczynom“ anormalnym, a w zestawieniu z istniejącą biologicznie samodzielnie jednostką ludzką, zdolną powiedzieć o sobie: *cogito ergo sum* — stado nie istnieje zgoła jako świadomy siebie po człowieczemu <sup>275</sup> podmiot bytu i działania...

Stado jako takie, czy inaczej mówiąc: samo przez się, jest w obliczu tego, co pojmujemy wszyscy zarówno subiektywnie jak obiektywnie jako umysł, myśl i świadomość ludzką — koncepcją na poły nierealną, po życiowemu — fikcją, mistyfikacją, lub aberracją ze strony tych, co, działając w gruncie rzeczy w imię doktryny wysoce niedowarzonej a osobistej, podszywają się jednocześnie pod rolę pseudo-rycerzy apostołów potrzeb rzekomych Rosji i świata!

Studjum nieraz arcygłębokie człowieka (*vide*: H. Balzac), zwane z pasją przez bolszewików „fikcją powieściową“, zwalczaną wśród nich najnamiętniej może przez Tretjakowa w myśl zasady, że „rewolucja od przywidzeń przeszła do faktów“ — jest dziedzictwem „burżuazji“: to prawda, ale jest ono jednocześnie i chlubą cywilizacji...

Obyczajem swym — *mutatis mutandis* odwiecznym — Moskwa dzisiejsza fikcje swe społeczne, najposępniejsze z tych, jakie kiedykolwiekbyś wydał świat — usiłuje przeciwstawiać chlubie owej i jej podobnym, kokietując makabrycznie ludzkość obłądnym koszmarem barbarzyństwa, ociekającym łzami i krwią...

Że zaś znajduje on na zawołanie tłum gapiów licznych a tępych — bo bardziej wyznawców, orjentujących się w tem, o co chodzi — cóż w tem dziwnego?

Z całą słuszością twierdził był Georges Sorel, że baśń jest tem skuteczniejsza, im bardziej jest ciemna...

Gdzież tu jednak: (rzekomo) szersze, niż w świecie „burżuazyjnym“ pojmowanie „rzeczywistości“ <sup>256</sup>?! Wszak „rzeczywistością“ cywilizowanych dziejów ludzkich nie była nigdy i nigdzie wyłącznie bierna bezmyślność, apatja ani strach <sup>172</sup> mas: fundament życiowy bolszewizmu...

Gdzież możliwość psychologiczna „zbiorowej, kolektywnej (chyba *ad usum* obłąkańców!) pracy twórczej (t. j.: wolnej!!) zarówno literackiej jak artystycznej <sup>257</sup>“?!



Czyżby poszczycić się nią mogła istotnie Bolszewja, z pominięciem rosyjskich talentów epoki przedwojennej?

Taki to dopiero fakt (nieprawdopodobny!) byłby tu istotnie zastanawiającym!

\*

Cóż dziwnego, że odpowiedzią na wszystko to ze strony człowieczeństwa może być tylko bunt, albo... obłąkanie?

Jeżeli też normalnemu przeciwdziałaniu czynnemu europeizmu w Bolszewji stoją wciąż jeszcze na przeszkodzie skomplikowane okoliczności polityczne powszechne — to objawy patologiczne buntu psychicznego przeciw okropnościom „raju“, w którym pod hasłem: „życie jest obecnie łatwiejsze, życie jest obecnie weselsze”<sup>258</sup> ... — szal, rozpacz i nieprzeliczone rozstroje psychiczne przelały się oddawna już poprzez granice moskiewskie w świat szeroki...

Powiada się o cierpieniach tych — wszędzie już coraz to liczniejszych i cięższych, że są one następstwem t. zw. kryzysu, wyniku Wojny.

Trudno temu przeczyć — wszelako trzeba tu dodać dla ścisłości, że krajem klasycznym depresji nerwowej jest w epoce naszej Rosja, zarażająca nieszczęściem tem bezpośrednio lub pośrednio cały glob.

Powodów do strachu<sup>172</sup> i związanych z nim czynników psychicznych rozstroju — nie brak dziś co prawda nigdzie. Wszelako Moskwa nie przestaje być procesów tych ziemią obiecaną.

Nieszczęście, przepelniające kraj ten swem tchnieniem, zdaje się nabierać w aurze życia tamtejszego cech niemal dotykalnych, mieszających zmysły sowieckiego obywatela<sup>259</sup>.

Duszą aury tej jest niezdolny już do buntu strach, tak oto charakteryzowany przez jednego z uczestników i obserwatorów bitew Wielkiej Wojny:

„Strach<sup>172</sup> wywołuje w organizmie ludzkim szereg zaburzeń fizjologicznych, gdyż wtedy cały system nerwowy „jest wstrząśnięty. Serce zaczyna bić nieregularnie, oddech „przyspiesza się, następuje zadyszenie, mięśnie drżą, wystę-



„pują obfite poty, a jednocześnie zasycha w ustach; kiszki „kurczą się silnie, oko — poza sferą bezpośredniego niebezpieczeństwa — przestaje widzieć; niekiedy następuje zdrętwienie, lub bezwład ciała... Strach jest również czynnikiem „destrukcyjnym w dziedzinie ducha; przecenia niebezpieczeństwo, podpowiada konieczność oszczędzania krwi ludzkiej, chociażby za cenę zmarnowania zwycięstwa, obawia się ryzyka... Zabija wolę, gasi sumienie <sup>260</sup>“...

Niezależnie od przeżyć strachu, prowadzą nieszczęśników czasów naszych do rozstroju, zwłaszcza wśród powodowanych przez wstrząsy dzisiejsze zaburzeń w krążeniu krwi, również i wielorakie doznania inne:

Oto np. „staje nagle przed czymś w rodzaju wzroku wewnętrznego człowieka (mogącego po zamknięciu oczu powodować iluzje optyczne) — obraz bardzo dawnych jego wspomnień... Dzieje się to w sposób, sprawiający wrażenie, „jakgdyby krążyła w człowieku zawiesina bezliku „wychs pyłków-zdjęć całowyciowych jego doznań i jakgdyby „zbląkana drobina taka padła nagle — wytracona z właściwej serji „filmu“, bo nieskoordynowana z niczem normalnie — na obiektyw psycho-wzrokowej świadomości ludzkiej i odtwarzała z jego pomocą w nieskończoność samą siebie, „bez związku z własnym „ja“ (aktualnym) danego człowieka, popadającego z tą chwilą w psychozę rozdwojenia swej „osobowości <sup>261</sup>“...

— Znosić dziś — wołają ci nieszczęśliwi — cierpliwie a bez folgi, najbardziej w stosunku do człowieka wyuzdane znęcanie się, nadużycia, obelgi i krzywdy... Znosić je bez szemrania a „bezinteresownie“ — nie nazywa się już — jak dawniej: być świnią, lecz — przeciwnie — wzorowym „obywatelem“ kraju — członkiem przykładowym społeczności swojej...

Lecz pytają przytem: czemuż jest owa społeczność? A nadto: czyż wszystko to razem może i powinno być pozytywane z punktu widzenia człowieczeństwa za normalne?

Nie, ale beczka pusta sprawia, jak wiadomo, najwięcej hałasu...

Dlatego ludzie, zgrani z sobą w masie, t. j. zagłuszeni w człowieczeństwie własnym i umiarze jego kulturalnym,



a podnieceni beczelną pewnością siebie czynników psychogromadzkich — krzyczą najgłośniej tam, gdzie krzyżeć nie ma o co — ba! gdzie wypadałoby właśnie, i to jaknajbardziej może, jednej istocie ludzkiej uszanować drugą.

To też t. zw. opinia — choć to w zasadzie bynajmniej nie wyraz klasyczny tłumu<sup>255</sup>, lecz masy — w rozumieniu kulturalnem, uczuciowo i intelektualnie w stosunku do danej sprawy zwartej w sobie — kształtuje się w warunkach pomienionych w sposób tembardziej i tem snadniej barbarzyński, że fundamentem psychicznym masy ludzkiej, bliższym i bardziej bezpośrednim, niż nam się wydaje, jest wciąż jeszcze — odwiecznie dzikie w odruchach swych stado.

A przytem do niższych gatunkowo i brutalniejszych niż dawniej wynurzeń obecnej opinii publicznej — i to często na temat spraw, niemal zgola jej nieznanych, niemało przyczynia się okoliczność, że typowo „prześciowe“ czasy nasze, podstaw „nowych“ kulturalnego systematu obyczajowego podziś dzień jeszcze zbudować nie zdołały, burząc jednak stare w znacznej mierze.

Nie chodzi tu bynajmniej o pochwałę czasów minionych. Trzeba wszelako stwierdzić, że nawet wśród arkanów ciężkich wad swoich miewały one nieraz swoją... oliwę, łagodzącą tarcia, zachodzące między ludźmi...

Koniec końców, godna uwagi i troski jaknajpilniejszej, bo potęgująca się dziś wszędzie depresja nerwowa — córa i namiastka strachu<sup>172</sup> — patrona doby wojennej i powojennej, wyrządza nietylko z punktu widzenia spraw doraźnych szkody nieobliczalne...

Jeszcze bodaj gorszą — i to ze względu na przyszłość — jest ta strona rzeczy, że wpływ dodatni ludzi na ludzi — wychowawczy i moralny, wymagający zawsze pewnego *minimum* sprawności nerwowej, dochodzi dziś wszędzie coraz to bardziej do zaniku, a serca ludzkie w zrozumieniu zarówno uczuciowem jak fizyologicznem, tępieją do niepoznania.

Trudno wątpić, że wszystko to grozi potężniej cywilizacji i dalszemu jej rozwojowi, niż same nawet olbrzymie a wielo-



rakie szkody bezpośrednie, wyrządzone światu przez Wielką Wojnę, wyposażoną bądźcobądź, jak wszelka walka orężna, w niebylejakie podniety idealne...

Niepodobna też mówić dziś o oddziaływaniu normalnem starszych na pokolenia młodsze. Jest to poprostu sfera... chimery — a przecież kontakt istotny między tem co było, a co w zrozumieniu kulturalnem winno nastąpić — toć to pion cywilizacji.

Razem wzięwszy — gdyby dzisiejszy stopień wyczerpania świata i towarzysząca mu psychoza, obliczana w Europie przeciętnie już pono na 70% młodzieży, miał być miejsce w Wiekach Średnich, czy bodaj jeszcze przed 150 laty — to najpewniej ogół ówczesny byłby wstąpił do klasztorów...

I dziś wprawdzie mamy ich niemało; byłoby jednak zewszecmiar pouczającym stwierdzenie statystyczne, jak sprawy te obecnie naprawdę stoją. Odnosi się bowiem wrażenie makabryczne, że — procentowo rzeczy biorąc — miejsce dawnych mnichów zajmują dziś liczbowo samobójcy, stanowiący z każdym rokiem odsetek coraz to pokażniejszy w każdym bodaj z krajów t. zw. cywilizowanych.

Trudno zaprawdę o argument bardziej ważki, jak dalece brak dziś w świecie skutecznego czynnika moralnego, zdolnego sprostać swym zadaniom, nadludzko ciężkim.

Powiada się z lekkim sercem, że wszystko to — to „brak wiary“, jakby się poprzestawało na powiedzeniu nędzarzowi: Głodnyś?... No, to każ sobie dać coś zjeść...

A jeszcze Dante zapewniał, że religja prawdziwa — wykładnik wiary — tkwi w sercach ludzkich.

Cóż tedy na posępny stan obecny świata pomoże wiara, zgoła nieprzetrawiona w sobie samym, a zalecana komuś z klasycznym chłodem. Co pomogą mu sprawowane mechanicznie zabiegi moralne?

Nie lekarstwa to na żrące ludzi aż do obłąkania bóle świata!



Prawda, że wszyscy — jak jesteśmy — jesteśmy tylko ułomnymi ludźmi. Czyż podobna jednak, mimo wszystko, choć bunt jest w istocie swej najprzeważniej rozrzutnością, popełnianą z zasobów, których się nie posiada — dziwić się buntom wielorakim ludzkości, zwłaszcza dzisiejszej?!



## GRZECH.

Nawet bohaterowie klasyczni, będący wcieleniem prymitywnych jeszcze, lecz już bodaj najszczytniejszych, ideałów męstwa, nie zwalczali przeciwników wyłącznie napięciem duchowem bujnej psychiki swojej, ani mocarnem natężeniem fizycznym ciał, maszczonych złotą od słońca oliwą...

Widzimy w rękach ich: chwytane z padołu, rodzone z mułu ziemi, głazy, groty i miecze...

A działo się to nietylko dlatego, że martwych tych przedmiotów imali się również barbarzyńscy ich przeciwnicy, ale i dlatego także, że instynkt obrony słał im w nich na pomoc środek, potęgujący — i to wielokrotnie niekiedy — własne, bezpośrednio ich siły...

Natchnienie ożywiało w ten sposób ziemię: duch — materję... Bo pozatem pozostawała ona sobą, nie przestając ucieleśniać w promieniach słońca — rzeczy i spraw niskich a pełzawych, jak grzech ucieleśnia je w obliczu cnoty.

Trzeba mieć oręż, aby pokonać przeciwnika: trzeba poznawać życie, aby módz dostrzegać piękne i szpetne jego strony; trzeba też może zgrzeszyć niekiedy, by znaleźć dla cnoty... żywą ośnowę. Bo cnota w oderwaniu od życia, to jakby korzeń, odłączony od drzewa: coś nieprawdopodobnie dalekiego od liści jego, kwiatów i nasiąkłych słońcem owoców!

Zresztą, ani człowiek, ani życie, ani żadne bodaj istnienie nie może trwać w sposób „doskonale“ jednostronny. Przeciwstawia się temu natura rzeczy, zaklęta w prawach, rzą-



dzących światem. Dlatego to poza zenitem cnoty aniołów, otwiera się otchłań grzechów Lucifera — zupełnie jak ponad szczytami silnej woli człowieka wznosi się pono<sup>262</sup> nieznana mu pierwiej moc, gotowa w chwili najwyższego (rzekomo) jego tryumfu, jarzmić jego samego wbrew własnemu jego chceniu!

Zdawałoby się nieraz, że — jak artysta potrafi lepić arcydzieła swe z gliny, tak i człowiek uduchowiony poczyną szczytną swą cnotę, jeśli nie wręcz z upadku własnego, to z przeciwstawiającej się cnocie — idei grzechu.

A jest nim w obliczu psychiki dzisiejszej uczciwego człowieka cywilizowanego, nadewszystko — jeśli nie wyłącznie — krzywda cudza, wyrządzona komuś świadomie. Bo choć krzywdą niemniejszą może stać się również uczynek, wręcz czy poniekąd nieświadomy, to jednak nie stanowi on grzechu w całej jego pełni, stwierdzając — poprzez głos sumienia człowieka winnego — prawdę psychologiczną wieku i środowiska naszego, że „grzechem“ nie jest w ich obliczu (innego kryterjum nie znamy) taka czy inna postać jego życiowa, lecz jaknajwyłączniejsz: sprzeczna z daną psychiką ludzką intencja moralna inkryminowanego czynu.

Zasada względności wszystkiego co w nas jest (a najpewniej i poza nami<sup>261</sup>) sprawia, że stopień cnoty czy grzechu może bywać nawet w warunkach (pozornie) tożsamy, rozmaity. Nietylko może, lecz musi, a okoliczność ta decyduje o tem, że zarówno zupełna biel jak również zupełna czerń moralna nie są z tego świata...

Stąd też cnota, choćby psychologicznie zupełna, nie może nie być — na tle „ideału“ — wolną od domieszki grzechu, ani takież grzech w pełni „absolutnej“ godnym potępienia, boć już życie samo jest emulacją przeciwieństw w szrankach istnienia.

*Niebiosa nawet nie są czyste przed oczyma Twoimi*<sup>263</sup>!

\*

*Sub specie aeternitatis*, człowiek, t. zw. „zły“<sup>264</sup> sprawia ze względu na psychikę swą wrażenie stworzonego na podo-



bieństwo świata, t. j. praw natury, ujętych poniżej chrystjanizmu i zasady dantejskiej o miłości, co „słońce porusza i inne gwiazdy“, a człowiek t. zw. „dobry“<sup>265</sup> zaznacza się psychologicznie, jako usiłujący przetworzyć ów świat w ramach ludzkości na podobieństwo swoje, jako naśladowcy atrybutów biblijnych człowieczej koncepcji Boga...

Można tedy pojąć, że rola „człowieka dobrego“, unikającego „zła grzechu“ z powodzeniem, łatwą nie była nigdy i — nie jest<sup>164</sup>.

A ujmowano sprawy te jakoś — już u historycznego dna dziejów, kiedy to żywioł miłości<sup>172</sup> natchnął był człowieka niebosięzną wizją raju, a jego antyteza — strach<sup>172</sup> żywiołowy, spowity w węzowiska straszliwych swych płodów, opętał go koszmarem piekieł...

Dążąc do syntezy bezstronnej obrazu życiowego i dziejowego ludzkości — człowiek musi bodaj dojść do wniosku, że „światem“ naszym nie tyle może rządzi, ile wypełnia go w nader szerokiej mierze to, co nazwaliśmy wyżej „złem“ człowieczem.

Nie wygląda ono jednak na wyłącznie czynne zasadniczo, bezwarunkowe „zło“ nieubłagane, płynące samorzutnie — jak zwykli mniemać pesymiści — ze źródeł niepokonalnej perfidji, złości, zawiści, zemsty, zdrady — ile raczej na „zło“ jakgdyby wtórne, względne, bierne, powstające na podobieństwo krótkiego spięcia w instalacji elektrycznej — z niedoboru na tle życia, zamierzeń, spraw, czy usposobień ludzkich...

Jego tedy przyczyną istotną — z natury swej warunkową — są nadewszystko bodaj sprzeczności psychiczne, nawarstwione tak często przez przypadek, nieogłędność, pozory, płynące z komplikacyj życia, a głównie może: nagminność ignorancji psychologicznej, stanowiącej zawsze i wszędzie iskrę niezawodną na prochach zestrojów, czy raczej rozstrojów ludzkich...

Już też Seneka<sup>266</sup> dał wyraz wymowny zagadnieniom tym pisząc: „Ile razy poszedłem między ludzi — mniejszym wróciłem człowiekiem“, a kultura chrześcijańska niedarmo wiedzie do wniosku, że wywieranym na nas wpływom ze-



wnętrznym winien przewodzić w nas zawsze świat nasz wewnętrzny...

T. zw. bowiem „życie“ — oglądane od strony danego człowieka w danej chwili, toć to wibrujący niepowstrzymanie kalejdoskop zjaw i wrażeń jasnych, szarych czy posępnych — w zależności nie tylko od ich, czy owego człowieka istoty (niezglębionej), lecz, i nadewszystko może, od t. zw. okoliczności, zazwyczaj „przypadkowych“...

A wszakże każde z tych „doznań“ wielorakich, w gruncie rzeczy nieskończenie skomplikowanych, a przenikających do człowieka „doznającego“ w błyskawicznym przekroju momentalnym, posiada samo przez się w pokładach bytu własny swój korzeń, pień i koronę istnienia...

Nie tylko przeto potencjonalnie, lecz również i jaknajrealniej, obraz życia, oglądany od strony danego człowieka — jest jednym tylko z nieskończoności „obrazów“, nieznanym mu niemal, lub zgoła, a powiązanych z jego obrazem nieskończonością węzłów, wprowadzie dlań niedostrzegalnych, lecz bytujących w ramach istnienia niemniej realnie, niż „jego obraz własny“.

Czyliż przeto to tylko jest, co ogląda dany człowiek w danej chwili??

Wszak pogląd taki — jak wiemy to już od wieków — byłby czemś w rodzaju poglądu dziecka z ciuciubabki, któremu — schwytany przez nie poomacku towarzysz zabawy odwiązuje oczy nagle, a ono — niepomne swej ślepoty zprzed chwili — chłonie radośnie — olśnione — widok zalanego światłem pokoju, dając jednocześnie zapaść się w nicość niebytu swoim ślepym zprzed chwili doznaniom...

I gdzież tu w świadomości owego dziecka „prawda“ a „nieprawda“? Gdzie „rzeczywistość“ „bytu“ i „niebytu“? Gdzie „iluzja“, a gdzie „fakt“ istnienia?

Izażliż człowiek nie przypomina dziecka takiego w ramach t. zw. „rzeczywistości“<sup>201</sup> bytu?

Czyż np. ktoś pospolity, co nie opierając się na masach ludzkich, czyniłby sam osobiście ściśle toż samo, co czyni w danym przypadku wielki mąż historyczny w oparciu się o masy ludzkie — nie byłby nieraz (w oczach świata, a mo-



że i własnych) raczej szaleńcem lub zbrodniarzem, niż bohaterem? Złoczyńcą, niż apostołem „dobra“ — i to powszechnego?

W wyniku: cnota (bądźcobądź w jednostce człowieczej, nie zaś w masie ludzkiej, jako takiej, utajona, a) zawsze wobec nakazów ducha ku bezwarunkowości mocy swojej, jak on, zmierzająca — skazana jest również zawsze na względność w ramach życia: na tle (ruchu) wibracji, stnowiących jej istotę.

Działają tu nadto pewne — na tle powszechnego w danym środowisku stosunku ludzi do życia — cechy ich swiste, które z jednej strony tworzą odpowiadające roli ich życiowej akordy psychologiczne, z drugiej zaś są wykładnikiem lokalnym normalnego w swym własnym poczuciu obywatelskim stosunku ich do otoczenia...

Otóż, z punktu widzenia ideałów szerszych, np. krajowych w zestawieniu z zaściankowymi, ujęcie danych cech takich w karby, tłumienie ich, a bodaj nawet eliminowanie z opanowanych przez nie jaźni, poczytywane jest za cnotę, a tolerowanie ich, czy — tembardziej — sprzyjanie im, za grzech!

Wobec analogji i piętrowości ludzkich nawarstwień rozwoju, „ideał krajowy“, co wyrósł sam z pokładów „zaściankowych“, posiada w gruncie rzeczy niemałe dla nich zrozumienie; to też zarówno „cnotę“, jak „grzech“ wspomniany, uprawia on nieraz *promiscue* na podwórku własnym z uśmiechem pobłażania.

Coś podobnego psychologicznie możnaby tu zanotować i na kanwie — pozornie zgoła odmiennej — „cnót“ i „grzechów“, nie „obywatelskich“ już, lecz zgoła... katechizmowych: np. z dziedziny erotyzmu, alkoholizmu towarzyskiego, poniekąd wreszcie „sprytu“ w załatwianiu „interesów“ (niezawsze klarownych).

Zarówno „grzech“, popełniony w dziedzinach pomienionych, jak osiągnięta w nich „cnota“ zwykły wytrącać wyobraźnię człowieka przeciętnego z równowagi, osiągniętej już w danym środowisku. Zjawiskiem znamienym, o które nam tu chodzi, jest atoli okoliczność, że środowisko to —



masa ludzka — łacniej wybacza członkowi swemu (intymnie!) ów „grzech“, niż ową „cnotę“, choć tę ostatnią (głośno!)... już wielbi.

W psychologicznem tem zjawisku spoczywa dowód — pośredni wprawdzie, lecz wymowny, że „dobro“ i „zło“ — „cnota“ i „grzech“, nie należą w świecie do kategorii „prawd“ bezwarunkowych: że zgoła inaczej (a względnie) układa się ich stosunek do norm, faktycznie w życiu panujących, a do górującego nad nimi w oderwaniu od życia ideału...

Nie może dziwić nas w świetle tem okoliczność, że cnotliwiec uchodzi tak często przed forum (intymnem) masy za niedołęgę a spryciarz przebiegły za (skrycie uwielbioną) jego antytezę. Najważniejszym jest tu wszelako ów moment psychiczny, który sprawia, że w ten właśnie sposób „masa“ — „większość“ — „gromada“ wynurza jako taka mimowoli a szczerze własny, głębinowy swój stosunek moralny do danych zagadnień etycznych: własne swe wyobrażenia istotne o cnocie i niecnocie...

*Ex ungue — leonem!* Tkwi w tem głęboka a taż sama amoralność grupy ludzkiej<sup>267</sup>, która sprawia, że superlatyw jej życiowy — państwo — musi w chwilach najbardziej łzawego nawet rozrzewnienia powoływać się na cnotę poszczególnych swych obywateli, nie mogąc nigdy i nigdzie zdobyć się na... własną.

W świetle tem niema właściwie dwu rzekomo moralności: prywatnej i publicznej, powszedniej i politycznej, nad których zagadnieniem od wieków biedzą się ludzie — lecz jedna tylko i jedyna, względna zresztą, jak wszystko inne na świecie i warunkowa, jak „dobro“ i „zło“, jak „cnota“ i „grzech“ na tle życia i jak ono samo, a bezwzględna i bezwarunkowa wobec ducha, a raczej: wiązanych z nim przez człowieka ideałów.

Gdybyśmy zaś u drogi dziejowej omawianych tu zjawisk wnieśli niebotyczny absolut, z każdego punktu jej widzialny, to, mijając go, a raczej może krocząc wciąż w jego zasięgu — od prawnieku podziśdzień — dostrzegalibyśmy snadnie jak to zjawiska pomienione wykazują różne — mimo



wszystko — z biegiem (inaczej: z duchem) czasu ustosunkowywanie się swoje do niego, zwane ewolucją, „postępem” czy rozwojem...

Kwestjonowane bywa najprzeważniej, jeśli nie prawie jedynie — drugie z tych określeń: „postęp”<sup>268</sup>, którego samo już pojęcie poczytują niektórzy za dowód pośredni chaosu myślowego tych, co w postęp „wierzą”.

Pomijając atoli wszystko inne<sup>269</sup> — sama bodaj semazyologia<sup>270</sup> zdaje się stwierdzać, że jest wręcz odwrotnie. Natomiast, trzeba powiedzieć, że wspomniana przed chwilą „droga dziejowa” jest tak bezmiernie długa, iż patrząc wstecz — w dal jej perspektyw otchłannych — nie dostrzegamy już niemal pierwotnych jej etapów.

Raczej też domyślać się czegoś, niż ustalać możemy dziś takie np. (w zakresie psychologicznym) etapy prarozwoju, jak obyczajowo-moralne, a z czasem prawne zespalanie z bóstwem (*in gratiam* podstaw danych form zestroju masy) — pewnych zwłaszcza produktów zmysłów ludzkich. Np. w zakresie zmysłu:

D o t y k u (*via libidinis*) — potomstwo: rodzina, jako przedmiot opieki bóstwa;

w z r o k u, — praca ręczna, oraz jej narzędzia — z czasem sakralne;

s ł u c h u — mowa, pieśń, muzyka — podobnież;

s m a k u — obrzędowe uczty sakralne;

p o w o n i e n i e — może (na poły z doznawaniem wzrokowym) sakralna rola kwiatów i roślin<sup>270a</sup>...

Nazwalibyśmy to subdeifikacją pierwotną życiowego zasięgu zmysłów ludzkich, która, zmieniając z biegiem czasu wielorako formy swoje, wpływać musiała jednocześnie na właściwą każdej epoce rozwoju stylizację „cnót” i „grzechów” ludzkich.

Zdaje się jednak, że ciężar gatunkowy stosunku masy ludzkiej do nich jest niezmienny.

Trzeba też pamiętać i o tem, że — mimo powiedzenia: „jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził” — droga „dogadzania” ludziom jest życiowo o wiele gładsza, niż wszelka inna.



Przeto ludzie, wchodzący bezkompromisowo na drogę cnoty czy niecnoty, ściągają na siebie *odium* otoczenia. Pierwsi z przyczyn, sprawiających, iż *żaden prorok nie jest przyjęty w ojczyźnie swojej*<sup>271</sup>, drudzy — że „na pochyłe drzewo i kozy skaczą”...

Dość, że masa — tereny poza nią leżące przekazywała cierpieniu<sup>271a</sup>. Cnotliwcowi wolno na nich zмагаć się z samym sobą — nie zwalnia go się jednak od fal, uderzających go i tam nawet ze strony *ex-otoczenia*.

I jeszcze jedno: oto, nieszczęśnik ów, wyrrywający z akordu obowiązującej go względem bliźnich normy przeciętności ludzkiej jakiś ton życiowy na rzecz ideału, staje się — ani wiedząc kiedy — kaleką psychicznym w oczach „świata”. Jeżeli zaś kalestwo fizyczne znajduje w zasobach przeciętnego idealizmu ludzkiego jakie-takie pobłażanie, czy „współczucie“, to psychiczne nie może liczyć na nie nigdy. Uprzywilejowanym — *in gratiam* przeciętności ludzkiej, staje tu raczej — *caeteris paribus* — przedstawiciel niecnoty, niż cnoty.

Sama już bowiem samowystarczalność moralna, a za nią zazwyczaj i życiowa jednostki, stanowi w tajnikach usposobień masy ciężki i w gruncie rzeczy niewybaczalny, jak piąta noga cielęcia dla stada — kamień obrazy.

Dlatego to bodaj, jeżeli nie wręcz obłąkana megalomania, to z pewnością t. zw. dobre mniemanie o sobie, bywa w następstwach swych życiowych „błędem“ mniejszym niż skromność, zapoznająca zbyt pochopnie wartości swoje.

Życie bowiem nad człowieczą pewnością siebie, nie umiejscawiając sobie z niem radzić — przejdzie do porządku, jeśli nie nagradzając jej, to bodaj nie sprawiając jej szkody, podczas gdy skromność, wbita w ziemię — cudem tylko owoc przynosi, a szkoda-ć pereł miotać przed wieprze<sup>271b</sup>.

Na rubieży tych zagadnień waży się w pojęciach człowieka duch i materja, cnota i grzech, fizyka i metafizyka spraw ludzkich, których równowaga jest filarem „prawd“ życia...



Masa ludzka jest wobec jednostki wszechwładną, póki ta ostatnia nie ujarzmi jej tak lub owak.

Ostatnia ta zdolność nazywa się w życiu mądrością, której przeciwstawienie stanowi t. zw. głupota.

Człowiek mądry rzuca tedy masie rękawicę na swój z nią bój zwycięski; głupi — na przegraną.

I tutaj przeto — jak wszędzie zresztą — sprawa jest (życiowo: do czasu) względną, boć zanim ktoś został zwycięzcą — zwycięzcą nie był...

A więc ów ktoś — na tle kolei życia, a zwłaszcza zasadniczego ich obrazu, odbitego jako pewna (zazwyczaj: szara) norma w psychice ludzkiej — musiał (jakgdyby dla stwierdzenia względności wszystkiego tego, co jest) bodaj przez chwilę być „głupim“ — zanim został „mądrym“, a (często!) i „grzesznym“, zanim okazał się „cnotliwym“...

Zgoła inaczej atoli sprawy te przedstawiają się *sub specie aeternitatis* — w obliczu ducha, albowiem głupim okaże się tu zawsze, wszędzie i bezwzględnie każdy, co zwalczanie ducha postawi sobie świadomie lub nieświadomie jako cel swych działań.

Głupim i — grzesznym zarazem.

Gdy bowiem grzechem jest nadewszystko, jeśli nie wyłącznie, krzywda komukolwiek bądź zadana — to zbrodnią niewątpliwą przeciw człowieczeństwu staje się świętokradztwo, grożące jego istocie przez niweczenie duchowych, t. j. rdzennych jego podstaw.

Rozważając wszystko to, dochodzimy do wniosku, że — zależnie od okoliczności — też same uczynki konkretne zarysowują się w psychice naszej to jako „dobre“ — to jako „złe“...

Np. zatopienie oręża we wnętrznościach bliźniego na polu bitwy a — *privatim*, kędyś poza niem. Albo — choć to zagadnienie moralnie mniej (jeszcze) drastyczne — pokrzywdzenie krewnego a obcego człowieka i t. p.

Możnaby też powiedzieć, że daltonizm moralny częstszym jest od wzrokowego — czarne zaś jest czarnem, a białe białem poprzez lupę psychiki ludzkiej nie „bezwzględnie“, lecz



w ścisłej niemal zależności od warunków życiowych, towarzyszących danemu dostrzeganiu, czy danej ocenie.

Jakże wielorako trudnem jest wobec poruszonych tu przesłanek ustalanie w życiu moralnego ciężaru gatunkowego człowieka na szalach cnoty z jednej, niecnoty zaś z drugiej strony.

A ponadto wszystkie mamy tu do czynienia z działaniem dodatkowem wprawdzie, lecz potężnem czynników, tkwiących w głębi natury rzeczy, a niedocenianych zgoła, czynników „tajemniczych”: psycho-socjalnych zasadniczych i powszechnych.

Płyną stąd komplikacje zawile, a do rozwikłania trudne.

Oto np., z obserwacyj życia zdaje się wynikać, że t. zw. „zło” daje się stwierdzać obiektywnie nietylko naogół, lecz i tam nawet, gdzie t. zw. „dobro” bywa dostępne tylko sądowi subiektywnemu<sup>272</sup>. Że — dalej — t. zw. „zło” jest raczej dziedziną zewnętrżności, pozoru i formy, gdy „dobro” — głębi rzeczy<sup>273</sup>... Że t. zw. „zło” jest nadewszystko dziedziną przyrodzoną „materji”, „dobro” zaś — „ducha”. Że — nakoniec — ludzie, nie tyle dla swej „złej” woli, ile raczej skutek (zmysłowej) natury swego aparatu poznawczego, nie potrafią naogół dostrzegać „dobra” tam, gdzie przygodne, albo nieuniknione życiowo jego pozory mogą w oczach ich uchodzić za emanację „zła”...

A dzieje się wszystko to tem łatwiej, że t. zw. „sumienie” (t. j. w odczuciu duchowem: „Głos Boga”, a w pojęciu materialistycznym — jak chce Sheldon — „zadawniony nałóg”) łatwiej bywa człowiekowi przeciętnemu uśpić — bo-  
daj na chwilę — aniżeli lęk przed otoczeniem<sup>274</sup>.

Atoli — *nil desperandum*. Taksamo bowiem, jak w najgłębszych już pokładach poczuć ludzkich przychodzą (dla wprawnego ucha) do głosu: „materja” i „duch” — tak też i tamże, w związku z pierwszą, pojawia się zarys rzeczywistości<sup>201</sup> względnej, ograniczonej czasem i przestrzenią, a w związku z drugim — świat prawd, domniemanie bezwzględnych i nieograniczonych.

Gdy tedy ktoś twierdzi, że światem rządzi (wyłącznie) t. zw. „zło”, to myli się, gdyż na „świat” — w pełnem je-



go rozumieniu — składają się nietylko wartości niskie (t. zw. „zła“), lecz i wysokie (t. zw. „dobra“<sup>275</sup>).

Wszelako, gdy na razie — w danych warunkach — nie przyszła jeszcze gdzieś kolej na wartości (widocznie dla kogoś) wysokie, to u steru — tymczasowo — muszą się tam znajdować jeszcze z (natury rzeczy) wartości niższe, a nawet (względnie) bardzo niskie.

Dzieje się to nietylko z poruszonych tu powodów tymczasowości zasadniczej danych złożzeń, podtrzymywanej przez wielorakie czynniki rozwoju, ale również wskutek panującej w życiu mieszaniny nizin jego i wyżyn — „zła“ i „dobra“...

A ostatnia ta okoliczność sprawia, że wielu ludzi, skłonnych szczerze do świadczenia „dobra“ — musi jednak ograniczać je realnie dlatego, że — nie mogąc zgoła nieraz liczyć (choćby moralnie tylko) na wzajemność ze strony... wyzyskiwaczy — cofa się przed... groteskową rolą „naiwnych“ tam nawet, gdzie — mimo wszystko — byłby był może do spełnienia dobry uczynek...

Wszystko to wiąże się w gruncie rzeczy z olbrzymią przewagą liczebną, a stąd i potocznie życiową, typu gromadowców nad indywidualistami: tych, co wegetują raczej w stadzie, psychicznie i życiowo na cudzy rachunek, nad tymi, co moralnie na koszt własny zdolni są wierzyć, działać i tworzyć...

Że zaś ludzie przeciętni — gromadowcy — integralnie zespoleni z otoczeniem więzami *sui generis* automatyzmu we wzajemnem a ciąglem sprawianiu sobie doznań dodatnich i ujemnych, nie są typami silnymi, — „dobro“ ich nie posiada nigdy niemal w rozumieniu psychicznem charakteru bohaterskiego w swej ofiarności samospalania się człowieka dla ideału, a „zło“ pozbawione jest cech przypisywanego mu przez satanistów demonizmu...

Płynąca stąd nagminnie w środowiskach słabej kultury niewdzięczność, nie jest też li-tylko sprawą... folkloru. Doniosłość jej życiowa sięga o wiele głębiej, bo w moralnym gruncie rzeczy ona to, jako „dusza“ t. zw. „chamstwa“, kształtuje (ujemnie) nietylko stronę uczuciową, zabijając



t. zw. *politesse du coeur* — lecz w znacznej mierze i zasadniczy życiowo mechanizm społeczno-kulturalny stosunków, zachodzących wśród ludności danych środowisk.

Arcysłusznie też powiada Goethe: „Niewdzięczność jest zawsze pewnego rodzaju słabością. Nie widziałem nigdy, aby ludzie dzielni byli kiedykolwiek bądź niewdzięczni“...

Wreszcie, niewdzięczność jest krzywdą, wyrządzoną człowiekowi, zasługującemu na wdzięczność: jest tedy „grzechem“ tem cięższym, że potęgującym niekulturalność wszelakiego środowiska przez obniżanie jego uduchowienia, będącego fundamentem człowieczeństwa.

Wszystko to razem sprawia, że choć człowiek dzisiejszy nie jest właściwie gorszy od minionego, o którym Schopenhauer mawiał, że „największą jego zbrodnią jest to, iż przyszedł na świat“ — to jednak jest dziś na świecie gorzej niż bywało, gdyż — wobec olbrzymich w każdym z nas możliwości „dobra“ i „zła“ — to ostatnie znajduje obecnie w życiu lepsze bodaj warunki rozwoju, aniżeli pierwsze.

W okoliczności tej tkwi niebezpieczeństwo nielada:

Pewien wybitny badacz, mówiąc o podświadomości ludzkiej, dochodzi do następującego wniosku: Ktoś (ni stąd, ni z owąd — jakby się zdawało na pozór) powziął pewną decyzję (przygotowawczą — „nieświadomie“) bo wiedział (z góry), że tak i tak właśnie, a nie inaczej, postąpi sobie w chwili decydującej...

Nie był to tedy ani „przypadek“ ani „cud“, lecz jakby celowe i jasne (choć poza świadomością poczęte) ustosunkowanie się instynktu danego człowieka do danych rzeczy.

Zdaje się jednak, że bywa i inaczej: *Nie zamsze bowiem w mocy człowieka jest droga jego*<sup>270</sup>... Zdaje się, że człowiek, mający przed sobą coś do spełnienia, a pozostawiony co do wyboru drogi — nieprzymuszonej swej woli, obiera wprowadzić zasadniczo spośród środków działania to ostatecznie, co mu wskazuje instynkt jego samozachowawczy, ale instynkt ten — nadewszystko bodaj u człowieka cywilizowanego (t. j. człowieka o psychice w górnych swych piętrach — wysoce złożonej) — bywa do tego stopnia przytłoczony wręcz przeciwnymi mu niekiedy poruszeniami chęci



skomplikowanych a chwiejnych samegoż „króla stworzenia” — że wszystko w świadomości tegoż może składać się niekiedy na zwycięstwo (zdezorientowanej życiowo) złożoności nad pogrążonym w nieświadomości nakazem prostoliniowym zagłuszonego instynktu samozachowawczego.

Trzeba jednak przyznać, że mimo to wszystko człowiek ów (cywilizowany) potrafi — nawet w „uśpieniu” pomienionem — rzucać tu i owdzie dorywczo na tło życia odniechcenia zarysy „prostolinijne” przyszłego, realnego swego zwycięstwa, rzutem iście kontrapunktycznym w stosunku do złud, w jakich jest pogrążony...

Tak czy owak atoli — przewaga ostateczna omawianego instynktu samozachowawczego — nieraz „rewelacyjnie” nagle, bo zgola nieoczekiwana „na jawie” — nie zawsze wydaje się zgóry przesądzoną, podobnież zresztą jak *vice versa* zwycięstwo „sumienia” nad „instynktem”...

W gruncie rzeczy chodzi tu, jak widzimy, o sprawę przewagi „ducha” nad „materją” i odwrotnie, w człowieku cywilizowanym.

Odpowiedź nasuwa się tu tylko jedna: przypadek pierwszy ma miejsce, kiedy oba pomienione „stany” przeciwstawiają się sobie w danym człowieku — do głębi szczerze; drugi, gdy dzieje się to pozornie, przyczem trzeba jednak dodać, że ani tu ani tam cywilizacja nie gra roli rozstrzygającej.

I pozatem zresztą — choć wpływów umoralniających cywilizacji zaprzeczyć naogół niepodobna — wszystko zdaje się dowodzić, że rola jej (dotychczasowa w Europie) obraca się wciąż jeszcze raczej w sferze swoistych pozorów życia, aniżeli nawet — nie mówiąc już o niepochwytnej jego istocie — w dziedzinie dostrzegalnego rdzenia rzeczy.

To też zaczerpnięte z Ewangelji <sup>277a</sup> hasło Lwa Tołstoja: „Nie sprzeciwiaj się złu” — skierowane jaknajoczywiściej do człowieka dobrego — znaczy bodaj tyle: Wiem, że i ty nawet nosisz wciąż jeszcze w sobie, wszelako tylko już niby kikut moralny, szczątki zła. Nie wyrwij ich z siebie. Praca twoja na rzecz dobra, któremu z natury swej służysz, a bez którego instynkt twój samozachowawczy już się nie obej-



dzie — i tak nie pójdzie na marne. Przeciwnie! Instynkt ten potrafi z krynicy ducha zaczerpnąć dość siły, aby nurtującymu świat złu, choć-eś klasyczne narzędzia jego porzucił, przeciwstawić się skutecznie...

Oto obraz przybliżony „nieżyciowości” — szczepionej ludziom „niepraktycznym”, „niedołężnym” czy „słabym”. Mimo to, w sensie uduchowienia, a przeto istotnie cywilizacyjnym — typ taki, właśnie a jaknajjaskrawiej przeciwstawiający się masie, to materiał na bohatera, potężnego moralnie. Bohatera, którego poczynania, pozornie „niepsychologiczne”, są jednak i to jaknajbardziej, bo w rozumieniu rozwojowym nadrzędnie, z psychiką ludzką zgodne...

I kto wie, czy nie posuwająca się takim nadewszystko torem droga ćwiczeń człowieczych, nie wiecie najprościej do pojęcia i zrozumienia (zwanego: „nadludzkiem”) zalecenia moralnego: *Miłujcie nieprzyjaciół waszych*<sup>271</sup> jako pełnej prostoty wskazówki, obowiązującej np. bez trudu człowieka dorosłego względem dziecka, na którego niedojrzały gniew czy złość odpowiada on tak łatwo — pieszczotą...

„Zło” jest bowiem w zasadzie budzącą uśmiech nicością wobec „dobra”, podobnież jak „materja” wobec „ducha”...

Dlatego to nawet zbrodnia, połączona — byle do głębi i szczerze — z prostactwem, a zwłaszcza z naiwnością — niekiedy zdolna jest, raczej bawić ludzi swym komizmem, niż oburzać, a tkwiący w niej pierwiastek grzechu, pozbawiony właściwego mu w pojęciach naszych tła moralnego — uderza sam przez się swą nicością, jak w gruncie rzeczy wszystko to, co w zetknięciu z uduchowieniem wykazuje swoją bezduszną...

★

Mimo wszystko atoli, jedną z naczelných zdobyczy cywilizacji jest niewątpliwie powstanie w człowieku poczucia zbrodni, oraz towarzyszących jej następstw psychologicznych, stojących, jako t. zw. „wyrzuty sumienia” najgroźniej może na straży prawa miłości<sup>172</sup>.

Są one bowiem — w rozumieniu cywilizacyjnem — naj-



plodniejszymi bodaj spośród (dodatnich) „złud“, choć w istocie swej psychologicznej — co stwierdzają np. tysiączne przykłady historyczne — t. zw. zbrodnia jest takimże (nawet wszystko: acywilizacyjnym) przejawem instynktu samozachowawczego człowieka, co ją popełnia, jak wszelkie, egoizmowi jego służące, czyny inne.

Dziś już jednak, dzięki uduchowiającemu się bądźco bądź, cywilizowanemu w pewnej mierze rozwojowi pojęć moralnych, samo pojęcie zbrodni stoi waleźniej na straży człowieczeństwa, niż prawo pisane.

Wszystko płynie—„nikt dwa razy w tej samej rzece się nie kąpie“<sup>278</sup>; nic w miejscu nie stoi, ani nie zatrzymuje się w ruchu. Nawet nieruchome z pozoru góry i otchłanie wód pulsują bez przerwy przemianami swemi, jak wszystko inne...

Różnice, zachodzące wciąż w tem co jest, chwytają (jakże powierzchownie!) umysł ludzki w ramach towarzyszącego mu pojęcia czasu, o którym wie, że ten sam przez się brata się z nicością...

Efemeryda powstaje, żyje i ginie w ciągu godzin, a góry skaliste, wieczne pozornie, padają w ciągu milionów lat pastwą aury i mórz, by te wyłoniły kiedyś znowu z siebie skały i góry nowe<sup>279</sup>.

A w procesach tych nic nie staje się identycznie, wszelkie zaś plusy, osiągnięte w danym zakresie, mogą powstawać jedynie kosztem zakresów innych<sup>280</sup>.

Toż samo zdaje się zachodzić i w świecie właściwości ludzkich<sup>281</sup>, a to co w myśl odczuć psychiki naszej nazywamy „dobrem“ i „złem“, „cnotą“ i „grzechem“ — niemniej niż wszystko inne na świecie — ulega pomienionym prawom powstawania, bytu i zagłady wszechrzeczy...

Stąd człowiek „zły“ — nie może nie posiadać w sobie załączków i cech „dobra“, a „dobry“ — „zły“<sup>282</sup>, ocena zaś — zwłaszcza moralna — człowieka przez ludzi innych nie jest i nie może być w żadnym zgoła przypadku dokładną, nie mówiąc już o tem, by mogła być „doskonałą“.

Może ona polegać jedynie na wzięciu pod rozwagę fragmentarycznego wyrazu danego człowieka, odbitego mglisto a ułamkowo na tle życia.



To też, spoglądając z wyżyn moralnych na ułomności ludzkie, Chrystus ręk nad niemi nie załamywał: *Kto z was bez grzechu jest — mówił — niech na nią pierwszy rzuci kamień* <sup>283</sup> ... *I ja ciebie nie potępię. Idźże a już więcej nie grzesz* <sup>284</sup> ... *Nie sądźcie a nie będziecie sądzeni* <sup>285</sup> ...

Nic dziwnego, że oceny moralne subtelizują i uszlachetniają się w toku dziejów, a jak świadczy — tam zwłaszcza, gdzie idzie o wysiłek idealny — powiedzenie: „kusić Boga“, już i dążenie samo do sforsowania ducha przez narzucanie mu swej woli ziemskiej, potrafi mienić się dzisiaj barwami „grzechu“...

Dlatego również treścią natchnionej modlitwy czasów naszych, przewyższającą niebotycznie pod względem moralnym krwawe ofiary i niemniej krwawe błagania epok zamierzchłych <sup>286</sup> — staje się Chrystusowe pragnienie jaknajczystsze zlewu człowieka z Bogiem w duchu słów: *Wszakże nie jako ja chcę, ale jako Ty* <sup>287</sup> ...

„A iż przez zbytne zrozumienie kusili się o większe rzeczy, niż się to Bogu podobało — powiada św. Tomasz à Kempis <sup>288</sup> — przeto wnet utracili łaskę Jego“...

I jeszcze jedno: Oto, z omawianą tu dziedziną tajników duchowych ludzkich, wiąże się — na pozór tylko negatywnie — właściwa człowiekowi gotowość przyjmowania mimo wszystko ozdób życiowej chwały zewnętrznej od otoczenia...

Niezawsze płynie to z pobudek moralnie ujemnych.

Poza zadowoleniem godziwym z owocu wysiłków własnych — może to być również *pia fraus*: odruch zrozumiały instynktu samozachowawczego indywidualisty, radego pozyskaniu oręża przeciw napastliwości gromadowców, kapitulujących psychicznie li tylko przed masą i jej sztandarami...

Zresztą, wzgardzonym i poniżonym, w myśl zasad o pokorze, gotówby może stać się niejeden z nas — byleby za cenę porzucenia świata — nie zaś: *miotania pereł przed wieprze* <sup>289</sup> ...

Jakkolwiek też „mogą sądzić się użytecznymi bliżnim — tylko wyzyskiwani” <sup>290</sup>, to jednak, na pewnym poziomie moralnym, okoliczność ta nie przeraża już dziś wszystkich...



Atoli wciąż jeszcze „dużo jest takich, co nie mają odwagi wyruszyć samotnie na drogę woli — rodzicielki odpowiedzialności”<sup>291</sup>...

Tak powiadają — Japończycy: jedni z tych, których kultura odwieczna, związana z danym podniebieniem, potrafiła (jak u Indów, Chińczyków, Arabów, a pono i Eskimosów) przeniknąć wzrokiem swym samorzutnie, na chwałę człowieczeństwa, w głębię wszechrzeczy...

Zdaniem Japończyków<sup>292</sup> — a jakby uderzająco zgodnie z założeniem naszym<sup>293</sup> — „uczynki są *Mango* i *Ingo*: (t. j. nie „złe” i „dobre”, lecz) większe i mniejsze. Niema uczynków „doskonałych! Każdy zawiera w sobie i zasługę i winę — jak „nawet i najlepszy obraz ma swoje wady i zalety. Lecz gdy „suma dobra przewyższa sumę zła — wynikiem jest rozwój... „przez który stopniowo wszystko zło będzie usunięte”<sup>150</sup>...

\*

Gdy nazwiemy tu, z uzasadnionym może przekąsem, dzikusów siejącymi zło barbarzyńcami — oponent „liberalny” zagadnie nas niechybnie (i pokona rzekomo) prostym pytaniem:

— A małoż-to barbarzyństwa drzemie, czy bodaj i panuje na dnie oraz w ciemnych zakamarkach pańskiej „dobrej”, zachodnio-europejskiej duszy „cywilizowanej”?!

Tkwi w „chwytach” podobnych fatalne nieporozumienie!

Otchłań psychiki ludzkiej jest bodaj naogół wciąż jeszcze barbarzyńską, a anti-barbarzyńska cywilizacja spoczywa cienką zaledwie warstwą na jej powierzchni.

Wszystko to prawda...

Wszelako z „warstwy” tej właśnie powstaje mąka — a z niej, w ramach historii, wypiek dziejów ludzkich, zwanych cywilizowanemi.

To zaś, co z punktu widzenia cywilizacji określamy jako barbarzyństwo, nie ulegnie z pewnością metamorfozie samorodnej *à la minute* pod wpływem dyskusyj, prowadzonych w „zakładach moralnych”<sup>294</sup> Sowdepii — bo to poprostu mąka, z której chleba... być nie może.



Dowodem pierwszym z brzegu, to choćby przypominające przedę Penelopy dekrety Stalina, zalecające komunistom niekomunistów; to „najidealniejsze“ nawet bolszewickie zmagania się, wiekuiście daremne, z... prawami życia o wytworzenie bezgrzesznego, obcego złu, rajy na ziemi — naprzekór odwiecznym, a jakże wielorakim, jakże wielostronnym i przebogatym doświadczeniom ludzkości...

Okazuje się stąd, że barbarzyństwo t. j. analfabetyzm rasy i kultury, umysłu i serca: że — jednym słowem — rdzena ciemnota dziedziczna, to dla cywilizacji i najcenniejszego skarbu jej — człowieczeństwa — najcięższa z plag życia.

W niej też nadewszystko leży zaródź grzechu i jego wyznawców.



## Ż A L.

Znamy wszyscy bodaj z doznań własnych a poniekąd i z obserwacji tego, co się naokół nas dzieje, dwa rodzaje żalu ludzkiego. Pierwszy najczęstszy — i najpospolistszy zarazem, zwykł polegać na opłakiwaniu przez człowieka przyziemnych strat jego zewnętrznych; drugi rodzi się zazwyczaj z uchybienia duchowym dobrom wewnętrznym człowieczeństwa, poniżonego w celu uchronienia się od ubytków materialnych...

Wśród nieustannego zmagania się w głębi istoty ludzkiej ducha z materją, istota owa, stanąwszy w danym przypadku przeciw duchowi po stronie materji i obraziwszy przez to sanktuarjum swoje, czuje się wskutek tego — w obliczu słońc nieprzemijających — zdeptaną na rzecz padołów skończoności nie przez kogoś, ale — na domiar zgryzoty swojej — przez siebie samą i żałuje tego gorzko.

Moment szczerego żalu takiego — to najniewątpliwiej szczyt przenajwyższych w danej istocie wartości bytu, przesycony zdolnością promienną złożenia ich po bohatersku i bez zastrzeżeń przez człowieka na rzecz ideału.

To jakby nadludzka już — w człowieczym jeszcze wzlocie swoim — chwila Boża...

Człowiek nie może nie cenić jej sobie najwyżej, nie będąc jednak zdolnym promieniować tak bez przerwy... Chociażby dlatego, że wyżyny chwili takiej — toć to... nie każdemu znaczona ekspiacja grzechu, przepotężna w swem natężeniu, a zawisła nietylko od zdolności danego człowieka do wyso-



kich napięć duchowych, ale bodaj i do... popełnienia grzechu, mogącego — niby proca przeznaczenia — miotać, aż na wyżyny takie, muł ziemi ku jego oczyszczeniu!

Niepodobna do podejmowania przeżyć podobnych zachęcać nikogo... Atoli, niepodobna również przypuścić, iżby człowiek, który nigdy żalu, o jakim wyżej, nie doznawał, mógł wyczerpać głęboko w życiu siebie, czy stać się człowiekiem pełnym, nie mającym nic nigdy sobie do wyrzucenia...

Chrystus wątpił wogóle, iżby ludzie tacy gdzieś istnieli. *Kto z was bez grzechu jest* — mówił — *niech na nią pierwszy rzuci kamień*<sup>295</sup>, a św. Paweł apostoł, podejrzewający zasadniczo ułomną naturę ludzką o płochą lekkomyślność moralną, nawołuje ją w słowach: *Patrzcież jak macie ostrożnie chodzić... bo dni złe są. A przeto nie bądźcie nieroztropnymi* (sceptyk powiedział tu później przewrotnie: *bene vixit, qui bene latuit!*) *ale rozumiejącymi, jaka jest mola Boża*<sup>296</sup>.

A wszystko to — to nie *Faryzeusz* ani *Celnik*<sup>297</sup>; to coś, sięgającego ponad nich obu — do wyżyn, gdzie rąbka, przesłaniającego prawdę z ducha, łaska Opatrzności uchyla przed człowiekiem.

\*

Na wyższych szczeblach psychicznych rozwoju, osią żalu, o jakim ostatnio mowa, staje się nadewszystko bodaj wstyd<sup>298</sup> człowieka przed samym sobą — nie mówiąc już o jego otoczeniu — z powodu popełnionej przewiny. Że zaś strona życiowa tej ostatniej, jako „grzechu“, zdaje się polegać zasadniczo na krzywdzie, komuś wyrządzonej, przeto żal wyłania z siebie chęć ekspiacji, będącą dążeniem do zgładzenia przyczyn ciężącego człowiekowi zaburzenia moralnego, t. j. do przywrócenia danemu stanowi życia utraconej przezeń równowagi.

Nie ulega wątpliwości, że zasadniczym wykładnikiem psychicznym tej ostatniej w stosunkach, zachodzących między ludźmi, jest sprawiedliwość<sup>299</sup> — fundament zestroju harmonii, dobra i spokoju — cech miłości<sup>172</sup>...

Możliwie obiektywnie ujęta geneza psychologiczna zjawi-



ska sprawiedliwości, stwierdzająca, że nie jest ono chimera, posiada tedy dla omawianych tu zagadnień doniosłość pierwszorzędą.

Otóż, tak słynne dziś studia neuro-fizjologiczne nieodżałowanego prof. Iwana Pawłowa, prowadzone przez tego wielkiego badacza nad mechanizmem psychiki zwierzęcej, wykrywają w dziedzinie tej zjawiska iście przełomowe, jak — między innymi — tkwiącą w otchłannej już głębi natury stworzenia, zdumiewającą precyzję, jaka zachodzi tam między bodźcem, a powodowaną przezeń reakcją.

Np. okazuje się z tych badań, że pies, przystosowany do pobierania pokarmu przy akompaniamencie dźwięków i reagujący na nie odpowiednio swym narządem trawiennym — przestaje czynić to z chwilą najmniejszej — wręcz zawrotnie minimalnej — zmiany w pomienionych dźwiękach<sup>300</sup>!

Transponując wynikające stąd „prawo“, na zjawiska psychiczne wyższego rzędu, trzeba bodaj — np. w związku z powiedzeniem: *clara pacta claros faciunt amicos* — twierdzić, co następuje:

Wszelakie, najcięższe nawet w swej mocy ujemnej odczucia moralne, dadzą się z psyche ludzkiej — wbrew zupełnemu na pozór nieprawdopodobieństwu — usunąć i wykorzeni bez śladu, atoli pod warunkiem: uzyskania precyzyjnie zupełnego w poczuciu osoby pokrzywdzonej, zadośćuczynienie ze strony krzywdziciela...

Geneza ekspiacji, pokusy, oczyszczenia się (zarówno materialnego jak moralnego) sięga, jak widzimy, w naturę rzeczy zawrotnie głęboko, a wraz z tem potęga moralna instytucyj, służących „pojednaniu“, przerasta zaprawdę frazeologję chybionego „liberalizmu“, usiłującą — jakże daremnie! — pogrzebać je... *ad usum Delphini!*

Idea sprawiedliwości nie polega tedy na ułudzie, ani nie polegała na niej w chwili, kiedy przed wiekami stawiała się źródłem przykazania: *Miłuj... bliźniego twego jak siebie samego*<sup>301</sup> — zasady życiowo moralnej, opartej na poczuciu, że miłość samego siebie — wbrew ślepemu instynktowi samozachowawczemu — nie może być bezwarunkową: i to na tych już szczeblach rozwoju, na których — jakby poprzez



wzory harmonji kosmicznej<sup>302</sup> — zarysowuje się w łonie stworzenia idea sprawiedliwości, będąca w gruncie rzeczy zasadą, obowiązującą członki danej całości przyrodzonej do ich wzajemnego w jej ramach zestroju życiowego.

Stanowisko czysto osobnicze, przeciwne istotnie tej zasadzie, t. j., w rozumieniu cywilizacji, niewątpliwie barbarzyńskie, możnaby nazwać „zwierzęcem“ tylko konwencjonalnie: w rzeczy samej bowiem byłaby to jedna więcej krzywda, wyrządzona zwierzętom przez człowieka!

Wszak świat zwierzęcy rozporządza całym szeregiem reakcyj psychicznych — zwanych (małomównie) w sposób „konwencjonalny“ objawami instynktu, acz rzeczowo „moralnych“ — wyrażających się nietylko jako ustępstwa pospolite z egoizmów osobniczych, lecz również jako samoofiarność iście bohaterska tam zwłaszcza, gdzie chodzi o potomstwo, jak np. ratowanie piskląt z powodzi czy pożaru, lub rzucanie się w ich obronie na silniejszego od siebie nastpnika.

W konkluzji tedy, przysłowiowo „zwierzęce“ postępowanie ludzkie — jest to poprostu zwyrodniała *moral insanity* człowiecza, której wykroczenia na odwiecznych już szczeblach rozwojowych psychiki ludzkiej narzucały winnym potrzebę żalu, dyktującego im poprawę (*avis: czyścić!*), albo nawet skazywały ich w opinii otoczenia na potępienie (*avis: piekło!*).

I „czyścić“ i „piekło“ wytrącają jednak człowieka z kopuły — zwanych „doczesnemi“ — życiowych jego marzeń...

Cóż to znaczy?

Znaczy to, że człowiek to, czego łaknie, a czego w życiu znaleźć nie umie, przenosi się na skrzydłach psychiki swej w dal...

Stąd i *niebo* wraz z *prawdą* (transcendentalną; innej nie-masz!) — to świątynia ludzkich marzeń...

Mimo to, a raczej dlatego może, najcięższą dla człowieka udręką bywało zawsze i bywa wygnanie go z raj (bez względu na jego postać), oraz towarzyszący temu żal, będący żrącą tęsknotą za utraconym — już nie kształtem tylko, jak w smutku<sup>303</sup>, swego ideału — lecz za ideałem samym,



jako prawdą skupienia sfery ducha, w danym momencie rozpacznej, bo w zagniewaniu swem jakby opustoszałej!...

I jeszcze jedno: Oto, nie tylko gromadowiec, lecz i indywidualista odczuwają względem gromady ufność lub nieufność — zależnie od stopnia własnej siły moralnej, jaka w danej chwili ich ożywia.

Gromadowiec rozporządza nią nieznacznie, wskutek czego kontakt jego z gromadą, skupiający się w jego ufności względem niej (skoro brak mu zaufania w stosunku do samego siebie) — jest niemal nieprzerwany, zamieniając się w stan psychiczny normalny.

Z typowym indywidualistą rzeczy mają się wręcz życiowo odwrotnie, wskutek czego to, co dla gromadowca jest naturalną normą życia, staje się dla niego tragedją: żalem za „normą psychiczną“ istotnie własną, a w danej chwili utraconą...

Obok krzywdy, komuś zadanej, a budzącej żal pod postacią t. zw. „wyrzutów sumienia“, domagających się od krzywdziciela moralnej naprawy; obok wygnania człowieka z raju spokoju wewnętrznego, którego utrata budzi w nim żal tęsknoty, połączonej z pragnieniem odzyskania go, znamy tedy i żal, będący dążeniem życiowym do wcielania w zasadę *the right man on the right place* — siebie samego.

Jak wskazuje na to sam język, głoszący: żal mi czegoś, żal mi kogoś i t. p. — rodzajów żalów może być wiele, a przedmiotów, z nimi związanych — nieskończoność... Mogą zachodzić oczywiście także żale urojone, przesadne, obłudne etc. W gruncie rzeczy atoli wszystkie one płyną psychicznie z jednego, wspólnego im praźródła: dążenia człowieka do „sprawiedliwości“, t. j. do zupełnego odzyskania utraconej w takim czy innym starciu — równowagi, bez której — jeśli nie zagłada, to uszczerbienie grozi wszelkiemu istnieniu.

\*

Pokora<sup>304</sup> — wyraz życiowy żalu z powodu wielorakiej niedoskonałości człowieczej — jest wykładnikiem psychicz-



nym, bodaj czy nie najistotniejszym, człowieczeństwa pełnego względem Boga, a przystoi ona również głębi stosunku ludzkiego do wszystkiego tego, co jest.

Natomiast obnoszenie się życiowe z pokorą, skarbem ducha, nazewnątrz siebie — stokroć bardziej zdaje się ułatwiać ludziom poniewieranie dobra, do czego zawsze są skłonni — aniżeli uszlachetniać ich przykładem, w którego szczerość nie są skłonni wierzyć choćby dlatego, że najprzeważniej jeszcze do niego nie dorosli...

W zasadzie jednak pokora, jako wyraz samopoczucia niedoskonałości człowieczej i towarzyszącego mu, owianego zadumą żalu — to niewątpliwie środek arcypotężny psychicznego w pojęciu sokratycznym oddziaływania jaźni ludzkiej na inne współmierne.

A cóż dopiero tam, gdzie chodzi o krzywdy najcięższe, t. j. wyrządzone czyjejś stronie duchowej...

Krzywdą zaś tej miary jest nadewszystko — tak częste, niestety, w pewnych krajach, zwłaszcza niekulturalnych — poniewieranie<sup>305</sup> w człowieku jego godności ludzkiej.

Niezmienne charakterystycznym tego właśnie objawem i dowodem jest niewątpliwie niezrozumiałość na pozór okoliczność, że mimo odwiecznie najlepszych w Polsce dla Żydów, jako masy, warunków materialnych i prawnych bytu, pokutuje w nich trwale największa bodaj w świecie niechęć...do Polaków.

Mniej natomiast uzasadnioną psychologicznie wydaje się postawiona przez jednego z pisarzy<sup>306</sup> teza męczeńskiej ekspiacji inteligencji rosyjskiej (pod batem bolszewizmu) spowodowana jakoby nie tylko terrorem, lecz i przez żal za grzechy...

Wszak chodzi tu o literaturę, będącą dziełem sztuki, a przeto (o ile obie one są prawdziwe) — o najwyższy życiowo wyraz danych warunków istnienia twórcy-artysty. Czyż tedy (w najgorszym razie, skoro warunki uległy zmianie!) nie starczyłyby tu słowa: *Idź a już więcej nie grzesz*<sup>307?</sup>

Nadto powstaje i pytanie, czy męczeństwo, lub wogóle cośkolwiekbądź, posiada moc (istotnego) przerobienia psychicznego człowieka?



Danej masy ludzkiej — gromady — niewątpliwie: tak, gdyż inne niż „wczoraj“ części jej składowe — inni ludzie, mogą opanować „dziś“ lub „jutro“ kierownictwo nad nią, a wraz z tem zyskać możność oddziaływania zarówno na jej skład, jak na ustrój jej i ideologję. Iżby to jednak w stosunku do jednostki, a przeto do ukształtowanej nie przez nas, lecz przez procesy długie, skomplikowane, dziedziczne, psychiki ludzkiej, było możliwe, i to *à la minute* — nie wydaje się dość prawdopodobnem <sup>308</sup>.

Jeżeli bowiem męczeństwo złamie jednostkę, to przestaje ona istnieć w rozumieniu, o jakie nam tu chodzi; jeżeli zaś ugnie ją tylko — to po męce bezwoli powróci ona do dawnej swej linii psychicznej, może odświeżona nawet i wzmocniona...

Ale może idzie tu o coś innego jeszcze: o tajemne, na widok „moralnego piękna“ bolszewizmu, poruszenia serc <sup>309</sup>, zgoła już niedostępne dla „zgniłych dusz Zachodu“?...

Jeżeli tak — to dyskusja na tem miejscu staje się zbędną, albowiem spór toczyłby się wręcz już o skutek (patologiczny) spadłego na „byłych ludzi“ nieszczęścia bolszewizmu, t. j. o ich depresję nerwową w stopniu histerji.



## ODRODZENIE.

Odrodzenie się człowieka nie może oczywiście oznaczać jego przetworzenia się w znaczeniu przemiany natury jego psychicznej; jest to bowiem nieosiągalne, podobnież jak zamiana natury tej na marzoną przez J. J. Rousseau'a *tabula rasa*, którąby wypełnił swem pismem czarodzieja zewnętrzny rylec doskonałości.

Odrodzenie to poprostu — względne jak wszystko — doskonalenie się duchowe człowieka, dzięki osiągniętej przezeń na drodze przeżyć głębokich, połączonych z wielkiem cierpieniem, przewadze wewnętrznej „ducha“ nad „materją“.

Nie oznacza przeto odrodzenie się tryumfu, wieńczącego ostatecznie żywot człowieka w walce jego z przeciwnościami, lecz pozyskanie przezeń w mozole wysiłków psychicznych — spotężniałych zasobów „ducha“, zdolnych wesprzeć go skutecznej niż uprzednie, w starciach, jakie w życiu mogłyby mu jeszcze grozić, przez obdarzenie go mocą niebyłą — zwycięskiego moralnie ustosunkowania się do przeciwności.

A czyliż zdołałoby obdarzyć kogokolwiek bądź talizmanem podobnym zwycięstwo „materjalne“, wraz ze spowitym w nie tryumfem pełni człowieka dawnego: wad jego, a choćby i zalet, nad przeciwnościami, jakie uprzednio dały mu się były boleśnie we znaki?

Jest to bardziej niż wątpliwe...

A zatem? Jakież wszystkiego tego sens realny?

Zdaje się, że chodzi tu właściwie o harmonijny zespół psy-



chiczny człowieka ze światem: o równowagę moralną między spotykającym go za cnoty i niecnoty wymiarem, jeśli nie życiowym, to psychicznym — nagrody i kary...

Chodzi o sprawiedliwość<sup>299</sup>!

To też niesprawiedliwość, i to zarówno bierna jak czynna — doznawana, jak popełniana, może — ba! w zasadzie musi, czynić człowieka nie lepszym, lecz gorszym, niżli był, a nadewszystko — niż mógłby być zostać po swem odrodzeniu.

Nic bowiem bardziej niż niesprawiedliwość, nie szczepi w nim jadu zwątpienia o sile „dobra“ a wiary w przewagę „zła“.

Nawet przybrana w szatę wspaniałomyślności — niesprawiedliwość nie przestaje być szkodliwą, albowiem, zarówno (ujemne moralnie) popełnianie jej, jak (pozornie dodatnie moralnie) puszczanie winy płazem, zdolne jest natchnąć niecnotę przeświadczeniem, że była, jest i będzie cnotą (życiową), pozostając sobą...

Niemasz, jak wiadomo, reguły bez wyjątków; nie masz i bezwzględnej słuszności sądów, czy poczynań ludzkich. Sprawa ludzkiej równowagi psychicznej, o której tu właściwie mowa, zawisła na tem, iżbyśmy, stojąc na straży człowieczeństwa swego, usiłowali pojmować jaknajgruntowniej znaczenie jego i rolę, a nadewszystko płynącą z niego odpowiedzialność moralną i życiową wobec nas samych i wobec innych...

\*

Odrodzenie, rozważane w pewnem oderwaniu od życia, chwytanego *in flagranti*, zdaje się prowadzić do wniosku ogólnego, że skala możliwości t. zw. „dobrych“ i t. zw. „złych“, istniejąca w przeciętnym człowieku normalnym, jest właściwie — wobec bezmiaru bodźców wielorakich, mogących na psychikę jego oddziaływać — w zasadzie nieograniczona. Człowiek zaś, będący w pochodzie swym po szlakach bytu wiernem odbiciem kalejdoskopu życia, jest i „dobrym“ i „złym“ zarazem, lecz nie jednocześnie...

Uciekając się do allegorji, przypomina on drzewo mistyczne, zagłębione w środku ziemi, koroną sięgającą niebios, a pokryte bezlikiem sęczków na pniu swoim.



Ludzkość — to las drzew takich, duszący się w zatrutej atmosferze „zła“ na ziemskim swym poziomie — nie dlatego, iżby drzewa ssały je z wnętrza globu korzeniami swymi; nie dlatego również, by „zło“ miało być wynikiem zasadniczo nieuniknionym wzajemnego obcowania drzew - ludzi pomiędzy sobą — lecz nadewszystko z powodu błędnego psychologicznie stykania się człowieka z człowiekiem „sęczkami“, niewspółmiernymi, zwłaszcza w danej chwili, między sobą.

Gdyby do „kontaktu“ dochodziły tu zawsze „sęczki“ współmierne, zdolne, a bodaj przeznaczone do tworzenia harmonii wzajemnej — to dobro zestroju byłoby może stanem wyłącznym zespołów ludzkich, czy to przygodnych i chwilowych, czy bodaj długotrwałych, jak stany symbiozy organów poszczególnych w ustrojach żywych.

Obok wielu wniosków innych, zdaje się stąd płynąć wniosek pośredni, że wszelakie zespoły przymusowe ludzkie, którychby sobie człowiek sam nie wybierał, nie mogą zasadniczo stawać się naturalnymi wytwórniami moralnymi dobra, a przeto i odrodzenia, z powodu prostej przesłanki psychologicznej, stwierdzającej, że istotna emanacja ducha wymaga w życiu człowieka niezbędnej dla siebie swobody<sup>310</sup>.

W związku z tem, lubo dobrze jest znać przeciwieństwa, dzielące ludzi jednych od drugich — bodaj lepszem jeszcze życiowo byłoby wiedzieć, że istnieją pomiędzy nimi i punkty styczne, oraz odpowiadające im łączniki...

Sugestia optymistyczna, skłaniająca ludzi ku sobie, lepszą jest nietylko moralnie, ale i życiowo, niż odwrotna, nieunikniona praktycznie chyba tylko w chwili wysiłków, zmierzających do udoskonalenia — pierwszej.

Optymizm i dobra wola — acz niezawsze wieńczy je powodzenie, gdyż *Królestwo moje nie jest teraz z tego świata*<sup>311</sup> — stanowią najlepszy niewątpliwie wstęp psychologiczny do krainy stosunków międzyludzkich i pracy nad ich odrodzeniem.

Już jednak „wstępowi“ temu towarzyszyć winna odpowiednia przezorność poznawcza, polegająca nietylko na wierze w człowieczeństwo, lecz również na umiejętności sokra-



tycznej potęgowania go w ludziach przez trafne z nimi obcowanie.

Środki, wiodące ku temu, stare są jak świat, Czerpać można je nadewszystko, jeśli nie jedynie, z arkanów moralnych odrodzenia: *Świecą ciała twójego jest oko twoje... Patrz tedy, żeby światło, które w tobie jest, ciemnością nie było*<sup>312</sup>... Tylko też o takim człowieku powiedzieć można śmiało: *...który mógł zgrzeszyć, a nie zgrzeszył: źle czynić, a nie czynił: przetoż utwierdzone są dobra jego w Panu*<sup>313</sup>...

Czemuż mamy przeto, nawiązując stosunek z danym człowiekiem, łączyć się — i to natrętnie nieraz — z „sęczkami“, leżącymi poniżej poziomu jego człowieczeństwa (a i naszego zarazem)?

Dowodem pośrednim wprowadzie lecz wymownym racji psychologicznej tej uwagi, (jakże często!) bywa np. wieść o śmierci człowieka znajomego, którą zwykliśmy witać w nastroju podnoszącym, nie zaś obniżającym, cechy zmarłego, przyczem on sam w lepszym, a co ważniejsza — w pełniejszym życiowo świetle, niż uprzednio, zarysowuje się przed nami...

A czyż w gruncie rzeczy winą był ów stan miniony — nasza jego ocena — jeśli nie nasza własna?

Boć ów człowiek — w stosunku do nas — jakim był, takim trwał, aż zniknął...

Nie on przeto, lecz „nastawienie“ psychiki naszej było w błędzie. Czemuśmy tedy nie pomyśleli o tem — wcześniej?

Już też Erazm z Rotterdamu wyrażał mniemanie, że wszelkie niemal tarcia, zachodzące pomiędzy ludźmi (nawet w postaci walk między jednostkami a narodami) mogłyby ulegać załagodzeniu bez użycia przemocy — na drodze pożytkowości wzajemnej, gdyż wszystkie one mieszczą się w sferze uczuć ludzkich<sup>314</sup>...

Konieckojców jednak o wszystkim tem stanowi psychologicznie zdolność i możność zestroju, a w dalszym ciągu sam zestrój danych odcinków („sęczków“) jaźni ludzkich wchodzących w kontakt ze sobą, co możnaby nazwać wynikiem *sui generis* taktu moralnego.



Harmonia — taktu tego owoc — staje się tu (względem jak wszystko!) „dobrem“; dysharmonia (takimże!) „złem“; pierwsza — wrotami do „raju“ i „szczęścia“; druga — do „piekiel“ i „nieszczęść“ bez miary...

Ale czyż nie są to paradoksy?

Zaprawdę — nie, gdyż „szczęśliwym“ można być i w warunkach życiowo „opłakanych“, a nieszczęśliwym — i to bardzo — „na tronie“, *albowiem Królestwo Boże nie jest ci pokarm ani picie: ale sprawiedliwość i pokój i wesele w Duchu Świętym*<sup>315</sup>.

Zresztą, wątpliwości nasze zdają się tu płynąć nadewszystko z opacznych nieraz a utartych w życiu sugestyj na temat niezawodnych rzekomo „prawd“<sup>316</sup> i ich symbolów...

Trudno tedy wyobrazić sobie sielankę, spowitą w ciernie, albo scenę piekielną, ukwieconą różami; niemniej też trudno oderwać pierwszą od poczucia spokoju, drugą od wstrząsów przerażenia i trwogi...

A tymczasem życie samo, towarzyszące na równi tworzywu obu scen wspomnianych — nie jest bezwładem, lecz ruchem — i to zawrotnie wielorakim w istocie swojej.

Zdawałoby się tedy, że dla symbolistów-miłośników spokoju i róż, musi ono, już samo przez się — poza sielanką — być „złem“, podobnie jak dla symbolistów-miłośników cierni w skórze własnej czy cudzej — przedmiotem dyzgustu z powodu — tu i owdzie — podobieństwa swojego do Ogrodu Hesperyd...

A wynik?

Rzeczowa i psychologiczna względność, względność i jeszcze raz — względność...

Czemże jest wobec tego odrodzenie?

Prostu — w rozumieniu zarówno psychicznem, jak życiowem — harmonijnem przystosowaniem się — wzorem „doskonałości“ prymitywów prawa rzymskiego — do *status quo*, t. j. do tego co jest; w niezyciowem zaś — ucieczki od tego co jest. Co do uduchowienia, to może ono zarówno być, jak nie być udziałem uczestników obu pomienionych ewentualności.

Trzeba tu jednak dodać, że odrodzenie moralne, połączo-



ne z natury rzeczy z uduchowieniem<sup>317</sup>, pojmowaniem na gruncie życia przeważnie transcendentalnie, a ściślej mówiąc: mistycznie — może a nawet musi stać się uduchowionem, o ile dany proces psychiczny doskonalenia się człowieka został zakończony jego kapitulacją wobec ducha, prowadzącą zazwyczaj w swych następstwach realnych do wielorakiej, jeżeli nie zupełnej, ucieczki tegoż człowieka od życia.

Ponieważ ducha — mimo wszystko — nie znamy poza materją, ostatnie to zjawisko — połowicznością swego charakteru życiowego zdaje się przypominać prostolinijną powierzchowność metodyczną poczynañ wszelakich naogół prymitywów.

Czyżby tedy i wchodząca tutaj w grę czynność psychiczna miała być sama przez się *sui generis* prymitywem rozwoju?

Bardzo to być może...

Powracając zaś do „kapitulacji“ pomienionej, trzeba zaznaczyć, że — mimo całą swą niebosięzną wzniosłość pozorną — nie jest ona stanem najszczytniejszym, ani — w kierunku odrodzenia — najgodniejszym człowieka, i to z dwu powodów.

Po pierwsze, ducha odczuwać możemy normalnie li-tylko w łączności z życiem typowem, poza którem przechodzi on — oddany na usługi krańcowego subiektywizmu — łatwo w chimere; powtóre zaś *Ecce Homo* to nie mieszkanie zawodowy puszczy, ani eremu, lecz człowiek uduchowiony, mający zarówno poczucie odpowiedzialności moralnej, jak odwagę trwania w życiu na posterunku czujnego jego uczestnika — do końca.

Wielką tę prawdę głoszą nam zarówno żywoty największych spośród wielkich tego świata, jak słowa słynne św. Tomasza z Akwinu: *Maius est contemplata aliis tradere, quam solum contemplari*, ale na drogę wyłuszczonych tu spostrzeżeń wiedzie człowieka przede wszystkim pilne studjum psychiki jego własnej, powołanej poprzez wszystkim innem do stania się jego *magistra vitae*...

I jeszcze czemś może ponadto: Oto, psychika ludzka, pojęta powszechnie a globalnie, jest jedna. Wszelako, gdy nieco uważniej przyjrzymy się jej u wielu ludzi, to okaże się bo-



daj, że życiowe klucze do niej są różne i że na tem to właśnie zdaje się polegać nade wszystko indywidualizm jednostek poszczególnych, które także są (pozornie) jednakie, lecz (istotnie) do życia w pewnej mierze ustosunkowane z natury swej rozmaicie, co sprawia, że są one podobnie — jedna w zestawieniu z drugą — odmienne, jak każdy liść na drzewie, rozpatrywany z osobna.

Możliwem jest atoli — jeżeli nie bezwarunkowo, to bodaj względnie — że wspomniane zjawisko różnaitości „kluczy“ do odmiennych „zameków“ psychicznych, jest w gruncie rzeczy pozornem, bo polegającym na (błędnej zasadniczo!) przesłance domniemania, że zdolność percepcji psychicznej danych bodźców jest z natury rzeczy u wszystkich naogół przedstawicieli danego gatunku bezwarunkowo jednaka.

Tymczasem, ani bezwzględności ani jedni „doskonalej“ (o jaką zdawałoby się tu chodzić) nie zna przyroda. Konieczniekońców tedy (powracając do „sęczków“, o których wyżej) — nie wydaje się chimera, iżby możliwie w danym przypadku najdoskonalszy kontakt międzyludzki — w braku odpowiadających sobie topograficznie (w rozumieniu psychożyciowem) „sęczków“ tożsamy — nie mógł być osiągnięty przy pomocy („sęczków“) analogicznych, a bodaj nawet i bardziej (topograficznie) od siebie oddalonych...

Toż i biologja stwierdza podobną właściwość natury — np., że komórki jaja (t. zw. blastomery) „nie posiadają zgoła stabilizowanych potencyj dziedzicznych, wskutek czego każdy z nich w pewnych warunkach mógłby zastąpić każdy inny“<sup>317b</sup>. W dziedzinach zaś innych faktem analogicznym. zdaje się być poniekąd zjawisko przenośni — metafory, zrodzone najpewniej z potrzeby psychologicznej życiowego porozumiewania się z sobą nawzajem umysłowości wydatnie niewspółmiernych.

\*

Należy usiłować zawsze czynić „dobrze“ — tembardziej, że „i tak“ nie utraci wiele na tem „zło“, gdyż najlepsze nawet czyny powodują arcyczęsto złe skutki z powodu, że —



przyjmowane zazwyczaj opacznie przez adresatów — nie trafiają na grunt właściwy...

Atoli, życie zbiorowe ludzkie, pokrzyżowane kanałami o komplikacjach wręcz nieprzebranych, nie zawsze nastraja człowieka pesymistycznie.

Niekiedy bowiem prowadzą one fale czynów naszych nie w dół ani nawet poziomo, lecz — pod górę...

Dlatego to, gdy z jednej strony czyn „dobry“ może być pojmowany fałszywie i rodzić zło, to natomiast z drugiej czyn „jaknajgorszy“ potrafi otrzeć się kanałem nieprzewidzianym o niebiosa i — przeobrażony w skutkach swoich — począć plon „jaknajlepszy“.

Miał też za sobą słuszność wielką acz pozornie nieprawdopodobną, Goethe, kładąc w usta Mefista oświadczenie:

Ich bin der Teil von jener Kraft,  
Die stets das Böse will  
Und stets das Gute schafft...

Czy jednak dzieje się to — w rozumieniu życiowym, t. j. nie *sub specie aeternitatis* — zawsze a zasadniczo, to wielkie pytanie, albowiem obserwacja bliższa nie zdaje się potwierdzać mniemania, jakoby przeciętna, a więc typowa psychika ludzka, nawet pozbawiona silniejszych hamulców natury moralnej czy policyjnej, miała koniecznie pchać człowieka „za wszelką cenę“ do t. zw. używania życia w znaczeniu nadużyć.

Przeciwnie. Podobnie jak w świecie zwierzęcym, tak i tutaj odnosi się wrażenie, że „ideały“ życiowe przeciętnego człowieka normalnego są naogół w zasadzie nader — i to w rozumieniu formalnie cywilizowanem — umiarkowane i skromne, nie mając w przerośnięciu nic wspólnego ani z otchłanią ani ze szczytami gór, lecz raczej z równą, średnio żyzną doliną...

Tembardziej też znaczenie zarówno życiowe jak moralne t. zw. dobrobytu, jako poprawnej wystarczalności dochodów w stosunku do ludzkich w danym środowisku potrzeb przeciętnych — nie jest chimera! Zupełnie jak biologiczna moż-



ność realna zamiany danej potencjonalności fizjologicznej na odpowiedni stan życia.

Przesłanki „dobra“, „zła“, „radości“, „smutku“, „szczęścia“ „nieszczęścia“ i t. d. spoczywają w nas, nie poza nami, wszelako pozbawione (poprzez nas) niezbędnych dla siebie pożywek odpowiednich, zamiast być swój osiągnąć, stać się mogą conajwyżej w umysłach ludzkich jego... chimera...

Wszystko to jest tak dalece niewątpliwe, że np. w przeciętnych w danym środowisku warunkach egzystencji ludzkiej — można i należy t. zw. zbrodnię, t. j. ciężką obrazę zasad odpowiedniego zestroju, poczytywać bez obawy popełnienia błędu psychologicznego, za zjawisko patologiczne.

Nagminną natomiast staje się automatycznie „zbrodnia“ (nb. z zasady nieujawniana!) tam, gdzie „patologicznymi“ okazują się dane warunki bytu...

A dzieje się tak — póki nie ustali się przewrót życiowo-moralny zasad danego zestroju społecznego — jakby dla dania wyrazu prostej a nieuniknionej nigdy i w niczem oczywistości logiki życia.

Dlatego to nie brak racji pozornemu paradoksowi Oskara Wilde'a, ironizującego na temat zbrodni, jako jedynie dostępnej dla nędzarzy postaci... sztuki. Dlatego również błędne zdanie moralistów, podnoszone (nieodpowiedzialnie!) na wyżyny (rzekomej) „prawdy psychologicznej“ (!), a opiewające (bardziej prostolinijnie, niż „moralnie“), że „człowiek takimi widzi innych, jakim sam jest“<sup>230</sup> — należałoby (sprawiedliwiej może!) zastąpić np. powiedzeniem, że sąd człowieka o ludziach innych zawisł od tego nadewszystko, jak na świecie człowiekowi temu jest...

Innymi słowy: niepodobna wymagać od nikogo — nawet od nędzarzy — zawodowej cnoty bohaterstwa, polegającego, jak wiadomo, na przekraczającym przeciętne siły ludzkie, zaparcie się siebie.

Niepodobna choćby dlatego, że normalna psychika człowieka, administrująca ludzkością, jest do głębi automatycznie logiczną, t. j. sprawiedliwą<sup>318</sup>.

W świetle tem odrodzenie — to właściwie naprostowanie sobie w głowie, przyczem szczerzy a głęboki „transcedenta-



lizm“ wiary — uduchowanie — staje się jaknajbardziej realną mądrością życiową, zdobioną niegdyś, jako święty a mocny przykład i wzór dla ludzi, niedorastających do jej poziomu — trafnie a pięknie w krążek świetlny, promieniujący z głowy mistrza cnoty: mędrca.

Pojmuje on, że odrodzenie jest odkupieniem, a to ostatnie może jedynie spełnić się za cenę ofiary — równej rzeczy odkupionej; nigdy mniejszej, albowiem sprawiedliwość<sup>319</sup> wymaga pełnej czystości serca, nie wchodzącego w targi z niczem...

Odrodzenie to przeto przejście z drogi błędu, a za nim zła i wykładnika tegoż — grzechu, na drogę prawdy, dobra i cnoty.

Są to — jak widzimy — jasne w naturalnej swej prostocie zadania, hasła i cele, a jednak jakże skomplikowane (pozornie w gruncie rzeczy, lecz niestety władnie przez ciemnotę ludzką) na arenie życia!

Ongiś ciskano dla nich o ziemię korony i berła, aby na puszczy, lub w odosobnieniu klasztornej: w porzuceniu świata, szukać ulgi, czy ratunku dla uczuć, wyjących z bólu.

A ów ból, te zmagania się z bliźnimi i z samym sobą, te walki i tragedje bez granic — szalały wiekuiście a zasadniczo z jednego nadewszystko powodu.

Bywał nim zawsze stosunek człowieka do człowieka: jednostki do gromady współobywateli...

I czemu? Poco? W jakim celu?

Prostu — szło tu o możność jaknajpełniejszego wyżywiania się przy pojmowaniu się nawzajem, wiodącym do uznania dla tych, którzy coś budują, ze strony tych, co winni z owego czegoś korzystać...

O walkach, toczonych z tego powodu, a wypełniających dzieje ludzkości — anarchiści powiadają, że są one wynikiem aberracji ludzkiej: że człowiek — dobry z natury — staje się złym, zjadłym i kłótlwym jedynie w następstwie nieporozumień wzajemnych, te zaś powstają na gruncie nieudolnych organizacyj i instytucyj, takich bodaj jak państwo, z natury rzeczy chybiające celu.



Uwagi podobne brzmiałyby istotnie nader... zachęcająco, gdyby trudno było wyobrazić sobie coby to było, gdyby — dziś już miljardy przedstawicieli gatunku *homo sapiens* — zgromadzone samorzutnie w sposób, niekrępujący (pozornie!) nikogo, t. j. niezorganizowane zgola, nagle stanęły sobie do oczu nawzajem... *ad audiendum verbum!*

Szkoda zaprawdę czasu na odtwarzanie podobnych obrazów — łatwych zgóry do przewidzenia, nawet bez sąsiadujących z nami „wzorów“ naprawiaczy cywilizacji ludzkiej...

Dość, że od zamierzchłych czasów przedhistorycznych, mamy wciąż do czynienia z iście nieobliczalnym kalejdoskopem swobód i więzów z zakresu stosunku człowieka do człowieka, w ramach życia.

Stwierdzają one bez obsłonek, że choć jednostka — człowiek i masa ludzka kolejno i stale wydzierają sobie od czasów niepamiętnych władzę nad sobą nawzajem<sup>319</sup> — to walka ta, iście kosmiczna, a związana od prawieków podziśdzeń bezwarunkowo z psychiką człowieka, ściślej zaś mówiąc: z dyferencjałem psychologicznym, wynikającym automatycznie z zestawienia życiowego indywidualistów z gromadowcami, t. j. typów zdecydowanie stosunkowo silniejszych z typami podobnie stosunkowo słabszymi — nie pozwala ani marzyć o możliwości wykorzenienia jej z gruntu ciąglego na tem polu cyklu<sup>319</sup> bytowania ludzkości.

Ba! gdybyśmy wyobrazili sobie panowanie niepodzielne a stałe jednego z typów pomienionych nad drugim, to — w razie utrwalonego *sub specie aeternitatis* tryumfu gromadowców, mielibyśmy do czynienia bez przerwy z a-kulturalnem w naszym dziś zrozumieniu cywilizacyjnem — stadem ludzkim, a w razie podobnej przewagi indywidualistów — z przerostem-kresem egzystencji gatunku naszego na ziemi.

Owo „kosmiczne“ zmaganie się wzajemne obu sił pomienionych, jakby kierowane przez specyficzny instynkt samozachowawczy ludzkości, obrało sobie atoli za wzór ciągły jej nieustannego odradzania się w dziejach, drogę inną niż wzajemna zagłada...

W pochodzie wiekuistym człowieka — *ad astra* potęga



czynna typów wyższych wyraziła się dotąd z kolei: jako narzucony masom pod strachem<sup>172</sup> kult bohaterów; jako ich deifikacja, owiana tchnieniem miłości<sup>173</sup>, a wreszcie jako porządek hierarchiczny zespołów ludzkich — kościec wszelkich cywilizacji.

Niebylejaka swą liczebnością siła bierna mas wsiąkała tymczasem równolegle w niezliczone akty posłuszeństwa i buntu wobec prowodyrów ludzkości.

A wśród procesów tych waliły się i chwiały w swych podstawach nieprzeliczone słupy graniczne chcień i ziszczeń, głodów i dosytów, posągów chwały i pręgierzy człowieczych, wylanianych jak płód przeznaczenia z walk pomienionych, pogromów i zwycięstw...

Dziś większość spraw tych, tak zasadniczych, znalazła się jak wszystko niemal, w chaosie...

Czyżże to głód zaspokoi na dłużej za dni naszych czyjakolwiek bądź deifikacja, czy hasło — najwspanialsze bodaj — rewolucyj?

Tylko kultura, wyjaśniająca umysłom rzesz głębię źródeł i konieczność nieuchronną pewnych form i rytmów bytu, mogłaby bodaj, zapobiegając wstrząśnieniom zbędnym a katastrofalnym, utęsknionemu odrodzeniu świata sprostać...

Aliści idealna, na sprawiedliwości rzetelnej oparta, uduchowiona kultura taka, zdolna podnieść czarodziejsko niziny moralne świata na poziom jego szczytów — jest dziś życiowo niemniej nieosiągalną, niż utopja trwałej niwelacji powszechnej, sprzecznej z naturą stworzenia.

Wnikając w głąb rozwoju, dochodzimy do wniosku, że w zasadzie pierwsze z obu tych nieprawdopodobieństw jest mniej chimeryczne, niż drugie.

Czyliż tego nie dosyć?

Tymczasem jednak niema nic groźniejszego dla ludzkości nad nieuniknione a nieustannie stykanie się wzajemne z sobą bez kagańców, buforów i osłonek — nizin z wyżynami bytu...

Istna to otchłań fermentów psychicznych, tem ostrzejszych, że potęgowanych, wskutek postępu technicznego czasów naszych — coraz to śpieszniejszą, niedochodzącą nigdzie



do normalnego przetrwania się, emulacją obcych sobie odwiecznie ludów, kultur i ras, miotanych dziś przez przerost bujności życia w tempie zawrotnem do wspólnego kotła przeznaczeń...

A przy tem wszystkim nie wystarcza np. ludziom okoliczność, że ktoś — chociażby w gruncie rzeczy dla nich samych — osiągnął cośkolwiek bądź, jeżeli nie użył przytem metod, marzonych przez dany ogół. Czyżby dlatego, że jego metody acz skuteczne, lecz swoście od popularnych odmienne, podkreślają zbyt jawnie czyjąś wyższość, przeciwstawiającą kogoś zwycięzko gromadzie? Jednostkę — masie ludzkiej?...

Twórcę przyrodzonego walorów cywilizacyjnie trwałych, bo rdzennych — wylęgarni oparów przemijających jak *delirium* paniki, czy uchodzących za entuzjazm uniesień tłumu; frazesów, poczytywanych nieodpowiedzialnie za mądrość życia; totalizmów, mających dać światu wszystko, a wyzwajających go z wszystkiego??

\*

Zanim powstanie, a chociażby zarysuje się przed człowiekiem kultura marzona, zdolna przeciwstawić się racjonalnie troskom jego obecnym, byłoby mu do zalecenia myślowe gotowanie się do niej bodajby dlatego, że myślenie samo jest funkcją, do wszelakiej duszy, a przeto i do duszy kultury ludzkiej — warunku *sine qua non* odrodzenia człowieka — najbardziej zbliżoną...

Jak znikomy pyłek magnezu, puszczoney samopas, a dążący drogą przeznaczeń swych samodzielnie, zajmuje wreszcie — niby koń na odgłos trąbki komendy — w danym szeregu miejsce swoje <sup>320</sup>... Jak — złożona z wielu już drobin — molekula (tłuszczu), poczyną sobie uderzająco analogicznie, wstępując poniekąd w jego ślady <sup>321</sup>... Tak również puszczoney samopas w spokoju pyłek dowolny myśli człowieczej, dążący (w subiektywnem poczuciu naszym) na skrzydłach własnych w dal nieokreśloną, zazębia się na swej drodze — bodaj jak wspomniane magnesy i molekule — o to i owo, aby wreszcie, dobrnąwszy (jakby wzbogacony zdobytym w wę-



drówce swej nalotem tajemniczym) pod sklepienie świadomości człowieczej, do portu swego — zawołać tam głosem dojrzałym już: *Eureka!* Jestem!!

Myślenie jest niewątpliwie, zarówno w porozumieniu utartem, jak psychomechanicznym — przedzieraniem się stopniowem świadomości naszej wgląd pokładów — nieuświadomionych jeszcze — siebie samego.

Wymaga ono, podobnie jak wszelki wysiłek twórczy, odpowiedniego zamięłowania, aczkolwiek — choć może tylko z punktu widzenia psycho-mechanicznego — odbywa się ono jakby automatycznie przez ustawianie na zew pobudki, od woli człowieka niezależnej, pionków, tworzących armję posiadanego już przezeń poznania — u granic niepoznanego...

Pionki te w głębię tego ostatniego zdają się przenikać same, schodzą się tam i kojarzą ze sobą, a — opanowując teren nowy — rozbrzmiewają wreszcie w psychicznym wnętrzu ludzkim coraz to silniej i głośniej surmą zwycięstwa jego myśli...

We wspaniałym procesie tym — bodaj najgodniejszym człowieka — znajduje upodobanie znikoma, a przytem jakby „anormalna“ część ludzkości, gdy tymczasem „normalna“ jej większość przeogromna nie tylko nie zdaje sobie zgoła sprawy z faktu, że poza myśleniem i niezbędnymi po temu warunkami, niema właściwie racji bytu człowieczeństwa pełnego, lecz nadto postępuje tak, jakgdyby... chępiła się swoim od niego oddaleniem.

A przecież tylko myślenie — będące przeblyskiem duchowo-materjalnym przeznaczeń ludzkich — zdolne jest uświadomić człowieka możliwie gruntownie o względnej pełni spraw, składających się na obraz jego życia.

Inaczej stajemy się zgoła bierną jego pastwą, gdyż przenika ono do nas nie tylko bardziej fragmentarycznie i ułomnie, ale — co najważniejsza — i o wiele bardziej, aniżeli do mędrca — fałszywie.

Razem wzięwszy, a pomijając „sztukę dla sztuki“ (bodaj na chwilę!) idzie tu praktycznie o t. zw. głupotę i o t. zw. rozum, czyli o nieuniknioną w pierwszym przypadku: czę-



stkowość i o (względna, jak wszystko) pełnię danych rzeczy w przypadku drugim.

Ponieważ pełnia bezwarunkowa nie jest dla świadomości ludzkiej osiągalną, przeto — w gruncie rzeczy — „głupota“, nie zaś „mądrość“ jest stanem życiowym człowieka, choć ten w przedstawicielach swych wybranych zdaje się wyczuwać, iż stan inny — odwrotny — winienby być jego ideałem.

Czemuż tedy, dążąc ku odrodzeniu, mamy oddalać się przyziemnie a lekkomyślnie od szczytnych wzorów, wskazujących nam nieublaganie sferę „doskonałości“ jako re-medjum jedyne przeciw „niedoskonałości“ naszej...

Prawić — zwłaszcza u nas — należy o tem bez wytchnienia, albowiem t. zw. „inteligencja“ nasza nie oznaczała się nigdy fanatycznym umiłowaniem myślenia, a chłop polski — dziś już wykładnik czołowy podstawowych w życiu skłonności psychicznych narodu — cenił poprzez przodków swoich i obsługiwał pana swego przez lat tysiąc, nietyle bodaj ze strachu, czy wdzięczności za to i owo, ile a nade wszystko dlatego, że mu się zdawało, iż ów pan — jeśli nie sama już jego fortuna — myśleli wciąż za niego, t. j. czynili to, do czego on sam odczuwał zawsze... największą odrazę.

Gdy tedy człowiek „krzywdy“ i „cierpienia“ niepowstrzymanie unika — myślenie jest w Polsce rzadkością nie od dzisiaj — i to rzadkością poniekąd podwójną.

Po pierwsze brak nam ludzi myślących, a powtóre: możliwość kierowania losami myśli publicznej i jej oddziaływania na nieprzeliczone rzesze wielorakich analfabetów, zawisło nie tyle i nietylko u nas od przeciążonej szkoły, czy tłumionej przez życie zbiorowe krytyki rzeczowej, ile nieraz od przedsiębiorców handlowych słowa drukowanego, zawodowo obojętnych na głos sumienia.

\*

Nie będę tu poruszał szczegółowiej sprawy cnót i zalet polskich, ani ich duszy, gdyż próbowałem uczynić to już —



w związku ze studjum nad dojrzałym rozwojowo typem polaka — obszernie gdzieindziej<sup>372</sup>.

Tym razem idzie mi raczej o stosunek nasz psychiczny, jako narodu, do kultury zachodnio-europejskiej, którą tak lubimy się szczycić.

Otóż z tem — jest znacznie gorzej.

Kultura ta, a mówiąc otwarciej — syntetyczny życiowo wyraz jej, zwany oddawna cywilizacją, nietylko już naszej części świata — nie była nigdy u nas i nie jest podziśdzień naturalną, bezpośrednią ani szczerą potrzebą narodu.

Była ona zawsze pod naszym podniebem raczej „zbyt-kiem“, szczepionym tu przez jednostki majątkowo, oświato-wo, czy politycznie uprzywilejowane, które w niej osobiście z różnych powodów znajdowały upodobanie, a posiadając jednocześnie siłę przemocy czy przewagi w stosunku do olbrzymiej większości swych rodaków, potrafiły przed nimi importowane ręką swą płonki cywilizacji — zabezpieczać...

Dalecy tu jesteśmy od zamiaru ironizowania na dany temat. Chodzi przecież o sprawy poważne, o których wiele oczywiście dałoby się powiedzieć. Streszczając się atoli, dość będzie może poprzestać tu na uwadze, jaką wymownie nasuwa sens dotychczasowy naszych dziejów...

Wiemy, że ciężar gatunkowy stosunku każdego kraju do świata zewnętrznego zawisł ściśle od ciężaru gatunkowego życiowych (w danej konstellacji międzynarodowej) walorów jego wewnętrznych, t. j. że kultura i polityka, będąc dziedzinami pozornie odrębnymi, wpływają w gruncie rzeczy nierozdzielnie na bieg spraw żywotnych danego narodu i państwa.

Polska, która w dziedzinie politycznej, w związku z faktem rozbiorów, wykazała najniewątpliwiej historycznie psychikę odmienną od reszty sąsiadującego z nią świata, poszła też i w kierunku kulturalnym bardziej niż inni własną swą drogą...

Jeśli pominiemy fragmentaryczne, a od życia kraju niezmiernie odbiegające istotnie, pozory zewnętrzne, będziemy musieli przyznać, że owa „własna droga“, kryjąca w sobie



nieprzebrane walory swoiste<sup>522</sup> — nie była jednak nigdy : nie jest tem, co nazwalismy wyżej — „cywilizacją“.

I możnaby bodaj (względnie...) poprzestać na tem także i przez drugie nasze tysiącolecie, gdyby nie nacisk konieczności nieuniknionych, jakie zaciążyły ostatnio, a powszechnie, nad sferą wszelakich stosunków międzynarodowych świata.

Okazuje się przytem, że jesteśmy bardzo zacofani, oraz, że — pozbawieni pomocy dawnych naszych, a dziś zubożalych doszczętnie, fundatorów i mecenasów cywilizacji — musimy, nie tracąc czasu, europeizować się sami, nietylko ze względów „górných“, ale również i żywotnie praktycznych, nakazujących nam odżegnywanie się od doli paryasów powszechności ludzkiej.

A na tem tle — sprawa żydowska: dotkliwsza i cięższa niż gdziekolwiek bądź, i to z wielorakich powodów...

Prawda, że Żydzi nasi nie stanowią wobec kultury zachodnio europejskiej zjawiska wzorowego! Mimo to, trudno dziś orzec, co naród nasz — poza względami gospodarczymi — bardziej do nich zraża: ich semityzm i antiaryjskie jego cechy, czy ich — bądźcobądź — w przeciętnem zestawieniu z nami, chociażby tylko pół- czy bodaj ćwierć-europeizm, w znaczeniu dojrzałości światowej?

Jest tu nietylko nad czem biadać, ale i — myśleć...

A trudności te komplikuje niemało okoliczność, że faza „klimakteryczna“ rozwoju, jaką przebywa Polska dzisiejsza bodaj podwójnie, bo — łącznie ze światem całym, oraz sama przez się: że faza ta, wbrew pseudo-pozorom indywidualistycznym, takim jak typowa niesforność czy warcholstwo nasze — to nie faza historyczna kwitnienia jednostki ludzkiej, lecz — przeciwnie — okres iście klasyczny gromadzkości stadnej, mało sprzyjającej ewolucji człowieka pełnego<sup>319</sup>..

A jak wiadomo, nietylko hasła szczytne, lecz — co życiowo ważniejsze — siły ich realizacji, poczynają się nie wśród form zewnętrznych ludzkich, lecz w głębi człowieka i narzucają się zbiorowości poprzez indywidualistów. Przez nich to dochodzą do głosu tak nawet doniosłe i rzekomo tylko



rozpowszechnione, bo z władnym egoizmem ludzkim sprzeczne, wezwania kulturalne podstawowe jak: „panuj nad sobą“ i „poczuj się do odpowiedzialności“...

Źródeł impulsów podobnych gromadowcy nie znają; natomiast przeciętny instynkt ich samozachowawczy, potęgujący słabość ich przyrodzoną i socjalną, zdaje się podszeptować im rady zgoła odmienne, w rodzaju: „naco ci to?“ „nie daj się ubiedz“! *carpe diem*...

Nic dziwnego, że niezbędne dla żywotnego rozwoju i odrodzenia człowieka ideały, rzucane z mocą w świat przez jednostki, bohaterskie do głębi, bywają uprawiane w życiu przez gromadowców li-tylko z musu i w miarę możliwości... pozornie...

Dlatego to cywilizacja, zwłaszcza pozbawiona narzędzi tresury przymusowej, rozwija się — jak z kamienia...

A wszystko to razem wiąże się jaknajoczywiściej ze sprawą sumiennej rewizji psychiki własnej każdego z nas — nie-tylko dlatego, że ona i stosunek jej do świata, to właściwie: człowiek sam, lecz — i głównie — z powodu, że zajmować się psychiką swoją znaczy: wnikać wgłąb siebie samego, co jest nam dziś właśnie tak bezmiernie potrzebne!



W wyniku — skoro tonem zasadniczym rozpatrywanych tu zagadnień jest stosunek psychiczny człowieka do człowieka — odrodzenie ludzkie nie może skupiać się przeważnie w sferze spraw, od zasadniczego tonu tego dalekich... A droga ku niemu idealna zawiedzie nas niechybnie w krainę ducha — to znaczy owej marzonej wolności wewnętrznej człowieczeństwa która nie istnieje w życiu przyziemnem, noszącem miano „rzeczywistego“ — jakby poto, iżby, nie dozwalając mu spocząć na laurach ani przez chwilę, kazać mu wznosić się, bodajby w osobach górnych jego przywódców, na coraz to wyższe szczeble rozwoju.

To jedna strona medalu, dotycząca ludzi t. zw. życiowo „uprzywilejowanych“, o których t. zw. „upośledzeni“ sądzą, iż mogliby oni (dla wszystkich i... za wszystkich działać)



„wszystko“ — gdyby tylko zechcieli; niestety jednak nie chcą!...

Okropne to przeświadczenie, właściwe oczywiście i nade-wszystko środowiskom nieucywilizowanym, zabarwia od-wrotną stronę medalu — odzwierciadlającą potworną w swem nienasyceciu życiowem „fantazję“ pożądliwości ze strony „upośledzonych“...

Znane przysłowie francuskie głosi: *Si jeunesse savait... si vieillesse pouvait!* Można by je tu zamienić na powiedzenie: O, gdybyż „ubogi“.. wiedział, a „bogaty“... mógł!...

Tymczasem — w pośępnie zaczarowanej krainie nieporo-zumień psychicznych, jaką jest życie zbiorowe ludzkości, zwłaszcza barbarzyńskiej — jeden z kapitalnych a władnych jego paradoksów sprawia, że... „uprzywilejowany“ *right man on the right place* — musi — im bardziej jest sobą — krępować się we wszystkim i na każdym kroku, podczas gdy takież klasyczny, t. j. „upośledzony“, partner jego zprzeciwka jest wolny jak ptak...

„Wolny“ w takim czy innem niweczeniu doszczętnem te-go, co (dziś już pozornie tylko) posiada... tamten...

Obserwując... od strony podszewki życie zbiorowe czasów naszych, odnosi się wręcz wrażenie błędnego koła, w którym, w myśl powiedzenia: *l'appetit vient en mangeant* — dawne, podminowywane zawiścią gromadzką loty niebosiężne od-wiecznych męczenników ideału, jeły przeobrażać się z dnia na dzień w pastwę ponurej żarłoczności mas, które, odwra-cając słowa Mefista, mogłyby powiedzieć o sobie, że są siłą, wprawdzie chcącą (niekiedy) dobra, ale tworzącą (najprze-ważniej) zło...

Główna to bodaj przyczyna niemożności zaspakajania — nawet przez „bogaczów“ najlepszej woli — potrzeb „nędza-rzy“...

Są jednak i przyczyny inne, jak ta np., że t. zw. logika rzeczy, dyktowana przez sens psychiki ludzkiej, stwierdza wyraźnie, iż wszelkie stosunki, łączące nawzajem ludzi po-między sobą, winny być oparte obustronnie na sprawiedli-wości. Jest to prawo — bodaj psychofizyczne<sup>318</sup>, a tymcza-sem krzycząca dziś nagminnie niesprawiedliwość „ubogich“



względem „bogatych“ tem się różni od dawnej „niesprawiedliwości“ odwrotnej, że tamta płynęła, mimo hamulców moralnych, z niedoskonałości natury ludzkiej; ta zaś — z zasady, która niedoskonałość tę, spotęgowaną przez masę, uczyniła obowiązującym wszystkich prawem życia.

Prawa i obowiązki chrystjanizmu wznoszą się ponad wszystkim — trzeba jednak przyznać, że przeszkód równie olbrzymich, jak dzisiejsze, od czasów Konstantyna Wielkiego nie rzucano mu nigdy jeszcze pod nogi.

A nie najmniejszą z nich, acz pozornie drobną w zestawieniu z innemi, jest i okoliczność — wobec liczebności mas nieunikniona — reglamentacji mechanicznej naczelnego z wyrazów życiowych chrystjanizmu — miłosierdzia, zamienionego na bezdusznie natrętną śrubę podatkową z jednej a odpowiadający temu zestrój jego żerców z drugiej strony, co oczywiście rolę jego moralną wywraca na nice.

Trudno też bodaj o przykład bardziej jaskrawy i wymowny ujemnego oddziaływania wielości ludzi na jakość człowieka.

A jednak, nietylko o naszych czasach minionych dałoby się powiedzieć, że — mimo wszystko, nie ustają w Polsce starania, iżby: „Ubogich, po ulicach leżących, zbierano, okrywano... żeby *scandalum in Christianitate* nie było <sup>323</sup>...”

Niepodobna i dziś bowiem nie dostrzegać w życiu miłosierdzia, acz jego wypowiedanie się i formy są uderzająco w stosunku do przeszłości trudniejsze i zmienione. Sprawia to, że i najgłębszy duchowo, najdoskonalszy moralnie człowiek dzisiejszy, rzucony przez myśl własną w służbę ideału naukowego, artystycznego czy społecznego — może w zapale swoim zlać się „bez reszty“ z pochłaniającym go światem zagadnień i wśród kręgów zawrotnych takiego panteizmu nie pomyśleć o miłosierdziu zgoła...

Gdyby atoli życie tego człowieka było dość długie, iżby pozwolić mu zastanowić się nad sobą samym i własnym stosunkiem swym do bytu: by wyrwanemu na moment ze sfery analiz, dać mu wypowiedzieć się w najgłębszej syntezie własnej jego jaźni — trudno przypuścić, aby mogła ona nie być teistyczną.



Czyż zaś teizm cywilizowany może dziś zasadniczo, a gdziekolwiekby, nie być chrześcijańskim — i to bodaj nietylko tam, gdzie — jak powiada Carlyle — „nie radość, lecz cierpienia i śmierć nęcą prawdziwie dostojne serca?!...“

Zresztą, cóż to jest właściwie, w cywilizowanym rozumieniu życiowo-historycznym, chrześcijaństwo?

Otóż, prof. Tadeusz Zieliński ma nietylko zasługę, lecz — co więcej! — i słuszność niewątpliwą, zarówno naukową w rozumieniu rzeczowym, jak psychologiczną, ustalając i podkreślając dwa kardynalne dla samopoczucia, godnego cywilizacji europejskiej, fakty historyczne.

Pierwszem z tych ustaleń naukowych jest głęboko trafna charakterystyka ducha Grecji starożytnej<sup>324</sup>; drugim — rola tegoż ducha w rozwoju chrześcijaństwa historycznego<sup>325</sup>.

Razem wzięte, oba te ujęcia składają się na jedno wielkie *bis in idem* — tembardziej przekonujące, że wspierają się one na wiązaniach tożsamyh w psycho-historycznym wnętrzu swoim.

Oto, duch Hellady, rozważany na tle innych cywilizacji starożytnych, które — wszystkie — wynaturzyły tak lub owak ideał i wzór człowieka naturalnego — jaśniej tu przed nami, jako jeden — normalny, nieuszczerbiony a zwarty i przeto po wsze czasy w świecie zwycięski — arcytyp pełni bio-psychicznej gatunku wszechludzkiego. Rozwój zaś historyczny, t. j. eurazyjski, a nadewszystko europejski chrześcijaństwa, wyrosły w ramach i na podłożu państwa rzymskiego, oświeconego słońcem Hellady — więcej oczywiście w ujęciu omawianem ze słońcem tem mieć musi wspólnego życiowo, aniżeli z Judeą i odwieczną, prasemicką jej ideologją.

Dlatego to — zdaniem Prof. T. Zielińskiego — „Starym Testamentem“, a raczej może — dodajmy — wrotami dziejowemi pojętego, jak wyżej, chrześcijaństwa, była raczej Hellada, niż Judea.

Że było — a raczej, że musiało tak być istotnie, odczuwaliliśmy to wszyscy oddawna. Ba! Wszak prawiliśmy wyrażnie od czasów niepamiętnych o płonce chrystjanizmu, za-



szczepionej na spuściźnie Grecji i Rzymu, jako o zarodki ducha cywilizacji naszej. To też, z wielu względów, prawdy Prof. Zielińskiego są dla nas pewnego rodzaju... truizmem. Niewątpliwie. Wzmacnia to jednak tylko, a oczywiście, ich podstawy, ścieląc nadto uzasadnionym, światłym optymizmem i wskazując nam — drogi, wiodące najprościej, a najpewniej, ku naszemu, rzetelnie cywilizacyjnemu, odrodzeniu.

Chrześcijaństwo — duch, przenikający jego idee w życie człowieka i jego dziejach — to najniewątpliwiej wyraz życiowo najgłębszy ze znanych ludzkości postaci prawdy istnienia, poszukiwanej przez nią od prawnika, w zmaganiach się tytanicznych z przeszkodami, stawianymi jej przez nadmierną przyziemność w drodze ku uduchowieniu...

Nie też dziwnego zaprawdę, że życiową próbą istotną chrześcijaństwa — rdzennym jego wykładnikiem — jest siła ducha, cicha zazwyczaj w swej postaci typowej, lecz zgoła nie ustępująca psychologicznie tej, co wieździe na szczyty najwyższe bohaterstwa historycznego.

Najoczywiście tedy nie treść rzeczy, niedostępna nigdy i nigdzie dla mas, lecz jej pozory, urabiające zawsze i wszędzie opinie tychże mas o rzeczach najdoskonalszych nawet i najdonioślejszych, sprawiły, że — zwłaszcza w okresach upadku kultury religijnej — chrześcijaństwo, mające tyle bohaterstwa w swych dziejach, jęło uchodzić w świecie dość powszechnie za... słabość.

Przyczynia się bezwątpienia do rozpowszechnienia sądów tak opacznych, w pierwszym bodaj rzędzie poruszona wyżej okoliczność, że nowożytna — wskutek szalejącego liczebnością swoją nad światem, przerostu mas ubogich — mechanizacja i biurokratyzacja osi życiowej chrześcijaństwa, skupionej dziś w akcji miłosierdzia publicznego, zakrawa nieraz w sposób bijący w oczy, na zawodową — *sub titulo misericordiae* — hodowlę i wchów niedołęstwa, plugastwa, wyzysku i egoizmów najbardziej brutalnych.

Sytuację pogarsza nadto wzgląd, że aż nazbyt często owi właśnie „ludzie potrzebujący“, im mniej uczuć chrześcijań-



skich żywią sami — tembardziej czują się pokrzywdzeni ich brakiem względem siebie...

A przecież niewolno zapominać, że chrystjanizm — obok glorii przenajwyższej poezji świata, górującej w nim ponad tem wszystkim, co nią nie jest — posiada w swej głębi silne, ba! nieublagane akcenty życiowe, bez których związek jego z t. zw. rzeczywistością bytu nie byłby wogóle możliwym.

Zważmy tedy, czy indolencja wspomniana harmonizuje z duchem i powagą męstwa, bijącego ze słów: *...godzien jest robotnik zapłaty swojej*<sup>326</sup>; *zawsze ubogich macie z sobą, ale mnie nie zawsze*<sup>327</sup>...; *oddawajcie cesarzowi, co jest cesarskiego, a co jest Boskiego — Bogu*<sup>328</sup>...



## NA DROGACH ŻYCIA.

Na (niedyskretnie) pytanie, co stanowi nadewszystko więź życiową w bytowaniu zbiorowem społeczeństw ludzkich, możliwie świadomych wspólności wewnętrznej swych odruchów pozytywnych w kierunku dającego się jakoś określić (*ex post!*), mniej lub bardziej jasnego „celu“, czyli też — negatywnych, jak np. dyktowanego odrazą lub strachem, odżegnywania się ludzi od idei, a zwłaszcza czynów, podejmowanych przez ruchliwych ich współbraci... Na pytanie to odpowiedź nie byłaby może zbyt trudną...

Zoologicznie, powszechny odruch samozachowawczy, wyrażający się ochronnie w pomruku: to nie ja, to — ty! — wspólny zarówno dzieciom, jak dorosłym, nie wyłączając i większości starców, toć to nie cecha wyjątków, lecz ogółu ludzkiego, skorego bardziej do naśladowania Piłata, aniżeli do ochrony uciśnionych.

Przebaczenie, miłosierdzie czy litość rzadsze są, jak wiadomo, niż obojętność, a nawet niechęć złośliwa wobec cierpień cudzych — jakgdyby ujemne te uczucia zapewniały skuteczniej niż dodatnie, spokój powszechny, a więc i spokój zoilów.

Świat, przez ironję zwany chrześcijańskim, zaludniają o wiele gęściej podpatrywacze tych, co się (bodajby na przeszkodach... sztucznych) „potknęli“, „potkną“, czy: oto właśnie „potykają“ się ku stokrotnej ucieście moralizatorów-faryzeuszów — aniżeli przez „niepotykających“ się zgoła, zwłaszcza zaś przez tych, coby „potykających“ się brali w pieczę swą, naprawę, lub obronę.



A tymczasem, nie potyka się ten tylko, co nie chodzi: chodzi zaś człowiek niezawsze i nie wyłącznie dla samego siebie.

I niedość na tem: Z „chodu“ — z ruchu — z życia naszego płynie to, że nie wszyscy już jesteśmy wprost a wyłącznie z bestji rodem, wraz z tem zaś płynie i świadomość faktu, że tryumfujący w dziejach stopniowo wysiłek człowieczeństwa, nie jest zaprawdę manną, spadłą z nieba, lecz przenajcenniejszą, a jakże ciężką, choć dyktowaną przez przeznaczenie, zdobyczą wielorakich a wielokrotnych upadków naszych i wzlotów!

Wśród bałamutnych i częściej może „złych“, aniżeli „dobrych“ dążeń naszych, przeznaczeniu temu podlegamy wszyscy, a dlatego tylko, że nie pojmujemy go należycie, bywa na świecie tak źle, tak okropnie nawet niekiedy...

Człowieczeństwo nasze nie rozwija się również, lecz jakby słabnie nieraz dlatego, że piastujemy je, jako wewnętrzne tworzywo nasze raczej potencjonalnie, niż realnie, wskutek czego — w warunkach nieodpowiednich — wyrabia się ono i ćwiczy w życiu większości ludzi nader opornie i nierównomiernie.

A przytem jeszcze jedno: Oto, na posiew, ochronę i rozwój objawów człowieczeństwa, czy braków jego w życiu, oddziaływa najsilniej bodaj sprawiedliwa<sup>299</sup>, tudzież niesprawiedliwa ich — w danem środowisku — ocena. Ta zaś nadewszystko zawisła od dobrej czy złej woli: od okoliczności, kto ocenę tę feruje z wyroku losów: *advocatus angeli*, czyli też *advocatus diaboli*...

*Salvo iure* Łaski Bożej — moment to, w rozumieniu życiowem, zgoła przypadkowy, a jednak, w złożeniu dla ko-goś niekorzystnym, jakże okrutnie, jakże nie po chrześcijańsku a skwapliwie, zwykli korzystać z tego — inni!

Wobec praw, rządzących *sub specie aeternitatis* arbitralnie psychiką naszą, „skazaną“ konieckońców na uwielbienie dobra, możnaby tu pod adresem drugiego z „advokatów“ pomienionych skierować pytanie: *Cui bono*?

On zaś odpowiedziałby może słowami Mefista, że jest częstką tej siły, co zawsze zła pożąda, a zawsze dobro tworzy...



Zdaniem kardynała J. H. Newmana<sup>329</sup>, tylko nieszczęściem, utajonem w samym początku istnienia ludzkości można wytłumaczyć sobie ponurą odwieczność i siłę zła człowieka. Ponieważ jednak niepodobna pomawiać tego myśliciela i słynnego moralisty, że wołałby, aby człowiek przestał być sobą, niechaj wolno będzie posępne jego zdanie zaopatrzyć w uwagę następującą:

Większy (pozornie!) zasób dobra, dostrzegany przez nas (pod wpływem rozgoryczenia chwilowego) w naturze całej, nie wyłączając świata zwierzęcego, niż w gatunku ludzkim, płynie niewątpliwie z takich oto przesłanek: Po pierwsze: nasza, wynikająca z poczucia równowagi i harmonijnego spokoju, koncepcja dobra, bliższą jest w rozumieniu życiowem, a zasadniczo, stanu wegetacji, właściwego bardziej (w oczach naszych) przyrodzie całej, aniżeli człowiekowi w jego zmaganiach się z życiem. Powtóre zaś człowiek w bycie swym i dziejach, przepełnionych wielorakim ruchem swoistym, — sam jeden tylko (jak mniemamy) z owego stanu spokoju w świecie całym się wyłamał.

Czynnikiem (namacalnym) potężnego tego zjawiska jest — jak wiadomo — siedziba intelektu naszego — mózg ludzki: nowotwór niezaprzeczony w dziejach znanej nam (względnie) przyrody — źródło „nieszczęścia“, opłakiwanego przez kardynała J. H. Newmana, póki — drogą uduchowienia się człowieka — nie stanie się ono wrotami raju i na ziemi.

*Ale... teraz królestwo moje nie jest stąd*<sup>330</sup>...

Tymczasem — jakkolwiek „szacunek dla samego siebie jest po religii wędzidłem najsilniejszym na wszelkie zło”<sup>331</sup> — to jednak „szacunek“ taki, uprawiany egotycznie w stopniu, przewyższającym nieraz wszystko inne — to bodaj (w pewnych okolicznościach) rozpętanie w człowieku (o typie nawet dodatnim) skłonności ujemnych.

Arbitrem nieomylnym umiaru byłby tu Bóg, gdyby Go człowiek — zwłaszcza w chwilach niezliczonych osłabień



swych i upadków — nie dostrzegał bardziej w sobie samym, niż ponad sobą...



Dostępne nam dzieje zarówno natury jak ludzkości — to jakby cienie bytu, których osad, narastający i komplikujący się w kolei pokoleń, wpływa na dalszy i coraz to dalszy bieg życia samego, nie mniej może, niż ślepy jego motor, który — podobnie jak duch — wydaje nam się zgoła niezmiennym. Natomiast forma bytu, będąca dla nas syntezą zmysłową rzeczonych osadów i motoru, miotaną wciąż na tło życia — ba! stanowiącą je właściwie w percepcji naszej — jest nieustannie zmienną.

Tak przynajmniej przedstawia się nam zarówno jedna z poruszonych tu kategorii zjawisk, jak i — druga...

Czyżby dlatego jedynie, że ich gruntowniej nie znamy? Że zdolni jesteśmy conajwyżej dostrzegać (i to nie sięgając wgłąb rzeczy!) jak się coś (zewnątrznie) staje, gdy to, co i przez co się dzieje — zdaje się osłaniać przed wzrokiem naszym (jak zasadniczo wnętrza wewnątrz wszelakich!) nieprzenikniona tajemnica?...

Rzucając ją na młyn metafizyki — wiedzy, czy raczej może niewiedzy o podstawach bytu — czynimy to tylko, na co nas stać, t. j. kształtujemy na modłę i zabarwiamy na własny kolor nasz to, czego zasadniczo ani znać ani wiedzieć nie możemy...

Zupełnie — ba! dosłownie jak dzieci — i to, w toku wieków niezliczonych — niemniej wobec mistrza-przeznaczenia niepoprawnie, niż one. Wszelako — z tą pewnością zupełną, że — wobec otaczającej nas Nieskończoności — niepoprawność nasza ludzka będzie również i nazawsze nieskończoną, a postęp nasz nie sięgnie nigdy z przyrodzonego nam nurtu, któremu imię: „jak“ — dna zagadek, jaśniejących poznaniem tego, „co“ i „przez co“ się staje...

Zadowolić musimy się tu kontemplacją doznań naszych, podszeptującą nam, że najwyższy stan nasz psychiczny może jednak osiągnąć spokojne chłonięcie wszechrzeczy nie-



tylko dostrzegalnych, ale i wyczuwalnych — z góry... Że — dalej — stan (przeciętny a mierny) zadowolenia naszego bywa wieńczony przez zdolność naszą psychiczną radowania się nietyle całością otaczających nas rzeczy i spraw, ile każdą z nich oddzielnie. Jakby dlatego, że większe, bardziej bezmierne ich zespoły, przygniatałyby i dręczyły człowieka...

I znowu — jak wszędzie — teza i antyteza, wyżyny i niziny bytu, odrywanie się od stworzenia i brodzenie w niem: szczęście i nieszczęście, wolność i ograniczenie — duch i materia...

A w gruncie rzeczy: wielka i mała: *skala!*

Wiadomo również, że pierwsza z nich jest udziałem typowym jednostek ludzkich, druga — mas.

Masy bowiem li-tylko w krótkich momentach upojenia, a jednostki ludzkie i poza niem niekiedy, nadewszystko zaś i częściej i trwalej niż one, zdolne są przemawiać głosem Boga.

Wszak cechą masy, a zwłaszcza typowo syntetycznego jej wykładnika: tłumy<sup>332</sup>, — nie są właściwości mędrców. Wręcz przeciwnie: masę charakteryzuje, jak wiadomo, pycha<sup>333</sup>, megalomanja, złośliwa nadwrażliwość swej pseudo-godności, póki jej siła jakaś nie podbije, zmuszając ją skakać, jak na komendę, przez obręcz egzaltacji — dobrze jeszcze, jeśli sentymentalnej. Czyż jest ktoś, co by nie zauważył, jak protekcyjnie — nb. bez żadnej po temu racji logicznej — wita np. gromada widzów (ze sfer wszelakich!) nieznanego jej jeszcze „człowieka publicznego“, co poważył się stawiać przed jej majestatem, pierwsze swe kroki? Zaprawdę, niepodobna nie dostrzec wtedy wyraźnie, jak dalece, jak wyłącznie niemal potęgują się w gromadzie nie zalety, lecz ułomności człowieka...<sup>333b</sup>

A skądże to — w rozumieniu psychologicznem — płynie?

Oto, czupurny gromadowiec — zdolny narzucić nastrój swój otoczeniu: nicość indywidualna, skłonna jednak przy okazji zawsze do odegrania (niby pod przymusem, a w głębi duszy na rachunek... Napoleonów) roli bohatera — wciela



się, przy lada sposobności, w stosunku do swej ofiary, w „majestat“ masy i... dalejże: z góry po nieboraku!

„Majestat“ ów — blekot liczby, drapującej się w glorię niezasłużoną jakości — stanowi najcięższą bodaj w życiu zbiorowem, póki rzetelny indywidualista pędzić je jeszcze musi — udrękę jego i niebezpieczeństwo moralne... Niebezpieczeństwo tem większe, iż błędnem jest mniemanie, jakoby mędrzec, sięgający do głębi zjawisk, trafiał sprawniej do masy słuchaczy, niż podobny im lekkoduch, a cóż dopiero, gdy uwzględnimy tu zasadniczą siłę sugestji, lub przypomnimy sobie powiedzenie klasyczne o kropli, żłobiącej kamień nie siłą, lecz częstotliwością swych uderzeń!

A wszystko to nabiera wymowy tem głębszej wobec faktu psychologicznego, że gromadowiec nie szafuje światem swym wewnętrznym nazewnątrz tak szczerze, a niekiedy bodaj nieopatrznie, jak indywidualista.

Jakby w poczuciu niedojrzałości pestki swego arcyskromnego „ja“, gromadowiec zwykł strzedz jej, jak oka w głowie, przed otoczeniem, podczas gdy indywidualista zwykł miotać (dojrzałą) „pestkę“ swoją w otaczającą go glebę — ani bacząc na zagłuszające ją ciernie i glazy...

Przechodząc do przykładów mniej złożonych, możnaby tu bodaj powiedzieć, że „udana“ zabawa towarzyska — to przyjemność największa ogłuszonego gromadzkością człowieka, podczas gdy zupełne, „dzwoniące ciszą“ oderwanie się od świata, stanowi szczytną rozkosz typową indywidualisty.

I mogłoby ono stać się dla niego czemś wręcz wymarzonem, gdyby nie pewna okoliczność, wysoce znamienna.

Oto, typowy gromadowiec zwykł mijać wrogość swych bliźnich względem siebie — z beztrąską, bo na zawołanie może on oprzeć się o innych, gdy natomiast — początkującego zwłaszcza indywidualistę-samotnika byle nieprzyjaźń — jak ziarno grochu królowną z bajki Andersena — zdolna jest wytrącić z kolei życiowych bez trudu.

Boć nic bardziej nie zraża ludzi do człowieka — nic nie rozjusza silniej typowej psyche gromadzkiej przeciw psy-



chice indywidualisty, jak własna, osobista jego siła wewnętrzna, darząca go samowystarczalnością.

Ludzki instynkt stadny zdaje się bowiem podszeptywać swym adherentom, że ta ostatnia to wyraz wrogiej, bijącej w rdzeń i sens gromadzkości samej, siły poza-społecznej, szydzącej w gruncie rzeczy z przedstawiciela gatunku *homo sapiens*, zmuszonego przez słabość własną do salwowania człowieczych swych pozorów przy pomocy liczby.

A trzeba tu dodać, że — podobnie jak „delikatnym jest ten, co cudze niedelikatności znosi”<sup>334</sup>, tak antypatycznym dla otoczenia jest ktoś, co zasadniczo wzbrania ludziom „brać się na plewy”.

Ponieważ zaś „prawdą”<sup>335</sup> jest dla człowieka — zwłaszcza przeciętnego — to nadewszystko co mu jest potrzebne, a ściślej mówiąc: co mu dogadza, przeto zadrażnienie życiowe „prawdy” takiej przez oponenta, budzi w będącym „innego zdania” partnerze, niechęć, zazdrość, zawiść<sup>336</sup>, oraz inne — *crescendo* — uczucia ujemne.

Cóż dopiero, gdy zadrażnieniu towarzyszy argument logiczny, a zwłaszcza życiowo namacalny ze strony przeciwnika!

Wtedy bywa on znienawidzony tembardziej, że zpoza ujemnych względów niego uczuć, szczerzy niekiedy już zęby sam upiór nad upiory — rodzic wszechgrzechu: strach<sup>172</sup>!

Czyż można dziwić się wobec tego, że z punktu widzenia psychologicznego wybitność rzetelną człowieka mierzyć można najtrafniej skalą uczuć ujemnych, jakie budzi on wśród swych (a w miarę roli jego życiowej, i dalszych) współobywateli?

Izaliż to nie psyche ludzka *in persona*, lecz Macchiavelli był źródłem (!!)

 „zgorszenia”, kiedy pouczał „Księcia”, że dobrze byłoby wprowadzić, by go kochano — lecz, zważywszy to i owo, praktyczniej będzie, by go się bano??...

*Zaprawdę mam powiadam, iż żaden Prorok nie jest przyjemny w ojczyźnie swojej*<sup>337</sup>...

To też obie, omawiane tu siły — tak potężnie przeciwstawiające się sobie nawzajem — potrafią pogodzić się z sobą ostatecznie a właściwie z istnieniem swoim, jeśli nie



w życiu samem, to na kartach historycznej jego syntezy, dopiero w swej koncepcji Boga, wyznawanego przez oba bieguny oceanu ludzkości: jednostkę i masę człowieczą.

Że zaś przyczyny najistotniejsze zjawisk tkwią zawsze w ich głębi, przeto i to, o którym mowa, znajduje wymowną przesłankę swoją w nurtach wszechistnienia.

Wszak każdy „świat“ — wszelkie, wyłaniające się przed wzrokiem naszym z mgławicy słońce — toć to nic innego, jak dana w oceanie bytu „komórka“ samowystarczalności, harmonizująca względnie z innemi i (podobnie) przeciwstawiająca się innym<sup>388</sup>.

Jakby analogją tych potęg kosmicznych w świecie ludzkim, jest wyłaniająca się z masy jednostka z jaśniejącą na czołe mocą, której imię „samowystarczalność“ — względna zresztą, jak wszystko, co wiąże się z bytem.

W życiu może ona — zależnie od predyspozycji jej wyrażiciela, oraz od warunków, w jakich przychodzi mu działać — rozwinąć się w znamiona t. zw. „wielkości“, czy t. zw. „zbrodni“, a o tem, że stała się pierwszą, lub drugą — zdecydowanie bezapelacyjnie unormowana (względnie) opinja historii, t. j. — w epigonach swoich — najprzeważniej taż sama masa, z której dana jednostka się wyłoniła.

Trwałość wszelakich zjawisk natury, oraz ich zanik — „wielkość“ ich bytu, czy „nicość“ (vide: „zbrodnia“!) ich niebytu — zawisły zawsze od danego stosunku sił, wzajemnie na siebie działających.

Razem wzięwszy, zamiast mówić: z Natury wyłonił się człowiek — możnaby powiedzieć: z Natury wyłoniła się samowystarczalność moralna gatunku ludzkiego: zarówno w chwili, kiedy zrodził się pierwszy (względnie) jego przedstawiciel, jak pierwsza (niemniej względnie) jednostka ludzka, co stanęła poza stadem. Jeżeli bowiem istota, t. j. punkt ciężkości gromadowca, powstając w łonie masy, opada ostatecznie na nie z powrotem, to takież punkt indywidualisty typowego, spada kędyś poza nie: owemu bowiem łonu, przypada konieckocńców li-tylko produkt uboczny jednostki klasycznej. Co zaś do zwróconego również i do tej ostatniej powiedzenia: „z prochu-ś powstał — w proch się obrócisz“ —



to może jednak wolno byłoby jej niekiedy odszepnąć na to: *non omnis moriar!*

W związku nieuniknionym atoli z dumnym tem wyznaniem, miał jednak słuszność życiową ów myśliciel, co powiedział, że geniuszem nie jest człowiek, który się nim urodził, lecz ten, którego za geniusza uznano.

Jak wszystko tedy, tak i życie ludzkości rządzi się prawdą swoją, odpowiadającą własnej życia tego potrzebie <sup>335</sup>.

\*

Masa to — jak wiadomo <sup>332</sup> — nietylko liczba ludzi, czy suma poszczególnych ich pojęć, lub przekonań: To nadewszystko wyraz specyficzny zestroju zbiorowiska, tworzącego *sui generis* blok psychiczny, zcementowany sugestją swoistą.

Sugestia ta, t. j. wewnętrzna — wzajemnie przez członków masy z samych siebie snuta i na wspólny ich użytek urabiająca się — więź psychiczna, podnosi masę do potęgi, jakiej życiowo i do gruntu nigdy, a historycznie nader wyjątkowo tylko zdolna jest sprostać „jednostka wielka“, t. j. (maksymalnie, bo nie bezwarunkowo) od sugestji pomienionej wolna, a w zasadzie szczytniej uduchowiona niż inne.

Zwykliśmy nazywać człowieka takiego, wsławionego w sferze spraw moralnych, świętym (t. j. mocnym), a życiowych — genialnym (t. j. płodnym). Mocny zaś i płodny — czyż to w gruncie rzeczy nie jedno?

Atoli gromadzkość to gleba, już od ery prymitywów praludzkich życiowo zwarta, gdy indywidualizmy człowiecze to wciąż jeszcze naloty, miotane na jej powierzchni wichrem żywiołu *hominis sapientis*.

Pierwsza — to jakby przeszłość „przyrodzona“, bo skupiona już w sobie jak skała; drugie — to, mimo ewolucji, acz niebylejakiej, jakby (w zestawieniu z pierwszą) poczynająca się dopiero *sub specie* okresów niezmierzonych przyszłość rozwoju...

Mimo swej młodości — w niebo spogląda jednak najgłębiej nie pierwsza, lecz druga.

Wszelako zasadniczo jest to bodaj wynik nie jakowychś



różnic psychicznych, zachodzących między pomienionymi grupami, lecz doskonalszej gatunkowo sprawności grupy drugiej.

Gdy bowiem, oceniając jedną i drugą, przyjmiemy jako punkt wyjścia różnice życiowe, zachodzące między nimi, to — jakby oponując nam w imię jedności rodzaju ludzkiego — uderzą nas nadewszystko ich analogie, jeżeli nie wręcz oczywiste a zasadnicze tożsamości psychologiczne.

Tak dalece, że najbardziej nawet typowy gromadowiec, współżyjący jaknajbliższej i jaknajistotniej ze swem otoczeniem, na podłożu bezliku cech i spraw z niem wspólnych, niosących jego zdaniem zgoła nieosiągalny inaczej pożytek, obu stronom — potrafi izolować się automatycznie, jak prawy „odynieć“ od otoczenia swego tam, gdzie — bez względu na przyczyny — podejrzewa otoczenie to o zachłanne względem siebie (t. j. swych minimalnych: „dobrych“ czy „złych“ instynktów indywidualistycznych) zamysły — zarówno materialne (np. u prostaków: kradzież) jak moralne (np. tamże: plotki, obmowy).

Tu i tam przeto — wszędzie i bez wyjątku — utylitaryzm „osobisty“ czy „ideowy“ jest osią omawianych zjawisk: gruby w świecie „prymitywów“, a coraz subtelniej maskowany „na wyżynach“ — póki duch, pociągający ku sobie nie masę, lecz człowieka, maską nie pogardzi.

„Świat“ jednak, a choćby tylko wieści, spływające z niego falą na nas, zdolne są rozwijać nas wielostronnie w obu kierunkach: „dobrym“ i „złym“.

Jest to jakby proces powszechnej odśrodkowości psychicznej ludzkiej, z którym klóci się także dośrodkowość każdego z nas.

A procesy te — jakby „wychowu“ i „wchowu“ — zaostrejają się w swej antynomji wzajemnej tam nadewszystko, gdzie brak między nimi równowagi.

Brak taki bowiem, rodzący przeważnie u ludzi danego środowiska przerost wpływów rodzimych nad wpływami świata, wiedzie do ich obniżenia się w kierunku (zewnątrznym) „kulturalnym“; brak odwrotny natomiast grozi ludzkiej (wewnętrznej) stronie moralnej.



Stąd to bodaj płyną przeważnie gnilne fermenty psychiczne czasów naszych.

Aby je z powszechności usunąć, trzeba by na to wpływów dobra moralnego o sile, znacznie przewyższającej ich przeciętną w życiu (może nietylko dzisiejszym) rolę rzeczywistą albo — wzrostu ogólnego środków materialnych, zdolnych złagodzić pokusy obecne.

Nie jest zaś łatwe podobne przyjście z pomocą odpowiednim nastrojom ludzkim.

Wpływy dobra bowiem winnyby być popierane porywającymi ludzi przykładami życiowymi bohaterstwa moralnego, a naprawa atmosfery komórek społecznych, t. j. rodzin dzisiejszych, byłaby — jako próba oddziaływania na odporniejszą, niż jednostka, grupę ludzką — jeszcze bodaj trudniejszą.

Nadto, u podstaw psycho-rozwojowych rodziny, leży, wyrosły z prakonieczności życiowej, instynkt wewnętrznygo przeciwstawiania się grupy komórki pierwotnej niebezpieczeństwom zewnętrznym, t. j. „światu“, gdy dziś natomiast — wszystko każe członkom rodzin — niemal od ich lat dziecięcych — rozpływać się w owym świecie zewnętrznym, stającym się coraz powszechniej i coraz zupełnie dla człowieka życiem samem.

Dlatego to bodaj—jeśli w przeszłości głębokiej (a i wczoraj jeszcze, między innymi, u górali sycylijskich) wszelka rodzinność groziła wszelkiej obcości — śmiercią, to obecne nasze „zgromadzenia rodzinne zawsze (już) zyskują na domieszkę obcego żywiołu“...<sup>339</sup>.

To jedno. Nadto, wspomniane tu podstawy psycho-rozwojowe instytucji rodziny (patrjarchalnej; innej, na tle dziejów historycznych prawie nie znamy) stały się poprzez liczne wieki nietylko gospodarczo, lecz i historycznie, w pełnym tego słowa rozumieniu kulturalnym i cywilizacyjnym, zarodzią instytucji własności prywatnej, która też poza rodziną, podobnie jak rodzina poza nią — w pełni swej, życiowo i rozwojowo istotnej, do pomyślenia nie jest...

Jakże daleko stąd — do owąd! Od przeświadczenia „moralnego“ (!) *solī ztemi* — rzesz naszych, niekiedy nawet for-



malnie „oświeconych“, że np. zwierzę spełnia jeno swój obowiązek (!) oddając się na pieczyście człowiekowi: jakże daleko do zrozumienia prostego bodaj faktu historycznego, podkreślonego tu przed chwilą!

A przecież (cierpliwa jak przysłowiowy papier) natura prawi wciąż swoje: „Matka pszczoła — woła ona — kierując się zasobami spiżarni ula, składa w nim odpowiednią ilość jajeczek“<sup>340</sup>, a gołąb — wśród wysiadu — strąca z gniazda, nadmiernie złożone w nim jaja<sup>341</sup>...

Zestawiając z wszystkim tem sprawy swoje — człowiek zdaje się jednak nieraz jeszcze czynami swymi wołać: Tem gorzej dla rzeczywistości!! Ale ona — natura — ze spokojem niewzruszonym, jak zawsze tak i nadal, czyni... swoje.

Powstający stąd dla nas, a narastający zewsząd — jak widzimy — węzeł gordyjski rozplątać się nie daje; przetnie go — oczywiście — nie żaden „plan“ ludzki, lecz samo życie.

Możnaby też bodaj, ważąc to, a ponadto przeszłość z teraźniejszością — dojść do wniosku, że różnice, zachodzące między typem indywidualisty a gromadowca w dziedzinie społecznej, polegają na tem głównie, iż pierwszy jaknajprzeważniej bywa dzisiaj już psychicznie w stosunku do tchnień „magji“ przodków swoich „zawodowym“ egotystą-przeniewiercą, gdy drugi — i to poniekąd bez względu na „postępowość“ swą, czy „wsteczność“ zasadnicze — tchnień owych, w myśl ogółu, wyznawcą.

Najczęściej wprawdzie jeden ani drugi dokładniej sami o tem nie wiedzą, wszelako życiowa ich predyspozycja wyraża się tu jako dwa, z gruntu odmienne, punkty wyjścia.

Indywidualista typowy myśli i — co ważniejsza — dąży do tego, by myśl swoją rozwijać, jak jemu się podoba; gromadowiec natomiast — jak myślą (a nadewszystko jak czynią) inni.

To też gromadowiec, nie żyjący nigdy życiem pełnem, ani mogący wyżyć się — nawet w skromnych granicach swej własnej siły potencjonalnej, nadto zaś skazany na byt cząstkowy i przeto — w następstwach swoich — najczęściej pełny fałszu, nie potrafi stawiać się pepinierą wzlotów



wysokich. To też duch człowieczeństwa gdzieindziej obrał sobie siedzibę.

W wyniku — *tabu* indywidualisty, to własna jego „dusza“, a *tabu* gromadowca (o ile i ten zdolny jest wogóle myśleć w sposób podobnie oderwany) — to miniaturka „duszycki“ przeciętnej, „ożywiającej“ ogół.

Skoro też obie te dusze — jedna i druga — muszą uleść w życiu koniecznościom przemożnym — to pierwsza ugina się pod ich naporem, gdy druga pryska, o ile nie zdoła oprzeć się skutecznie o inne.

I tutaj to ujawnia się — bodaj najwydatniej — zanik rozwojowy wpływu masy na indywidualistów typowych, oraz niegasnący, nawet w chwilach ciężkich prób osobistych, majestat jej wobec typowych gromadowców.

Jeżeli też nazywamy naogół wegetacją automatyzm życia, to możnaby powiedzieć, że gdy gromadowiec (będący „sobą“ w jaknajwęższym jedynie łożysku codzienności, ułajonej przed ogółem faktycznie) — tylko wegetuje publicznie, jako żywe odbicie nastrojów swego otoczenia — to indywidualista: żyje publicznie, stwarzając przez to samo wartości nowe.

Że zaś i najpotężniejszy nawet indywidualista może i musi pod naporem sił przemożnych uleść zmiążdżeniu — to świat wie o tem oddawna już, mówiąc: *Nec Hercules contra plures*.

Ważniejsze atoli jest to, że — w świetle poruszonych tu przesłanek psychologicznych — t. zw. „wychowywanie“ silnych charakterów, jako wytwarzanie ich pedagogiczne z materiału ludzkiego, który niezbędnych a rzadkich walorów odpowiednich na świat z sobą nie przyniósł — jest zaprawdę niezasługującą na miano *pia fraus* chimera.

Na strukturę mechanizmu psychicznego masy ludzkiej, a stąd i gromadowców typowych, rzuca światło najjaskrawsze zjawisko t. zw. tłumy<sup>332</sup>.

Wszelako, w ogniu, z którego blask ten pada, spala się i uchodzi uwadze spostrzegacza wiele momentów cennych z dziedziny psychologii nietylko zbiorowej, lecz i jednostkowej, tworzących łącznie ów płomień.



Natomiast, występują w życiu — wśród okoliczności specyficznych a znamiennych, zjawiska mniej może od właściwego „tłumu“, nadewszystko zaś od jego t. zw. „psychozy“ jaskrawe, a będące poniekąd jej odmianami, które dają nam materiałem, dla badań, o jakie tu chodzi, niezwykle cennym.

Głównie bodaj rzuca się tu w oczy sposób powstawania plonów reklamy, a zwłaszcza może geneza życiowa wawrzynów — proces rodzenia się sławy.

Polega on nietyle z pewnością na walorach danych dzieł geniuszu, czy talentu — ile na umiejętnem podaniu ich do t. zw. wiadomości publicznej.

Jest to tedy — podobnie jak reklama — swego rodzaju rozgłos: z tą wszelako różnicą, że nie rozgrywa się nagle — że, rozłożony na dłuższy okres czasu, świeci płomieniem trwalszym, niż słomiany i że — w przeciwstawieniu do reklamy pospolitej i rozgłosu — unika dowcipu, który ludzi emocjonuje wprawdzie na chwilę, lecz najczęściej kosztem trwałości rzeczy, o którą chodzi. Psychologicznie tłumaczy się to jasno, gdy zważymy, że wszelki komizm płynie z łączenia sprzeczności, pochłaniających się nawzajem: odbiera przeto życiowo jedną ręką to, co daje drugą.

A sława efemerydą być nie chce: tedy od śmieszności stroni. Natomiast, wpatrzona w dal czasów i pokoleń, stroi się — jeśli nie chętnie, to zwyczajowo — w koturny, albowiem rodzi się z sugestji wyższości gatunkowej sławionego nad mającymi go sławić — aż do powstania w nich *sui generis* snobizmu, niweczącego wszelkie już wątpliwości na temat racyj danego kultu.

Słusznie też powiada Nietzsche: „Gdy w wychwalaniu jednego, wielu traci szacunek dla siebie — to jest: sława!“

Nie jest to jednak — zwłaszcza w czasach obecnych — najszkodliwszą tego zjawiska stroną: dzisiaj narzuca się tu bowiem — potężniej niż kiedykolwiekbądź — hasło poety: Nie czas żałować róż, kiedy lasy płoną...

Albowiem w chwilach, kiedy świat się wali, ciskając w oczy badaczom rój pytań natarczywych, dotyczących teraźniejszości samej przez się, a cóż dopiero jako wykład-



nika wieków minionych... Gdy świat wzywa — już nie naukowców, lecz ludzi jako ludzi, aby mu powiedzieli, co się z człowieczeństwem ich staje... Kiedy przeciętnie normalna psychika ludzka zdaje się wzlatywać — parta przez bodźce życia — na nieoczekiwane wyżyny, cieszące się powagą niezachwianą, wówczas... liście bobkowe przeszłości, zdają się przesłaniać nieodwołalnie (w imię sugestji zwyczajowej) wszystko to, co jest wspaniałe może i pouczające, lecz... nie dość „sławne“, a wciąż jeszcze — żywe!

Powiedziano: *tout comprendre -- c'est tout pardonner*. To prawda! Wszelako trzebaby trudu psychicznego nielada, iżby człowiek, przez którego miałoby tu zrodzić się „przebaczenie“ — pojął (i to bez pomocy odpowiedniej!) „wszystko“... To też — przy największym nawet wysiłku — pojmie on (i to częściowo tylko) ułomek otaczających go zjawisk. Reszta (niepojętych „całości“) uczyni go ofiarą niewiedzy (= zła). Szczęściem jest i to jednak (jak wszystko co jest): „wszystko“ rozmaite a względne...

Podobnie bowiem jak niema dwu liści jednakich na drzewie, jak fałdziki skóry ludzkiej różnią się pomiędzy sobą, tak też niema i — najpewniej — być nie może dwu tworów, a przeto i ludzi: „dobrych“ czy „złych“ jednakowo.

Zasadą życia, zarówno t. zw. fizycznego, jak psychicznego, jest skrajny (co widoczne jest zwłaszcza w jego superlatywach) indywidualizm stworzeń, nie zaś podobieństwo ich, a tem mniej tożsamość. To tedy, nie zaś przemijająca *sub specie aeternitatis* — równia stada, jest prawem głębinowem człowieka i ludzkości. A w świetle tem, ujawniającem dostępny poznawaniu naszemu stan rzeczy, panujący w świecie — wysuwa się na czoło zasady zjawisk życia, z których każde jest jedynem w swoim rodzaju — poprzed wszystkim innym: egotyzm — jako wyniesiony przez logikę bytu i rozwoju na miejsce naczelne, nakaz natury, płynący poprzez instynkt samozachowawczy stworzeń, z siłą najpotężniejszą.

Wszelako — ze względu na konieczność fizyczną współbytu stworzeń w ramach życia, pomieniony stan rzeczy musi ulegać nieuniknionym kompromisom.

Zasada kompromisu (błędnie — jak widzimy — poczyty-



wana niekiedy za niemoralną<sup>333</sup>!) jest tedy—po egotyźmie — drugą z kolei — nieubłaganą konsekwencją bytu.

Wreszcie — między „egotyzmem“ a „kompromisem“ — waży się wszelka naogół prawda (rzeczywista, t. j. interes kateryczny) życia.

„Prawda“ ta — człón trzeci istnienia realnego — będąca właściwie nie „zasadą“ już, lecz produktem ubocznym elementów życia, nie może z natury rzeczy zmienić rdzennie, a tem mniej unicestwić ani „egotyzmu“ ani „kompromisu“.

W istocie nie jest ona przeto, jak one, „bezw warunkową“, lecz względną.

Jakoż, ta jej „względność“ sprawia, że gdy człowieka nie możemy wyobrazić sobie poza ludzkością — a „dobro“ jego i „zło“ potrafimy ujmować li-tylko jako wyraz stosunku człowieka do innych, podobnych mu, lecz nie tożsamyh z nim częstek ludzkości — niemasz, bo być nie może ludzi „bezwzględnie“ „dobryh“ ani „złych“, t. j. uznanyh za takich jednomyślnie przez ich otoczenie.

Albowiem, „jednomyślność“ bezw warunkowa nie istnieje, a ocena, o którą chodzi, zawisła wyłącznie od rodzaju danego kompromisu: od możliwej w każdym przypadku poszczególnym rozciągłości jego i głębi...

Dlatego „jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził“: dlatego również żadna wspólna dla danej grupy ludzkiej doktryna — najbardziej nawet, jako hasło życia, uznawana czy panująca — nie może, jako wyraz względności zasadniczej — odegrać moralnej roli życiowej bezwzględnie.

Jeżeli tedy — po 2000 lat wysiłków ze strony szczytów człowieczeństwa sam nawet Chrystus — mimo swej oczywiście nadrzędnej, a obiektywnie niezrównanej doskonałości moralnej — może być dziś jeszcze atakowany, w imię (jeżeli już nie z głębi ducha) olbrzymich rzesz ludzkich — to jakże dziwić się innym, pomniejszym zjawiskom analogicznym?! Jakże załamywać ręce wobec niesprawiedliwości, choćby i łamiącej wręcz już prawa natury<sup>333</sup>, z jaką jedni ludzie oceniają innych, grzebiąc postępowaniem takim „dobro“, a krzewiąc „zło“ i naokół siebie i w sobie samych?...



A obok wspomnianych, najdonioślejszych bodaj przeszkód, jakie człowiek, samo chcąc często, stwarza i napotyka na drogach życia — występują w rzędzie ujemnych a nieuniknionych zjawisk natury psychicznej — i pomniejsze...

Należy do nich — nie na ostatniem może miejscu — okoliczność, że np. być „głupim“ między „mądrymi“ — ujdzie, i to bez wielkiego trudu; znacznie gorzej atoli kształtuje się w porządku odwrotnym dola „mądrego“ wśród „głupich“, gdyż ci popełniają głupstwa nietylko na własny swój rachunek.

Dlatego to nadewszystko ciężkim bywa los ludzi t. zw. „niezwykłych“, którzy — z samego bodaj prawa natury — patrzą inaczej i, co ważniejsza, inaczej patrzeć muszą na rzeczy, aniżeli inni.

Nieznane są nam — niestety — koleje, czy choćby próbka kolei jednostek takich wśród zwierząt, których organizacja stadna wygląda na bardzo zmyślną. Jeżeli jednak idzie o wybrańsze życiowo typy ludzkie, to odnosi się wrażenie, że są one — nietylko w środowiskach t. zw. niekulturalnych — przeważnie a doraźnie na rzecz masy marnowane lekkomyślnie, rozrzutnie i bezpłodnie, pod hasłem pojmovanych nader płytko nakazów t. zw. moralnych, bo nie moralnych istotnie. Intencją bowiem tych ostatnich nie mogło być i nie było (choć się tak bezmyślnie nieraz sądzić zwykło!) słuzenie — nietylko już wyłącznie, lecz bodajby wydatnie — słabiźnie, niedołęstwu, czy zwłaszcza uginającemu się pod własnym swym ciężarem, pogrążającemu w otchłań innych, głupstwu życiowemu!

Czyliżby istotnie ludzie wybitni, dzielni, stanowiący nie rdzeń wegetacyjny, lecz rozwojowy życia zbiorowego, mieli zasługiwać na poparcie, pomoc i współdziałanie w stopniu mniejszym, aniżeli dzieci ulicy, z których „coś“ (najczęściej w bujnej wyobraźni „filantropów“!) dopiero powstać może?!

Normalna psychika ludzka nie przestanie być nigdy ostoją zdrowego rozsądku przeciw równie bezmyślnie — czy obłudnie-proletarjackiemu pojmovaniu rzeczy.



Obecnym — realnym w swej grozie nieszczęściom świata i niebezpieczeństwom, urągającym cywilizacji — żadne, najbardziej nawet efektowne w taniej rzewności swojej, zakłamanie, sprostać nie zdoła...

Pelen wyrozumiałości aforyzm chiński: „Nie porównuj swego umysłu z umysłem głupca, lecz z umysłem mędrca“ — byłby tu zbyt łagodnym. Właściwiej przemówi może bliższy nam Montaigne ze swoim: *Tous les maux de ce beau monde viennent de l'ânerie...*

To prawda. Jakże jednak klęsce tej zapobiegać?

Oto np. — jakby podążając za Sokratesem i słynną jego „sztuką akuszeryjną“ (*majeutiké*) „filantropka Jane Adams nie była w rozumieniu zdawkowym „dobroczynną“; kierowała nią zawsze myśl podnoszenia godności ludzkiej, budzenia wartości twórczych w człowieku, który — jak mówiła — „często chwilowo potrzebuje oparcia, ale — gdy mu rozświecić ciemności — pójdzie sam dalej i jeszcze poprowadzi drugich“<sup>342</sup>.

Nie dziwnego! Wszak w świecie ludzkim o wszystkim stanowi człowieczeństwo: tak dalece, że nawet przyrodzona jego antynomia — masa ludzka, jedynie wegetując sama, mimoto owocami człowieczeństwa nadewszystko, t. j. dorobkiem męczeństwa jednostek — żyje, przyczem — wiedzona prawem mimikry — wygląda po człowieczemu, jak paszyt, ubarwiony na podobieństwo pastwy swojej<sup>343</sup>.

Nie przeszkadza to masie — ba! uzdalnia ją nawet do stanowienia praw, płynących z ustrojów demokratycznych, a będących w gruncie rzeczy najbardziej pomysłowym wynalazkiem gromadzkim...

Oto, krępując — możliwie jaknajzupełniej — człowieczeństwo jednostki ludzkiej, będące źródłem twórczym najwyższej moralności gatunku, prawa demokratyczne, poczęte ze sprzecznego z naturą absurdu równości, pozostawiają jednocześnie rozległą swobodę faktyczną zbrodni — zwłaszcza szarej jak chleb powszedni, nagminnej, gromadzkiej, plugawej, rozwojowo bezpłodnej i bezbarwnej, lecz swym posiewem niewiary w dobro zatruwającej świat najgłębiej.

Nietrudno też zaprawdę wywnioskować z karykatural-



nych — poza Anglią i duchem jej praw — obrazów życia czasów naszych, kto paragrafy gromadzkie rodzi i jakie-to — nie na koturnach, lecz realnie — przewodzą im doktryny...

Piękne jest wprowadzić powiedzenie lorda John'a Russell'a: „Kiedy mnie zapytują, czy naród dojrzał do wolności — odpowiadam: a czy istnieje człowiek, który dojrzał do tego, żeby być despotą?“<sup>344</sup> — wszelako piękno to życiowem nie jest. Raczej też powiedziećby tu należało: *Le mieux est l'ennemi du bien...*

Zresztą, zauważono bardzo trafnie, że nawet „Najmądrzejsze prawo jest martwe. Nie może żywymi ludźmi kierować martwe prawo. Żywymi ludźmi może kierować tylko żywy człowiek, prawa tworzący, interpretujący, zmieniający. Dlatego sztuka rządzenia nigdy się nie stanie anachronizmem“<sup>345</sup>.

Uredzonymi mistrzami sztuki tej są, jak wiadomo, indywidualiści, gotowi w potrzebie złożyć w ofierze siebie, lecz broniący do ostatniego tchu podstaw swej niezawisłości, zwłaszcza moralnej.

Okoliczność ta stwarza pozór, że są oni moralnie „gorsi“ — bodaj od najpospolitszego z gromadowców, biorących i dających jakoby wszystko z siebie wszystkim“. Ale nie chodzi tu o dogmatyczne wyniesienie umysłowe czy zwłaszcza moralne, danych typów ponad inne.

Idzie głównie o ich niewspółmierność psychiczną, pochwyconą tak bystro a dowcipnie przed trzema wiekami przez Jonatana Swift'a, zwłaszcza w scenach pobytu Gulliwera w fantastycznej krainie Hyxów.

Nic dziwnego, że w świetle różnic, zachodzących wśród ludzi aż tak daleko, tchnienie najgłębsze, idące ku nam od wszechświata, a poprzez nas i od nas promieniujące ku jego bezmiarom — duch, bytujący poprzez wszystko w nas, a poprzez nas (dla podświadomości i świadomości naszej) w istnieniu wszelakiem, zdaje się odpowiadać po dziś dzień w ludzkim ujęciu intelektualnem najbardziej bodaj idei platońskiej, której wyraz zawiśł w każdym z nas od właściwości naszych indywidualnych.

Kształtujące się w miarę ich zakresu i ich siły w stosun-



ku do świata, człowiecze ujmowanie „ducha“, czyli człowiek sam i własne jego doskonalenie się<sup>346</sup>, zawisło tedy od stopnia i kierunku jego zatapiania się w „duchu“.

Są to sprawy, w rozumieniu intelektualnem, a zwłaszcza precyzji, dostępnej nam w wielu innych dziedzinach poznawania — niewątpliwie mgliste, wszelako nieinaczej przedstawia się nam naogół to wszystko, co chcemy ująć jaknajgłębiej.

To też nie wydaje się nam rzeczą nieuniknioną abdykacja, zwłaszcza przedwczesna, z dociekliwości ludzkiej i zastępowanie jej ucieczką w dziedziny transcendentalne mistycyzmu tam, gdzie inne, bardziej realne drogi poznawania zdają się stać jeszcze przed umysłowością ludzką otworem.

Chrystus — duchowości i sił moralnych człowieka Mistrz po wsze czasy Najwyższy — osiągnął w pełni ideał, o którym mowa, przed 2000 lat, a co nie mniej doniosłe, potrafił wtedy już dać mu w nauce Swej wyraz życiowo zrozumiały, nie tylko dla umysłowości największych, ale i malarzy, w granicach, o które chodzi, t. j. w stosunku do właściwych zdolności poznawczych każdego człowieka normalnego z osobna, oraz wszystkich razem.

Ideał — zarówno dla odczuwania naszego, jak i pojęć naszych podziśdzien i — bodaj — po koniec istnienia naszego, najwyższy, został wyraźnie określony i wyraźnie człowieczeństwu wskazany. Nikt inny na świecie w równym stopniu tego nie dokonał i — najpewniej — nie dokona. Cóż przeto innego mogłoby stać się zbawieniem naszym?

Słusznie też powiada Pascal: *Nous ne connaissons Dieu que par Jésus Crist...*

Mimo to wszystko, czy raczej dlatego właśnie, chrystjanizm, jako wyraz najwyższy kultury moralnej, a przeto i najistotniej cywilizacyjnej, człowieka pełnego — metafizyką nie jest, conajmniej w zasięgu niemniej dalekim, jak życie nasze.

A mistycyzm?

Otóż wydać się może, że kiedy w ogniu walki „ducha“ z „materją“, opary tej ostatniej, stokroć zawsze dla człowieka od duchowych bardziej pochwytnie, zdają się głosić



już w danej chwili ostateczne swe zwycięstwo — występuje wtedy dopiero „racjonalnie“ na plac boju „mistyryzm“, jak-by dla salwowania zachwianej równowagi „ducha“ i „materji“. Realna bowiem rola jego życiowa, nie powinna być może stawać się o włos silniejszą ani słabszą od różnicy owych sił zasadniczych człowieczeństwa, których wyrównania domaga się równowaga danej postaci psychicznej bytu ludzkiego.

Postaci tych jest, oczywiście, nieskończoność: nietylko z powodu liczebności i różnaitości ludzi, oraz wielorakości warunków, wśród jakich przychodzi im żyć i działać, ale również dlatego, że inaczej przedstawia się oczom człowieka świat ze szczytu góry wysokiej, a inaczej — z doliny.

Gdy zaś masy, liczebnie tworzące ludzkość, pojęcia jej, poglądy i dążenia, kształtują je — niemal automatycznie — w ich przeogromnej większości przeciętnej z punktu widzenia dolin — to wodzowie, zmuszeni dbać o daną całość, nie mogą oczywiście pomijać szczytów.

I oto, jak góra kłóci się z doliną, tak ich opinie muszą kłócić się z opinjami „świata“ — niekiedy w stopniu, uniemożliwiającym porozumienie. Że zaś „wina“ jest tu obustronna, bez trudu można to stwierdzić — poza dziejami rewolucji, w których masa pośrednio lub bezpośrednio zastępuje na moment władców minionych — także i na arenie służby publicznej, sprawowanej przez jednostki, a ocenianej przez gromadę.

Psychika ludzka jest tedy zasadniczo — zarówno pod baldachimem tronu, jak w suterrenach bytu, najniewątpliwiej jednak: różnice życiowe, i to niebyłejakie, żłobi w niej wszelako okoliczność, że „władcy“ przesłaniają sobie często fantazją swoją „doliny“, a „ludzie szarzy“ — szczyty istnienia, przyczem egzekutywa masy nie bywa tu tak sprawna, jak odwrotna.

Konsekwencje, jakie z założeń tych przenikają wgląd życia zbiorowego, są niezliczone a wszędobylskie, prowadząc do takich np. wynurzeń, jak: „Pracuj, lecz uznania za swą pracę nie spodziewaj się nigdy“<sup>347</sup>, albo: „Ludzie dzielą się



nie tyle na szczęśliwych i nieszczęśliwych — ile na krzywdzących i krzywdzonych<sup>348</sup>...

W gruncie rzeczy chodzi tu o coś znacznie donioślejszego, niż o chwilowe rozgoryczenie: Idzie ani mniej, ani więcej — o klątwę rozbieżności, zachodzących między hasłami a życiem.

Ludzie — w nadziejach swych — poczytują, jak wiadomo, chętnie pierwsze za drugie: ideały za rzeczywistość, porwy serca za tchnienie, formujące bezpośrednio a wyłącznie pożądany w życiu stan istnienia.

A tymczasem nietylko tak nie jest, lecz — co ważniejsza — być tak nie może, gdyż *ciało pożąda przeciwko duchowi, a duch przeciw ciału*<sup>349</sup>, przyczem płynące stąd, a przeoczane zazwyczaj antynomje, potęguje życiowo na każdym kroku nieodłączne od ludzkich kultur złożonych (t. j. wyższych) zakłamanie, polegające na przeroście konwencjonalnym treści przez formy, a myśli przez puste słowa...

To też, biada zaprawdę, tym, co nie są zdolni odróżniać tu dość lotnie ziarna od plew: fundamentów psychiki człowieka od wyrastających z niej... fiorytur na rabatach życia zbiorowego.

Oceniając rzeczy realnie — komunały są komunałami i niczem więcej, podobnie, jak rękawiczka nie jest ręką, choć kształt jej przypomina. Nie znaczy to jednak, iżby rękawiczki były w zasadzie zbędne. Poprostu — jak to „gracjonalnie“ mawiano u nas niedawno jeszcze temu — *l'essentiel est de mettre chacun à sa place*...

Może też — nieporozumieniom, o jakich tu mowa — winna trochę... zbyt obojętna naogół względem psychologii — humanistyka...

Pośrednim tego dowodem i przykładem są bowiem t. zw. a niezliczone w świecie aforyzmy, nie będące w gruncie rzeczy niczem innym, jak szeregiem „rewelacyjnych“ ocknień i protestów psychiki człowieka przeciw fałszującym wyraz jej w życiu poczynaniom, a zwłaszcza koturnom humanistycznym.

Oto garść typowych powiedzeń takich:



- „Więcej lenistwa tkwi w naszym duchu, niż w ciele“<sup>350</sup>.
- „Myli się ten, kto mniema, że uda mu się pokonać pierwsze wrażenie młodości“<sup>351</sup>.
- „Szczęście jest największym nieprzyjacielem tych, co go używać nie umieją“<sup>352</sup>.
- „Od tego jest cnota, iżby, przegrywając w życiu, wygrywała w nieśmiertelności“<sup>353</sup>.
- „Ludzie słabi w cnocie, bywają w niecnocie zdumiewająco silni, gdy coś zagrozi ich istnieniu“<sup>354</sup>.
- „Jedynym prawdziwym nieszczęściem jest słabość“<sup>354</sup>.
- „Szczerość jest źródłem wszelkiej genialności“<sup>355</sup>.
- „Prawdziwe jest tylko to, co płodne“<sup>356</sup>.
- „O człowieku bez wrogów zgóry można powiedzieć, że jego wartość równa się zeru“<sup>357</sup>.
- „Wielcy ludzie odczuwają prawa świata silniej niż inni. Stąd pochodzi ich siła i odwaga“<sup>358</sup>.
- „Inne są prawa małości a inne wielkości“<sup>359</sup>.
- „Pokój nie jest spontanicznym dziełem Natury. Jest on dobrodziejstwem, które wymaga zobowiązań, poświęceń i męskich wysiłków“<sup>360</sup>.
- „Prawo międzynarodowe staje się w czasie wojny hamulcem, który ledwie że zasługuje na uwagę“<sup>361</sup>.
- „Tak często i tak gorąco zazdrościmy szczęścia ludziom żywym, że chcemy się rehabilitować w pragnieniu szczęścia dla osób fikcyjnych“<sup>362</sup>.
- „Hipokryzja jest to hołd, który występki składa cnotie“<sup>363</sup>.
- „Niewdzięczność jest najdosadniejszą oznaką złej woli i złego serca“<sup>364</sup>.
- „Najważniejszym zadaniem instytucyj politycznych powinno być podtrzymywanie w ludziach instynktu twórczego, siły, żywotności i radości życia“<sup>365</sup>...



Rozbieżności, zachodzące zawsze i wszędzie między punktem ciężkości a pozorami życia, mnożą się, komplikują, i maskują, uprzykrzając ludziom życie nie tylko powszednio i jakgdyby normalnie wśród rozwoju, lecz również i przygodnie, wskutek przeoczeń, których nieraz łatwo może byłoby uniknąć.

W związku z tem ciśnie się na myśl okoliczność, że nie masz w świecie ludzkim — podobnie jak w przyrodzie ca-



iej — zjawisk bezwarunkowych, lecz wszystko było zawsze, jest i będzie względne.

Tymczasem, usiłujemy wprowadzać do zbiorowego życia naszego na każdym niemal kroku nieustępliwą sztywność „pewników“, mającą ułatwiać nam (jakoby w pełni) owo życie, a nawet uskrzydlać (jakoby doskonale!) kulturę jego środowisk, poczem dziwimy się nieustannie, doznając wciąż, i to mimo „najlepszych chęci naszych“, nieoczekiwanych (a jakże nieraz łatwych w gruncie rzeczy do przewidzenia!) zawodów, niepowodzeń, rozczarowań i goryczy...

Jednocześnie też, wiedząc (teoretycznie!) o przepastności natury (t. j. psychiki) ludzkiej, opowiadamy sobie ze zdumieniem, jak to ten czy ów „przyjaciół“ nasz okazał się... przy kieliszku człowiekiem zgoła odmiennym, niż bywał „zazwyczaj“.

Co to znaczy?

*Non multum sed multa.* Znaczy to bowiem, że ów człowiek, a za nim (najpewniej!) i wszyscy inni — „zmieniają się“, albo raczej może, że: posiadając (stale) *in potentia* oblicza różne, a plastyczne, ujawniają (automatycznie, bez złej woli ani perfidji) w danej chwili to z nich, czy tę właśnie ich postać spośród nieskończonego bodaj ich szeregu, jakie odpowiadają danemu... ciśnieniu życia.

Na tem to — o czem zapominamy snadnie — polega żywotność stworzeń...

Prawda, że „znać“ kogoś — znaczy, a przynajmniej winoby oznaczać (w ideale!) możność przewidywania, jakim ów ktoś okaże się w danych okolicznościach, boć *savoir c'est prévoir* <sup>366</sup>... Wszakże, nie jest to sprawą łatwą, a najgłębsza nawet wiedza, poddana egzaminowi przez życie, najczęściej naraża się na... *fiasco*.

Od czegoż jednak — uproszczony aż do granic reguły, łatwy do zaostrenia, samozachowawczy zmysł profilaktyczny przewidywania, któremu imię oględność??

Sfery prostacze, a zwłaszcza lud wieśniaczy, przy całej swej naiwności pozornej, analfabetyzmie i rzekomem niewyrobieniu życiowem, posiada instynkt ów naogół w stopniu sprawności o wiele wyższym, niż t. zw. inteligencja



(zwłaszcza może nasza), co zdaje się solidność życiową, a przeto i gruntowność jej kultury (zakłamania) poważnie kwestjonować.

Darmoby zresztą było usiłować zgłębić jakiegokolwiekbądź zagadnienia ludzkie, a tembardziej psycho-socjalne, w Polsce, nie tykając przytem wiejskiej ludności prostaczej.

Wszak Polska, to (dziś już zwłaszcza) kraj chłopski i dlatego to może psychika nasza obecna: postać jej — jeśli nie niepodzielnie jeszcze w kraju panująca, to zdobywająca sobie już coraz to szybciej w życiu publicznem naszym „rządy dusz“ — odbiegła tak zawrotnie daleko a nagle w ciągu ostatnich kilkunastu lat powojennych wskrzeszonej niepodległości naszej, nietylko od szlachecczyny, wypełniającej dawną polskość, panującą w życiu, ale zarazem i od malowanych tą barwą obrazów historycznych przeszłości naszej minionej<sup>267</sup>.

To też jesteśmy *sui generis* barbarzyńcami, imputując w myśl różnych haseł papierowych — równość, a nawet — jakoby obowiązującą wszystkich moralnie (!) tożsamość pojęć czy to towarzyskich, czy to etycznych, czy państwowych. Najuczciwszy bowiem w swem kółku, a potencjonalnie „uczciwy bezwzględnie“ prostak ustosunkowuje się w gruncie rzeczy do „obowiązujących“ w życiu norm, dyktowanych mu przez inteligencję (panującą) — jako do dopustu przemocy, pod przyobleczeniem w postać domorosłą hasłem wallenrodyzmu: „pełzając jako wąż, łudziłem despoty!“...

Tryby kół życia i rozwoju ludzkości były wprawdzie zawsze i są w zasadzie jednakie, lecz wyraz psychologiczny ich działania — pod względem nastroju swego, natężenia, tempa i rytmu, a wraz z tem i rodzaju sugestji zbiorowej, wywieranej zarówno na kształtowanie się jednostek, jak na masy i ich hierarchizm, bywa w toku dziejów nader zmienny, kształtując rozmaicie te postacie bytu zbiorowego, które historia mianuje duchem czasu, poziomem kultury, czy szczeblem danej ewolucji...

Cóż dziwnego, że rozwój świata, a w nim i nas samych, spotęgowany przez niebywałe w dziejach ciśnienia napięć



życia ludzkości, wywoływanych przez splot długoletni Wielkiej Wojny i jej następstw powszechnych, kazał dziś zbiorowej psychice polskiej, ugorującej przez wieki, przeniknąć do wnętrza pokładów — jeśli nie cywilizacyjnie, to biologicznie najgłębszych — Narodu?

Razem wzięwszy, jest to bodaj w dziejach środowisk historycznych punkt najistotniej żywotny zagadnień, o które tu chodzi, a o których Marszałek Francji, F. Pétain powiedział był tak trafnie, że: „Jedyną wspólnotą rzeczywistą we współczesnym świecie jest Ojczyzna“.

Wszelka „ojczyzna“ wiąże się atoli oddawna już w świecie historycznym integralnie z zagadnieniami państwa i narodu, których wzajemny do siebie stosunek — zarówno genetycznie jak życiowo, zarówno dziejowo jak teoretycznie, zarówno społecznie jak uczuciowo, zarówno na koniec politycznie jak prawnie — kształtuje się nietylko w pojęciach obywateli, ale i w realnej postaci zbiorowego ich bytu, nader rozmaicie.

A tymczasem nie od czegoś innego, jeno od trafnego sprecyzowania odpowiedzi na pytanie, jak mianowicie przedstawia się ów stosunek wzajemny w danym przypadku, zawisło w gruncie rzeczy zdanie sobie sprawy z miejsca, jakie kraj, o który chodzi, zajmuje w świecie, a w dalszym ciągu: czem prawy jego obywatel jest, czy być powinien wśród powszechności ludzkiej...

Otóż, jeśli idzie o Polskę i Polaków, to owo stanowisko nasze było „wczoraj“ inne, aniżeli „dzisiaj“, a sprawa: jakie będzie „jutro“ nasze, zawisła — jak zawsze zresztą i wszędzie — od okoliczności, zależnych od nas i niezależnych...

Pierwsze z okoliczności tych — jak wykazują to powszechnie dzieje ludzkości — ważniejsze są aniżeli drugie; wśród pierwszych zaś wybija się dziś na czoło zagadnień podstawowych, zwłaszcza u nas, kwestja powstania świadomości narodowej, zajmująca obecnie właśnie liczne umysły w Polsce.

Ścisłej mówiąc, powinna by ona być nazwana kwestją powstawania świadomości, o którą chodzi, gdyż proces właściwy daleki jest dziś jeszcze u nas od zamknięcia, a raczej



(jeśli chodzi o ogół żyjących dziś Polaków) — od punktu, jaki wykazuje (pod danym względem) cywilizowany świat historyczny Europy Zachodniej.

Zresztą — podobnie jak życie samo — proces ów nie może być w gruncie rzeczy zamkniętym nigdy i nigdzie. Nieinaczej zaś przedstawia się i sprawa początków omawianego procesu w świecie całym...

Wszak i ludy najbardziej nawet pierwotne zwykły posiadać jakieś poczucie swej odrębności, wyłączające jej nieświadomość.

To też wywody, zwłaszcza „z tezą“ (polityczną!!) na dany temat, poruszające zazwyczaj zagadnienie pierwszeństwa państwa, czy narodu, skazane są zgóry na niepowodzenie, niczem „kwadratura koła“.

Boć — gdy np. idzie o Polskę — niepodobna tu (jak nigdzie zresztą!) czasów prastarych mieszać z nowożytnymi, ani domniemyanych, plemiennych nastrojów pierwotnych ze szczytami historycznej myśli politycznej.

Że państwo (wzorem analogji powszechnych) poprzedziło u nas polskość naszą w rozumieniu motoru psychicznego zbiorowych poczuć i czynów narodowych — o tem wątpić niepodobna.

Dość może byłoby tu zajrzeć do duszy chłopca naszego (zwłaszcza z Kongresówki), w której polskość jest podziśdzień jeszcze najprzeważniej potencjonalną...

Podobnie zresztą, jak i (nietylko u chłopca!) nasza państwowość własna.

Przyczyny tego zjawiska są — w obu bodaj przypadkach — analogiczne. Brak tresury. Oto bowiem naród polski — faktycznie w stosunku do własnego państwa, ale rzekomo tylko w ogólności — wolny w toku swych dziejów od wpływów twardej ręki, jaka Europę Zachodnią jarzmiła cywilizacyjnie w toku wieków poprzez krew i łzy — miał z ręką tą (prawda, że na jednym tylko „odcinku“) do czynienia również, a nie mniej skutecznie. Były to dzieje — historycznie podziśdzień jeszcze nieco zakulisowe, szczepienia nam karności bezwzględnej w stosunku do jurydykcyi w sprawach religijnych, co przecież jaknajoczywiściej, za-



równy w dziedzinie herezji, jak świętokradztwa, nie pozostało w Polsce bez wpływu.

Otóż, na podłożu potencjonalności, która wszędzie w świecie jest (w rozumieniu bio-psychicznym) odwieczną — a nadewszystko pod wpływem państwowości (będącej znowuż wszędzie, w rozumieniu nie tylko teoretycznie genetycznym, syntezą gry życiowej elit społecznych przy udziale zewnętrznego czy wewnętrznego podboju kraju) mnożą się, komplikują i potężniają stopniowo sploty więzi życiowych, zarówno materialnych jak ideowych ludności danego terytorjum, co — razem wzięte — stwarza wreszcie podłoże psychiczne i bodziec poczuć narodowych, oraz odpowiedniej ich „kultury“.

Poszukiwanie daty (zwłaszcza ściślejszej) początku (czy końca) tego rodzaju procesów rozwojowych, toć to oczywisty (nie tylko na tle dziejów naszych!) absurd naukowy, podobnie, jak obejmowanie datami takimi dziejów Polski, choćby tylko dawniejszej.

W przybliżeniu historycznym bowiem możnaby powiedzieć, że Kościół, a raczej kler nasz wydatnie już poczyną stawać się świadomie narodowo polskim na schyłku wieku XIII-go; możnowładztwo świeckie — w wieku XIV-tym; szlachta i miasta (większe, t. j. przedtem „niemieckie“) od połowy XV-go stulecia; chłopci (okolic żywniejszych, Kościuszkowscy) od schyłku XVIII-go wieku; wielko- i małopolscy od początków XIX-go, a wszyscy inni nakoniec, bo daj dopiero od XX-go stulecia...

Gdyby zaś ktoś — opierając się na sporadycznej kazuistyce historycznej — powiedział na to, że sąd powyższy, to pesymizm, — należałoby mu przypomnieć, że odpowiednie hasła polityczne, wyprzedzające faktyczną jedność, a przeto historyczną (i to w rozumieniu dopiero teoretycznym!) pełnię narodową ośrodków cywilizacyjnych Zachodu, jak *Deutsche Einigkeit*, czy *l'Unita Italia* — toć to dopiero wiek XIX!

Razem wzięwszy, a w związku z zagadnieniami, interesującymi nas w książce niniejszej, winniśmy bacznie zdać sobie sprawę z okoliczności, że стоимy dziś u progu nie tyl-



ko drugiego z kolei okresu naszej politycznej niepodległości historycznej, ale i również — co niemniej ważne — zaledwie u progu naszej pełni narodowej, co jest tem donioślejsze, że pełnia ta zbiega się chronologicznie i rozwojowo z brząskami europeizacji Polski, jako całości, przyczem następuje to pod znakiem złowróżbnym „zachodu Europy“...

Ze względu na stosunek liczbowy chłopów, dochodzący u nas (w przybliżeniu) do 75%, możemy a bodaj musimy powiedzieć sobie dzisiaj tem kategoryczniej, że o przyszłości naszej rozstrzygać będzie coraz to wyłącznie nie (dawna) „kultura“, ani „literatura“ czy „sztuka“, ani nawet „historja“ miniona — lecz nadewszystko przeciętna psychika ludzka elementarna o życiowym odcieniu polskim, którą tu właśnie usiłujemy poznawać.

\*

„Nie wchodzi się w duchowe dziedzictwo swych przodków inaczej, jak tylko zdobywając je na nowo“ — powiada Goethe, twierdzący również, że: „geniusz (a więc i „geniusz narodów“!) — to wytrwałość“...

Trudno o trafniejsze obserwacje życia i dziejów: o wysnu-te z nich sprawniej zasady i hasła!

Ponieważ zaś człowiek przeciętny, tworzący liczebnie masę narodu, służy nadewszystko „materji“, aby być, a geniuszem nie jest — przeto zarówno dziedzictwo, jak wytrwałość, o których mówi Goethe, dotyczą istotnie „ducha“, choć nietylko świadomość, lecz najbardziej nawet prymitywne wyczuwanie go przez człowieka, mogą być w danym przypadku nader jeszcze nikłe...

To też wszelkie cywilizacje (boć o nie tu chodzi!) jakie występują w dziejach — to zawsze i wszędzie: *maxima* geniuszu i wysiłku ludzkiego w życiu, podobnie jak towarzyszące cywilizacjom tym koncepcje Boga — to najpotężniejszy ideowo fakt psychologiczny człowieczeństwa<sup>368</sup>, przemawiający głosem „duszy“ gatunku naszego w „ciele“ świata.

Zdobywanie i przyswajanie sobie wartości tych, podobnie



jak wszelakich innych, polega na odpowiednim ćwiczeniu się, inaczej: wyżywianiu się ludzi, t. j. winno być pochłanianem przez właściwe organy potrzeb środowiska, aby być i trwać. W przeciwnym razie grozi obywatelom, i to najbardziej nawet wartościowym, nadmiar niepowodzeń życiowych, stający procesowi (cywilizacyjnemu) o którym tu mowa, na przeszkodzie. Niepowodzenia te paraliżują bowiem, tłumią, a wreszcie czynią zbędną energję ludzką, która, jak wszystko, potrzebuje warunków niezbędnych, aby — jak powiedziano przed chwilą — mógł być i trwać...

A zasada tych spraw, wiążąca się w gruncie rzeczy ze stosunkiem jednostki do masy i odwrotnie, nie pozwala nam zapominać, że obok haseł odmiennych, unoszą się dziś już w atmosferze zbiorowości ludzkich — i to liczniej niż nam się wydaje — przesłanki psychiczne poglądów, że „społeczeństwo, czy też państwo, to nie fetysze: że prawo domagania się ofiar od jednostki, przysługujące społeczeństwu i państwu, opiera się wyłącznie na obowiązku zapewnienia jednostce ludzkiej możności harmonijnego rozwoju“<sup>368</sup>b...

To też niewolno nam dziś chorować na „manję małości“, gdyż — jak twierdzi słusznie jeden z pisarzy naszych<sup>369</sup>: „ludzie tacy dawali niewiele swoim społeczeństwom“...

A synteza doznań ludzkich i wyraz jej w człowieku — to ogrom, nie ustępujący w granicach świadomości naszej potędze świata!

Mimo to — podobnie jak potęga ta składa się z drobin niewidzialnych, brył większych, a wreszcie z nieznanających kresu — tak też i gmach człowieczeństwa dziejowego tworzą cząstki, części i pokłady niezliczone, a nader wielorakie...

Niepodobna ich też wyczerpać, wszelako — w związku z interesującymi nas tu zagadnieniami, należy niektórym z nich, bodaj spojrzeć w oczy...

Podobnie tedy jak w Wiekach Średnich, w myśl przesłanek głębokiej starożytności, tak na Zachodzie nie dawniej niż 200 lat temu, a u nas doniedawna jeszcze, dzielono ludzi (w gruncie rzeczy) na kasty: tych co się „modlą“, co „walczą“ i co „orzą“, przyczem powiedzenie: *cruce, ense, et aratro*



było pozornie tylko archaizmem. A towarzyszyło temu jakby ciche porozumienie szerokiego ogółu, że tylko „buntownik” — którego też o rewolucjonizm heretycki podejrzewano — wyłamuje się ze sfery, która go zrodziła...

W związku z tem wierzone również święcie — jakby w myśl nietykalnych w chemji dawniejszej pierwiastków — że istniejące od wieków stany społeczne nietylko nie dadzą się przeobrazić, ale bodaj odmienić choćby na jotę. Każdemu z nich bowiem właściwe są pewne cechy psycho-socjalne wrodzone: trwałe, integralne i wyposażone w swoiste cechy moralne: zarówno dodatnie jak ujemne, właściwe danemu szczeblowi bytu społecznego.

Na takich to przesłankach, które „dziś” wydają się już tylko przywidzeniem, choć „wczoraj” jeszcze były jawą — polegała, u nas zwłaszcza, do ostatnich niemal chwil przed Wielką Wojną — równowaga i względna, jak wszystko na świecie, harmonja bytu zbiorowego.

Obecnie, jak wiadomo, zamiast teorii, odpowiadającej jako-tako faktycznemu i dzisiaj różniczkowaniu życia powszechności naszej — zapanowało rzekome, bo fałszywe do gruntu zrównanie doktrynalne haseł, „praw” i „dążeń ogólnych” — tam nawet, gdzie „ogół” jako jedność ani nie istnieje, ani (wbrew nieznanym egalitaryzmu prawom natury) istnieć nie może — i to tembardziej, że różniczkowanie się faktyczne ludności naszej wciąż jeszcze nietylko się nie zmniejsza, lecz raczej — pod wpływem ożywionej osmozy socjalnej — pomnaża się i potęguje z dnia na dzień.

Rozważając sprawy te zewnątrznie, wszystko to zasługiwałoby z pewnością na okrzyk: *mundus vult decipi!*

W istocie jednak rozpaczliwy ów stan rzeczy, to nade wszystko bodaj wynik rozpiętości przeolbrzymiej „nożyc” życia zbiorowego w Polsce ubiegłej doby dziejowej, kiedy to na nizinach bytu mieliśmy tu i owdzie jaskiniowców, a na jego wyżynach Petroniuszów stylowych!

Że zaś ponadto dyktowana przez losy dziejowe przebudowa domu naszego zdaje się łączyć z koniecznością rozbiórki pewnych jego części — winniśmy — zamiast biadać nad „końcem świata” — usiłować tem sumienniej poznawać to,



co się dzieje, a może i bronić tego niekiedy, co jeszcze i na przyszłość, właśnie w stanie niezmienionym, przydać by się mogło.

Konieckońców jednak: „Kultura nie rozwija się przez narastanie (pokoleń) — jak cywilizacja — lecz przez ich wymieranie“<sup>379</sup>... Na razie zaś rozwój Polski musi znajdować się raczej jeszcze pod znakiem „kultury“, niż „cywilizacji“.

Niewątpliwie. Rumowiska nasze — a dziś może i świata całego — są bowiem niezmierzone...

Nadto, człowiek nie może żyć bez poezji, t. j. „ducha“, czy choćby bez ich surogatu, jakim potrafi darzyć ludzkość — kultura.

Gdy bowiem z rąk barbarzyńcy nie wyjdzie nawet bohomaz o śladach artyzmu, bez mozołu głębszego wysiłku uczucia i woli — to na bodziec o skutkach dla otoczenia życiowo analogicznych, zdobędzie się byle człowiek kulturalny automatycznie, bez trudu...

I dlatego to bodaj — choć może to grozić wielorako mechanizacją uczucia, a przeto fałszowaniem jego wzlotów — człowieczeństwo mas, przez przyrost naturalny coraz to liczniejszych, pożąda raczej postępu „kultury“, jako dźwigni powszechności ludzkiej, niż zbyt rzadkich w życiu i choćby dlatego bezpłodnych, acz szczerych, natchnień barbarzyńskich.

Tembardziej, że ich bezpłodność potęguje ponadto ich zasadnicza w stosunku do wszelakiego środowiska, jednostronność, podczas gdy „kultura“ rozwija się należycie tylko wśród rozmaitości odpowiednich bodźców i pożywek, co właśnie wyposaża ją stopniowo w atrybuty wielostronności cywilizacji, jako najpotężniejszej z historycznych dźwigni dziejowych ludzkości.

Najpotężniejszej nie tylko dla uczuć naszych, czy wyobrażeń — lecz i najbardziej nawet realnie: z punktu widzenia przesłanek, dyktowanych przez życie zbiorowe, jako wyraz niesfałszowany pełnej psychiki ludzkiej na tle dziejów.

Jakież to bowiem cechy i linje wytyczne charakteryzują cywilizację naszą zachodnio-europejską w historycznym jej rozwoju?



Wylicza je i streszcza przemyślane trafnie, zasłużony mąż stanu węgierski ostatniej doby<sup>371</sup>, w punktach następujących:

1. Uznanie absolutnej wartości człowieka;
2. uznanie pełnej godności ludzkiej w kobiecie;
3. szacunek dla pracy;
4. odrębność władz religijnych od świeckich.

Wszystko to posiada dla nas wartość nie tylko teoretyczną, lecz również jaknajgłębiej życiową — jest bowiem ściśle zgodne z kardynalnym wyrazem dziejowym naszego, polskiego odcienia psychiki wszechludzkiej.

Wszystko — może z pewnym (zwłaszcza doniedawna) wyjątkiem punktu trzeciego — i to na obu skrzydłach naszego bytu zbiorowego: Wyżyny społeczne skłonne były u nas od wieków do lekceważenia nie tylko „łokcia i miarki“, lecz również i pracy fizycznej, a przedstawiciele tej ostatniej — umysłowego trudu.

Wysoce trafne na ten temat spostrzeżenia podaje jeden z zasłużonych społecznie myślicieli naszych, pisząc<sup>372</sup>: „Wy-„silek umysłowy jest mniej widoczny, niż fizyczny. Dźwiganie cegły jest widoczne, dźwiganie pojęć jest czynnością „ukrytą; odbywa się wewnątrz człowieka... Myślenie wyda-„je się prostakom czemś w rodzaju zbijania bąków... Bo „większość ludzi nie myśli. Wałęsanie się myśli po głowie „uważają za myślenie“... A tymczasem — niemniej trafnie — inny, nieznający nas myśliciel<sup>373</sup>, z naciskiem głosi, że: „Skuteczna praca umysłowa wymaga z pewnością więk-„szej wygody i dłuższych odpoczynków, niż skuteczna pra-„ca fizyczna, choćby dlatego, że praca umysłowa jest, fi-„zjologicznie biorąc, niezdrowa“...

Z zagadnieniem tem wiążą się oczywiście i inne, głęboko w gruncie naszym społecznym zakorzenione, odrębności ideowe, płynące u nas z przepastnych wciąż jeszcze różnic kulturalnych polskich, którym towarzyszy nadto niedocenia na ogół okoliczność psychologiczna, której dziwić się trudno, że odsetek gromadwców wśród prostaków jest niepomrotnie większy, niż na „wyzynach“, będących z natury rzeczy Ziemią Obiecaną indywidualistów...



Ci ostatni występują coprawda — acz, niestety, zbyt „swoiście” — i wśród jaskiniowców czasów, oraz stron naszych...

Oto wymowny „obrazek rodzajowy” z przygodnego ich środowiska w XX wieku:

Do wnętrza chaty wiejskiej wkracza ktoś po ogień. W kącie kwili niemowlę, a w jego pobliżu zabawia się dziewczynka czteroletnia.

— Co to? Braciszek, czy siostrzyczka — pyta gość przygodny...

— Ee... odpowiada mała: to nie na chowanie... Mama powiedziała, że popuści pępuszka, krew ujdzie, w szmaty się zawinie... tatuś zanieś i zakopie <sup>374</sup>...

Jednocześnie, w centrum odwiecznym świata cywilizowanego — pod znakiem czarownym Akademosa, wśród poszumu Ogrodów Hesperyd, obfituje — dzięki mecenasom — pewna czcigodna Stacja Naukowa nasza: „nie tylko w znakomite pozycje bibliograficzne, lecz i w najkunsztowniejsze oprawy” <sup>375</sup>...

„Rozpiętość” przybliżona objawów życia zbiorowego zdarzała się ongiś wszędzie bodaj po świecie. Dziś jednak trudno może byłoby ją znaleźć poza Polską w stopniu podobnie uderzającym, zwłaszcza w Europie Środkowej.

Wiele to tłumaczy, ale i do ciężkich trudów — obowiązuje.

\*

W związku z tem a modą obecną „pamiętników chłopów”, medytuje się dziś u nas na temat niesamowitego jakoby tragizmu obcości, zachodzącej między duchem utworów tych a duchem przeszłości naszej („kulturalnej”). Cóż jednak w zgrzytliwym zjawisku tem dziwnego, wobec niezbędnej zawsze i wszędzie, a w danym wypadku pominiętej, *stopniowości* rozwoju, t. j. regulatora i kierownika naturalnego odczuć i pojęć po pierwotnemu niezłożonych, w pochodzie ich ku złożoności („kulturalnej”) wyższego rzędu?

Tymczasem — cóż w tem dziwnego, że np. chłop nasz



przeciętny — domniemanie „przysięgły“ w rozumieniu psychologicznem gromadowiec — nie wstydzi się siedzieć w kryminale, pozostawiając troskę o „dyshonory“ podobne... inteligencji.

Jest w tem, prócz zagadnienia moralnego, skupienie paradoksów, boć—poza obarczającym nas po serwitutach pańszczyźnianych spadkiem, nie od dziś już karalnym, ale wciąż jeszcze nagminnym, szkodnictwa wiejskiego — nie wszyscy chłopci są „kryminalistami“ — ani z drugiej strony nie wszyscy inteligenci mogą być uważani za wolnych od tego miana.

Mimo pozornej prostoty zagadnień podobnych, są one w gruncie rzeczy psychologicznie skomplikowane, co stanie się tem zrozumiałem, gdy zważymy, że chłop, o którym mowa, to najprzeważniej gromadowiec, nie utracający swej normalnej więzi społecznej we wspólnej z towarzyszami doli swej i niedoli, izbie więziennej; omawiany zaś inteligent to domniemanie indywidualista, skazany przez ciężkie warunki życia na nieznośny dla siebie byt gromadzki, przeciw któremu właśnie zbuntował się w sposób kryminalny.

Razem wzięwszy, niepodobna nie dostrzedz w życiu zbiorowem nietylko dzisiejszem, mechanizmu, scalającego na ślepo wartości odmiennych ewolucyjnie środowisk i tworzącego przeto interesujący pod względem zarówno psychologicznym jak socjalnym, obraz reakcyj nader rozmaitych na bodźce, formalnie tożsame...

Nie potrzebujemy sięgać tu dla ilustracji do najgłębszych antytez kulturalnych: w krainę zjawisk takich, jak np. śmiech homeryczny z jednej, a spazm ohydy i wstrętu z drugiej strony, na widok tejże samej sceny okrucieństwa!

Wystarczą nam fakty o wiele skromniejsze i mniej „kopalne“, ale zato o wiele częstsze, bo pospolitsze, na tle życia...

Np. parobczak wiejski (nie z Wysp Fidži!) kradnie, zabija, piecze i pożera w kompanji swinię swego sąsiada, za co siedzi potem w kryminale.

W wyniku — zamiast katechizmowej czy towarzyskiej przygany — spada na niego chwała gromadzka bohatera-



zdobywcy nietylko wieprzowiny, ale wraz z nią i serc nado-  
bnych dziewic: trofeów, z którymi za cenę podobną nie-  
zawsze już idą w paragon zdobywcze kasiarza czy alfonsa ze  
środków miejskich.

Widzimy tu, tam i owdzie na każdym niemal kroku roz-  
maitość, a za nią względność ludzkich reakcyj psychicz-  
nych: ich motywów i postaci, zawisłą od rozmaitości, oraz  
względności pobudek, a nadewszystko bodaj związanych  
z niemi form wielorakich postaci bytu.

Tożsamość zasadnicza psychiki ludzkiej nie wyklucza  
iście kontrastowych w swej wielobarwności reakcyj jej na  
pobudki, wpływające na człowieka z odczuwanego i widzia-  
nego przezeń rozmaicie życia.

Płynie stąd wniosek, że — jakkolwiek prawa zasadnicze  
psychiki ludzkiej są jedne (a) to jednak pastwa ich życiowa  
(b) jest różna (c), czemu — razem wzięwszy — jako treści  
bytu (i jego plonom) odpowiada formuła:

$$a : c = b \text{ do nieskończoności.}$$

Dobrze już wiedział o tem Juljusz Cezar, kiedy z wyso-  
kości rzymskich swych pojęć, w słowach, ciężkich moralnie  
jak ołów, piętnował barbarzyństwo Germanów, dumnie  
o nich powiadając: *Latrocinia nullam habent infamiam!*

Porzucając jednak koturny, odnosimy wrażenie, że wszyst-  
ko to razem przypomina młyn wodny, którego funkcyj me-  
chanicznych nie zmienia zasadniczo ani fala krystalicznie  
czysta, ani mętna jak błoto i z którego żaren suć się może —  
zarówno w pierwszym przypadku jak w drugim — śmieć  
czy mąka, zależnie od tego, co się w nie dostało: chwast,  
czy zboże...

Praktycznie tedy, a więc: życiowo, w rozumieniu zarów-  
no pospolitem, jak wszelakiem innem, winniśmy zawsze  
i wszędzie pamiętać o tem, że jakkolwiek psychika ludzka  
i jej prawa — podobnie jak w przenośni młyn pomienio-  
ny — nieuniknione są jak przeznaczenie, to jednak „mlewo“  
jego: rodzaj i stopień „kultury“ tegoż zawisły nadewszystko  
od zabiegów człowieka, zgodnych z „mechanizmem młyna“,  
t. j. z prawami psychologii, conajmniej elementarnej...

Wprawdzie, ustalonym najsilniej w życiu zbiorowem ludz-



kiem wyrazem wręcz automatycznym instynktu samozachowawczego przenajlichnieszych w świecie gromadów, jest — psychicznie biorąc — naśladownictwo: warunek podstawowy ciągłości i rozlewności wszelkiej kultury człowieczej, jednakowoż, w okresach nadmiernego w swej jednostronności rozpanoszenia się, jak obecnie, masy ludzkiej, a przeto nadmiernego przez nią skrępowania indywidualistów, „kulturze“ tej — procesom jej twórczym, niezbędnym dla podtrzymywania istotnej jej żywotności — musi grozić zastój, oczywiście nie tylko gospodarczy!

Masa pragnęłaby wprawdzie pochłonąć jednostkę w całości, atoli kieruje się ona w dążeniu tem nastrojem, rozwojowo biorąc, wtórnym (zawiści i t. p.) nie zaś kategoriycznym: — i przeto zawsze ostatecznie w życiu zwyczajnym nakazem psychicznym salwowania za wszelką cenę tego, co rozwojowi gatunku sprzyja, a więc w danym przypadku: zupełnego wyzyskania jednostki twórczej.

Najlepszym bodaj dowodem potrzeby, ale i marnowania w łonie masy jednostek, o jakich mowa, jest okoliczność, że — nie mówiąc już o „kulturach“ pospolitych — wszelakie cywilizacje historyczne — korony ludzkości — wymagają zawsze i wszędzie od jednostek wspomnianych, iżby te wobec masy nie śmiały (życiowo) nie być, ale — iżby będąc, nie śmiały być w pełni nieograniczonej sobą.

Masa ludzka zdaje się tu naśladować automatycznie w swej nieograniczonej rozlewności biernej, oraz czynnej, naturę samą, poddającą sobie bezwzględnie wszystko i wszystkich naokół, a tymczasem i wyrastającą z jednostek „sztuka dla sztuki“ chce być również sobą, gdyż: „Piękno zdania nie liczy się z niczem innym, jak tylko z sobą samym“<sup>376</sup>...

Ostatecznie też dola jednostek „wybranych“, związanych z danem środowiskiem, jest wskaźnikiem niezawodnym walorów jego kulturalnych. „Ludzie mają bowiem wrodzoną skłonność do pomniejszania zasług bliźniego“<sup>377</sup> — może w myśl t. zw. „demokratycznej“ (w istocie zaś: psychicznie prymitywnej) niedość logicznej zasady egalitarnej: skoro ja i on czemś nie jesteśmy — przeto (!) jesteśmy sobie równi...



Zresztą, by godzić się raczej na pokrzywdzenie samego siebie, niż na skrzywdzenie kogoś — na to trzeba mieć charakter, t. j. być (bodajby potencjonalnym!) bohaterem, a tacy na kamieniach się nie rodzą.

Gdyby było inaczej, świat oddawna już zbliżyłby się był do wrót raju. Tymczasem — z tego nawet „dobra“, jakie w życiu dostrzegamy, trzeba odtrącić część jego niemalą przed forum ideału na rachunek rzesz owych ludzi, co „dobrzy“ (raczej może: „pocziwi“, t. j. dobrzy na krótką metę) bywają nadewszystko dlatego, że sami bez pomocy, i to stalej, ze strony dobra cudzego, zgoła obejść się nie mogą.

Z ich to bodaj — dalekiego od cnoty gruntownej — zachynu życiowego, zrodziło się przysłowie: „Zrób komu dobrze — to ci łeb odrze“...

A z zagadnieniem tem wiąże się blisko sprawa „godności“, t. j. pełni psychicznego samopoczucia człowieka. Może on bowiem łaknąć (życiowo) cudzego (duchowego czy materialnego) dobra; może (podobnie) jaknajskwapliwiej z niego korzystać. Wszelako (psychicznie) narusza to wewnętrzną jego równowagę — ubliżając mu tembardziej, im owo doznane od kogoś dobro było w danych okolicznościach większe, a cóż dopiero: przewyższające ewentualną — choćby myślową tylko — możliwość odpowiedniego wywzajemnienia się za nie.

Słusznie też powiada La Rochefoucauld, że: „Mniej niebezpiecznie bywa czynić ludziom źle, aniżeli wyświadczać im zbyt wiele dobrego“...

Najpotężniejszym, a jednocześnie najbardziej klasycznym dziejowo przykładem, jest i tutaj Chrystus; wszystko zaś składa się na bijący w oczy dowód, że oś psychiki ludzkiej — instynkt samozachowawczy człowieka, stanowi wiekuiście żywą antytezę nieśmiertelnych jego ideałów...

Nie też dziwnego, że w warunkach, niesprzyjających panowaniu ideałów, bierze górę instynkt wspomniany, kłócący się zasadniczo (jak wszystko, co: jest) z tem, co nim (tak czy inaczej) nie jest.

Zbędnem byłoby tu przytaczanie bezliku przykładów na dany temat. Zbędnem choćby dlatego, że i w naszych „je-



szcze“ czasach możliwe są nietylko morza krwi i łez, jako zjaw męczarni, zadawanych ludziom przez ludzi; nietylko okrucieństwa iście sadystyczne, lecz i teorje, gloryfikujące zbędność wszelakiej cywilizacji.

Dzieje się to dzisiaj pod hasłem odrazy do form „sztucznych“ ludzkiego współbytu, jako cnoty niewolników, a prowadzi do wniosku, że: niema jak chamstwo — ba! że w zasadzie i władca powinien być chamem, choćby dlatego, że ułatwi mu to rządy, budząc bezzwłoczny „respekt“ dla nich i oszczędzając im czas, zbędnym ongiś lansadom poświęcany.

A nie są to głosy wołających na puszczy...

Nie są również i u nas. Mamy bowiem wpośród siebie nietylko wielość typów dzielnicowych, nigdy jeszcze w ob ręcz jedności dziejowej z całością kraju nie ujętych. Mamy bujną różnorodność regionalną stosunku ich do zjawisk życiowych — zarówno zasadniczo polskich, jak powszechnych. Mamy w nich wreszcie — co może najważniejsza — niebywałą gdzieindziej w zakresie pojęć kulturalnych, wielorakość szcześli rozwojowych historycznych, na jakich dotąd typują.

Nie byłoby też bodaj przesadą przypuszczenie, że dla niektórych z nich wiek XIII w Polsce — to daleka podziśdzień jeszcze... „przyszłość“, gdy dla innych XVIII stulecie to już „przeszłość“ zawrotna!

A przesłanki te stają się tem wymowniejsze, gdy zważywszy, że w łonie „substancji twórczej“ psychiki cywilizacji — jakby może powiedział biolog — tkwi zasada: „człowiek stwarza swój świat“, gdy psychiki zaścianków wołają: „środowisko stwarza człowieka“...

Jakiż w tem wszystkim: wspólny mianownik ładu myślowego, porządku psycho-społecznego, a wreszcie ideologii, zrozumiałej dla wszystkich, jeśli nie: psychologja, i to nietylko jeszcze bardziej złożona, ile — elementarna!

Ściele się też przed nami nietylko ogrom zadań cywilizacyjnych, jako więzi niezbędnej Polski ze światem, lecz również jako warunku własnej naszej egzystencji ludzkiej.



Dla osiągnięcia tych celów żaden środek kulturalny nie może być zbędnym.

Miedzy innymi, zwraca nam ktoś — w sposób pełen troski i rozwagi — uwagę na okoliczność, że system nasz wychowawczy, stosowany względem chłopców, wyrabia w nich kobiecość, podczas gdy angielski krzepi męskość w młodych synach Albionu <sup>378</sup>.

Najoczywiście, „kobiecość“ ta, u nas tak uderzająca, to przede wszystkim wyraz naturalny psychicznej gromadkości naszej, podczas, gdy „męskość“ Anglii, to jej (zgrany już *pro publico bono*) indywidualizm, panujący nad układem brytyjskich stosunków psycho-społecznych.

Ostatnia ta okoliczność jest rzeczą powszechnie znaną i uznaną; co zaś do nas, to czyliż istnieć tu może przykład wymowniejszy nad fakt, że — wbrew przysłowiu, najpewniej skądś importowanemu: „Ładne jest to, co się komu podobą“ — lud nasz samo nawet poczucie wartości tak — zdawałoby się — *par excellence* subiektywnej, jak piękno, uzależnia wszelako od opinii większości.

Jakkolwiek zaś pierwiastek psychiczny indywidualizmu wydaje się być mu zasadniczo obcym — to bujna dzielność odyńca-zwycięzcy (w praktyce, tak często: bandyty) imponuje mu, stwarzając przesłankę potencjonalnej możliwości psychologicznej przerobienia z czasem na „męskość“ — „kobiecości“ naszej. A to tem snadniej, że studjum nad bytem, arcyprymitywnym jeszcze (w Kongresówce) wiejskiej rodziny chłopskiej, każe nam podziwiać nieraz wysoce w niej szarmonizowany zestrój czynników psychicznych materialno-duchowych, oraz niespotykaną wśród t. zw. inteligencji, pełnię logiki bytu, co — razem wzięwszy — dobrze zaleca przyszłej cywilizacji owo tak pierwotne jeszcze a psychicznie zdrowe tworzywo.

Tymczasem jednak winniśmy bacznie mieć na względzie głośnie powiedzenie znawcy dusz ludzkich i doświadczonego mistrza ich zestrojów, Mahometa:

— O, Ali! Niema wroga niemiłosierniejszego niż ciemnota! ...Niema towarzysza, miłszego nad mędrca!



Ostatecznie, chodzi tu przecież „tylko“ o wyczarowanie z istoty czlekoksztaltnej — człowieka...

\*

Mówiąc — zwłaszcza porównawczo — o człowieku w czasach naszych, niepodobna nie potraścić znowu o bolszewizm, pojmujący zjawisko to, w stosunku do wszystkiego tego, co mianujemy cywilizacją, jaknajzupełniej odwrotnie; ponieważ zaś chodzi tu o rzeczy dla nas święte, przeto odwrotność ich staje się dla nas potworną!

Na plan pierwszy wysuwa się tu moskiewsko-bolszewickie bezbożnictwo, będące właściwie, z punktu widzenia psycho-historycznego, zjawiskiem nadewszystko „jaskiniowym“: to coś jakby Xerxes, nakazujący w zagniewaniu swem na bóstwo, sieć pletniami Posejdona! Boga, pojmowanego w sposób „cywilizowany“, tu ani tam — w Bolszewji, ani u Persów xerxesowych — nie było, ani być nie mogło, gdyż byłby On w środowiskach tych zjawiskiem o wiele rozwojowo przedwczesnem. To też jedynie formy techniczne nowożytnego życia cywilizowanego, chwywane, jak cylinder przez murzyna, w Rosji z Zachodu, gmatwają i przesłaniają nam dziś istotę bolszewickich zjawisk. A przecież sam bodaj moskiewski porządek hierarchiczny pojęć o jednostce i masie, powinien był oddawna już otworzyć oczy światu na rzekomą tylko „zagadkowość“ omawianego zjawiska! Co zaś do wpływów bolszewizmu na ludy cywilizowane, to sprowadzają się one właściwie do roli iskier, zapalających rewolucyjnie prochy niezadowoleń, nagromadzone po świecie i eksplodujące tam swoiście...

Znawca człowieka głęboki, słynny działacz angielski T. E. Lawrence, powiada, że: „Tendencja zaprzeczania uczciwości (a więc i powagi) przeciwnikom — to właściwość małych ludzi“<sup>379</sup>.

Pragnęlibyśmy liczyć się tu z jego ostrzeżeniem — tembardziej, że w danym przypadku hasło naczelne bolszewików nie budzi zastrzeżeń, przynajmniej z punktu widzenia metodologicznego.



Brzmi ono, jak następuje: „We wszystkich badaniach naukowych naszych kierujemy się zasadą, że na to, aby świat zmienić, niezbędnem jest go poznać“<sup>380</sup>...

Pomijając jednak cisnące się tu na myśl... truizmy, wolno sądzić, że — podobnie jak samo istnienie ludzkości można przypisać „przypadkowi“<sup>381</sup>, którego mogło nie być — tak też i cały w toku dziejów bieg myśli ludzkiej: cały — od pryncypów podziśdzien — stosunek jej do świata, mógłby być ułożony się rozmaicie...

Tak! Gdzież tu jednak rzeczowe *tertium comparationis*?

Trzebaby tu chyba pojawienia się na tle, czy raczej może na gruncie niecofniętej sytuacji historycznej świata cywilizowanego, już nie utworów Verne'a, London'a, Wells'a, czy „choćby“ wyczynów Napoleona, lecz jakiegoś niebywałego, przeczącego sensowi dziejów dotychczasowych, Boga-Tytana, iżby ten, zdmuchnąwszy w kataklizmie kosmicznym z łanów tego co było, nietylko psychikę z humanistyką, lecz wraz z niemi i cały bodaj mechanizm dotychczasowy stosunku człowieka do życia i jego zjawisk w czasie i przestrzeni — zagrzmiał jakowąś panteknokratyczną apokalipsą niesłychanego dotąd we wszechświecie istnienia!

Trzebaby nie przewrotu już, lecz ziszczenia się snu, tryskającego z genezy i postaci rzeczy nie z tego świata...

Toteż — gdyby nawet „...psychika Rosjan szczególnie nadawała się — jak twierdził Lenin — do rozważań naukowych“ — — byłoby zaiste nietylko psychiki tej, lecz i wszelakiej innej (i to przeniesionej w swoje warunki doskonałe) zamało, iżby mózdz stworzyć to, o co tu właściwie chodzi: niebywałą pod względem nietylko samego faktu stania się, lecz wręcz gatunku swego — swoistą atmosferę samoródtwa!

Ale może tytany, twórcy, bohaterowie, geniusze — są tu wogóle... zbędni? Może kwiat poproci, o który chodzi, wyłoni się sam przez się z masy ludzkiej, pod wpływem jej „woli“, jak Minerwa z głowy Jowisza?

Wszak powiadają nieraz ci i owi, że „i tak“ — bez tego czy owego wysiłku — byłoby na świecie to, co jest; ba! że byłoby bodaj lepiej, niż jest...



Trudno atoli spierać się na temat „abrakadabry“ p. t. co-  
by było, gdyby nie było było tego, co było!

Nie jest to jednak — na szczęście — poważne traktowa-  
nie sprawy, podobnie jak nie byłoby niem zgłębianie za-  
gadnienia: co by było, gdyby było nie było w Polsce Chrob-  
rego, a w Moskwie Iwana Groźnego...

Zresztą, miarą rzeczy dla człowieka jest wyłącznie czło-  
wiek sam, a orzecznictwo „prawdy obiektywnej“ należy  
w instancji najwyższej do człowieka przeciętnego.

Stąd też, najznakomitsze nawet dzieła ludzkie — aż do  
przeobrażających nasze poznawanie rzeczy — o tyle tylko  
mogą być uznawane ostatecznie, t. j. przez ogół, choćby tyl-  
ko oświecony, o ile w całości, a bodaj w części swej, psy-  
chologicznie miarodajnej, mieszczą się w ramach jego po-  
jęć.

Trzeba zaś pamiętać, że w zasadzie li-tylko najdoskonalszy  
naśladowca ludzi przeciętnych jest w opinii szerokiego  
swego otoczenia człowiekiem wzorowym, podobnie, jak naj-  
zręczniejsze naśladowanie dorosłych dziecko jest „najgrzeczniej-  
szym“<sup>282</sup> (t. j. najrozsądniejszym) w opinii rodziców.

Sugestia i słynna reklama<sup>283</sup> bolszewicka mogą wpraw-  
dzie wtłoczyć w ogół bardzo wiele, wszelako — zwłaszcza  
na trwałe — nie to z pewnością, co ma z nakazu doktryny  
obowiązywać w życiu, a co jest z psychiką ludzką elemen-  
tarną sprzeczne zasadniczo...

To prawda, że światem umysłowości ludzkiej nie rządzi  
żaden geniusz bezpośrednio. Jedynie produkt jego uboczny,  
zazwyczaj przeinaczony, staje się pastwą pasożytnictwa  
dziejowego masy, wszelako — na dłużej — o tyle tylko, o ile  
odpowiada on jej psychice elementarnej, t. j. t. zw. „zdrowe-  
mu rozsądkowi“ człowieka.

Inaczej, mogą powstawać w świecie ludzkim jedynie za-  
kazające go mściwie śmietniki — niekiedy nawet dziedzicz-  
ne — „prawd“ rzekomych, kryjących spotworniałe idee  
o liniach spaczonych, które „rzeczywistość“ każe potem  
usuwać wraz z żywym ciałem uległej im ofiary...

Ale nie na tem jeszcze koniec.

Oto, gdy z jednej strony zjawiskiem życiowo błędnem



i przeto w następstwach swych mściwem, musi stać się wszelkie odstępstwo od normalnego porządku psychologicznego, to z drugiej występują równolegle z nim przesłanki, pozwalające rozejrzeć się w sytuacji zasadniczo, i to tam właśnie, gdzie dany „produkt uboczny“ ideologów został zastosowany w życiu fałszywie, jako rzekoma norma bytu...

W naglącej zaś potrzebie dziejowej — jako reakcja swowista instynktu samozachowawczego zagrożonego środowiska — pojawiają się w nim ludzie wielcy, więksi i najwięksi, usiłujący otrząsnąć je z błędu, a właściwością znamieną, nie mówiąc już o tem, że psychologicznie zawsze trafną, ich dzieła, jest nietylko faktyczna, lecz i sokratycznie<sup>384</sup> istotna stopniowość jego oddziaływania na dane środowisko.

Zaznacza się w tem *sui generis* norma bytu, odpowiadająca w sensie psychicznym i życiowo-konstrukcyjnym — stopniowemu uprzednio narastaniu tam tych stajen Augiasza, jakie wypadło w danym przypadku oczyszczać.

Nadto — jak wspomniano — twórcy dzieła takiego szczepili je w życiu zawsze, jako moraliści — sokratycznie, t. j. we wnętrzach dusz indywiduów człowieczych, pomijając przytem ustroje, zwłaszcza typowo gromadzkie, będące zjawiskiem bytu psychologicznie wtórnym, rozwojowo pośrednim i choćby z tego powodu przytępionym w obliczu tego rodzaju haseł.

Zresztą, realne wpływy psychiczne jednych ludzi na drugich istnieją li-tylko wśród umysłów współmiernych, i to — znajdujących się na stopniach rozwoju, wzajemnie do siebie zbliżonych. Wpływ spełnia wtedy rolę uderzenia dzioba ptasiego w skorupę jaja, z którego pisklę wydobywa się już samo na powierzchnię życia.

Razem wzięwszy, a pomijając wszystko inne, możnaby stąd wnosić, że z jednej strony nietylko faktyczna, lecz planowa piorunowość dzieła Lenina, mającego przytem na celu nie naprawę, lecz przerobienie świata; z drugiej zaś: położenie przezeń nacisku nie na stronę psychiczną, lecz na mechanicznie i koszarowo ujęte sprawy ustrojowe ludzkie — zdają się dyskwalifikować a *limine* w rzędzie dzieł twórczych jego idee, jako największą bodaj z utopji świata.



Cóż dopiero, gdy uprzytomnimy sobie potworną moralnie a nieodłączną życiowo od utopji tej okoliczność szatańsko bezwzględneho deptania człowieczeństwa bezbronnej większości uciśnionych przez zbrojną mniejszość siepaczy piekielnej doktryny!

A jakby nadomiar jej bezecenstw, charakteryzują ją dosadnie takie np. absurdy psycho-historyczne, jak hasła, które bolszewicy głoszą, że: „Głównym celem nowej szkoły (komunistycznej) ma być wychowanie jednostki twórczej i wszechstronnie rozwiniętej“ (!! — albo, że „najwyższą wartością kultury socjalistycznej jest indywidualizm“<sup>385</sup> (czytaj: sadyzm siepaczy!!).

To też afektacja powiedzenia głębokiego znawcy bolszewizmu: „zastraszająca a jednak wspaniała jednostronność życia umysłowego w Rosji“<sup>386</sup> — zakrawałaby wręcz, zwłaszcza w towarzystwie haseł powyższych<sup>385</sup>, na paradoks humorysty, gdyby bajki najmniej prawdopodobne nie cieszyły się zawsze i wszędzie (do czasu) największem uznaniem świata...

„Prawda — to dzień jutrzejszy“ — powiada bolszewik, Michaił Arkadjew<sup>387</sup>.

Z góry i z całym spokojem oczekiwać będziemy wypowiedzenia się tego „jutra“ w poruszonych tu sprawach!



## ZAKOŃCZENIE.

W obliczu zarówno życia, jak nauki, niepodobna zaprzeczyć doniosłości poruszonych tu zagadnień psychologicznych, których treść wiekuista składa się — poprzez jednostki ludzkie — na motor bytu społecznego, oraz zbiorowych funkcij socjalnych masy ludzkiej.

Obok instynktów zgoła ślepych, jak głód, pragnienie, czy żądze, a raczej na górnym, pra-pierwotnym ich pograniczu ze sferą myśli człowieka, stanowiącej pomost między materją a duchem, t. j. wyraz duszy ludzkiej, coraz bardziej świadomej siebie — panują jak wiemy: miłość i strach<sup>172</sup>. One zaś — pod działaniem myśli — tworzą (w rozumieniu ewolucyjnym) szereg kolejnych odwidleń psychicznych, jak: nastrój („dobry“ albo „zły“) czy bunt, zarówno „warcholski“, jak „bohaterski“ — stany z natury swej zasadniczo podświadome, a dalej: świadome siebie coraz bardziej, poczucia: grzechu i żalu, wreszcie zaś chęć odrodzenia, a wraz z niem poczuć i dążeń coraz to dalszych — aż po cywilizację najwyższą i właściwe jej zjawiska psychiczne na niwach życia...

Pomienione etapy psychiczne, acz zlane już w akordy coraz to bardziej górne a złożone bytu zarówno jednostkowego, jak zbiorowego czasów naszych — nie przestają mimo to istnieć samodzielnie, jako psychiczne tony odrębne, w nurtach i odmętach najgłębszych (poniekąd nietylko ludzkich) warstw i pokładów wewnętrznych stworzenia.

A są to światy, tworzące dzięki swej pra-dawności przy-



rodzonej, nienaruszalne z punktu widzenia życia realnego, kanony bytu ludzkości, z którymi, jako z założeniami psychicznymi egzystencji swego gatunku, liczyć się powinni na każdym kroku nie tylko psychologowie, lecz jaknajoczywiściej i humaniści — czy to zwłaszcza w dziedzinie historii i prawa, czyli też — nadewszystko może — socjologii, zarówno teoretycznej, jak stosowanej.

To bowiem, o czym tu mowa, dotyczy istoty rzeczy: kośca wszechspraw i wszech-potrzeb ludzkich — niepożytego w swej osnowie, mimo emancypujących się z niej (pozornie!) acz zawsze na koścu tym narastających, form karnacji zewnętrznej bytu.

Jest przeto rzeczą pewną, że zarówno badacz, jak mąż stanu, liczący się li-tylko z formą rzeczy — byłby starej daty morfologiem, nieświadomym embriologji, a przeto i właściwej natury zjawisk, skazanym wskutek tego zgóry na powierzchowność sądów swych, oraz działań, kierowanych na błędną drogę

\*

W tytule książki niniejszej, i to na jego czele, postawiono „człowieka w świetle humanistyki“, choć treść dzieła ograniczono wyłącznie niemal do rozważań psychologicznych, zapowiedzianych w tymże tytule na miejscu drugim.

Bezplanowa ta okoliczność, która wywiązała się automatycznie z toku rozważań niniejszych, staje się dla nas jakby pośrednim stwierdzeniem faktu, że jeśli to, co mianujemy tu psychologją, jest a przynajmniej zmierza do stania się możliwie wiernem odbiciem życia, to natomiast humanistyka zarówno miniona, jak obecna, pretendująca w nauce do takiegoż właśnie stanowiska, odbiciem tem nie jest. Że — jednym słowem — zakrawa ona na coś, co się z „psychologją“ (j. w.) nie zgadza zasadniczo i co poza ramy jej występuje jaskrawo, jako (rzekomy!) „wzór“ i „mistrz“ życia, a co — nawet w przybliżeniu — ani jego odbiciem czy wzorem ani mistrzem, nie jest, będąc — nadewszystko bodaj —



zawisłą ściśle od poszczególnych talentów czy nieudolności pisarskich: sztuką swoistą.

A jednak naogół, człowieka ani ludzkości nie dostrzegamy niemal zpoza dyscyplin humanistycznych, zwłaszcza zaś zpoza historii, czy prawa, przyczem „człowiek humanistyczny” stanowi dla nas tło przeciętne, jakie zwykliśmy podkładać mimowoli pod typ człowieka, rozpatrywanego w czasie i przestrzeni. A tło to, utkane najprzeważniej z włókien odwiecznych sugestyj „kulturalnych”, staje się również (automatycznie) *repoussoir*<sup>em</sup> nieuniknionym rozpatrywanych przez nas właściwości — jakoby naczelnych — człowieka wiecznego, t. j., z naszego tutaj punktu widzenia, „człowieka psychologicznego”.

Dlatego to ów ostatni wystarczył nam tu w całej pełni, bez potrzeby mówienia specjalnie, t. j. przypominania komunalów o człowieku dziejowym, co byłoby zresztą zaciemniło wyraz całości naszego studjum.

Mimo wszystko — gdyby nie konieczność liczenia się z wymaganiami językowemi, tytuł książki niniejszej brzmiećby właściwie powinien: Człowiek historyczny w świetle humanistyki a psychiki naturalnego swego pierwowzoru...

Jakże to jednak (za kulisami) humaniści sami wypowiadają się na temat „człowieka humanistycznego”, rzuconego na życiowe tło dziejów?

„Sądzenie tego co się dzieje, miarą tego, co się działo — mówi Sieyès — to sądzenie wiadomego przy pomocy niewiadomego”...

„Prawdy historycznej nie znamy; gdyby się ją znało, ioby się jej nie pisało; gdyby się ją napisało, toby się w nią nie wierzyło” — powiada ktoś inny<sup>388</sup>.

Albo: „Jak wszyscy ludzie poważni, nie wierzę w prawdę historyczną, ale wierzę w prawdę legendarną” — oświadcza myśliciel, niemniej wytrawny<sup>389</sup>.

Lecz czemuż jest tak właśnie a nie inaczej?

Oto, gdy istnienie nasze realne zestawimy z aparatem ka-lejdoskopu, a dany okres naszego życia — z szeregiem wciąż zmieniających się obrazów pomienionego aparatu,



występujących, dajmy na to, w faktycznej a normalnej kolei porządkowej  $a-b-c-d-e-f$ , to historję, czy jakąkolwiek bądź inną gałąź humanistyki, wypadnie nam zestawić z próbą odtworzenia tego cyklu...

Niestety, musimy jednak stwierdzić, że (nieuniknionym) wynikiem „próby“ takiej bywają wszelkie raczej (oderwane od życia) działania matematyczne umysłu naszego, oparte formalnie na pomienionych symbolach ( $a-b-c-d-e-f$ ), nb. chwytych zawsze w dowolnej, a nigdy bodaj w alfabetycznej (t. j. psychologicznej!) ich kolei — aniżeli odbicie możliwie wierne ich cyklu właściwego.

Sądźmy, że tylko próba ujęcia psychologicznego zadań humanistycznych mogłaby przyczynić się do niezbędnej korektywy naukowej omawianych badań.

A jest to tem bardziej niezbędne, że na tle humanistyki, będącej w gruncie rzeczy kanwą zasadniczych linii idealnych człowieka dziejowego — człowiek ten — jego typ czy wzór — występują bezmała jak stare posągi klasyczne, wyposażone w zasób cech „dodatnich“, ustalonych dogmatycznie, „ujemnych“ zaś, — zakrytych przezornie, jak szczerby posągów, mastyksem „rzeczy, o których się nie mówi“.

Niekiedy — przez kontradykcję — stosuje się (zwłaszcza w historii) i metody wręcz odwrotne. Atoli, zarówno jedno jak drugie są — sztuczne i przeto darzą nas w wyniku raczej „nieprawdą“, aniżeli „prawdą“ życia.

Ta ostatnia leży tu bowiem po stronie nieśmiertelności zasady danych zjawisk, nie zaś doczesności życiowych jej wcieleń przemijających. Pierwszą badają przyrodnicy, drugą — humaniści. Cóż dziwnego, że ci, co wpatrują się w ogniśko rzeczy, sięgają w nie głębiej aniżeli ci, co wysłedzają bieg powstałego z nich dymu.

\*

Powiedział ktoś, że „wiedza nasza to zbiór błędów, które zastąpimy kiedyś innymi“.

Nie jest to paradoks. Gdyby bowiem było inaczej — to



rodzaj ludzki, trzymający prawdę w ręku, byłby już rozwojowo... skończony.

My tymczasem borykamy się z losem — nader dalecy jeszcze od brzegu, to też — jak głosi znane powiedzenie francuskie — pełnia wiedzy naszej, a wraz z nią świadomości stosunku naszego do świata i do nas samych, czyli: „Nauka — może służyć każdemu panu — zarówno dobremu, jak złemu“...

Pozatem, choć od czasów niepamiętnych nad poznawaniem naszym pracujemy z mozolem, stwierdzamy wciąż — i to bez nadmiernego trudu, że nietylko wyniki wiedzy są ograniczone, lecz i metody zgłębiania jej i pomnażania roją się od błędów.

Jeżeli zaś — mimo olbrzymich postępów nauk przyrodniczych — jest tak poniekąd naogół — to cały bodaj wielki konar drzewa poznania ludzkiego, skupiający w sobie wiedzę o człowieku, zwłaszcza jako o zjawisku poza-zoologicznym — humanistyka, szwankuje tu — niestety — o wiele bardziej, niż gałęzie inne.

Spętanie jej obiektywizmu przez potrzebę nieuniknioną samoanalizy ludzkiej, od której inne dziedziny badań są (w znacznej mierze) wolne, obarcza bowiem wszelką syntezę humanistyczną, t. j. myśl człowieczą, powołaną w zasadzie do roli życiowo bezpośrednio twórczej a płodnej — grzechem pierwotnym *sui generis* ułomnej zasadniczo jednostronności poznawania.

Wprawdzie ostatni ów wzgląd zdaje się zapewniać badaczowi-humaniście — w stosunku zarówno do badaczy wszelkich innych gałęzi wiedzy, jak do przedmiotu jego studiów, przewagę duchową poznawania, wszelako „przywiłej“ ten nie równoważy bezmiaru braków innych.

Prawda, że o psychizmie pozaludzkim niewiele nam wiadomo; prawda, że jak psychika człowieka w sprawach ludzkich, tak psychizm ten w świecie zjawisk innych stanowić musi rdzeń wszechrzeczy — mimo to jednak empiryzm przyrodniczy w zestawieniu z empiryzmem humanistycznym poucza nas wymownie, jak dalece ten ostatni jest podziśdzień upośledzony w ramach życia.



Coprawda, to — poza niezawisłemi od nas zgoła trudnościami i komplikacjami poznawania humanistycznego — gmatwamy je dotkliwie i my sami, poddając się niemal świadomie sugestjom, zaciemniającym badane przez nas zagadnienia.

I tak np. humanistyka (w danym przypadku: bezpośrednio prawo, a za niem, pośrednio, historia) „odzwierciadla“ człowieka, właściwie zaś sztuczny jego szablon, ucharakteryzowany na genialnego homunculusa, idealnie w „cywilizowanym“ znaczeniu społecznym tresowanego, że gdyby nawet żywy pierwowzór jego był matołkiem, to nie mogłoby to zwolnić prawnohistorycznej, a jakże sztucznej jego metamorfozy, od (tragikomicznej) roli „rzeczoznawcy“ (! w dostępnych istotnie tylko specjalistom kwestjach prawnych) któremu, jako pełnoprawnemu (*sic!*) „obywatelowi kraju“, niewolno np. byłoby tłumaczyć się niezajomością legislatury!

Z czemś podobnem, wypiekiem *eiusdem farinae*, spotykamy się również — zwłaszcza w wiernej „ideałom demokratycznym“ reżyserji historycznej mas, tłumów, gawiedzi, oraz przygodnych ich „przedstawicieli“, charakteryzowanych nieraz arcypochopnie na szermierzy różnych „racyj stanu“ — kluczników przeznaczenia.

Życiowe te absurdy — nie wchodząc w „racje“ ich polityczne — należą — obok (fikcyjnego tak często!) „obywatelstwa“, „godności“, „braterstwa“, „równości“, „wolności“ i t. p. zafałszowań człowieczych wartości najwyższych — do rzędu komunalów, nie mających nic wprowadzić, prócz nazwy, wspólnego z „prawdą“, lecz prowadzących zato prostą drogą do (humorystycznego tylko na pozór!) hasła: „Tem gorzej dla... rzeczywistości!...“

Nic dziwnego zaprawdę, że życie ludzkie, spreparowane (znowu: nie wchodząc w „racje“ tego zabiegu!) tak osobliwie wedle recept „nadrzędnych“, przy pomocy „nadrzędnej“ siły i woli, a skazane ponadto na chłonięcie nieustanne toksyn, płynących obficie z uszczęśliwiającego je preparatu — może bywać conajwyżej, na tle praw natury, równie



podobne do glorii Heliosa-Apolla, jak Quasimodo do... człowieka.

Psychika ludzka bowiem — mimo całej swej plastyczności w poddawaniu się bodźcom zewnętrznym i wewnętrznym życia — dąży nieustannie do pozostawania w człowieku najbardziej nawet cywilizowanym — wykładnią i drogowskazem jaknajprostszych, bezpośrednich, elementarnych i przeto jaknajnaturalniej najpotężniejszych nakazów bytu.

W przeciwieństwie do takiego stanu rzeczy, humanistyka jest jakby statutem i zwierciadłem stosowanej przez ludzkość względem siebie samej — nie mądrości natury, lecz ludzkiej sztuki życia, nadewszystko zbiorowego, gdy natomiast obraz psychiki — psychologja jest tegoż, wyłaniającego się bezpośrednio z natury życia, i to zwłaszcza indywidualnego — reglamentacją naturalną, we wszelkich dziedzinach bytu, czy to istniejącego poza cywilizacją, czyli też na jej tle.

Odbiciem — względnem jak wszystko, lecz najbardziej przybliżonem do t. zw. rzeczywistości bytu, jest tedy nie humanistyka, lecz psychologja, i to nadewszystko bodaj elementarna dlatego, że zniekształconej toksynami sztuczności i przeto (w pewnej bodaj mierze) patologicznej psychiki życia *par excellence* historycznego, acz skłonnej z natury rzeczy na każdym kroku do kapitulacji wobec nakazów psychiki elementarnej — niepodobna jednak poczytywać za objaw ani czynnik klasyczny życia normalnego.

To też odnosi się wrażenie, że nauka, zmierzająca do gruntownego możliwie poznawania zjawisk, winnaby stosować w dziedzinie humanistyki odpowiednie „odczynniki“, możliwe — jak mniemamy — do znalezienia w wielu przypadkach poszczególnych, właśnie i nadewszystko bodaj w sferze psychologji elementarnej.

Tymczasem o zabiegach podobnych ani słysząc, z drugiej zaś strony humanistyka — nadomiar swych braków — lubuje się wciąż jeszcze (po staremu!) w przypisywaniu bohaterom swoim psychiki, jakiej człowiek nigdy nie posiadał...



Jest to nawet pewnych gałęzi jej i ujęć, zwłaszcza „reprezentacyjnych” — jakby „punkt honoru”, czerpany bodaj z przeszłości, bardzo już zamglonej — gęślarzy — z tą wszelako różnicą, że tamci pono *śpiewali*; „kto (zaś) *mówi* o sprawach poetyckich, jest — jak twierdzi Lew Tołstoj — odczuwania poezji... pozbawiony”...

W czasach naszych narzuca się tu jednak uwadze spostrzegacza skłonność badaczy do niebywałego — zarówno bodaj w stopniu swym jak rozpowszechnieniu — obnażania mechanizmu psychiki (t. zw. w epoce *fin de siècle'u* „nagiej duszy”) człowieka cywilizowanego, co powinno by sprzyjać głębszym naukowo dociekaniom humanistycznym<sup>890</sup>.

Okoliczność ta i bijące z niej światło rozumieją się wprawdzie same przez się, lecz — jak trafnie zauważył był już Talleyrand: „jeśli coś rozumie się samo przez się, będzie się rozumiało jeszcze lepiej, gdy będzie napisane w ujęciu prawnem” (t. j. odpowiedniem).

Zalecenie to, pozornie tylko ironiczne, posiada tu znaczenie dwojakie: rzeczowe i intelektualne, gdyż — potęgując siłę myślenia w danym kierunku konkretnym, podnosi ją również — conajmniej potencjonalnie — ku pożytkowi poznawania naszego, w kierunkach i dziedzinach innych.

Możnaby nadto dodać tu mimochodem, że określenie starości człowieka, dające się sformułować jako jego — nabyte w ciągu życia — doświadczenie, daje się zastosować i do historii, a zwłaszcza do jej syntezy, jako doświadczenia, zdobytego w toku dziejów przez naukę — nie tylko rzeczowo, w stosunku do danych faktów, lecz i psychicznie (przez badaczy samych), dzięki czemu właśnie może i powinna być mowa o postępie w poznawaniu zagadnień dziejowych.

Dlatego to — między innymi — potrzeba bliskiego związku naukowego dziejopisarstwa z psychologią, jest — mimo wielorakich między niemi przeciwieństw — zarówno w świecie życia, jak teorii, uderzającą.

Winniśmy tedy zastanowić się — bodaj na chwilę — i nad tem także, w jaki to sposób i w jakiej mierze „prawa względności”, rzucające się w oczy przy przeglądzie spraw



psychiki ludzkiej na każdym kroku, zarysowują się najwydatniej i w humanistyce.

\*

Gdyby ktoś spojrzał na świat zzewnątrz, a potem — poprzez łączność swą z nim — na samego siebie, to w pierwszym przypadku świat, w drugim zaś on sam sobie wydałby się czemś obcem.

Wszystko bowiem, co ustosunkowuje się do jaźni naszej odśrodkowo: co w stosunku do nas przedstawia się nam jako zjawisko od nas odrębne, jesteśmy skłonni — wpatrzeni w dal wszechświata — ujmować na jednym jej biegunie jako nicość, na drugim zaś jako bóstwo złe, lub dobre — jako szatana, lub Boga.

Jedynie bowiem w zawisłości od punktu, z jakiego kogoś lub coś, w stosunku do siebie samych, a choćby — do chwilowego bodaj nastroju naszego, na taśmie *panta rej* pochwycimy — wyda się nam ów ktoś, czy owo coś — tem lub owem.

Skoro też samych siebie określimy jako *a*, nie siebie zaś jako *b*, to wywiąże się stąd formuła następująca:

$a+b: a-b=$ , ja do nie ja“, (albo koncepcja Boga): koncepcji *Nicości* lub też: „*Bezrozględnosc*“ = „*Względnosci*“.

Psychika polska, a zwłaszcza ludu naszego, boi się myślenia, jak ognia. Przeraża ją bowiem — w jej bycie, mimo wszystko, od wieków idyllicznym<sup>391</sup> — wyczuwana instynktem nieubłagalność konsekwencji wniosków, snutych na temat t. zw. rzeczywistości bytu.

To też żywiła zawsze dotąd, oraz żywi i zaspakaja psychikę tę taka czy inna bajka, której stosunek do wniosków pomienionych jest klasycznie względny, rozciągliwy, a przystosowany zasadniczo raczej do idyllicznych chęci przedstawicieli psychiki pomienionej, aniżeli do t. zw. faktów realnych.

Byłoby zbędnem dodawać, jak dalece sprzyja to panowaniu u nas — jaskrawo nieraz sprzecznych z wytycznymi myślenia świata — „prawd“ gołosłownie konwencjonal-



nych — przez logikę rzeczy do wyrozumienia, a tembardziej do przewidzenia w życiu, arcytrudnych.

Wprawdzie i u nas — podobnie jak w świecie całym — wyroki historii opierają się konieckońców na stopniu powodzenia, towarzyszącego danym ludziom czy sprawom w życiu realnem, stając się przytem poniekąd odbiciem predylekcji, panujących przeciętnie w danej dobie... Wprawdzie bywa tak najprzeważniej; mimo to jednak — jakby hołdując bądźco bądź (tajemnie) pragnieniu iszczenia się bajek nieiszczalnych — jesteśmy skłonni — nawet w obliczu przeczącego urokom naszym życia — głosić (z bólem) zasadę, że: „Majestat dziejów, a gloria cnoty, to są dwie różne rzeczy“<sup>392</sup> — ani przypuszczając, że „różność“ ta płynie wyłącznie z własnego naszego daltonizmu, niedopuszczającego nam pojąć czy pogodzić się z faktem, że (życiowe) „prawa wielkości a małości są odmienne“<sup>393</sup>...

To też historjografia przyszłości będzie mogła najpewniej — obok historii prawa, czy literatury — użyć owocniej niż dotąd również i historii dziejopisarstwa (polskiego z pewnością nie na miejscu ostatniem!) — jako soczewki ducha czasu danych epok.

Ujawni się przytem na tle publicznego życia naszego w pełni pożądaney, uderzająca, a nigdzie bodaj w stopniu takim jak u nas nieznaną, właściwość psychologiczną polską, której należałby się medal z napisem po jednej stronie: „zastaw się, a postaw się“; po drugiej zaś: „pozwól, że zajmę miejsce twoje“...

Zmierzające ku temu metody są rozbijające proste: Ludzi, zwłaszcza wybitnych, sądzi się nie „z angielska“, t. j. wedle tego, czem byli, lub są, lecz — odwrotnie — po naszymu: czem nie byli, czy nie są, przyczem, o ile można, jak najskwapliwiej stosuje się do nich wyraz: *nie* — bez wyjątku, byle zawsze i wszędzie...

O, słodki (acz niezasłużony!) śnie o... potędze!

Zaprawdę, nie potrzeba tu, jak widzimy, formalnie „materialistycznego“ pojmowania dziejów, aby zdecydowanej większości dzisiejszych zwłaszcza (acz nie wyłącznie!) nastrójów naszych publicznych odmówić uduchowienia<sup>394</sup>.



A okoliczność ta jest dziś tembardziej ważką ujemnie, że z punktu widzenia interesów cywilizacyjnych, nietylko naszych, epokę obecną stać o wiele mniej, niż jakąkolwiek — bądź inną, na mściwe błędy w dziedzinach, *ubi de te fabula narratur...*

Może tedy być wolno ludziom w zadawnionych dobach akademizmu abstrakcyjnego, opartego o wieloraki pokój powszechny, reagować jak zechcą, na imiona: Alexander, Cezar, Napoleon — ale niewolno im dzisiaj — mimo wyczerpania powojennego, a pod grozą zagubienia busoli cywilizacji — widzieć w nich li tylko cienie o pustych oczodołach...

Tem mniej zaś mogą oni sobie w danych warunkach pozwolić na marnowanie talentów ludzkich, zdolnych legitymować się obiektywnie przed otoczeniem — zwłaszcza gdy wspomną, że „tylko człowiek zasłużony ma prawo rozprawić o stopniu zasług cudzych“<sup>395</sup>...

Przytem — w ciężkiem położeniu kraju, oczekującym na prawo — niewolno, i to z punktu widzenia jaknajbardziej realnego, zapominać o tem, że: „nie święci garnki lepią“ — że tedy mogą i u nas powstawać warunki, umożliwiające owo polepszenie sytuacji, byleby usilnie a trwale zabiegał o to ktoś (niekoniecznie w sposób dla ogółu wydatny: „ja“ sam bezpośrednio!).

Zresztą, trzeba pamiętać i o tem, że każdy człowiek normalny odczuwa w chwilach napięcia sił swoich psychicznych głód wielkości, którą atoli pełnia człowieczeństwa zwykła znajdować nadewszystko może poza sobą, małość zaś człowieczeństwa litylko — w sobie samej...

Jest tak, gdyż i najdonioślejsze nawet czyny publiczne zapadają się, jak wszelkie naogół zjawiska inne, z chwilą swego stawania się — w przeszłość, co jest dowodem, że mocą ich, wynikającą z życia i przenikającą życie, są raczej warunki, o których wyżej, niż owe czyny publiczne same przez się.

Trudno zaprawdę o pouczenie wymowniejsze dla cywilizowanych ludzi dobrej woli, a zarazem i o widoki rozleglejsze, ścielące się, jak widzimy, potencjonalnie, przed (pla-



stycznym wobec życia) organem dynamiki bytu ludzkiego — psychiką człowieka!

Istnieją oczywiście, obok t. zw. optymistów — ludzi mocy, wiary i czynu, t. zw. pesymiści: typy bierne malkontentów — niezadowolone z niczego i najczęściej do niczego niezdolne...

Nie małość przyrodzona jest atoli wyrazem pełnym człowieczeństwa!

Jest nim — arystokratyzm ducha, nie mający zresztą wiele wspólnego z dotychczasowym w dziejach świata — dziedzicznym zwłaszcza — arystokratyzmem społecznym, stającym się tak często parodią i karykaturą własnych swych założeń.

Źródłem bowiem i podstawą istotną koncepcji arystokratyzmu realnego — jest nadewszystko logika rdzenna, właściwa wszelakim formom bytu i ich rozwojowi, w swej postaci możliwie doskonałej. Nie jest to tedy nic innego, jak siła typu, czynnego w życiu tak lub owak. Typu, wierzącego w rację swoją, nie cudzą i przeto dorastającego do swej roli. Typu, stroniącego żywiołowo od hamletyzmu, któryby dyskwalifikował *a limine* ludzi czynu a na ich czele ludzi władzy. Razem wzięwszy — jest to siła typu, co się ponad pospolitość wybija, spełniając należycie te nakazy ewolucji, jakie *summum* natury — niezawsze dosłyszalne dla wszystkich — tchnęło we wszystko to, co istnieje w pełni.

Zasadniczo mieszczą się w tchnieniu tem zarówno pierwsiastki t. zw. „materji“, jak „ducha“.

Tego ostatniego jesteśmy zdolni wyczuwać tylko poprzez pierwszą, a owa pierwsza — „materja“ — rdzeń „doczesności“ — jest nie tylko najbardziej, lecz bodaj wyłącznie poznawalną dla przeogromnej większości ludzi...

To też sensem t. zw. materjalizmu, zawartym w t. zw. mądrości życia, jest od prawieków podziśdzień jedno: potrafić narzucić innym trud na rzecz swego — t. j. materjalisty — dobra.

Duchowym zaś — *vice versa* — odpowiednikiem „mądrości“ takiej, wyładowującym się z założeń psychicznych na najwyższych szczeblach bytu ludzkiego — jest nietyłe mo-



że prosta odwrotność sensu materialistycznego, ile tej jego „odwrotności“ życiowa nadrzędność, polegająca na wyżywaniu się typu uduchowionego<sup>394</sup> w kierunku najwyższego (z punktu widzenia człowieczeństwa pełnego) pożytku bliźnich.

Jest to nietylko dziedzina „transcendentalizmu“ i „mystycyzmu“; jest to również pełnia psychiczna dosytu życiowego *hominis sapientis*.

Jest to — dalej — taż sama, nieuszczerbiona siła witalna, dzięki której człowiek normalny potrafi odczuwać, zwłaszcza w starości, doznawane skądkolwiek bądź dobro-piękno, t. j. harmonję czegoś z sobą — nietylko już egotycznie, lecz jakby w pełni istotnej, od rzeczy i spraw „konkretnych“ oderwanej, a przelewającej się na wszystko, co jest, więc również i na nie...

A owa — w rozumieniu materialistycznym — dla pomienionego dobra-piękna „obojętność“, nietylko nie zmniejsza jego czarów, lecz — wręcz przeciwnie — mnoży i potęguje je w nieskończoność...

Jest w tem jakby oczyszczony z nalołów życia, ewangeliczny *Początek, który i mówię wam*<sup>395</sup>, a czyliż nie jest to w gruncie rzeczy obojętne, jak się stan ów psychiczny w języku ludzkim mianuje: „duch“, „harmonja“, „dobro“, „piękno“, „prawda“, czy „szczęście nieskończone“??

Zwłaszcza, że w stanie, o jakim mowa, przemawiają do człowieka poprzez jego „serce“ nietylko objawy „dobra“, doznawane w danej chwili!

Nie! Wiążą się one i nanizują na nic tożsamą, biegnącą również wstecz i w głąb jego żywota. To też, tak ujawniona, wieczna dla serca ludzkiego trwałość doznanych przez nie tchnień „dobra“, sprawia, że i po latach przesycone niem czyny zdolne są jaśnieć we wspomnieniach człowieka niezniszczalnie, na rumowiskach spopielonego już „zła“, jako śladu wypełnionych treścią przemijającą, życiowych posunięć ludzkich!



A jeśli „duszą“ (przemijającą) t. zw. życia realnego może stać się tu i owdzie objaw patologiczny psychiki ludzkiej, w rodzaju megalomanji, będącej właściwie głupotą, t. j. niedorozwojem człowieka w jego ustosunkowaniu się do otaczającego go świata — to „duszą“ (istotną) uduchowienia nie może być w gruncie rzeczy nic innego, jak: pokora.

Pokora bowiem, to nietylko stan skrucy moralnej człowieka pełnego wobec Nieskończoności Niepoznanego — to nadewszystko dojrzały wyraz psychiczny prostej konieczności ładu społecznego: jego „kosmiczna“ w świecie ludzkim kłapa bezpieczeństwa, bez której ład ów i zestrój musiałyby ulegać wstrząsom i zaburzeniom nieustannym ze strony rzesz, pojmujących życie, jako żerowanie na wyższości ludzi doskonalszych, w myśl powiedzenia, że „delikatnym jest ten, kto cudze niedelikatności znosi“<sup>184</sup>...

W tej powszechnej a chronicznej potrzebie — ba! życiowej konieczności ofiary jednych na rzecz drugich — leży z jednej strony splot piekielnych w rozumieniu materjaliścizmem klątw i paradoksów „zła“, zespolonego nadewszystko a nieuchronnie z ludzkim życiem zbiorowem; z drugiej zaś — ognisko płomienne cierpień moralnych, oczyszczających w drodze ku uduchowieniu świat wewnętrzny jednostek człowieczych...

Wszystko to — prawda; atoli, w myśl płynących z pojęć cywilizacyjnych dążeń do równowagi normalnych objawów życia, należałoby unikać planowo wszystkiego tego i zapobiegać temu, co równowadze owej grozi...

Jakoż, jakgdyby pod działaniem takiej właśnie wskazówki teoretycznej — państwo, stróż sprawiedliwości ustrojowej, wkracza dziś wszędzie „tam, gdzie interes publiczny tego wymaga“...

Pomijając wszelakie racje inne, sama już bodaj okoliczność ta uzasadnia dostatecznie rację jego bytu, trwania i rozwoju. A rolę tę, w życiu zbiorowem mas zawsze i wszędzie niebędną, choć niezawsze zarówno masom jak jednostkom do gustu przypadającą, ułatwia — ba! umożliwia



nieuniknionej instytucji państwa, sam, tkwiący w głębi natury, *sui generis* plan stworzenia, który biologowie nazwaliby tu może „substancją twórczą“.

Natura — poprzez psychikę ludzką — rozbudowuje bez przerwy świat człowieczy, w którym mogą wprawdzie przychodzić do głosu, jak wszędzie, anomalje nader wielorakie, ale trwać i płodzić, t. j. rozwijać się normalnie, czyli z istotnym sensem swym zgodnie — może to tylko, co nie kłóci się zasadniczo z pomienionym „planem stworzenia“, sprawiającym — że użyjemy tu ilustracji banalnej, pierwszej z brzegu — to np., że mężczyźni — w pewnym jego wieku — rośnie zarost, a kobietom — nie.

Powiedział ktoś<sup>397</sup> dowcipnie, że: „jeżeli w życiu trafiają się dwa wyjścia, chociażby sprzeczne, wybiera się jedno i — o ile możliwości — także drugie“...

„Prawda“ ta to nie tylko... paradoks. To także — i to nade wszystko może — stwierdzenie psychologiczne faktu biologicznego, że życie pełni się wszędzie tam, gdzie — może i gdzie... nie może, oraz — (pośrednio), że ostatnia ta okoliczność — to główna bodaj przyczyna tak częstej w życiu niezaradności ludzkiej...

Jakkolwiek jednak bywa tak niewątpliwie, a „nigdy nie możemy wiedzieć, czy to, co nas zasmuca, nie jest źródłem naszej przyszłej radości“<sup>398</sup> — to t. zw. „mądrość“, czy t. zw. „rozum“, będące wykładnikiem życiowym norm psychiki ludzkiej, polegają na umiejętnej ocenie stosunku danego zjawiska do praw natury, co stanowi zarazem warunek nieodzowny trafnego przewidywania tego, co w danym przypadku stać się może, a ewentualnie: co się stanie.

Stąd, powiedzenie Auguste Comte'a: *savoir — c'est prévoir*, jest arcysłuszne — nie masz tu bowiem innego sprawdzianu...

Ciśnię się jednak, w związku z owym „wiedzieć“ i z owym „przewidywać“, na myśl prostolinijne, jak podstawy psychiki naszej, pytanie: zgoda ale — w jakimże to zakresie?

Otóż — wszystko zdaje się wskazywać na to, że choć kalejdoskop komplikacji psychologicznych, widzianych w skali ich szerokości, jest dziś już na tle życia niezmierzony,



to jednak stan głębi psychiki stworzenia ujawnia wciąż jeszcze szczebel swój arcyprywatny.

Zwierzę potrafi na (względnie) krótki czas i dystans niedaleki „przewidzieć” grożący mu przypadek; człowiek — nie wyłączając największych nawet jego przedstawicieli — *podobnie*z tylko umie się zachować wobec obchodzących go zjawisk...

Marszałek Francji, Franchet d'Espèrey, tak mówi o Napoleonie: „...Uspodobienie, które wszystko nagina do własnej woli. Nie ma on wytkniętego planu, lub prawie nie ma, a postanowienia jego rodzą się w biegu wydarzeń”<sup>299</sup>... A ktoś inny dodaje: „W polityce najdalej zachodzi ten, który nie wie, dokąd iść”...

Zdaje się, że podobnie prowadził — zwłaszcza w okresie początkowym — i Otton Bismarck polityczną swą działalność, a na tle obserwacji, o jakich tu mowa, oraz wysnuwanych z nich wniosków psychologicznych, powstało najpewniej przysłowie: „Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi”...

To też w świetle tem — *sub specie aeternitatis* — t. zw. „rozwój”, a zwłaszcza t. zw. „postęp” — zakrawają raczej może na ruch fal bytu ludzkości, odbywający się na powierzchni życia, aniżeli na pochód tejże ludzkości wgląd czy w dal istnienia...

Przysłowiowe zaś „gwiazdy” — *sic itur ad astra* — rozważane w temże świetle — odbijały się i odbijają raczej może w ludzkim zwierciadle psychicznem nawierzchni prądów bytu, aniżeli — jak przywykliśmy sądzić — w ich toni.

To ostatnie byłoby tu zresztą sprzeczne z tem, co spostrzegamy w naturze całej!

Wszak „głębie” jej i „tonie” — to raczej świat drobin, niż tytanów...

A ci ostatni i w starożytności już wychodzili nie z ciemni materialnej Hadesu, lecz z Chaosu, jako zarodzi... Olimpu (ducha).

Czyż zresztą — gdyby było inaczej — mógłby jaśnieć w hagiografii wieków — jako człowiek uduchowiony — na równi z królem, czy filozofem, oracz czy pasterz trzód?



Dalej zaś — rozważając rzeczy zarówno psychologicznie, jak hermeneutycznie — w perspektywie dziejów — niewolno nam zapominać, że — jak powiada przysłowie — „nie odrazu Kraków zbudowano“: że nadto — współpracując w budowie gmachu — ani wie robotnik, do jakiej przyczynia się całości; że — jednym słowem — jak powiada Heibel: „...i te góry, które człowiek w życiu najtrudniej przebywa, składają się zawsze z ziarenek piasku“...

Słyszysz się jednak nieraz słowa: Ba! Zrobił. Dokonał. Ale cóż z tego? Ten i ów — gdyby był miał te „warunki“, co on — dokonałby był rzeczy nierównie większych!

Pomijając wzgląd, że sądy podobnie nierealne a — najprzeważniej — warcholsko-subiektywne, bliższe są zazwyczaj gadulstwa, niż poziomowi poważnej krytyki czy oceny — należy pamiętać, że na to, iżby czegoś mozolniejszego dokonać — trzeba na dany czyn bardziej może zdobyć się... *módz*, aniżeli czynu tego — *chcieć*...

Otóż — z nieba — spada raczej to ostatnie, aniżeli — pierwsze i dlatego to: pracować, zabiegać, mozolić się, usiłować — trzeba właśnie poto, aby — „*módz*“, niekoniecznie zaś poto, aby... „*chcieć*“.

Nie prostacy, lecz stokroć bardziej t. zw. inteligencja (nasza) zapomina o tem zbyt pochopnie, a może i zbyt powszechnie.

\*

Umysłowość nasza, powołana przez los po miastach w okresie porozbiorowym do kierowania Narodem — wyrosła najprzeważniej: ilościowo i jakościowo, na szlacheckim gruncie wiejskim — życiu publicznemu wtedy zwłaszcza nader obcym, a — ze względu na nastrój swój psychiczny — nie mającym, zwłaszcza w Kongresówce — nie niemal wspólnego z Europą, która jednak o losach świata stanowić nie przestawała.

Razem wzięwszy, było to — z punktu widzenia historycznego — zjawisko zupełnie swoiste a wyjątkowe, które na osiągniętych przez się szczytach człowieczeństwa nie ustępo-



wało wprowadzić i najwyższym bodaj jego w świecie poziomom<sup>400</sup>, ale w życiu przeciętnem, zwłaszcza zaś w stosunku jego do spraw publicznych, wytworzyło istne *unicum* bytu, dające się określić jako mieszanina — o proporcjach nieobliczalnych i dawnych, i to nie najlepszych, z czasów Rzeczypospolitej, pojęć szlacheckich polskich — wraz z bałagultwem kresów a niekiedy i z chińszczyzną czynowniczą moskiewską, co wszystko razem, dzięki niskim swym poziomom, nieźle łączyło się z sobą.

Zasadniczą jednak cechą psychiczną mieszaniny tej stała się niewiara absolutna w zdolność Polaków do samodzielności nie tylko państwowej, lecz i wszelkiej publicznej bytu, oraz — niezrozumienie bezwzględne wszelakich dążeń cywilizacyjnych, występujących po stronie (uważanych za „farmazonów“!) własnych współbraci...

A ponad tem wszystkim górowała w chwilach napięć psychicznych niewygasła iskierka typowo „samowystarczalnej“ pewności siebie rolniczo-szlacheckiej, przeobrażająca się wśród wychodzącej z tegoż świata t. zw. inteligencji (miejskiej) w żałośnie śmieszną nieraz megalomanię ludzi niedouczonej, w stosunku do niepojmowanych przez nich zgoła, nawet powierzchownie, zagadnień, zadań i dążeń, realnie, t. j. po europejsku, cywilizacyjnych.

Puściznę naszą psychologiczną Kongresówki, która — mimo wszelakich nad nią wyższości jednostronnych Wielko- i Małopolski — stanowić będzie jednak na długo jeszcze miernik podstawowy polskości przeciętnej, tworzy tedy mieszanina „inteligencji“, o której wyżej, z t. zw. „zdrowym“ lecz często jaskiniowo jeszcze barbarzyńskim — „rozumem chłopskim“.

Przesłanki i normy zachodnio-europejskie — o ile nie nastąpi tymczasem zmierzch samej Europy — muszą pozostać na długo jeszcze czemś w gruncie rzeczy dla mieszaniny, jak powyższa, odległym i obcym. Swojskich zaś, w danym przypadku arcywyjątkowym jedynie bodaj trafnych, norm kulturalnych, mogących służyć Polsce obecnej i przyszłej, wobec potrzeb jej wielorakich — obmyślać planowo niepodobna, bez starannego na każdym bodaj kroku, wnikania



w stan nasz psychiczny, w rozumieniu zarówno elitarnem jak szerzej zbiorowem.

Osiągnąć to, o co tu chodzi, potrafi jak zawsze i wszędzie, a w danym przypadku tembardziej, nadewszystko samo życie...

Powinnaby też powstać i rozwijać się w dziedzinie, o której mowa, właściwa literatura empiryczna.

Wyłącznie bowiem zachodnia (nie mówiąc już o wschodniej!) tu nie wystarczy, gdyż warunki historyczne, a stąd i obecne, są tu i tam wysoce odmienne.

Gdyby zaś pytał ktoś o wzory, należałoby mu bodaj, na modłę angielską <sup>401</sup>, wskazać raz jeszcze, choćby pod względem metodologicznym, życie, wysuwając przytem na plan pierwszy odpowiednie, na tegoż życia podstawie oparte samouctwo empiryczne.

Nie jest to bynajmniej lekceważeniem zadań, o które chodzi.

Wręcz przeciwnie!

Tam, gdzie nie ma książek — mistrzynią jedyną (boć i przy książkach mistrzynią główną) stawać się musi natura, t. j. psychika ludzka tak wyjątkowo przytem i wielostronnie w obliczu zmysłu poznawania naszego powszechnie dziś w świecie obnażona!

Zresztą, wielki Darwin mawiał: „Ludzie są albo nieukami, albo samoukami. Innych — niema“!

A zpoza wieków zdaje się wtórować mu ideowo starodawny mędrzec chiński, Lao-Tse, w słowach: „Gdyby mędracy nie umierali, życie na ziemi skamieniałoby“...

\*

Niepodobna pominąć tu i czynnika gospodarczego, który położenie Polski, zarówno wewnętrzne jak w stosunku do świata, komplikuje tembardziej, że wyjątkowo ubogi kraj nasz jest w danych warunkach przeludniony, że nie posiada kolonii, oraz — że zmuszony jest podejmować budowę niepodległego bytu swojego *ab ovo* w epoce zamknięcia kra-



jów innych dla wolnego eksportu, a nadewszystko dla emigracji polskiej.

Jedni — mimo niewiary zasadniczej w możność przebudowy psychiki narodu — doradzają nam, wobec nieubłaganych potrzeb życia, „wmurować (światopogląd morski) w umysły wszystkich Polaków, na całym obszarze Rzeczypospolitej”<sup>402</sup>. Inni — wbrew oczywistej konieczności gospodarczej utrzymania prosperującej rolniczo średniej własności ziemskiej — chcą przeciwdziałać barbarzyństwu naszemu i nędzy, zwłaszcza wiejskiej, przez roboty publiczne a konieckońców bodaj przez parcelację ziemi między małorolnych i bezrolnych<sup>403</sup> (nędzarzy)...

Nic we wszystkich tych zabiegach — niekiedy rozpaczliwych — niema dziwnego! Wszak — jeśli idzie o wymowę faktów, najbardziej realnych, to wydatki państwa na jednego mieszkańca, wynoszą rocznie w Polsce 76,7 zł., gdy w Czechosłowacji sięgają 218,6 zł., we Włoszech 288,5., w Niemczech 311,8., nie mówiąc już o Anglii, gdzie przekraczają nasze niemal dziesięciokrotnie, dochodząc do 753 zł.<sup>404</sup>!

W takich warunkach, które niemniej wymownie ilustruje fakt, że 76% naszej własności rolnej stanowią działki drobne, często wynoszące mniej niż po 2 hektary powierzchni, a zmuszone (w opłakanych warunkach produkcji) wyżywić po 8 i więcej osób — obiektywni rzeczoznawcy cudzoziemscy dostrzegają nakaz kategoryczny (lecz niewykonalny!) eksportu materiału ludzkiego, twierdząc, że jest on dla Polski równie niezbędny, jak eksport produktów rolnych, choć głodowy poziom dzisiejszy życia chłopu polskiego odpowiada analogjom francuskim z przed 200 lat<sup>405</sup>!...

A cóż tu na gruncie i tle takim mówić o „kulturze“?!<sup>406</sup>.

Posłuchajmy takich oto uwag:

„Niedolą straszliwą jest przedwczesny zanik talentów, „których kraj nie poznał, choć żyły w tęsknocie czynu: gruczoły piersi samograjków, kalectwa wojenne stolarzy-samouków, ciemny byt poetów i rzemieślników z iskrą Bożą — „wszystkich tych gazdów i komorników, nieznających przez całe życie żadnego poparcia... Oni zaś łakną pola do twór-



„czości, urodzeni twórcy, ludzie przepysśnie zdolni — smagani głodem, wichrem halnym i samotnością<sup>407</sup>...”

Nie potrzeba natomiast Zoli, aby stwierdzić dziś u nas i to na gruncie nietylko miejskim, lecz i wiejskim — obywatelstwo zbrodni, która starców „na wycugu” zabija głodem, noworodki — „zaziąbianiem” i gdzie o pospolitej, stosowanej w praktyce uczciwości, mimo abstrakcyjnego pojmowania jej naogół, zrzadka kto słyszał<sup>408</sup>.

Na „wyżynach” zaś — rozproszonych, rozbitych i pokłóconych z sobą nawzajem — odnosi się pozatem wrażenie, że jednostka ludzka, choćby i wielorako „na bezrybiu” a pozornie uprzywilejowana osobiście — to tylko coś jakby knot, który bez odpowiedniej masy-oliwy, może tylko skwierczeć w lampie dziejów...

Skwierczeć i zaswędzać atmosferę. A przecież „w życiu „zarówno jednostek jak narodów, (nawet) fakty obiektywne „nie mają tak wielkiego znaczenia, jak sposób, w jakim są „(podawane i) przyjmowane. Umiejętnie oddziałując na uczucia, można bogacza wprowadzić w stan wielkiego zdenerwowania, a poczucie prawdziwej błogości wywołać u nagiego w pokrzywach<sup>409</sup>...”

Nawet „polityka jest sztuką wpływania na ludzi (przez wywoływanie w nich pewnych nastrojów), a ekonomja — sztuką oddziaływania na rzeczy<sup>409</sup>...”

Dlatego to może ludzie — dziś zwłaszcza — niczego nie zazdroszczą innym tak gorąco, jak mogącej wystarczyć sobie życiowo... samotności<sup>57</sup>.

Wymowny to dowód, jak bardzo ludziom ciężą obecnie — ludzie, oraz jak dalece pociąga ich ku sobie w epoce prostracyi — siła, a choćby tylko instynkt siły, wyczuwany przez nich w psychice potencjonalnej!

\*

Wulkaniczny stan dziejowy czasów naszych sprawia, że niepodobna mówić dziś o sprawach społecznych, nie potrącając o bolszewizm, i to — bez względu na to, jak go ocenimy zasadniczo: czy to jako najzłośliwszą z narośli pato-



logicznych człowieczeństwa, jakie zna historia, czyli też jako potwierdzenie bezapelacyjne przeznaczenia, któremu imię: *Ex Oriente Lux!*

Tak czy inaczej — trzeba dla porządku stwierdzić, że arcyotężna zawsze i we wszystkim sugestia — tym razem przybrana w blaski kuszące — nietyle z pewnością prawdy życiowej czy filozoficznej, co talentów wielkich artystów pióra, jacy uświetnili rosyjską literaturę piękną z czasów przedwojennych — przydała (przedwcześnie) bolszewickiemu „Światłu Wschodu“ wiele niezasłużonych blasków.

Zresztą, bolszewizm „wczorajszy“, „dzisiejszy“, a „jutrzejszy“ — to nie jedno. Być może, „onegdajszy“, komunistyczny szal Kalibana, zamieni się tam „pojutrze“ — nietylko już za kulisami — na kapitalistyczny — częściowo zamerykanizowany — rekord techniczny świata, zachowując dla „wdzięku“ dawną swą nazwę. Nam idzie tu o jego postać zprzed układów Moskwy z Paryżem 1936 r., którą podziśdzień uważamy za podstawową dla naszych wniosków zasadniczych.

A trzeba dodać, że — nawet na tle iszczących się w świecie nieprawdopodobieństw naszych czasów — zaszło było z bolszewizmem u jego brzasków *qui pro quo* wręcz niebywałe, stanowiące z jednej strony szczyt paradoksów ludzkich, z drugiej zaś — prawdziwie bezcenny dla rodzącego się bolszewizmu... bilet wizytowy wobec świata.

Oto, uderzający artyzmem swych koncepcyj wyobraźnię powszechną, niewołący uczucia ludzkie fantazmagorją dramatyzowanych przez siebie cnót ludzkich, olśniewający świat czarem literackich swych arcydzieł, Lew Tołstoj — niepomny przestrogi *qu'il ne faut être jamais plus catholique que le pape* — pozbawił, zwłaszcza w Rosji oś duchową cywilizacji — chrystjanizm — zasobów siły jego życiowej, przez prośbę odjęcie mu w psychologicznych swych rozważaniach pierwiastków przykazania: *Oddajcież mięć, co jest Cesarzskiego, Cesarzowi*<sup>410</sup>...

Ów to — z sentymentalnie hamletycznego fatalizmu rosyjskiego płynący, dla jego artyzmu swoście typowy, ale życiowo ważki, moralny *balon d'essai* Tołstoja, zbiegł się



przypadkowo może, lecz niemniej „owocnie“, ze spletem żywionych w dobie *fin de siècle'u*, a spotęgowanych do zenitu przez Wielką Wojnę, głodów moralnych fermentującego w materializmie świata.

Rozważając rzeczy obiektywnie, na tle dziejów cywilizacji nie tylko chrześcijańskiej, lecz również załamanej niedawno temu konfucjuszowskiej<sup>411</sup>, a poniekąd i buddyjskiej, odnosi się wrażenie, że Lew Tołstoj był niewątpliwie zjawiskiem duchowym raczej średniowiecznym, niż nowożytnym<sup>412</sup>: subiektywnie wszelako, na tle współczesnych mu, a zwłaszcza powstałych wkrótce po jego zgonie, wstrząsów powszechnych, stał się on, oraz cała jego *sui generis* „szkoła“, z Dostojewskim, jako „wstępem“ do niej — słupem ognistym nowych objawień, a wśród nich nade wszystko właśnie pewnych doktryn bolszewickich — acz życiowo z nimi pozornie najsprzeczniejszych!

Jeżeli też „Rosja carska była poprostu hodowlą zboczeń intelektualnych i uczuciowych, wywołanych przez spaczne wyobrażenia erotyczne<sup>413</sup>“ — to obecna — pod wpływem metod komunistycznych karykaturowania zjawisk aż do stopnia życiowego zacierania w nich doszczętnie istoty ich, sensu i celowości przyrodzonej — stała się hadesem klasycznym paranoizmu psychiki ludzkiej, zarówno indywidualnej jak zbiorowej.

Bolszewiczka Pankratowa, badaczka niewątpliwie inteligentna, która przybyła do nas z Moskwy przed paru laty, dowodziła pono w dłuższem przemówieniu, wygłoszonem na VII Międzynarodowym Kongresie Historyków<sup>414</sup>, że: „przedmiotowa ocena w badaniach naukowych jest złudzeniem, a jedynie możliwe kryterium porównawcze daje klasowy punkt widzenia“...

Otóż, część pierwsza tego twierdzenia, to — truizm. Czyżby jednak przyczepiono do niego część drugą... dla stworzenia pozoru, że jakiegobądź *tertium comparationis* a obiektywizm, to jedno?!

Wszak na zasadnicze twierdzenie uczonej możnaby odpowiedzieć, że — jeżeli wogóle istnieją klasy (społeczne) jako zespoły ludzi o poglądach równie bodaj, jak poglądy



jednostki na świat i życie, ustalonych — to, z powodu, że poglądy owej klasy, jako zbiorowiska, mogą być wypowiedziane li-tylko przez jednostki, do niego należące, przeto poglądy te, wraz z zawartym w nich, klasowym punktem widzenia, muszą być nacechowane *ipso facto* nietyle „objektywizmem“, ile — wręcz przeciwnie — subiektywizmem, i to: dwojakim, a mianowicie: jako wyrazem, mniejwięcej bezpośrednim, danych jednostek, oraz jako wynikiem działających na nie — ze skutkiem szczerym czy obłudnym — wpływów (klasowych) otoczenia.

A czyż „porównanie“ zestawienie — z konieczności: mechaniczne — wielu nawet podobnych „klasowych punktów widzenia“ (t. j. jaskrawych subiektywizmów) pomiędzy sobą, może nam zastąpić poszukiwany tu obiektywizm, psychologiczne normalny?

Cóż dopiero, gdy dodamy specyficzną — np. w zestawieniu z Zachodem — cechą rosyjskości, obfitującej wprawdzie (w najlepszym razie!) w dorywczo-wybuchowe zapaly, właściwe większości barbarzyńców, lecz niezdolnej do wytrwałego w swem natężeniu, bo niewyrobionego zgoła jeszcze, człowieczeństwa <sup>415</sup>...

To też, zamiast myśleć o wytworzeniu w tyglu bolszewizmu nowego typu człowieka i o narzuceniu go światu — praktyczniej byłoby z pewnością dla Rosji i jej ludów, ucywilizować stopniowo samą siebie...

Bo choćby nawet ów „nowy człowiek“ z tygla wyskoczył — nie da on sobie rady nieprzerobionym na jego modłę (jak chciał tego Trockij) świecie całym.

Gdyby zaś i ta ostatnia utopja była osiągnięta — to sama jej planowość ludzka skaże ją, wraz z jej *homunculem*, pomnożonym przez miliony, na zagładę dlatego, że jajo nie może być mędrzem od kury, człowiek od życia, a koszarowy bolszewizm, czy inny jego naśladowca — od tej ramowej wprawdzie w rozumieniu ograniczoności życia, lecz nieskończonej jako rozmaitość jego objawów — bezplanowości przyrodzonej, z której w ramach bytu wyłoniła się w czynnościach swoich i którą w tychże ramach *ad infinitum* tworzy, psychika człowieka.



Dlatego to nie prowadzi do zamierzonych wniosków i najlepsza bodaj z dzieł naukowych bolszewickich, książka N. Bucharina p. t. „Imperjalizm a gospodarka światowa“. Tezę jej bowiem zdaje się być założenie, że zarówno doktryna jak programy bolszewizmu płyną z siłą konieczności, powodowanej automatycznie przez niedający się opanować przerost kapitalizmu i gospodarczych skutków jego międzynarodowych. Tymczasem powstaje i tutaj pytanie psychologiczne, czy człowiek, a za nim ludzkość skazani są istotnie na fatalistyczną uległość bez sprzeciwu wobec sił irracjonalnych życia zbiorowego, i to takich zwłaszcza, co zdają się płynąć z jego nurtów i żerować na nich tylko dlatego, że nie przetrwała ich jeszcze dostatecznie cywilizacja, t. j. ani poznanie ludzkie, ani wola człowieka?

Psychika była, jest i będzie nieskończonością naszą, nie zaś jakabądź jej reglamentacja, powołana z natury rzeczy nie do roli twórczej, lecz bodaj policyjnej — w świecie utopji, istniejącym poza życiem.

I jeszcze jedno: Twory życiowe przyrody — to rozmaitość; koszarowości zaś to szablon. Antynomje — nietylko w sprawach zasadniczych — mnożą się tu na każdym kroku!

Cóż tedy stąd, że gdy t. zw. „rzeczywistość“ jest zasadniczo względną<sup>201</sup>, — zarówno gorący optymizm twórczy „ludu“ — jak wystudzony w swym sceptyzmie pesymizm „inteligencji“ — mogą być, zwłaszcza *sub specie aeternitatis* — choćby i na równi „uprawnione“ w życiu?

Cóż stąd, że — innymi słowy — zarówno życie samo, jak stosunek ludzi do niego, da się kształtować poniekąd rozmaicie?

Cóż stąd na koniec, że — gdyby nawet *homunculusa* dało się najpoprawniej wytworzyć — to ten, z równą pewnością jak *perpetuum mobile*, nie dałby sobie — mimo zastrzyków pseudo-żywności, w jakieby go wyposażono — w życiu realnem na dłuższą metę rady!...

\*



Wśród zabiegów antropotechnicznych, mających przeobrazić świat, bolszewicy powołali do życia instytucję naczelną, celowi temu poświęconą, pod nazwą: „Gosudarstwiennaja Akadiemja istorii matierjalnoj kultury“.

To, co o pracach jej piszą oficjalni jej entuzjaści<sup>416</sup>, a co — zupełnie jak w naszych Wiekach Średnich — poświęcone jest — *comme de raison* — apologii scholastycznej bohaterów deifikowanych: w danym przypadku Lenina czy Stalina — nie zdaje się posiadać najmniejszej nawet wartości naukowej.

Zainteresować może tam conajwyżej przyszłego badacza epoki wyraz charakterystyczny potępieńczych swarów (bolszewizmu z burżuazją), pozbawiony zresztą rzeczowo wszelakich przesłanek kształcących.

Omówione tam np. jako dogmat, twierdzenie (tanio propagandystyczne!) Lenina<sup>417</sup>, jakoby głównym kryterjum<sup>418</sup> wszelkiej rewolucji miało być przechodzenia władzy państwowej z rąk jednej „klasy“ do rąk innej — nie odpowiada ani pozornej prawdzie historycznej, ani — tem mniej — mechanizmowi istotnemu psychiki ludzkiej, stwierdzającemu kruchość przyrodzoną, bo tymczasowość zasadniczą, z natury rzeczy iście efemeryczną, wszelakiej „klasy społecznej“ we wszelakiej „danej chwili“...

To też Vilfredo Pareto<sup>419</sup> zaprzeczył nie bez racji samemu nawet istnieniu zjawiska „walki klas“, wobec przenikającego klasy społeczne nadewszystko — elitaryzmu, stwierdzanego przez psychologję wielorako, na każdym kroku...

Wśród prac omawianej, „Państwowej Akademji“ bolszewickiej możnaby było podkreślić z uznaniem studja znanej nam już p. Pankratowej nad wielkimi zakładami fabrycznymi<sup>420</sup> — gdyby nie naiwnie buńczuczna apodyktyczność tych studjów — czerpana oczywiście nie z nauki, lecz z triumfującej na moskiewskich jej, gruzach, doktryny bolszewickiej, mającej za punkt wyjścia nie — jakby należało — psychikę jednostkową i zbiorową ludzką, lecz — znowuż potraktowaną dogmatycznie „walkę klas“, występującą tu nadto w roli etykiety, pokrywającej jakąś tajemniczą treść polityczną...



Słowem, cechą stałą studjów bolszewickich, nawet w przypadkach, w których, choćby ze względu na świeżość tematu, mogłyby one zainteresować czytelnika — staje się przysłowiowe: „wylewanie dziecka wraz z kąpielą“...

Nic też dziwnego — zauważymy tu dla przykładu — że towarzysz pomienionych badaczów — bolszewik S. Lotte, wiodąc w związku ze swym tematem<sup>421</sup> zwycięskie góry „tezy“ komunistyczne do rzekomego tryumfu nad (cywilizowanym) przeciwnikiem, nie zauważył przytem sprawy (w państwie „robotów“ zmechanizowanych) tak „drobnej“, jak przewaga — jeśli już nie artystyczna, to conajmniej estetyczna, ręcznych wyrobów rzemieślniczych nad maszynowymi!

Zasadniczych z punktu widzenia zarówno psychologicznego, jak naogół humanistycznego, a typowych dla bolszewizmu uchybień przeciw zasadom podstawowym i biegowi myśli cywilizowanej, usiłującej sięgać wgłąb zjawisk — nie wynagrodzi głęboki rzekomo, a jakże płytki w swej naiwności, „sztandarowy“ (*sic!*) paradoks bolszewicki, który opiewa, że: „Rewolucja zniweczyła potrzebę wymysłu, tworząc natomiast potrzebę faktu“<sup>422</sup> — jakgdyby w gruncie rzeczy „fakt“, (t. j. ludzkie jego ujęcie) nie było „wymysłem“, a „wymysł“ — „faktem“ (psychologicznym)...

Cóż stąd, że z wszystkiego tego bije w niebo mrozący krew ryk doprowadzonego do ostateczności, oszalałego z bólu stworzenia, które zawiodły wszelkie, dostępne mu „prawdy“ — skoro skala dostępności tej oznacza tu nietyle ułomność „prawd“ samych, zapoznawanych przez bolszewizm, a uznanych przez cywilizację — ile niedorozwój barbarzyńcy, nietylko niezdolnego „prawd“ tych pojąć, lecz i zasugerowanego nadto kłamliwem przeczeniem w stosunku do życiowego z nich pożytku<sup>423</sup>, a nadto odrazą do ich duszy, przez panującą nad nim arbitralnie doktrynę.

Pojemność psychiki ludzkiej jest w stosunku do ogółu potrzeb człowieka nieograniczona, lecz z tegoż faktu płynie jej względność, gdyż życie ludzkie nieograniczonem nie jest...

Pojmuje to cywilizacja, dzięki wysiłkom i doświadczeniom



pokoleń i osiąga dzięki nim zdolność do wniosku, że ideał a konkretność zjawisk to nie jedno.

Dzieci tylko i barbarzyńcy, wołając: wszystko — albo nic! kładą palec swój w płomień, nieświadomi faktu, że ogień parzy...

To też — choć wszystko co jest, może a nawet musi stać się dla myślącego spostrzegacza interesującym<sup>424</sup> — trudno zaprawdę<sup>425</sup> powstrzymać się tu od okrzyku: Nie tędy droga!!

Cóż dopiero, gdy zważymy, że i (duchowe) źródła moralności, poczytywane za „opium“ w Bolszewji — tryskają z zespołu praw natury<sup>426</sup> — podobnie, jak możność wysokiego szybowania w powietrzu (bez motoru) zwykła wynikać praktycznie z rzucenia szybowca w przestrzeń — jednak przy pomocy zaopatrzonego w motor samolotu...

Percypowany przez psychikę ludzką „duch“ — to tedy, w takim nawet ujęciu, nie „nicość“, lecz jakby promienianie „materji“ bumerangiem istoty swej, przeciw bytyle swojej, w dal przeznaczenia...

Zresztą, biorąc rzeczy praktycznie, t. j. życiowo, jest to dla człowieka i ludzkości obojętne, jakimi drogami i w jaki sposób zrodziło się w ich psychice, utrwaliło i rozwinęło pojęcie Boga.

Dość na tem, że pojęcie to jest zjawiskiem niezaprzeczonym, którego nie osłabia ani trochę okoliczność, że dla jednych płynie ono z Objawienia, a dla innych stanowi niezależny fakt psychologiczny człowieczeństwa<sup>427</sup>.

Na podstawie czysto logicznego już porządku rzeczy — człowieczeństwo, dążąc pod przewodem owego faktu wdał swych „przeznaczeń“, może, a nawet — ze względu na niedoskonałość swą — musi ustosunkowywać się do niego rozmaicie.

Wszelako — poza teistyczne, a ściślej mówiąc: teoarchiczne łożysko, jakim płynie, człowieczeństwo to, zwłaszcza pełne, t. j. zdolne do twórczości, historycznie trwałe, nie dołało dotąd wybiedz rozwojowo nigdy i nigdzie...

Próby, czynione w tym kierunku, załamywały się zawsze i wszędzie w sposób, kwalifikujący je — w prostem zesta-



wieniu z normą życia dziejowego ludzkości — jako zjawisko raczej psychopatologiczne, aniżeli rozwojowe normalne.

A stało się to tak, że — godząc w rdzeń teizmu, próby owe nie tylko łamały zawsze skrzydła swoje już na zewnętrznych jego formach, lecz — co ważniejsza może — narażały najprzeważnie przy niepowodzeniu tem swych szermierzy na utratę ich, niepospolitych zazwyczaj na razie, sił żywotnych.

Mogło się stawać to zarówno z powodu samego wyczerpania walką, jak i charakteru jej, o którym — mimo wszelkiej dla niego tolerancji, a niekiedy i wzniosłych jakoby jego pozorów — trudno powiedzieć, iżby prowadził on ludzi trafnie t. j. zgodnie z naturą ich psychiki: *ad astra!*

I jeszcze jedno: Oto, nawet pomijając wszystko to, co — ze względu na swe tendencje do zgłębiania „podstaw rzeczywistości“, mogłoby tu uchodzić za metafizykę, transcendentalizm, czy mistykę — niepodobna oprzeć się zarówno podszeptom, płynącym z głębi natury ludzkiej, a pouczającym nas, że etyka chrystyanizmu to w gruncie rzeczy coś głębszego, niż naogół my sami <sup>428</sup> — jak i prostemu wrażeniu życiowemu, które nie dozwala już dzisiaj psychologicznie człowiekowi cywilizowanemu zaliczyć do rzędu norm „kulturalnych“ takiego postępowania, któreby etykę pomienioną zwalczało jakkolwiek bądź, a cóż dopiero — programowo.

Prostu — nie potrafimy już bez chrystyanizmu w życiu się obchodzić, a tem mniej twierdzić, że posiadamy naprawdę darzące nas pogodą wewnętrzną „czyste oko“ tam, gdzie nie jesteśmy z normami etycznymi chrześciańskimi zgodni...

Prosty ten fakt znaczy stokroć więcej aniżeli kunsztowne wywody, albowiem powiedziano jaknajśluszniej: *La démonstration n'est jamais source de certitude; toute assurance de la vérité nous vient du bon sens* <sup>429</sup>...

Z całą też, dla przytłaczającej większości świata oczywistą słusnością, wypowiedział się świeżo głośny mąż stanu angielski w słowach następujących: „Gdyby w Europie miało wybuchnąć jakaś Wielka Wojna, oznaczałoby to koniec „naszej cywilizacji. Dlatego musimy skończyć z Wojną, jeśli „Wojna nie ma nam końca położyć“ <sup>430</sup>“...

Bezwątpienia, mowa tu o bolszewizmie, jako o najgroźniej-



szem ze znanych nam nieszczęść dziejowych świata: mowa o zarazku moskiewskim, żerującym przebiegle na kataklizmach ludów.

Jest przytem rzeczą niemniej psychologicznie pewną, że bolszewizm, na którego szczytach anormalnych — zimne w swem okrucieństwie bezdusznem maszynowe „cnoty robota“, maszczone krwią z ożoga, którym potwór ów pruje wnętrzności świata: że cała ta sarabanda, opierająca się na pozorach miłości bliźniego <sup>431</sup> — może i powinna być zwalczona zasadniczo przez ducha chrześcijaństwa.

\*

Nie jest to — oczywiście — sprawą łatwą, choćby dlatego, że — wzorem wszelakich czynów wielkich, t. j. twórczych życiowo — nie chodzi tu o literę co zabija <sup>432</sup> — lecz o wzór z ducha, który wszelakie postacie nowe a trwałe bytu cywilizacyjnego rodzi.

Jeżeli też gdzie, to tutaj należałoby o sensie życia powiedzieć: „Spożywamy, abyśmy byli spożyci“ <sup>433</sup>...

Sentencja taka, a bardziej może hart, jaki z rezygnacji jej się rodzi — może tu, a bodaj musi być wystawionym na ciężką próbę.

Cały atoli rdzeń i kościec zwycięskiej w świecie doniedawna — a bodaj z czasem i na przyszłość — cywilizacji naszej, z prób podobnych się składał.

Słusznie też bodaj, a w sposób, budzący w nas tutaj otuchę, podkreśla myśliciel azjatycki „znacznie większą względem człowieka surowość „bogów“ Zachodu, niż Wschodu“ <sup>434</sup>, przyczem stawia nas przed pytaniem: „Lecz kto nie jest oczarowany przez bogów? I czy życie samo nie jest oczarowaniem?“ <sup>435</sup>...

Nie powinniśmy powiedzeń takich wysłuchiwać obojętnie, bo tak czy owak, wcześniej czy później, skrzeszą one kiedyś nie bez skutku iskry swoje nad zapalną zawsze psychiką ludzką, mimo pozornego obecnie jej wystudzenia...

To też należałoby wciąż mieć na względzie uwagi takie, jak G. K. Chestertona: „Myśmy zdobyli ciała, a Wschód



zdobył naszą duszę. Ah! byłoby piękniej, gdyby prawdą było coś wręcz przeciwnego!”

Słusznie! Siły ducha są niezwalczone... Nawet dziecko zdmuchnie świecę bez trudu, ale i Herkules nie zgasi ognia djamentu...

Nie są to paradoksy ani chimery...

Z rozważań, jak niniejsze, zdaje się np. wynikać, że trzon walorów duchowych człowieczeństwa — sprawiedliwość, osądzana dziś w Europie naogół sceptycznie, a zawierająca w gruncie rzeczy *totum* moralne świata — nie jest bynajmniej przywidzeniem, gdyż polega ona na fakcie przyrodzonym niezwalczonego dążenia do równowagi wszystkiego tego, co jest <sup>436</sup>.

Nie ona też przeto, lecz uprawiana błędnie niesprawiedliwość tworzy zamęt i „nieporozumienia“ o pokroju iście „kosmicznym“, wynikające z fałszywego stosunku sił, odzwierciadlającego nie prostą (powołaną nieubłaganie do zwycięstwa!) zasadę życia, lecz wyraźne jej zaprzeczenie, pochodzące z toksyn złożoności „produktu ubocznego“ naszego rozwoju, tworzących dziejowe Stajnie Augjasza.

I dlatego to buntuje się przeciw niesprawiedliwości tak zawzięcie — stanowiąca wyraz i odbicie istoty życia: psychika stworzenia.

Błąd niesprawiedliwości — pomijając nawet jego w naszych poczuciach cywilizowanych „ujemność moralną“ — jest bowiem w gruncie rzeczy, na tle wszechistnienia, wyłamaniem się naiwnie-brutalnym przerostu chwilowego sił, tkwiących w danym szczególe bytu — z ładu powszechnego, jako ogólnej zasady przyrodzonej, a wraz z tem nietylko z ideałów, lecz i z norm harmonji świata!

Nic dziwnego, że nietylko głos moralistów — z dantejską „miłością, co słońce porusza i gwiazdy“, na czele, lecz wręcz sam zdrowy sens wszechbytu, nie może tolerować wybryku, który nietylko w religji, lecz i na szalach równowagi myślenia ludzkiego, osądza właściwie zgóry siebie sam...

Pozatem, omawiane tu zagadnienie *vaginae virtutis* — sprawiedliwości — wiąże się najbliżej, zarówno psycholo-



gicznie, jak moralnie, z cnotą chrześcijańską przebaczenia uraz, jako podstawą przykazania miłości bliźniego.

U założeń genetycznych cnoty tej — podobnie jak u założeń zjawiska sprawiedliwości, leży jaknajoczywiściej jedna i tażsama zasada harmonji, warunkująca ład wszelakiego zespołu, a przeto zjawiska, powstałego (jak wszystko, co jest!) z części i cząstek, składających się na nie.

Zachodzi tu ta jedynie różnica, że sprawiedliwość, jako odbicie zasady harmonii powszechnej, stoi na straży ładu powszechnego, a przebaczenie — zbiorowego ładu ludzkiego, zagrożonego przez: *errare humanum est*.

Rozważanie to na temat genezy i „sensu“ sprawiedliwości, oraz przebaczenia, prowadzi jednak do wniosku, że błędnem zewszecmiar byłoby utożsamianie przebaczenia uraz z zapominaniem o nich.

To ostatnie byłoby bowiem nakazem zarówno niepsychologicznym, jak przeto i niesprawiedliwym, a wraz z tem niewykonalnym z powodu, że „zapomnienie uraz“ — określenie i wyrażenie tak często, a właśnie w znaczeniu, o jakie tu chodzi — nadużywane w pseudo-racjonalnych wywodach humanistycznych — nie może stać się żadną miarą aktem woli.

Razem wzięwszy, wszystko to prowadzi do wniosku, że jeżeli wchodzące dziś w użycie zalecenia psychotechniczne, poczynane, a nadewszystko formułowane praktycznie: *ad personam* — mogą posiadać dla zainteresowanych niemałe znaczenie życiowe — to cóż dopiero mówić o zasadach możliwie trafnych t. j. oświetlających mroki poznania powszechnego, a wyprowadzanych z psychologii — nadewszystko (zrazu przynajmniej) elementarnej i stosowanych jako drogowskazy, do linii wytycznych postępowania ludzi w życiu, nadewszystko zbiorowem, choćby na głównych jego gościach...

Może okazałoby się wtedy w sposób uderzający, do jakiego to stopnia nieświadomość ludzka kazi możność przyrodzoną szczęśliwości człowieka, który — zamiast oprzeć się na podstawach normalnych a prostych życia — kroczy nieraz po odbiegających od nich krzywiznach, jakby tylko poto, by wpaść potem — z przysłowiowego „deszczu“ swych błędów,



choćby w danym razie nieuniknionych — „pod rynnę“ doktryn, nie mających z t. zw. rzeczywistością nic wspólnego.

Nieprzeparcie nasuwa się tutaj uwaga, że niebywała jakoby obecna materyalizacja świata, (której towarzyszą jednak sporadycznie olśniewające przejawy ducha), nie jest bynajmniej objawem ani dowodem jego zaniku, czy osłabienia w ludzkości, lecz raczej prostym wynikiem braku równowagi między odpowiadającą naturze rzeczy, a przeto i umysłowości człowieka, precyzją obecną metod poznawania „materji“ a — zupełnym niemal brakiem odpowiedniej doskonałości serca i czynu moralnego tam, gdzie wchodzi w grę sprawa „ducha“.

Wiemy zaś wszyscy aż nazbyt dobrze, że sama forma nie uświęci istotnie żadnej z pomienionych dziedzin, gdyż staną temu zwyczajsko na przeszkodzie nieubłagane prawa psychiczne życia.

A przy tem wszystkiem nie zawadzi pamiętać o racyach powiedzenia: „Jeżeli z cierpieniami swemi będziesz obcho-  
„dził się trwożliwie i łagodnie — poparzą cię one jak pokrzy-  
„wy. Nie zrobią ci nic złego, gdy je ujmiesz twardo i mężnie  
zgóry“...

Potwierdzenie płynące również z przeżyć własnych, sensu tych słów, wypowiedzianych przez romantyka francuskiego, Jean Pol'a (ulubionego poety Adama Mickiewicza) spotykamy później w lapidarnie męskim aforyzmie Józefa Piłsudskiego, który głosi, że: „Najlepszym sposobem przewycięzania przeszkód, jest — nie uważać ich za przeszkody“!

A nie jest to paradoks...

Spoglądając na zdarzenia minione życia naszego z góry lat, dostrzegamy bowiem jasno, że zdarzenia te — same przez się — nie były niczem w obliczu linii wytycznych i zasięgów niosącej je fali...

Dziś wiadomo nam o niej tylko jedno... Oto z falą tą wchodziła psychika nasza w kontakt nieustanny—niby punkt świetlny, zawieszony nad bezmiarem bytu, z niego czerpiący swe światło i jemu zwracający je, skąpane w nurtach fluktów tajemniczych istnienia...



Duch chrystyanizmu, o którym mówiliśmy wyżej, nie u-  
nosi się na powierzchni rzeczy, lecz, oparty na swoistych  
swych przesłankach, przebywa w ich głębi.

To co płytkie, chwiejne, lotne, nie jest jego gruntem — w  
przeciwieństwie do hołdującego pozorom i rozpowszechnione-  
go przeto mniemania, że jest on wyrazem „poezyi“, pojętej  
jako nastrój, zgoła oderwany od życia...

A tymczasem wcale tak nie jest, choć temu zdają się prze-  
czyć pewne pozory, notowane skwapliwie przez umysł-  
wość ludzką — jakby w pogoni za wyzwoleniem od wszyst-  
kiego tego, co połączone jest z wysiłkiem, a zwłaszcza z udrę-  
czeniem.

Oto — niezawodny dowód psychologiczny, pierwszy z  
brzegu: Bohaterami mianuje się w świecie tylko tych, co da-  
ją z siebie więcej, niż „należy“.

Tytuł bohaterstwa nie przyłgnie np. do rodziców, walczą-  
cych o swe dzieci, nawet z najwyższym zaparciem się siebie,  
lecz dostanie się natomiast komuś, co z wysiłkiem o wiele  
mniejszym „poświęcił się“ dla ludzi obcych. Bohaterów zaś  
moralności (jakoby w życiu) „obowiązującej“ wszystkich  
— a cóż dopiero przedstawicieli wybitnych szczytnego udu-  
chowienia <sup>436</sup> — awansuje się jeszcze wyżej, mianując ich  
„świętymi“, t. j. *mocnymi*, w przeciwstawieniu do rzeszy lu-  
dzi pospolitych — *słabych*.

Bo ludzie są naogół — i to w stosunku do poziomu wła-  
snych swych ideałów, bardzo słabi i dlatego chrześcian nie-  
tylko z imienia bywa pomiędzy nimi tak niewielu...

Chrystjanizm bowiem — to w gruncie rzeczy synteza ży-  
ciowa szczytów człowieczeństwa, wyłonionego z głębi taj-  
ników natury, a okoliczność ta prościej niż wywody inne  
tłumaczy nam i wyjaśnia fakt, na pozór niepojęty, że ty-  
py przewspaniałe chrześcian istotnych, świecących pełnią  
cnót życiowo-moralnych, spotykamy nietylko w ramach  
formalnie chrześciańskich cywilizacji Zachodnio-Europej-  
skiej, lecz również i zdala poza niemi — wśród t. zw. „po-  
gan“: że wspomnimy tu zwłaszcza synów swoistych kultur



odwiecznych: hindusów, chińczyków, japończyków i in., stojących od chrystjanizmu formalnego daleko.

A „skończoność“ ich „doskonałości“ prześciga nas nieraz bodaj, gdy zważymy, że sens najwyższy przykazania miłości bliźniego, dałby się bardziej może, niż w t. zw. filantropji — zawrzeć w tem, w czem właśnie „poganie“ ci nas przewyższają, bo we wskazówce psychologicznej, która zdaje się brzmieć: skalą zrozumienia samego siebie usiłuj wyrozumiewać i mierzyć innych!

Czemże tedy jest w gruncie rzeczy moralność?

To synteza uduchowienia<sup>436</sup>, którego ideowym punktem wyjścia, a życiowym celem jest udział człowieka w bycie zbiorowym, polegający na zgodnem z prawami natury działaniu z poza, (t. j. z możliwem pomijaniem) samego siebie, czego wynikiem jest spokój zadowolenia wewnętrznego, przyczem kolej odwrotna pomienionych momentów psychicznych zawiodłaby człowieka wprost do — niemoralności.

Są to wszystko — jak to zresztą wynika z syntezy św. Tomasza z Akwinu, czy z pism Błażeja Paskala — sprawy głębinowe, a bardzo subtelne, nawet w stosunku człowieka do samego siebie, nie mówiąc już o ich zasięgu międzyjednostkowym. Cóż dopiero, gdy idzie o ich reglamentację, obliczoną na szerokie rzesze ludzkie, nie składające się wprawdzie z myślicieli samych, ale wymagające coraz to powszechniej i coraz to bardziej zgodności podawanych im przesłanek i wywodów z postacią przeciętną myślenia ludzkiego.

Jest tak, nie mówiąc już o tem, że w myśl słów Ewangelji: *lekarzu, ulecz samego siebie*<sup>437</sup> — nauczanie moralności nie może obejść się — i to poprzed argumentami innymi — bez życiowych, równoległych z hasłami, wzorów bezpośrednich...

Bez tego warunku, gdyby i Bóg przemówił do człowieka, a ten miałby to, co usłyszał, powtórzyć gołosłownie innym, doszłyby do nich słowa nie boskie już, lecz tylko ludzkie, bo człowiek nie jest Bogiem, a *wiara, jeżeliby nie miała uczynków, martwa jest sama w sobie*<sup>438</sup>.



Zresztą, podobnie jak nie masz dwu liści tożsamyh na drzewie, tak też człowiek, nawet i najgenialniejszy, nie jest w stanie wypowiedzieć, nadewszystko zaś być zrozumianym przez innych ściśle tak, jakby tego pragnął: To też: co ja to nie on i odwrotnie, a wraz z tem i—odrębność życiowa świata pojęć naszych — a cudzych.

Dlatego to, im szczytniejszą jest idea — tem więcej traci ona na reglamentacji, boć: im wyższą jest góra — tem trudniej zamienić ją na dolinę... Ożywić ideę w życiu może to tylko, z czego się poczęła: duch, opromieniający w danym razie stronę moralną walczącego o ideę szermierza: wzór, dawany przez niego i przykład.

Wszelkie hasło życia jest przeznaczoną dla masy reglamentacją idei, poczętą przez jednostki ludzkie. O tyle też tylko dane hasło mogłoby stać się wiernem odbiciem swej doktryny, o ile masa potrafiłaby w danym przypadku dokładnie wcielić się psychicznie w odnośną jednostkę, a ta ostatnia — podobnież — w daną masę, co jest — oczywiście — niemożliwe zasadniczo.

Ostatecznie tedy hasło wszelakie — dana jego forma — bez względu na źródło, charakter, czy zasięg swej doktryny, musi stać się z czasem automatycznie pastwą pełni życia, zwanej w przypadkach podobnych liberalizmem.

Jest to nieuniknione podobnież jak fakt, że żadna rzeka nie cofa się do źródeł swoich. To też wysiłki, jakieby ktoś w kierunku tym przedsiębrał, muszą być skazane zgóry na niepowodzenie, jakkolwiek zdają się niekiedy istnieć przesłanki, zapowiadające pozornie coś innego.

W pierwszym rzędzie składa się na nie okoliczność, że — jakby w myśl znanego na temat odmienności znaczenia pewnych liter polskich i rosyjskich, powiedzenia: pisze się mama, a czyta się tata — zachodzą i w innych, stokroć poważniejszych dziedzinach, paradoksy analogiczne.

Wiadomą jest np. rzeczą, że umysły, a nawet całe obozy, psychicznie przeciwstawiające się sobie i przeto, w gruncie rzeczy, potencjonalnie sobie wrogie, zwykły nieraz pod



leżsame symbole, t. j. znaki zewnętrzne danych haseł życiowych, podkładać — nawet w powierzchownej, jak i wszelki symbol, dobie spokoju społecznego, odrębną, t. j. właściwą każdemu z umysłów tych i obozów treść, jakby poto tylko, aby w chwili próby wybuch antagonizmów, jarzmionych pozorami braterstwa w dobie pokoju, stał się tem pełniejszym grozy i siły...

Czyliż takim-to celom chciałyby służyć nieświadome psychologicznie samych siebie formalizmy haseł, poświęcanych naiwnie, lub rzekomo, tylko sprawom pacyfikacji wielorakiej: moralnej, społecznej, a niekiedy i politycznej, świata??

Możnaby wprowadzić — dla uspokojenia obaw — odpowiedzieć na to, że nic zgoła nie jest w oczach naszych takim, jakim jest, lecz takim tylko, jakim się nam wydaje gdyby — niestety a właśnie owo „wydawanie się“ nie było, zwłaszcza w czasach obecnych, nader... niestałe i zmienne.

Dlatego to bodaj nastroje świata dzisiejszego są dla niedobitków czasów minionych nader przykre. Czy nastroje zupełnie, w rozumieniu dawniejszem, normalne — rzecz wątpliwa... Zdaje się, że cechuje je conajmniej nieznane nam z przeszłości wyczerpanie. Do tego to i do płynącej stąd, jak w chorobie, prostolinijnej we wszystkim, a — niestety naogół już niemal: po chamsku — celowości ruchów, aby sił zwątpiały, lub nie wyrobionych jeszcze, „po próżnicy“ nie marnować — doprowadziła nas Wielka Wojna. Dalszy ciąg, „niedomagania“, to już tylko bodaj... yperit — jak w Abisynji...

Gazy trujące — jako opar bezwzględnych aż do obnażonego już dna człowieczeństwa, nastrojów świata...

„Etjopja jest żywym przykładem dla ludów słabych „i bezbronnych, że w razie napaści na ich terytorium, nie „mogą się one spodziewać pomocy, nawet uroczyście obie- „canej przez 52 narody“!<sup>489</sup>...

Słusznie też — ale jakże w stosunku do Europy cywilizowanej krytycznie — odzywa się na to negus Haile Selassie,



w słowach pamiętnych: „Przyszłość pokoju i szczęścia tego „świata“ zależą całkowicie od utrzymania ducha chrystja- „nizmu przez dobrą wolę mas, jak i jednostek!“<sup>440</sup>.

Czyż można się dziwić, że: „w jednym ze swoich pięknych wierszy, poeta Pablo Neruda, hiszpan amerykański, pisze, że zdarza mu się odczuwać zmęczenie tem, że jest człowiekiem?“<sup>441</sup>...

Poszukując leków psychicznych na tak okropne nastroje, a oceniając rzeczy: „subiektywnie“ dla jednych, co może znaczyć: „objektywnie“ dla innych, dochodzimy do wniosku, że dostępna nam otucha, płynąca z uczucia, stać się może instynktowem źródłem drogowskazów dla naszego rozumu, zdobywającego tem zupełniejszą harmonję z otuchą, im głębiej w naturę zjawisk docierają jego zasięgi.

Natomiast, dzieła t. zw. pomysłowości czy „sprytu“, odnajdującego między innymi pozory dobra w złem — nie przylegają do życia, ani poważnych jego spraw. Odrywają się o dnich, bo klejem może tu być to tylko, co ma w sobie pierwiastki miłości<sup>172</sup>. Dlatego też i t. zw. mądrość — bez dobra — łudzi się, sądząc, że jest nią naprawdę. Wyniki jej — *oroce*<sup>442</sup> ewangeliczne — wykażą to dowodnie. Wszystko bowiem wskazuje na to, że bez miłości<sup>172</sup>, stanowiącej istotę promienną i rdzeń zarówno sensu człowieczeństwa, jak sensu wszechstworzenia, polegających na twórczych emanacjach życia — spotkać się możemy jedynie z czarną pustką rozpaczy.



Wywody nasze prowadzą nas jednak do wniosku, że ani „doskonałość“ ludzka ani „niedoskonałość“ — nie są nieograniczone.

Ta oczywista „prawda życia“ — historyczna, czy wogóle humanistyczna, znalazła w książce niniejszej, będącej rodzajem uzupełnienia prac naszych dawniejszych<sup>443</sup> — swoje uzasadnienie psychologiczne.



Wynik jego zdaje się stwierdzać, że, jak wszędzie naogół — podobnie i w świecie ludzkim, zarówno indywidualnym (duchowym) jak zbiorowym (społecznym) występuje w ujęciu *quasi* — mechanicznem niezbędność równowagi „ducha“ i „materji“, w moralnem zaś: „dobra“ i „zła“ (przyczem pierwsze to pełnia bytu wszystkiego tego, co jest, drugie to jego dysharmonja).

Razem wzięwszy, stanowi to jakby „duszę zjawisk“, omówionych w książce niniejszej.

W ich świetle ani doskonalenie się człowieczeństwa nie może doprowadzić go w pełni do wyczuwanych przez nas szczytów najwyższych uduchowienia, ani jego zachwianie się, czy obniżanie, zwane upadkiem, nie może stać się beznadziejnem <sup>444</sup>.

Bezwzględności bowiem, czyli t. zw. absolutu, nie zna (w poznaniu naszym) ani natura <sup>445</sup>, ani człowiek dziejowy, ani psychika ludzka normalna.

W rozumieniu moralnem, sprowadza się to na tle życia do prostych słów Ewangelji: *widzisz żdźbło w oku brata twojego, a belki w oku własnem nie dostrzegasz?* <sup>446</sup>...

Wszelako na tem nie koniec, bo oto — podobnie jak w naturze temperatura wzwyż wydaje się być nieograniczoną <sup>448</sup>, a ku dołowi sięga „jedynie“ zera absolutnego — tak też i w psychice ludzkiej, będącej w zasadzie wiernem potencjonalnie odbiciem „świata“ — zasięg dodatniego jej bieguna (miłości <sup>172</sup>) zdaje się nie znać kresu w ewolucyjnych swych możliwościach, podczas gdy strefy ujemnego jej bieguna (strachu <sup>172</sup>), w istocie swej, niemniej względnej niż człowiek sam i „doczesne“ jego trwanie — niepodobna odczuć jako nieograniczonej <sup>447</sup>.

To też, puściwszy wodze fantazji, nie mogącej w zasadzie wykroczyć poza sferę rozciągłości psychiki człowieka — możemy, i to bez trudu, wymarzyć sobie pozbawiony „strachu“ (t. j. profilaktycznej ochrony) byt stworzenia, podczas gdy tegoż bytu ani życiowo (bez prokreacji), ani idealnie



(bez uduchowienia) nie wymarzymy sobie, jako pozbawionego — „miłości“.

Dlatego to bodaj „piekło“ jest raczej „akademickim“ — sztucznie, bo niedość psychologicznie pomyślanym i przeto abstrakcyjnym negatywem „raju“, aniżeli antypodycznie równorzędną jego światłu bez kresu, otchłanią ciemności.

To też „nieśmiertelność“, „wiekuistość“, a za nimi wszelkie *summum* koncepcji ludzkich wiąże się psychologicznie nie z „piekłem“, ani nawet z „czyścem“, wywodzącym z jego beznadziejności posępność swoją, lecz raczej z niezrównanym w szczęśliwości swej — „rajem“.

A w „życiu“ nie pesymizm, lecz optymizm staje się motorem; w koncepcjach zaś ludzkich na temat „zaświatów“, tylko „dobro“ (t. j. to, co w pełni istnieje) jest absolutem, „zło“ zaś — nadewszystko refleksem pustki bytu: paradoksem kosmicznym „nicości istnienia“ tam — dokąd „dobro“ (jeszcze) nie dociera...

C. G. Darwin <sup>448</sup> dostrzega i rozważa istotę bytu w otchłanej nieskończoności, oraz gmatwaniu nieprzeniknionej fali drobinowych, tworzących świat; Zygmunt Freud <sup>449</sup> widzi ją w chaosie niemniej otchłannym procesów psychomechanicznych, wypełniających wnętrze stworzenia; Miguel Unamuno <sup>450</sup> każe nam zastanawiać się nad nieskończonością życiowych wydarzeń nieskoordynowanych, panujących nad wytycznymi planów człowieka... Ale mimo to wszystko byt ludzki dał początek i utrwala podziśdzień cywilizację. Nauka stwierdza wprawdzie, że dorobek ten — podobnie jak żadne stworzenie — nie może cieszyć się trwałością „bezwzględną“, ale taż sama nauka nie potrafi zaprzeczyć oczywistości życiowej woli ludzkiej, zdolnej darzyć nas takim jak cywilizacja — „mirażem“...

To też hasło: *sursum corda!* jest czemś nieskończeniem wspanialszem, niż jakakolwiekbaż, a cóż dopiero zaprawna sceptycyzmem, pobudka inna!

To nie tylko głos „prawdy“ subiektywnej ludzi szczęśliwych.



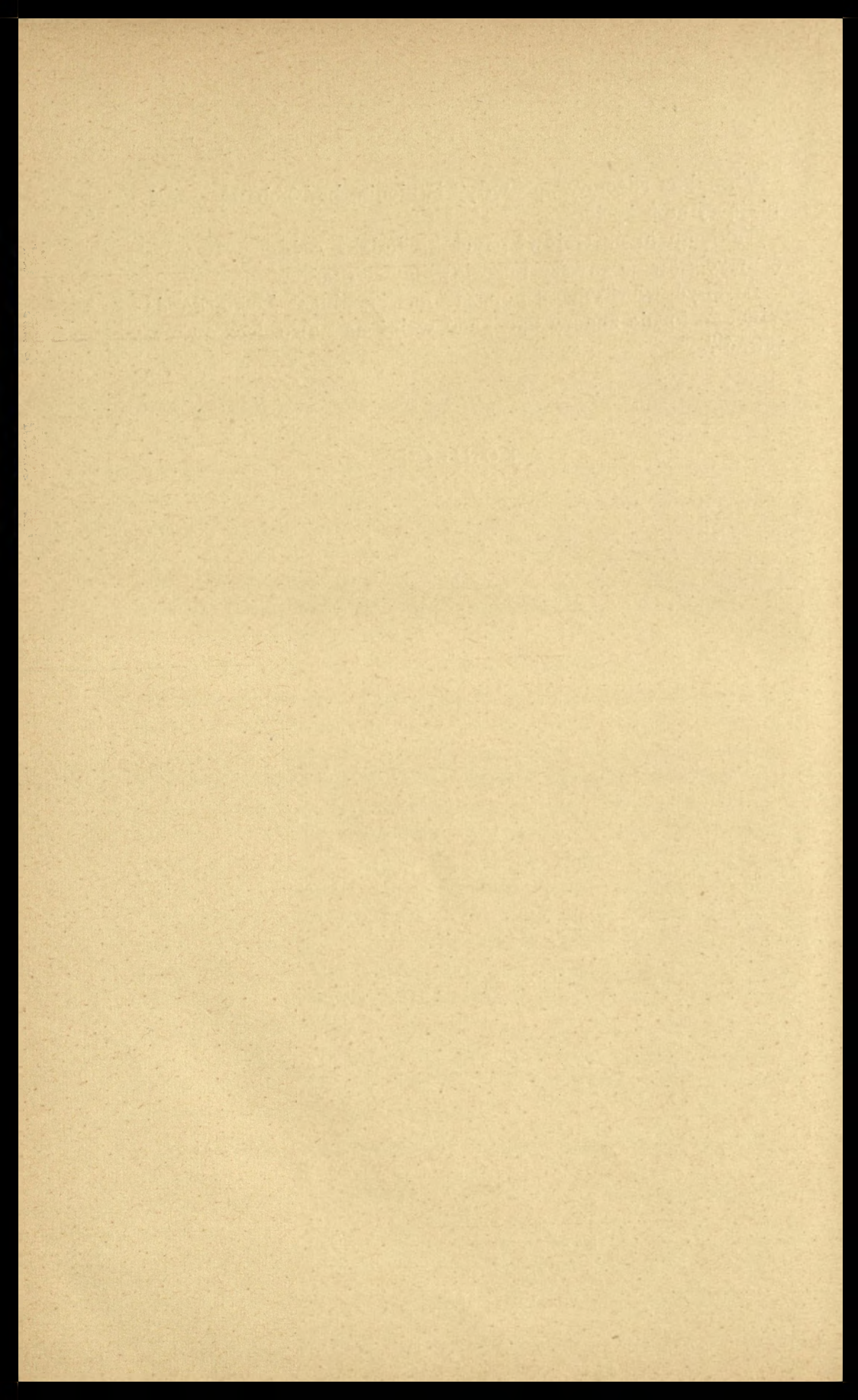
To nakaz rdzenny „prawdy“ istnienia, bądźcobądź wypełniającej nam życie.

Takiemu to nastrojowi psychika ludzka pełna — twórcza a zwycięska — zawsze pozostawała wierna.

A: „być wiernym — poucza nas geniusz Leonarda da Vinci — to nie znaczy zaczynać wciąż na nowo, lecz — wytrwać!“

KONIEC

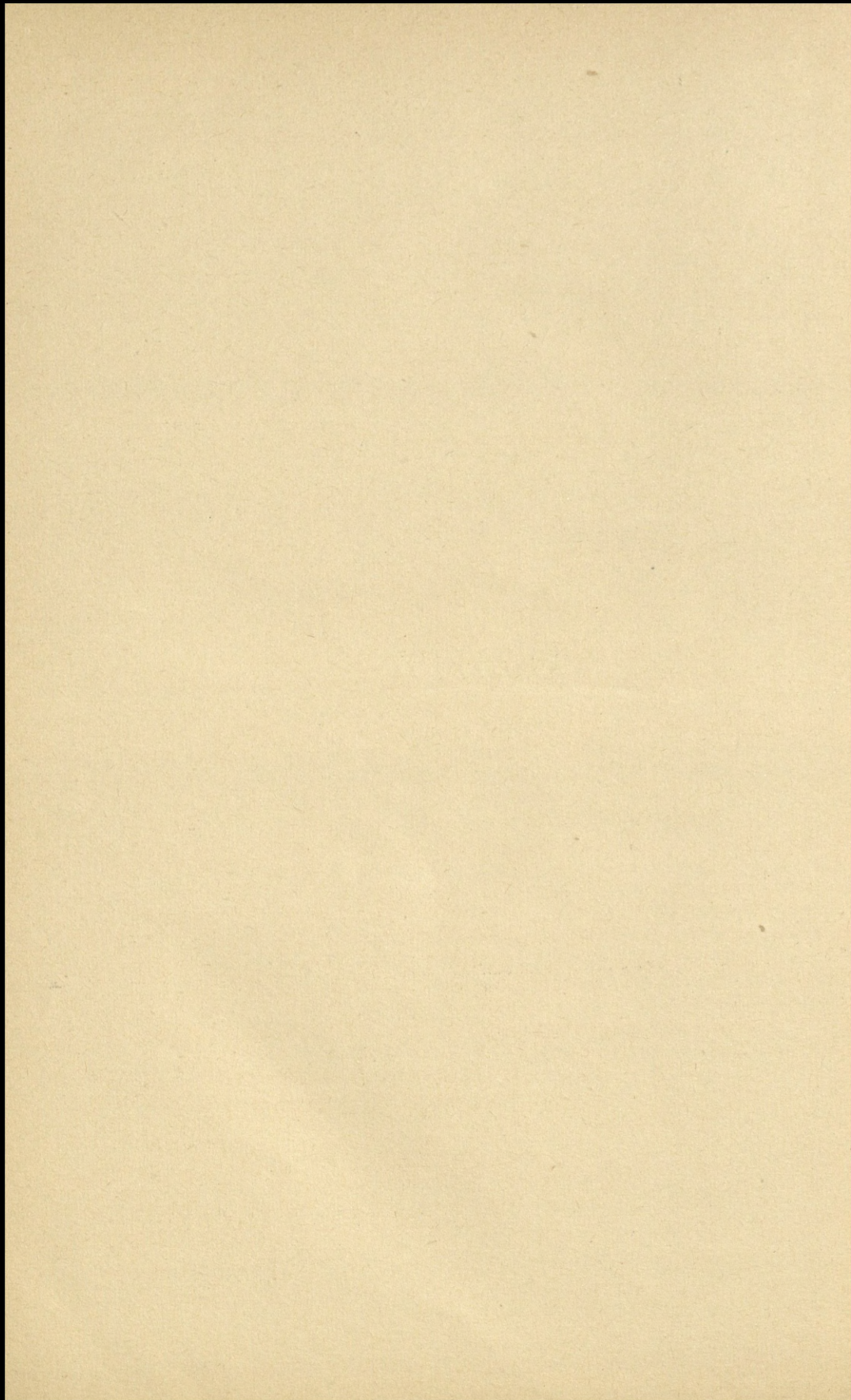






## PRZYPISY







1. Université Libre de Bruxelles. Institut de Sociologie Solvay XII-me Congrès de l'Institut International de Sociologie. Analyse de la I-e Série de communications... Bruxelles, imprimerie des Travaux Publics (S. A.) Rue de Flandre 169. Extrait de la Revue de l'Institut de Sociologie. XV-e année, 1935, Nr. 2, pag. 13. Por. niżej przyp. 2 i 170. Nadto, w tymże duchu, wziąłem ostatnio udział w różnych ankietach etc., o treści ideowo-społecznej: 1. Jako autor komunikatu, p. t.: „Un cas de prévision sociologique, justifié par les evenements“. (Ob. „Rivista di sociologia et Archives de sociologie“, Paris V-è 1933, Nr. 3, pag. 226, oraz: „Revue Internationale de sociologie“, Paris V-è, 1933, pag. 360); 2. jako uczestnik ankiety p. t.: „La prévision des guerres, est-elle possible?“ (Ob. „Rivista“... j. w. pag. 236); 3. jako autor komunikatu p. t.: „L'Amérique Indigène: que peut-elle offrir de son passé à la connaissance approfondie des principes de la science historique universelle?“ (Communication pour le XXVI Congrès International des Américanistes à Sevilla [Espagne] le 12. X. 1935); 4. jako autor dwu odpowiedzi na ankiety „New History Society“ w New-Yorku, w XI. 1936 i I. 1937, w sprawach „stanów zjednoczonych“ i „ujednostajnienia religji“ świata, oraz „rozbrojenia powszechnego“; 5. jako autor komunikatu p. t.: „Quelques notes sur les religions“. (Communication pour le: „Sri Ramakrishna Centenary Parliament of Religions“. Calcutta — India, March 1937). Wreszcie, w tymże duchu, na najbliższy Kongres Historyków w Zurychu (1938 r.) zgłosiłem referat p. t. „Quelques notes sur le rôle de la psychologie dans l'étude du passé“.
2. L'Indépendance, belge, Bruxelles, samedi 31. VIII. 1935, pag. 1. (Por. wyżej przyp. 1).
3. Ucieczka do Egiptu. Powieść. Warszawa. Sfinks, str. 52.
4. J. K. Kochanowskiego: „Wśród zagadnień naszej doby (1918 — 1933). Rozważania moralne“. Warszawa 1934. Wyd. Tow. Mił. Hist. Z zasiłku Fund. Kult.-Nar.
5. Już od lat 30-tu zasadę tę podkreślałem wielorako i wielokrotnie w całym szeregu książek moich dawniejszych, nie mówiąc już



o ostatniej (por. wyżej przyp. 4). Por. J. K. Kochanowski: „Echa prawieku i błyskawice praw dziejowych na tle teraźniejszości”. Warszawa, E. Wende 1910; tegoż: „Postęp ludzkości jako wyraz praw psychicznych rozwoju”. Warszawa, E. Wende 1917, a nade wszystko tegoż: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej”. Warszawa, E. Wende (1920) i wydanie II tej książki, Częstochowa, A. Gmachowski, 1925. Wychodząc z odmiennych, niż tutaj założeń, określałem tam już psychologję, jako „biologję”... („Polska...” j. w. wyd. I. str. 16), ...a nawet:... „istotologję zjawisk wszechludzkich”... (tamże str. 19). Natomiast, przechodziłem wszędzie tam, a i dziś przechodzę tu do porządku nad nietrafnem mem zdaniem próbami, czynionemi przez różnych badaczy w kierunku analogicznym, lecz istotnie odmiennym. Mam tu przede wszystkim na myśli specyficzne kategoryzowanie zjawisk dziejowych przez Karola Lamprechta i jego szkołę — pseudo, czy nad-psychologiczną. Idzie mi bowiem o powiązanie bezpośrednie sfery zjawisk dziejowych z normalną, nie zaś (jak u Lamprechta) a d h o c spreparowaną psychologją ludzką.

6. Por. J. K. Kochanowski: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej”, wyd. I. j. w. str. 14, 15.
7. Sir A. S. Eddington: „Nowe oblicze natury. Światopogląd fizyki współczesnej”. Warszawa, nakł. „Mathesis polskiej”, 1934, str. 283—290. Por. przyp. 16. — Co do (zarysu) przyczynowości psychologicznej zjawisk, por. w książce niniejszej str. 105 i nast.
8. Maksim Gorkij: „Bezdroża życia” (powieść), Warszawa 1933, str. 37.
9. Wedle Wacława Grubińskiego (Kur. Warsz. z r. 1934, Nr. 216, str. 4): Pamiętniki A. Goldenweiser’a o Lwie Tołstoju, str. 59.
10. Por. wyżej przyp. 5.
11. Por. passim dzieła, wymienione w przyp. 5, a zwłaszcza: „Echa prawieku” część I, i „Polskę”... (Rozdziały, traktujące o jednostce i masie).
12. VIII. 9.
13. Z wykładu prof. Jana Dembowskiego z Wilna, wygłoszonego przez radjo warszawskie, dnia 27 stycznia 1936 r. (por. przyp. 181). Wyniki omawianej metody badania psychiki zwierzęcej, (por. behawioryzm) prowadzą do wniosku, że dorobek wysiłku umysłowego musi „uleżeć się”, aby się utrwalić. Utrwalony — osiąga jednak wyniki zdumiewające. Por.: Sprawozdania z czynności posiedzeń Pols. Akad. Um. (styczeń 1936, str. 15—16), referat studjum T. Garbowskiego na temat (pamięci przestrzennej) kota, ślepego od urodzenia.
14. Por. niżej w książce niniejszej str. 128 i nast.
15. Mirabeau.
16. Ewolucję (i „postęp doczesny”) zwykło się pojmować „realnie” —



Objawienie zaś „transcendentalnie“, a przecież zarówno pogłębiona interpretacja pierwszej, jak głębsze zastanowienie się nad drugim, mogłoby może porządek ten nie tylko ujednolicić i wyrównać, lecz bodaj nawet — odwrócić. W gruncie rzeczy bowiem ewolucyjność, to — stopniowość zarówno w stawianiu się danego zjawiska naturalnego, jak i w „nadludzko“ nieraz mozolnym uświadamianiu go sobie przez człowieka. Objawienie zaś, to nagle odsłonięcie się przed świadomością naszą dostępnej człowiekowi pełni danej emanacji bytu. Oto, co na temat analogiczny mówi przyrodnik: „Wielkie idee naukowe nie bywają wyrozumowane z pomocą jakiejś ustalonej metody, lecz rodzą się w natchnieniu, uskrzydłone potężną wyobraźnią, przenikającą ukryte głębie rzeczy“. (Por. Czesław Białobrzęski: „Nauka ścisła o przyrodzie na tle ogólnych wartości kultury“ Rocznic Polskiej Akademii Umiejętności, Rok 1934/1935. Kraków 1936, str. 133). Z wszystkim tem wiąże się, jak wiadomo, atmosfera życia ludzkiego, będąca istnym spletem nieporozumień. Ich usunięcie równałoby się bodaj ziszczeniu zapowiedzi: *Eritis sicut Deus, scientes bonum et malum* (Jan X. 34). Wszelako — zanim to nastąpi — mogliby już może ludzie odczuwający Boga, t. j. ci, co z Boga są (Jan VIII. 47) przestać swój do Niego stosunek pojmować wyłącznie na wzór dzieci, zdając sobie choćby jaknajogólniej sprawę z przesłanki, że — podobnie jak Boga-Ducha (Jan IV. 24) odczuwają sami poza czasem i przestrzenią, głosząc, że Bóg był i jest zawsze i wszędzie — tak też, *vice versa* — winniby Mu przyznać zdolność wcielania się w życie i sprawy ludzkie nie tylko drogą błyskawic, lecz i poprzez odwieczne procesy Natury, których jesteśmy wszyscy tak niezaprzeczenie rodnym wyrazem. Por. na str. 115 ustęp o religji, przyczem zaznaczam, że ujęcie religji jako odpowiedzialności człowieka wobec własnego jego istnienia nasunęła mi rozmowa z prof. M. Michałowiczem. Por. nadto w tekście str. 119.

17. Por. Władysław Witwicki: „Psychologja, tom I., wyd. II. Lwów 1930.
18. Pierre Duhem: „La science allemande“. Paris. A. Herman & Fils, 1915.
19. J. K. Kochanowski: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej“. Warszawa, E. Wende (1920), str. 77.
20. Sir A. S. Eddington: Nowe oblicze natury. Światopogląd fizyki współczesnej. Nakładem „Mathesis Polskiej“. Warszawa 1934, str. 289—290.
21. Por. Stefan Zweig: „Freud“, Warszawa, J. Przeworski 1933, str. 201. Por. niżej przyp. 215.
22. Por. J. K. Kochanowskiego dzieła, przytoczone wyżej w przyp. 5, *passim*.



23. Istnienie tak się ma do rzeczywistości, jak materja do substancji. Por. Eddington, j. w. (przyp. 20) *passim*.
24. Por. Stefan Zweig: „Freud“ j. w. (przyp. 21) str. 71.
25. Por. R. P. Cuthbert O. F. S. C.: „Żywot św. Franciszka z Asyżu“. Przekład autoryzowany Anny Szottowej. Nakład Księgarni Św. Wojciecha, 1927, str. 368.
26. Łuk. XVII. 11—19.
27. Landsbury, przywódca Labour Party, dnia 5 lutego 1936 r. (Por. Kur. Warsz. z dnia 6 lutego 1936 r. Nr. 36, str. 3—4).
28. Por. wyżej przyp. 11.
29. Św. Paweł do Rzym. XII. 16—21.
30. Por. nie tylko znaną u nas szerzej „muzycką“ ideologję rosyjską bezpośrednio, ale i charakterystycznie z nią zgodne, prądy literackie belletrystyki rosyjskiej przedwojennej, choćby przy pomocy książki pouczającej Stanisława Baczyńskiego: „Literatura w Z. S. R. R.“, *passim*.
31. XV. 15.
32. 1. Kor. IV. 9—14.
33. Francuz Renouvier w aforyzmie: „La science et la foi—deux domaines excentriques“.
34. Por. dzieła naturalistów takich, jak: A. S. Eddington, Albert Einstein, Bragg, Michelson i i.
35. Por. dociekania badawcze, dotyczące Lourdes, Lisieux i t. d.
36. Por. zwłaszcza dociekania Freud'a. Dążenia bowiem dzisiejsze, skierowywane do analizy psychiki, zwłaszcza zbiorowej, danego narodu (por. np. Stanisława Szpotańskiego: „Żywy charakter narodu“. Kur. Warsz. z r. 1935, Nr. 143, str. 5—6) — acz pozornie (martwo) metodyczne, nie wydają mi się — właśnie pod względem metody — przystosowane do (żywej) natury przedmiotu.
37. Por. św. Tomasza à Kempis: „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa“, *passim*.
38. Por. J. don Levine: „Stalin“. Warszawa, wyd. Płomień, str. 21.
39. Np. w przeszłości: „szkoły“ Kartezjusza, Encyklopedystów, u nas Pozytywistów i t. d.
40. Por. powiedzenia takie jak: *errare humanum est*, „wiedza nasza to zbiór błędów, które zastąpimy kiedyś, innymi“, i t. p.
41. Jan VIII 46—59; św. Paweł do Galatów IV. 22—31.
42. Por. Eddington j. w. (przyp. 20) str. 326.
43. Wacław Grubiński.
44. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“, Warszawa 1934, str. 31—91.
45. Por. powieść jego: „Marche funèbre“.
46. „Dekada“ — tygodnik akademicki, rok VI., Nr. 2, str. 5. Tekst cytāt podano tu w przybliżeniu.



47. Por. np. Stanisława Baczyńskiego: „Literatura w Z. S. R. R.”, str. 50—70.
48. Por. m. Świętochowskiego artykuł w „Kur. Warsz.” z dnia 6 kwietnia 1935 r., Nr. 95, str. 4.
49. Paweł do Kolos., III. 1—4.
50. Adolf Hitler: Mowa, wygłoszona w Bueckeberg w Hanowerze, dnia 6 października 1935 r. (Por. niżej przyp. 51).
51. Por. J. K. Kochanowski: „La prévision des guerres est impossible parce qu'elles dépendent de décision individuelles, imprévisibles, et jamais de mouvemens collectifs, même accidentels”.. („Rivista di Sociologia... et Archives de Sociologie“... Paris V... Anno VI (Serie II) Marzo-Aprile 1933, Nr. 3., pag. 236). Por. opinię Hipolita Taine'a w tekście książki niniejszej na str. 165. Poglądy podobne potwierdziła ostatnio w świecie politycznym najgłośniej, a w sposób wysoce znamienay ideologia obecnego brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, Anthony Eden'a w stosunku do Włoch, oraz Benito Mussolini'ego (październik 1935 r.). Por. wyżej przyp. 50.
52. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp ludzkości, jako wyraz praw psychicznych rozwoju”. Warszawa, E. Wende, 1917, *passim*.
53. Por. J. Kochanowski: „Echa prawieku etc.” Warszawa, E. Wende, 1910, *passim*.
54. Przysłowie arabskie.
55. Honoryusz Balzac: „Ojciec Goriot” (powieść). Warszawa, S. Le-wental 1881., str. 86.
56. Jan III. 8.
57. Por. J. K. Kochanowski: „Uczeni o sobie”. („Wiedza i Życie” mie-sięcznik. Warszawa, Rok X., zeszyt 8—9, sierpień—wrzesień 1935, str. 673—674).
58. Wyrażenia tego użył b. premier, Janusz Jędrzejewicz, mówiąc przez radio warszawskie o Józefie Piłsudskim dnia 12 listopada 1935 r.
59. Z kazania, wygłoszonego z katedry Łódzkiej św. Stanisława dnia 23 czerwca 1935 r. przez radio warszawskie.
60. Dzieje Apostolskie I 1—11. A w Ewangeljach: (Jezus do ucz-niów): Mam ja pokarm (duchowy) do jedzenia, o k t ó r y m w y n i e w i e c i e. Na to uczniowie (między so-bą): A z a l i m u k t o j e ś ć p r z y n i ó s ł?... (Jan IV, 32—33).
61. Por. Gustave Schlumberger: „L'épopée byzantine à la fin du X-è siècle”. (Paris) Hachette 1896, tom I., str. 373.
62. Dr. Geley: „De l'inconscient au conscient.
63. Por. Stanisława Szpotańskiego: „Człowiek-owad”. („Kur. Warsz.” z dnia 6 stycznia 1935 r., str. 3—4).
64. Por. J. K. Kochanowski (pod pseudonimem Ynyub): „Saggio di un indagine storica e sociologica sull'anima russa”. (Rivista Italiana



- di Sociologia, Roma, maggio-agosto 1914, str. 466—483), dalej tegoż: „Postęp Ludzkości”... Warszawa, E. Wende 1917, str. 256; tegoż: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej”, Warszawa, E. Wende (1920), str. 201—245; tegoż (odpowiedź na ankietę p. t.) „Pisarze Polscy a Rosja Sowiecka” („Wiadomości Literackie”, Warszawa dnia 3 września 1933 r., Nr. 38 [509], str. 3); tegoż: „Wśród zagadnień naszej doby”, Warszawa 1934, str. 399—447; tegoż: „Un cas de prévision sociologique justifié par les événements”. (Rivista di Sociologia... et Archives de Sociologie... Paris V-è, Anno VI (Série II) Marzo-Aprile 1935, Nr. 3, pag. 226) Por. nadto też wydawnictwo: 2-e Année, Nr. 1, 1934, pag. 24, oraz „Revue Internationale de Sociologie” z tegoż okresu.
65. Stanisław Baczyński: „Literatura w Z. S. R. R.”, str. 78.
  66. Tamże str. 80.
  67. Por. St. Szpotański j. w. (przyp. 63).
  68. Por. wyżej przyp. 64.
  69. Por. odpowiedź moją na ankietę „Wiadomości Literackich” z r. 1933 w sprawach polsko-rosyjskich, j. w. przyp. 64.
  70. Por. Dymitra Mereżkowskiego „Dekabryści”.
  71. Tak np. charakteryzował dnia 4 października 1934 r. przez radio warszawskie prof. Konrad Górski książkę p. Wańkowicza o Sowietach.
  72. Słowa św. Tomasza z Akwinu.
  73. Por. Stefan Zweig: „Freud” (ob. wyżej przyp. 21) str. 176. Odpowiada to zasadniczo orzeczeniu Haeckla: „Ontogeneza jest powtórzeniem filogenezy”...
  74. W dziele na temat „Jak się utrzymują formy społeczne”.
  75. Dr. Shimandzu, japończyk z powieści Claude Farrère’a (nazwisko rzeczywiste: Bargone) p. t.: „Marsz żałobny” („Marche funèbre”), wyd. pols. Lwów, „Globus”, str. 81.
  76. Zagadnienia te podniósł świeżo w „Revue Internationale de Sociologie” (43-e Année, Nr. V—VI, Mai-Juin 1935, pag. 351) rosjanin, Mr. Serge Karcewski, który p. t. „Les idées de Dostoïevski sur la société”, zamieszcza tam, na podstawie reasumcji dzieł tego myśliciela, interesującą ze względu na ich datę, notatkę następującą: „Il y aura un conflit permanent entre l'individu et la „collectivité... L'un et l'autre devraient être intégrés dans le plan „métaphysique: L'individu cherchant à devenir une personne, „et la collectivité tendant à réaliser la notion du genre humain... „Telle est selon Th. Dostoïevski l'unique voie sur laquelle doit „être cherché le salut”.
  77. Jan VIII. 17—18.
  78. Łuk. XIV. 26—33.
  79. Por. powieść Claude Farrère’a: „Marsz żałobny” j. w. (przyp. 75), str. 181. Zdanie — mutatis mutandis — podobne wypo-



- wiada i Oskar Wilde w swoich „De profundis”. (Por. wyżej przyp. 92).
80. Claude Farrère j. w. (przyp. 79) str. 81.
  81. Znana bajka Kryłowa, o małpie, daremnie usiłującej naśladować człowieka w okularach.
  82. Por. Objawienie św. Jana III. 15—16.
  83. Św. Paweł do Galatów VI., 2.
  84. Św. Grzegorz z Nazjansu twierdzi wręcz nawet, że: wszystkim jest miłosierdzie, czyniące nas podobnymi Bogu... Twierdzi to — również z punktu widzenia psycho-moralnego rzeczywistości życiowej — jaknajsluszniej. A to dlatego, że dobro jest postępem naszym w kierunku ducha, postęp zaś w danym kierunku doskonalenia się bywa okupiony zawsze zastojem, albo wręcz cofaniem się w kierunkach innych (Por. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości”... [por. przyp. 5], str. 11). Przeto wszelkie dobro ludzkie, zasadniczo niedoskonałe, musi wywoływać w życiu zło nieporozumień międzyludzkich (por. w książce niniejszej sprawę stosunku prostaka rosyjskiego do „dobra” i „zła”). Usuwanie nieporozumień takich bez pomocy miłosierdzia (t. j. przebaczenia jako wyrazu wyższej kultury moralnej człowieczeństwa) jest tedy nie do pomyślenia, gdyż tylko to, co nazywamy miłosierdziem, może stawać się czynnikiem, równoważącym moralnie i życiowo nieuniknione niedoskonałości ludzkie, związane z drogą stopniowego doskonalenia się ludzkiego.
  85. Św. Paweł do Galatów V. 16—24.
  86. Por. J. K. Kochanowski: „Echa prawieku”... (por. wyżej przyp. 5) *passim*, oraz rozdział V. książki niniejszej o miłości i strachu.
  87. Żywioł stadnej rui ludzkiej należy w Europie, nawet wschodniej, oddawna już do rzadkości.
  88. Por. J. K. Kochanowski: „Echa prawieku”, j. w. (przyp. 86).
  89. Por. wyżej przyp. 21.
  90. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości”... (por. przyp. 5), str. 16.
  91. Z całą też trafnością powiada Pierre Duhem: „La démonstration n'est jamais source de certitude: toute assurance de la vérité nous vient du bon sens”... („La science allemande”, Paris, A. Herman & Fils, 1915).
  92. Oskar Wilde: „De profundis”, przekład Marji Feldmanowej, Warszawa, F. Hoesick 1923. Niepodobna podzielić zdania J. Charbonnier (wygłoszonego w paryskiej „Revue Anglo-Américaine”, sierpień — wrzesień 1935) by O. Wilde był (nadewszystko, a cóż dopiero wyłącznie!) psychologiem aberracji duszy, czego dowodem ma być jakoby jego: „Portret Dorjana Graya”.
  93. Por. rozdział VI książki niniejszej.
  94. Można by tu wprawdzie powiedzieć, że bardziej bodaj szło owemu komuś i idzie o dany jego samego stosunek do „czegoś”.



- aniżeli o owo coś — wszelako przypominałoby to pytanie, czego człowiek głodny pragnie: najeść się, czy być najedzonym?
95. Nieznanych ludziom anormalnym, nacechowanym t. zw. *moral insanity*.
  96. W myśl teorii (przyrodniczej) Alberta Einsteina, a wobec względności, panującej w świecie fizycznym (t. j. najpewniej przeto i psycho-fizycznym) wybór możliwości a lub b jest aktem woli, t. j. czegoś, znajdującego się poza przyczynowością, a przeto i poza „przeznaczeniem” człowieka.
  97. Jan III. 8: *Spiritus flat ubi vult*.
  98. Mat. XVIII. 1—10.
  99. Jan XII. 25.
  100. Szota Rustaweli, poeta gruziński 1185 — 1235 r.
  101. Jan VIII. 46—59.
  102. Mat. XVIII. 1—10.
  103. Por. Dummolard: *Le Japon*.
  104. Por. Stanisław Baczyński: „Literatura w Z. S. R. R.” Warszawa 1932, str. 34—35, gdzie spotykamy się z podobnie „zachęcającym” obrazem...
  105. Nb. twierdzenie Nietsche’go, że „stopień i jakość płciowości w człowieku przejawiają się aż po najwyższy szczyt jego ducha”, poczytuje Freud (por. j. w. przyp. 21, 73) za prawdę biologiczną.
  106. Por. niżej rozdział VI
  107. Sir A. S. Eddington (por. wyżej przyp. 7).
  108. Mat. VIII. 5—23.
  109. Por. M. M.: „Sekciarstwo w Niemczech”. („Kur. Warsz.” z r. 1935, Nr. 205, str. 2). W myśl też książki niniejszej, oraz najbliższej jej poprzedniczki (J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby”, por. wyżej przyp. 4) — treść Boga: dobro (Dantejski: *Amor che muove il sol e l’altre stelle...*) to rozlane we wszechświecie całym prawem, w istocie nim rządzące, a w głębi marzeń ludzkich, u podstaw ich, odbite.
  110. Hasło X. X. Misjonarzy.
  111. Jan VIII. 46—59.
  112. Por. wyżej w książce niniejszej str. 48, ustęp 4.
  113. Frank Harris, przyjaciel i wydawca O. Wilde’a (z artykułu Wacława Grubińskiego w „Kur. Warsz.” z dnia 9 marca 1935 r.).
  114. Łuk. XVII. 18.
  115. Izajasz LXV., 20.
  116. Czasy bolszewickie obfitują pod tym względem w liczne świadectwa tragiczne, przepelniające prasę europejską, zwłaszcza z czasów natężenia okresów głodowych w Rosji. Co do epoki przedwojennej, por. np.: (tytuł przybliżony): *Uczeni za zapiski Imperatorskawe Kazanskawe Uniwersyteta p a s s i m. Nadto, wiadom.*



mo mi, że jeszcze w r. 1911 w lasach gub. Wiackiej istniał kult t. zw. Kieremied'a, boga zła, którego bałwan, przedstawiający rycerza z szablą, z krzyżem w ręku, lecz o wilczej głowie, namaszczonego przez miejscowe plemię Wotiaków masłem, patronował tam ludożerstwu (sakralnemu) i krwawym ofiarom w ludziach.

117. Por. Stanisław Baczyński: „Literatura w Z. S. R. R.“ (j. w. przyp. 30), str. 93 i nast.
118. Tamże, str. 122—126.
119. W nawiasach — przypisek autora książki niniejszej.
120. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości“... (ob. wyżej przyp. 5), str. 98—100.
121. Por. Dr. Klaus Mehnert: „Moralność i kultura w Rosji Sowieckiej“. Autoryzowany przekład z niemieckiego Heleny Weissowej. Warszawa. „Wydawnictwo Nowoczesne“, 1934. Rozdział IV.
122. Por. wyżej przyp. 62.
123. Por. wyżej przyp. 63.
124. Por. Stanisław Baczyński (ob. j. w. przyp. 117), str. 131—163.
125. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości“... j. w. (ob. przyp. 5) str. 11.
126. Por. Stanisław Baczyński (ob. j. w. przyp. 124) str. 83—89.
127. Tamże, str. 87.
128. Opinja Kayserlinga.
129. Opinje Antoniego Chołoniewskiego.
130. „Onegdaj“ w Polsce Mickiewiczowskiej; „wczoraj“ już może we Włoszech z okresu niedawnej wojny ich z Turcją; „dziś“, a poniekąd dawniej już, w Niemczech i t. d.
131. Por. wyżej przyp. 109.
132. Łuk. IV. 23—30.
133. W artykule p. t. „Le génie de races“ („Revue Internationale de Sociologie“, 1934, pag. 284—293).
134. Por. J. K. Kochanowski: „Echa prawieku...“ oraz tegoż: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej...“ (por. j. w. przyp. 5), *passim*.
135. Św. Paweł do Galatów V. 16—24.
136. „...samo nazwisko Natury, którą Ty (Boże) dobrą i prawą utworzyłeś, bierze się teraz za wady i ułomności (skażenia)...“ (Św. Tomasz à Kempis: „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa...“ Kraków i Warszawa, Gebethner i Wolff 1887, str. 369. Por. Dantego: *Amor che muove il sol e l'altre stelle...* (Divina Commedia, Paradiso, zakończenie), oraz w książce mej (j. n. przyp. 137) str. 210.
137. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“ i t. d. (por. wyżej przyp. 5), str. 222.
138. Por. wyżej przyp. 18.



139. Por. rozdział II książki niniejszej.
140. Por. wyżej przyp. 18, dotyczący znanego zdania Pierre Duhem'a: *La démonstration n'est jamais source de certitude; toute assurance de la vérité nous vient du bon sens...*
141. Por. wyżej przyp. 105.
142. Jako prawdę psychologiczną, rozumianą dobrze na wyższych szczeblach uduchowienia, można przytoczyć tu inne powiedzenie Nietsche'go (najniesłuszniej poczytywane za paradoks): „Miłość wybacz ukochanemu nawet żądzę!!“
143. Św. Paweł do Kor. XIII. 1—13.
144. Por. wyżej przyp. 136.
145. Patrz tu w tekście: strach.
146. Św. Paweł do Kor. X. 6—13.
147. Jan II. 1—11.
148. Por. wyżej przyp. 143.
149. Por. niżej w tekście książki niniejszej: str. 14 (przyp. 13), oraz wyżej: wywód o sprawiedliwości, str. 116.
150. Por. wyżej (przyp. 149) wywód o sprawiedliwości Nie godzę się też z powiedzeniem Oskara Wilde'a: „...niezbadane są drogi bogów; jednakże karzą nas oni za to, co jest w nas ludzkim i dobrem, i za to, co złem jest i przewrotnym“... („De Profundis“. Warszawa, F. Hoesick, 1923, str. 31). Raczej już zgodzić się tu można z mniemaniem japońskim, że uczynki są: Mango i Ingo: Nie złe i dobre, lecz większe i mniejsze. Niema bowiem uczynków doskonałych. Każdy z nich zawiera w sobie i zasługę i winę — tak, jak i najlepszy nawet obraz ma swoje zalety i wady. Gdy jednak suma dobra przewyższa sumę zła — wynikiem jest rozwój... przez który stopniowo wszystko zło (i tak) będzie usunięte... (Lafcadio Hearn: „Japonja“. Biblioteka Groszowa, str. 114).
151. Por. Św. Pawła (List do Galatów V. 16—24): *Albowiem ciało pożąda przeciwko duchowi a duch przeciw ciału...*
152. Już Macchiavelli, doceniając siłę napędą (motoryczną) strachu, przypisuje mu („Principe“) przewagę życiowo-polityczną nad uczuciem przywiązania. Udziela też słynnej rady „Księciu“, iżby ten zabiegał raczej o lęk, aniżeli o afekt przywiązania ze strony poddanych. Nic dziwnego! Wszak strach jest żywiołowym popędem pierwotnym, gdy przywiązanie — uczuciem w człowieku najniewątpliwiej genetycznie i rozwojowo nietylko odmiennem (por.: miłość i poświęcone jej wywody na str. 63 i nast. książki niniejszej), ale — co w danym przypadku ważniejsze! — ewolucyjnie późniejszym, pochodnem i przeto słabszem.
153. Por. wyżej w tekście str. 85—88.
154. Mat. XVI. 24—27.
155. *Maxima* temperatury dochodzą, jak wiadomo, do wysokości



- zawrotnych, których kresu nie znamy; minima nie posuwają się poniżej zera absolutnego (wedle skali Celsjusza — 273,1°).
156. Św. Tomasz à Kempis: O naśladowaniu Jezusa Chrystusa (por. wyżej przyp. 136), str. 84.
157. Powiedzenie to — raczej ironiczne — nie dotyczy oczywiście zre-dagowanej podobnie maksymy Lwa Tołstoja: nie soprotiwłajsia złomu, której duch zlewa się bodaj „bez reszty“ z maksymą św. Tomasza à Kempis (por. wyżej przyp. 156 i odpowiedni ustęp tekstu). Por. nadto w tekście książki niniejszej str. 192.
158. Por. wyżej przyp. 21, 73.
159. Por. J. K. Kochanowski: „Przyczynki do dziejów rozwoju pojęć moralnych na tle zabytków języka polskiego“. („Szkice i Drobiazgi historyczne“ Serja II. Warszawa, E. Wende, 1908).
160. Por. odczyt prof. Jana Dembowskiego z Wilna, wygłoszony przez radjo warszawskie dnia 9 grudnia 1935 r.
161. M ó w i l i m u t e d y (Żydowie): K t o ś t y j e s t ? R z e k ł i m J e z u s : P o c z ą t e k , k t ó r y i m ó w i ę w a m... Jan VIII. 21—29.
162. Por. wyżej przyp. 136.
163. Łuk. X. 23-37.
164. Por. J. H. Newman: „Przyświadczenia Wiary“, w przekładzie i z przedmową Stanisława Brzozowskiego. Lwów 1915. *passim*.
165. Por. wyżej przyp. 23.
166. Por. niżej w tekście książki niniejszej str. 105 i nast.
167. Por. podobne konkluzje artystów, o których wyżej (przyp. 3, oraz str. 7 tekstu książki niniejszej: Anatol France).
168. Por. w tekście niżej str. 104 i nast.
169. Por. wyżej przyp. 166.
170. J. K. Kochanowski: „Quelques conclusions sociales, tirées des indications psychologiques élémentaires“. („Université Libre de Bruxelles. Institut de Sociologie, Solvay. Prof. G. L. Duprat... XII-è Congres de l'Institut International de Sociologie. Analyse de la I-è série de Communications [reçues avant le 1 er mai 1935] Bruxelles. Imprimerie des Travaux Publics [S. A.] Rue de Flandre 169. 1935. Extrait de la Revue de l'Institut de Sociologie [Quinzième année 1935, Nr. 2] pag. 13. XII-é Congrès (Bruxelles, Exposition Universelle, [Nr.] 8). Por. wyżej przyp. 1, 2. Por. wyżej przyp. 1, 2.
171. Dziedzin: ruchu, odżywiania się, oddychania itp., acz — oczywiście — związanych z psychiką, jak wszelkie naogół zakresy życia, nie poruszamy tu zgoła, jako — w danej sferze poszukiwań — tak bardzo od niej oddalonych, że aż — bezprzedmiotowych. — Co do Zygmunta Freuda, to mam tu na myśli jego „Wizerunek własny“, (Warszawa, J. Przeworski, 1936, str. 28).
172. Odsyłacz do schematu, podanego w książce niniejszej na str. 104.



- Co do dobra — zła, por. nadto pozycye stanów psychicznych na str. 105—125 *passim*. Opis fizjologiczny strachu, ob. na str. 175 książki niniejszej.
173. Jak wiadomo, pojęcia zemsty i kary są pierwotnie jednoznaczne (por. przyp. 159). Por. nadto Adolfa Pawińskiego: „Odpowiedź w dawnym prawie rycerskim polskim“.
  174. Por. Adam Grzymała-Siedlecki: „Djagnoza „Zmor“ Zegadłowicza“. „Kur. Warsz.“ z dnia 15 listopada 1935 r. Nr. 314, str. 3).
  - 174a. „Nienawiść jest formą miłości“... — powiada jeden z bohaterów Izabelli Lutosławskiej („Państwo Bobrowscy“, powieść, „Kur. Warsz.“ z r. 1936, Nr. 100, str. 8.).
  175. Por. Jan IV. 5—42.
  176. Dla ilustracji takiej gmatwaniny pojęć, wyobraźmy sobie np. w ramach podanego tu wyżej (str. 104) schematu, prostolinijne przeciwstawienie sobie pozycji a. 1—7, pozycjom b, w kolei — nie 1—7, lecz 7—1 lub podobnie.
  177. Kładziemy tu nacisk na to zastrzeżenie, gdyż zjawisko pamięci nieabstrakcyjnej, np. ruchowo-przestrzennej i tp., zdaje się wyprzedzać olbrzymio w kolejach rozwoju powstanie pamięci abstrakcyjnej. (Por. Sprawozdania z czynności i posiedzeń Pols. Akad. Um. t. XLI, Nr. 1, styczeń 1936, str. 15: T. Garbowski: „Rola pamięci u kota niewidomego od urodzenia“). Co do wspomnianej wyżej roli pamięci, to wiąże się z tem być może (?) powiedzenie nasze: „zapamiętać się“ (= „zacietrzewić“=„zaślepić“... się w nienawiści, gniewie, albo innem uczuciu ujemnem).
  178. Mat. VIII. 5—23.
  179. Są to określenia Wacława Grubińskiego („Kur. Warsz.“. marzec 1936) odtworzone tu przezemnie z pamięci, w przybliżeniu.
  180. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp ludzkości“ (por. j. w. przyp. 5.) str. 37.
  181. Z pierwszego (z dwu odczytów) prof. Jana Dębowskiego z Wilna, wygłoszonego przez radio warszawskie, bodaj w połowie grudnia 1935 r. Por. przyp. 13, oraz w tekście książki niniejszej str. 200
  182. Por. wyżej przyp. 13.
  183. Cnapius: „Thesaurum“: *territus* (ab: *terror*) znaczy: nietylko przestraszony, ale i przeklęty...
  184. Określenie Juliana Wieniawskiego (Jordana).
  185. Por. „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa“ wyżej (przyp. 136), str. 302.
  186. Por. Cnapius (j. w. przyp. 183): *aemulatio* — zawiść, zazdrość.
  187. Por. tamże: miłość zawistna=zazdrość.
  188. Por. zjawiska takie, jak: tokowisko, rykowisko itp.
  189. XVII. 5—10.
  190. Słowa autora książki niniejszej.
  191. Por. Julian Ochorowicz: „Pierwsze zasady psychologii“. Warsza-



- wa, Gebethner i Wolff, 1916, str. 195 i nast. Zdaje się jednak, że im wyższy szczebel rozwoju (a przeto i komplikacji) osiąga dany stan psychiczny — tem trudniej może on ulegać odwracalności, o której tu mowa. (Por. Jan Dębowski: „Zasady biologii ogólnej“, Warszawa, M. Arct 1927, str. 112, 178).
192. Por. wyżej w tekście książki niniejszej str. 105—125. *passim*.
  193. Uderzająco analogicznie, na podstawie przesłanek zgoła odmiennych, ująłem zagadnienie to przed 30-tu laty w „Echach prawieku“ (por. wyżej przyp. 5) *passim*, ku obecnemu jeszcze zgorzeniu bolszewików, choć samą tę książkę potraktowali oni naogół życzliwie w słowach: „...najboleje charakternie „sintietyczne“ proizwiedienie dowojennawo pierioda... istoriko-socjologičeskiej etjud o suszcznosti prociessa rewolucij... „Echa prawieka“... Awtor razsmatrywajet w swojem etjudie rewoluciu kak process... bunta warwarskich i poluwarwarskich elementow obščestwa protiw režima ciwilizacij!“ (Cz. Jasinskij: „Polskaja Istoriografia XIX i XX stoletij w oswieszczeni burżuaznych istorikow“. „Borba-Klassow“ 1933 Nr. 10, Izdatielstwo... „Prawda“, str. 31).
  194. Jan XVI. 23—30.
  195. Św. Paweł do Koryntyan 1.X. 13.
  196. Por. w tekście książki niniejszej str. 129.
  197. Marek XV. 34—35.
  198. Por. w tekście książki niniejszej str. 107—110.
  199. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“ (por. wyżej przyp. 5) *passim*.
  200. Por. J. K. Kochanowski: „Echa prawieku“ (por. wyżej przyp. 5.) *passim*.
  201. Wedle A. S. Eddington'a (por. wyżej przyp. 7, 23) istnienie: rzeczywistości = materya: substancji.
  202. Tamże j. w. k w a n t (Planck'a:  $h=655$  cząsteczek nonaljonowych grama) występuje jako zasada wymiany energii w łonie materji i regulator jej równowagi.
  203. Por. wyżej przyp. 172.
  204. List św. Jana 1.II. 17.
  205. Por. A. S. Eddington (por. wyżej przyp. 7) *passim*.
  206. Łuk. XXIII. 43.
  207. Lafcadro Hearn: „Japonia“, („Biblioteka Groszowa“) str. 116. Zdaje się, że przytoczone powiedzenie nie jest zasadniczo niezgodne z syntezą stanu dzisiejszego europejskich nauk przyrodniczych. Por. wyżej przyp. 205.
  208. Mat. XV. 28.
  209. Jan XVIII. 38.
  210. Mat. VIII. 13.
  211. Jan VIII. 47.



212. Por. wyżej przyp. 201.
213. Por. wyżej przyp. 7. (A. S. Eddington — *passim*).
214. Są to pewniki mikroseismiczne. Por. Elisson Hawks F. R. A. S.: „Dziwy przyrody”. (Biblioteka Wiedzy tom XV, przekład Dra Feliksa Rutkowskiego, str. 118).
215. Por. wyżej przyp. 21. — Można by bodaj zacząć Freud’a uwagą, że jego „hipoteza pomocnicza” (Bóg) została „spowodowana” w świecie ludzkim raczej okolicznościami, o których tutaj mowa, a przeto samą *implicite* naturą rdzenia psychiki człowieczej (któraby wolno było w danym przypadku poczytywać za narządzie Boga) — aniżeli „potrzebą”, jak twierdzi Freud-ateista — ustosunkowania się (słabej) jednostki do (potężnej) masy ludzkiej.
216. Por. wyżej przyp. 21, 24, 215.
217. Por. wyżej odpowiednie a liczne ustępy książki niniejszej, *passim*.
218. Por. nadto w tekście książki niniejszej str. 261, 291—293.
219. T. zw. gen. Zdaniem Jana Dembowskiego (Zasady biologii ogólnej“, Warszawa, M. Arct, 1927, str. 128—129), — dziedziczność, to powtarzalność pewnych procesów rozwojowych, ale procesy te, w zależności od różnych czynników (np. zewnętrznych) mogą ulegać zmianom.
220. Dzieje Apostolskie VII. 56—58.
221. Por. wyżej przyp. 159.
222. W związku z tem zjawiskiem, dane lingwistyczne prowadzą do wniosku analogicznego, że jednostajność języka niknie, skoro się po narzeczach rozglądamy. (Por. Aleksander Brückner: „Filologia i lingwistyka“, Lwów 1909, str. 51).
223. Św. Tomasz à Kempis (por. j. w. przyp. 136), str. 278.
224. Dawniej, chcąc to wyrazić, mawiano „po gospodarsku“, że „nie-masz jednakich dwu liści na drzewie“; dziś stać nas już bodaj na powiedzenie, że wszystko co jest, ho pono-ć już i zaródź wszelka, z której wszystko powstaje, jest indywidualna...
225. Zdanie Józefa Piłsudskiego.
226. Łuk. XI. 14—28.
227. Por. wyżej przyp. 201.
228. Por. M. Nikl...: „Matki między sobą”. („Kur. Warsz.” z dnia 3 października 1934 r., Nr. 272, str. 6—7).
229. Por. wyżej w tekście książki niniejszej str. 155.
230. Źródło pomijam, przeciwstawiając się tutaj idei a nie osobie. Por. w tekście książki niniejszej str. 213, 291—294.
231. Por. Łuk. IV. 24.
232. Por. przyp. 53.



233. Mat. XVI. 27. Ustęp o „prawdzie“, por. w tekście książki niniejszej str. 113—114.
234. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“ (ob. wyżej przyp. 5), rozdział o jednostce i masie ludzkiej.
235. J. I. Kraszewski: Wybór pism. „Jaryna“, część II, str. 277. Warszawa. S. Lewental, 1884.
236. „Kurjer Warszawski“ z dnia 4. V. 1927 r., Nr. 121, str. 2.
237. Por. wyżej (jak i w przyp. 136) str. 88.
238. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości“ (ob. wyżej przyp. 5) str. 98—99. Co do wspomnianego tu matryjarchatu i poliandrii, to przewidywania podobne („termityzmu“) głosi dziś na Zachodzie pisarz angielski, Palme Dutt. (Por. relacje W. Grubińskiego w „Kurj. Warsz.“ z d. 24. IV. 1936, str. 8).
239. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“ (ob. wyżej przyp. 5). Słowo Wstępne.
240. Por. wyżej przyp. 91.
241. Por. J. K. Kochanowski: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej (ob. wyżej przyp. 5), rozdział IV.
242. Jan V. 44.
243. Pomijając przykłady buntu bardziej skomplikowane, formą jego syntetyczną, życiowo dodatnią, jest podniesienie samego siebie, zwłaszcza moralne; ujemną zaś — пониżenie przeciwnika celem (zawodnego — najczęściej nie tylko moralnie) wywyższenia siebie.
244. Por. wyżej przyp. 106, 107.
245. Przykłady na temat tych analogji por. u Czesława Białobrzezkiego (ob. wyżej przyp. 16) *passim*.
246. Por. wyżej przyp. 238.
247. H. C. Wells: „Ojciec Krystyny Alberty“, powieść. Biblioteka Groszowa, str. 206.
248. Hebbel.
249. Por. wyżej w tekście książki niniejszej str. 110, 122 i nast.
250. Mowa tu o powitanym sympatycznie przez prasę naszą, odczytanie Poła Chińskiego w Polsce, prof. Dra Czang Hsin-Hai, wygłoszonym d. 23. III. 1936 r. w Tow. Nauk. Warszawskiem.
251. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości“... (ob. wyżej przyp. 5) *passim*.
252. Dla ilustracji życiowej zagadnienia, por. Maksim Gorkij: „Bezdroża życia“. Warszawa 1933, str. 349—355.
253. Mówiąc wogóle o bolszewizmie, mamy tu zawsze na myśli nie ciągle jego — niemal z dnia na dzień w czasach ostatnich (np. od 1934 r.) — zmiany taktyczne, czy (pozornie) również i ideowe, lecz kościec jego rdzenny w tej postaci, w jakiej zarysował się on w ciągu swych bezmała już lat 20-tu, przed oczyma osłupiałej a niedołążonej wobec niego politycznie (i moralnie) cywilizacji.



254. Por. Stanisław Baczyński: „Literatura w Z. S. R. R.” str. 142.
255. Por. J. K. Kochanowski: „Echa prawieku” (ob. wyżej przyp. 5) *passim*.
256. Por. Stanisław Baczyński j. w. (przyp. 254) str. 149.
257. Tamże j. w. str. 155.
258. Znane słowa obecnej (z r. 1936) komendy moralnej Stalina.
259. Wrażenia osobiste jednego z dyplomatów.
260. Jenerał E. Michaelis: „Strach”. (Kur. Warsz.” z dnia 20. II 1922 r. Nr. 51, str. 3—4).
261. Z opowiadań, zasłyszanych przez autora książki niniejszej.
262. Jak, na mocy własnych swych przeżyć, twierdził w jednej z rozmów ze mną w r. 1921, Józef Piłsudski.
263. Job XV. 15.
264. Por. w tekście książki niniejszej str. 123 i nast.
265. Por. tamże str. 119 (uduchowienie).
266. List VII.
267. Por. *passim* dzieła autora książki niniejszej, wymienione w przyp. 5.
268. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości”... (ob. wyżej przyp. 5) *passim*.
269. Por. np. wywody odpowiednie (przyrodniczo-filozoficzne) Czesława Białobrzeskiego (ob. wyżej przyp. 16).
270. Por. wyżej przyp. 159.
- 270a. Maurycy Maeterlinck w swej „Inteligencji Kwiatów” (rozdz. „Woń kwiatów”) twierdzi, że powonienie, to zmysł u człowieka najsubtelniejszy, będący dopiero w zawiązku; że kiedyś odczujemy woń deszczu, śniegu i t. p. Zapytałby jednak można: no, dobrze, a — pies?...
271. Łuk. IV. 23—30.
- 271a. Por. w tekście książki niniejszej str. 105.
- 271b. Mat VII. 6.
272. Por. w dziełach autora książki niniejszej, przytoczonych w przyp. 5, liczne rozdziały i ustępy, poświęcone sprawie i zagadnieniom stosunku jednostki do masy ludzkiej.
273. W psychologicznym związku niewątpliwym z tem zjawiskiem występuje niepojęty na pozór aforyzm Lwa Tołstoja, twierdzącego, że tylko człowiek zły może rozprawiać o dobru.
274. Por. — w związku z ostatniem zdaniem tekstu — Maksym Gorkij: „Bezdroża życia”. Warszawa 1933, str. 225.
275. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby” (ob. wyżej przyp. 5) rozdział, poświęcony dobru i złu.
276. Jeremiasz X. 23.
277. Mat. V. 44.
- 277a. Mat. V. 39.
278. Heraklit.



279. Por. wyżej przyp. 214.
280. Jest to ujęcie rzeczy — z punktu widzenia przyrodniczego — deterministyczne, a więc zgodne poniekąd z idącymi najdalej wnioskami filozoficznymi Planck'a i Alberta Einsteina — wszelako wbrew odczuciom naukowym większości dzisiejszych fizyków-teoretyków, szczególnie młodszego pokolenia. (Por. wywody Czesława Białobrzeskiego, wyżej przyp. 16). — Sądzę, że poglądy humanistyczne doby obecnej dałyby pogodzić się raczej z teorią względności.
281. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości“... (ob. wyżej przyp. 5) str. 11—12.
282. Wynika to zarówno ze względności zjawisk (por. wyżej przyp. 280) — jak z baczniejszej obserwacji życia.
283. Jan VIII. 7.
284. Jan VIII. 11.
285. Łuk. VI. 37.
286. Por. choćby: Jeremiasz XVIII., 18—23, lub Izajasz LXII, 11; LXIII, 1—7.
287. Mat. XXVI., 39.
288. O naśladowaniu... (por. wyżej przyp. 136) str. 212.
289. Por. Mat. VII. 6.
290. Honorjusz Balzak: „Pobseck“, Warszawa, S. Lewental, str. 168.
291. Powiedzenie japońskie.
292. Por. Lafcadio Hearn: „Japonja“ (Biblioteka Groszowa) str. 114.
293. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“ (ob. wyżej przyp. 5) — zwłaszcza rozdział, poświęcony dobru i złu, jako wyżynom i nizinom bytu.
294. Dr. Klaus Mehnert w świetnej swej „Moralności i kulturze w Rosji Sowieckiej“ (por. wyżej przyp. 121). str. 46, nazywa tak rosyjskie teatry bolszewickie.
295. Jan VIII. 7.
296. Efez. V. 15—21.
297. Łuk. XVIII. 9—14.
298. Por. wyżej w tekście książki niniejszej, str. 121.
299. Por. tamże str. 115 i nast.
300. Por. wyżej przyp. 181.
301. Łuk. X. 27.
302. Wyczutej tak genialnie przez Danta, a wygłoszonej przezeń tak niebosiężne w zamknięciu „Boskiej Komedji“: Amor che muove il sole e l'altre stelle... Trudno po 6 wiekach o przesłankę głębszego holdu dla Największego Poety!
303. Por. J. K. Kochanowski: „Postęp Ludzkości“... (ob. przyp. 5) str. 37.
304. Por. wyżej w tekście książki niniejszej str. 112.
305. Por. j. w. str. 113.



306. Por. Stanisław Baczyński: „Literatura w Z. S. R. R.“ str. 80—82.
307. Jan VIII. 11.
308. Por. w tekście książki niniejszej (ustęp o prawdzie) str. 88.
309. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“, (ob. przyp. 5), str. 403.
310. Por. wyżej w tekście książki niniejszej, str. 61.
311. Jan XVIII. 36.
312. Łuk. XI. 34—35.
313. Eccl. XXXI. 8—11.
314. Por. Stefan Zweig: „Triumf i tragizm Erazma z Rotterdamu“. Przekład R. Centnerszwerowej. Wyd. J. Przeworskiego.
315. Św. Paweł do Rzymian XIV. 17.
316. Por. wyżej w tekście książki niniejszej, str. 112.
317. Por. tamże str. 112: uduchowienie.
- 317b. Ob. Jan Dembowski: „Zasady biologji ogólnej“. Warszawa. M. Arct, str. 88.
318. Por. w książce niniejszej str. 113 i nast.
319. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“ (ob. wyżej przyp. 5) str. 107.
320. Por. William Bragg: „Tajemnice atomu“. Biblioteka Wiedzy, tom VI, Warszawa, Trzaska-Evert-Michalski, str. 28.
321. Por. R. Świętochowski: „Czwarty stan materji“ (feljeton). „Kur. Warsz.“ z dnia 16. XI. 1935 r., Nr. 315, szpalta 2—3.
322. Por. J. K. Kochanowski: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej“, (oba wydania, ob. wyżej przyp. 5) — odpowiednie rozdziały *passim*.
323. Por. Miłosz Gembarzewski: „Jan Tarło, wojewoda Sandomierski, generał Ziem Polskich“, str. 103.
324. Wypowiedziana w Wykładzie Wstępnym prof. Tad. Zielińskiego. wygłoszonym przed kilkunastu laty w Uniwersytecie Warszawskim.
325. Tadeusz Zieliński: „Hellada i Judea“.
326. Łuk. X. 7.
327. Mat. XXVI. 11.
328. Mat. XXII. 21.
329. Por. J. H. Newman: „Przeświadczenia Wiary“. W przekładzie Stanisława Brzozowskiego. Lwów 1915, str. 136.
330. Jan XVIII. 36.
331. Bacon.
332. Por. J. K. Kochanowski: „Echa prawieku“ (ob. wyżej przyp. 5)
333. Por. wyżej str. 113.
- 333b. Podobne uwstecznienia obserwuje Hachet-Souplet u psów.
334. Powiedzenie Juljana Wieniawskiego (Jordana).
335. Por. wyżej, w tekście książki niniejszej, str. 112.
336. Por. tamże, str. 122.



337. Łuk. IV. 24.
338. Por. Clarence August Chant: „Cuda wszechświata“, *passim*. (Trzaska-Evert-Michalski, Biblioteka Wiedzy tom I.).
339. Spostrzeżenie p. Zofji Witoldowej Marczewskiej z Widawki. -- Co zaś do ech przeszłości głębokiej, pobrzmiewających dziś jeszcze w Polsce, to tu i owdzie — np. przy pieczeniu ciasta (summum to nastroju rodzinnego i jego symboliki!) panuje (u ludu) zalecenie: Nie powiadaj gościowi, (który, jako obcy, w zasadzie życzy źle odwiedzanemu!) że się darzy; trza powiedzieć, że będzie zakalec (bo to odwróci magicznie złą jego wolę)...
340. Polskie radio (warszawskie) z dnia 31 maja 1934 r.
341. Podpatrzone przez autora książki niniejszej z okna mieszkania jego w Warszawie.
342. Por. artykuł pani S. Z. („Kur. Warsz.“ z dnia 13. VII. 1935 r., Nr. 189, str. 12).
343. Ustęp ten został spisany przez autora książki niniejszej, jeszcze pod wrażeniem i na podstawie obserwacji wstrząśnień społeczno-politycznych w Warszawie z lat 1904—1905, w roku 1910. Por. „Echa prawieku“... (ob. wyżej przyp. 5). Wstęp.
344. Powiedzenie, przytoczone przez Wacława Grubińskiego w „Kur. Warsz.“ z dnia 1. III. 1935 r. Nr. 59, str. 11.
345. Wacław Grubiński w „Kur. Warsz.“ z r. 1935, Nr. 293, str. 3.
346. Por. w tekście książki niniejszej str. 119.
347. Wynurzenie Jana Nepomucena Kamińskiego.
348. Prof. Pini w odczycie o Konopnickiej przez radio warszawskie z dnia 28. X. 1935 r.
349. św. Paweł do Galatów V. 17.
350. La Rochefoucauld.
351. Goethe.
352. J. I. Kraszewski.
353. Bezimiennie.
354. Nietzsche.
355. Boerne. — Wręcz przeciwnego zdania jest Nietzsche, który twierdzi, że „Każdy geniusz nosi maskę“.
356. Goethe.
357. Redaktor Cat-Mackiewicz.
358. Hebbel.
359. Józef Piłsudski, Pierwszy Marszałek Polski.
360. F. Pétain, Marszałek Francji.
361. Von Clausewitz, generał pruski.
362. Adam Grzymała-Siedlecki.
363. La Rochefoucauld.
364. Purgstaller. — Zdanie Goethe'go o niewdzięczności, por. wyżej w tekście książki niniejszej na str. 191.
365. Bertrand Russell.



366. Auguste Comte.
367. Nie wdając się tutaj w ocenę merytoryczną książki mojej p. t. „Polska w świetle psychiki własnej i obcej” (por. przyp. 5), pisanej przed 20 laty, sam odnoszę dzisiaj wrażenie, że jest to utwór, będący obecnie już dokumentem czasów minionych!
368. Por. J. K. Kochanowski: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej” (ob. wyżej przyp. 5), rozdział IV.
- 368b. Por. Albert Einstein: „Mój obraz świata”. Warszawa, M. Fruchtmann 1935, str. 32.
369. Por. Wacław Grubiński w „Kur. Warsz.” z dnia 31. VII. 1934 r. Nr. 208, str. 3.
370. Stanisław Baczyński: „Literatura w Z. S. R. R.”, str. 99.
371. Graf Albert Apponyi: „Die naturgemässe Stellungnahme Ungarns in der Weltpolitik”, (1915).
372. Wacław Grubiński w „Kur. Warsz.” z dnia 30. VII. 1935 r., Nr. 206, str. 2.
373. Bertrand Russell. — Uwagi na temat „myślenia”, por. w książce niniejszej str. 217 i nast.
374. Z opowieści wiejskich w Kongresówce. Rok 1935 po Chrystusie. (Por. w tekście książki niniejszej str. 138).
375. Z korespondencji rzymskich K. M. Morawskiego, p. t.: „Z miasta różnolitości i harmonji”, „Kur. Warsz.”, z dnia 26. V. 1935 r., Nr. 143, str. 9.
376. Por. Jan Kott: „Podwojony świat”, poezje. Tow. Wyd. w Warszawie, 1936.
377. Por. Wacław Grubiński w „Kur. Warsz.” z dnia 5. VI. 1935 r., Nr. 153, str. 4.
378. Por. M. L.: „Parę słów o wychowaniu”. „Kur. Warsz.” z dnia 1. XII. 1935 r., Nr. 330, str. 22.
379. T. E. Lawrence: „Bunt Arabów”. Warszawa, Biblioteka Groszowa, str. 227. Por. tu jednak wyżej przyp. 64.
380. A. Pankratowa: „Zadacze i metody historycznospołecznej w dziele stworzenia Historii Zawodów w Z. S. S. R.” („Borba klasowa” 1933, Nr. 10, 82 str.).
381. Według Boutrouxa świat cały jest jednym wielkim przypadkiem, a rządzące nim prawa mają znaczenie tak długo i o tyle, jak długo i o ile istnieje układ elementów, którego (one) są wykładnikiem. (Por. Fr. Bujak: „Zagadnienia syntezy w Historji”. Kwart. Hist. t. 37, odbitki str. 5—6). Tezy te są zgodne z podstawami dzisiejszej biologji. (Por. Jan Dembowski: „Zasady biologji ogólnej”, Warszawa, M. Arct, 1927, *passim*).
382. Grzeczny = Krzeczy.
383. Por. u Bertranda Russell’a: „Poglądy i widoki nauki współczesnej”, str. 219 i nast., a w tekście książki niniejszej str. 236—243.
384. Mam tu na myśli „sztukę akuszerską” (*maieutiké*) Sokratesa —



- tego największego z filozofów—polegającą na uświadamianiu psychiki uczniów podnoszącymi ich umysłowość i uczucie (t. j. ich człowieczeństwo) odpowiednimi argumentami mistrza.
385. Por. Dr. Klaus Mehnert: „Moralność i kultura w Rosji Sowieckiej”. (Przekład z niemieckiego Heleny Weissowej, Warszawa, Wydawnictwo Nowoczesne, 1934, str. 88).
  386. Tamże str. 38.
  387. „Wiadomości Literackie”. (Warszawa 1933, Nr. 47, str. 22).
  388. Minister francuski, Laval. (Informacja Wacława Grubińskiego w „Kur. Warsz.” z dnia 22. IV. 1936 r., Nr. 110, str. 4).
  389. Georges Duhamel, członek Akademii Francuskiej. (W. Grubiński j. w.).
  390. Cały szereg książek moich (por. wyżej przyp. 5) powstał właśnie dzięki tej okoliczności.
  391. Por. J. K. Kochanowski: „Trzy odczyty o Polsce”. (Warszawa, E. Wende 1917) *passim*.
  392. Źródło pomijam, przeciwstawiając się idei a nie osobie.
  393. Z mowy Józefa Piłsudskiego, wygłoszonej na Wawelu ku czci Juliusza Słowackiego.
  394. Por. w tekście książki niniejszej str. 119.
  395. Św. Tomasz à Kempis: „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa”. (Kraków i Warszawa. Gebethner i Wolff 1887, str. 388).
  396. Jan VIII. 25.
  397. Karol Irzykowski.
  398. Bodaj: de Blois.
  399. Stanisław Stroński w „Kur. Warsz.” z dnia 21. VII. 1935 r., Nr. 197, str. 5.
  400. Por. J. K. Kochanowski: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej”, (ob. wyżej przyp. 5), *passim*.
  401. Por. J. K. Kochanowski: „Marszałek Piłsudski na tle dziejów” (Księga Zbiorowa ku czci Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego, w dniu Jego Imienin. Komitet Propagandy czynu polskiego. Warszawa, 19 marca 1935, str. 77).
  402. Por. St. Szpotański: „Kur. Warsz.” z dnia 21 lutego 1936 r., Nr. 51, str. 10). Por. wyżej przyp. 36.
  403. Por. głos posła na V Sejm Rzeczypospolitej, gen. Lucjana Żeligowskiego z dnia 17 lutego 1936 r. (Posiedzenie plenarne Sejmu R. P.).
  404. Stefan Gorski: „Walka o dobrobyt”. („Kur. Warsz.” z dnia 8. I. 1935 r., Nr. 8, str. 12).
  405. Henri Rouy, przedstawiciel syndykatu hodowlanego francuskiego. (Por. relację „Kur. Warsz.” z dnia 16. VII. 1935 r. Nr. 192, str. 10).
  406. Por. w tekście książki niniejszej str. 144—151.



407. Izabella Lutosławska: „Z Podhala“. („Kur. Warsz.“ z dnia 26. I. 1936 r., Nr. 25, str. 18).
408. Por. w tekście książki niniejszej str. 158 i nast.
409. Por. A. Trzaska w „Kur. Warsz.“ z dnia 2. V. 1936 r., Nr. 120, str. 2. Nawiasy i podkreślenia — moje.
410. Mat. XXII. 21.
411. Por. G. Kreitner: „Za Chinami stoi Moskwa“. (Wydawnictwo Alfa, Warszawa, str. 25, oraz *passim*).
412. Por. G. Kreitner (j. w., przyp. 411), J. K. Kochanowski (ob. przyp. 64), R. Świętochowski w „Kur. Warsz.“ z dnia 15. VII. 1935 r. Nr. 189, str. 2, oraz Tretjakow: „Den-Szi-Chua“, *passim*.
413. Stanisław Baczyński: „Literatura w Z. S. R. R.“, Kraków—Warszawa 1932, str. 64.
414. Por. „Kur. Warsz.“ z dnia 25 sierpnia 1935 r., Nr. 234, str. 5.
415. Cechy te — hamletyzmu rosyjskiego — podnosi trafnie a wymownie w „Dekabrystach“ Mereżkowskij.
416. Por. artykuł Sławina w czasopiśmie p. t. „Borba klassow“ z r. 1933, Nr. 10, str. 115—118.
417. Por. tamże str. 117.
418. Główny pryznak...
419. Znany socjolog-ekonomista włoski. Mimo swych opinii antysocjalistycznych, nie podzieliłby on jednak wiary w wykonalność programu społecznego kardynała Pacelli'ego (por. list tegoż do prof. Duthoy). W liście tym Kardynał-Sekretarz Stanu zaznacza między innymi, że jest konieczne, aby — na miejsce przeciwstawiających się sobie „klas społecznych“, wprowadzono do brze zorganizowane stany i zawody...
420. „Borba klassow“ j. w. (por. przyp. 416), str. 70 — artykuł p. t.: „Istoria zawodow S. S. S. R.“
421. Por. tamże, na str. 132, artykuł S. Łotte: „K problemam klassowej borby w epochu feodalizmu“.
422. Czuzak: „Pisatielskaja pamiatka“. Por. Stanisław Baczyński: „Literatura w Z. S. R. R.“, str. 139.
423. Bolszewicy, usiłując naśladować w rzeczywistości „zgniły Zachód“, chcą jednocześnie uchodzić w oczach młodego swego pokolenia za oryginalnych wynalazców tych metod technicznych, jakie starają się stosować w praktyce.
424. Por. np. Stanisława Baczyńskiego: „Literatura w Z. S. R. R.“, Warszawa 1932, *passim*.
425. Por. np. wnioski tak znakomitego rzeczoznawcy europejskiego stosunków bolszewickich, jak: Dr. Klaus Mehnert: „Moralność i kultura w Rosji Sowieckiej“. Wydawnictwo Nowoczesne, Warszawa 1934, przekład z niemieckiego Heleny Weissowej.
426. Por. w tekście książki niniejszej wywody, zamieszczone na str. 112—119.



427. Por. J. K. Kochanowski: „Polska w świetle psychiki własnej i obcej“... (ob. wyżej przyp. 5) rozdział IV.
428. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“... (ob. wyżej przyp. 5) str. 210, 222, 317 i t. d.
429. Pierre Duhem: „La science allemande“. (Paris. A. Hermann & Fils, 1915).
430. Minister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanji, lord Anthony Eden, w mowie, wygłoszonej w Leamington w Anglii, w styczniu 1936 r. Wtórzy mu niemal jednocześnie z przeciwnego biegunu, w lutym t. r. Salter, przywódca Labour Party w słowach następujących: „Imperjum Brytyjskie przestanie istnieć jeśli nie będziemy gotowi przyjąć postawy bardziej wzniosłej, bardziej chrześcijańskiej“
431. Słusznie powiada Mehnert (por. wyżej przyp. 425), że bolszewizm nie jest — jak twierdzi on sam o sobie — walką „o proletarijat“, lecz walką, toczoną (w fikcyjnym) „imieniu proletariatu“. Przyczem — co trzeba tu dodać — wodzowie jego, krańcowi indywidualiści, nieraz wyglądający wręcz na obłąkańców egoizmu, depczą człowieczeństwo innych, plugawiąc to właśnie, co w rozumieniu cywilizacyjnym stoi w człowieku najwyżej. Jest to przykład klasyczny zdrady człowieczeństwa, jaką piętnuje Ewangelja (Marek, XIV. 21).
432. Św. Paweł, II. Do Koryntjan III. 6.
433. Sentencja Ignacego Koźmińskiego. Por. J. K. Kochanowski: „Wśród zagadnień naszej doby“ (ob. wyżej przyp. 5), przyp. 99.
434. Lafcadio Hearn: „Japonja“, (przekład B. Bieleckiej) str. 17.
435. Tamże.
436. Por. w tekście książki niniejszej str. 112—119.
437. Łuk. IV. 22.
438. Jak. II. 12—27.
439. Spostrzeżenie bezimiennego informatora genewskiego, wypowiedziane przed korespondentem „Kur. Warsz.“ dnia 21. IV. 1936 r., (Nr 109, str. 2.).
440. W odezwie do świata, datowanej dnia 11. V. 1936 r. z Jerozolimy.
441. Informacja Wacława Grubińskiego: „Kur. Warsz.“ z dnia 21. IV. 1936 r., Nr. 109, str. 9.
442. Mat. VII. 16.
443. Por. wyżej przyp. 5.
444. Por. wywody odpowiednie książki niniejszej od jej początku, *passim*.
445. Por. wyżej przypiski 7, 16.
446. Łuk. VI. 41.
447. Por. na str. 123 książki niniejszej, wywód o „człowieku złym“.



448. Por. C. G. Darwin: „Nowe poglądy na materję“. Warszawa, J. Przeworski, 1935, *passim*.
449. Por. Zygmunt Freud: „Wizerunek własny“, Warszawa, J. Przeworski, 1936, *passim*.
450. Por. Miguel de Unamuno: „Mgła“, Warszawa, „Rój“, 1928.



## SPIS RZECZY

|                                                                                          |     |
|------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Słowo wstępne . . . . .                                                                  | 5   |
| Zagajenie . . . . .                                                                      | 7   |
| O dwoistości naszych doznań . . . . .                                                    | 16  |
| Coś o dziedzinach duszy . . . . .                                                        | 50  |
| Miłość i strach jako bieguny: dodatni i ujemny psy-<br>chiki wszechstworzenia... . . . . | 81  |
| Nastroje . . . . .                                                                       | 128 |
| Bunt . . . . .                                                                           | 163 |
| Grzech . . . . .                                                                         | 180 |
| Żal . . . . .                                                                            | 198 |
| Odrodzenie . . . . .                                                                     | 205 |
| Na drogach życia . . . . .                                                               | 228 |
| Zakończenie . . . . .                                                                    | 273 |
| Przypisy . . . . .                                                                       | 315 |



75—  
45248/18106

